

JAMES OSWALD
**Z PRZYCZYNN
NATURALNYCH**



JAMES OSWALD

Z PRZYCZYN
NATURALNYCH

WYDAWNICTWO
Jagiara

Tytuł oryginału: *Natural Causes*

Redakcja: Barbara Syczewska-Olszewska

Skład i łamanie: EKART

Projekt okładki: Mark R. Robinson

Zdjęcia na okładce: widok Edynburga © Chris Close; niebo © Pete Turner/Getty Images; trawa © Martin Llado/Getty Images; płot © Rachel M. Pincus/ImageBrief

Copyright Natural Causes © James Oswald, 2012

Polish language translation copyright © 2015 by Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ISBN 978-83-7686-401-3

Adres do korespondencji:

Wydawnictwo Jaguar Sp. Jawna

ul. Kazimierzowska 52 lok. 104

02-546 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl

Wydanie pierwsze w wersji e-book

Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2015

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow

Spis treści

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

Epilog

Podziękowania

*Moim rodzicom, Davidowi i Juliet.
Chciałbym, żebyście mogli być teraz ze mną.*

I

Właściwie nie powinien tam się znaleźć. To nie była jego sprawa. Ba, nawet nie był na służbie. Tylko że błyskające niebieskie światła, do tego furgonetka ekipy technicznej, mundurowi rozstawiający barierki... Temu wszystkiemu inspektor Anthony McLean po prostu nie potrafił się oprzeć.

Wychował się właśnie w tej okolicy, w bogatej części miasta, gdzie w rozległych ogrodach ogrodzonych wysokimi murami wznoszą się wytworne rezydencje. Mieszkają w nich bogacze, rody zamożne od wielu pokoleń, a tacy ludzie wiedzą, jak chronić swoje pieniądze. Na ulicach nie było ani jednego włóczęgi i trudno było wyobrazić sobie, by mogło tam dochodzić do jakiegś zbrodni. Tymczasem tego akurat popołudnia wejście na teren jednej z okazałych posesji blokowały dwa samochody patrolowe, a umundurowany funkcjonariusz rozciągał biało-niebieską taśmę. McLean wyjął z kieszeni policyjną legitymację.

– Co się dzieje?

– Morderstwo, szefie. Tyle wiem, nic więcej.

Policjant zawiązał taśmę, po czym pociągnął ją do następnego słupka. McLean spojrzal w stronę domu, na wysypany drobnym żwirem podjazd. Furgonetka ekipy technicznej, z wciąż rozsuniętymi drzwiami, zdążyła wycofać się do połowy podjazdu. Mundurowi tyralierą przesuwali się po trawniku, centymetr za centymetrem, wypatrując śladów.

Nic się nie stanie, pomyślał McLean, jeżeli rzucę okiem, może na coś się przydam. Bądź co bądź, dobrze znam tę okolicę. Pochylił się i przeszedł pod taśmą, po czym ruszył podjazdem.

Minał sfatygowaną białą furgonetkę, za którą w wieczornym świetle połyskiwał piękny czarny bentley. Stojący obok przerdzewiały wiekowy mondeo zdecydowanie tu nie pasował. McLean natychmiast rozpoznał ten samochód, bo aż za dobrze znał jego właściciela. Nadinspektor Charles Duguid nie zaliczał się do jego ulubionych przełożonych. Jeżeli prowadził to śledztwo, to zamordowany musiał być kimś ważnym. To by też zresztą tłumaczyło pokaźną liczbę mundurowych zaangażowanych w sprawę.

– Co tu, kurwa, robisz?!

McLean odwrócił się na dźwięk znajomego głosu. Duguid był od niego znacznie starszy, miał

co najmniej pięćdziesiąt kilka lat. Nigdyś rude włosy posiwiwały i przerzedziły się, czerwoną twarz przeorały zmarszczki. Papierowy kombinezon ściągnął do pasa i zawiązał na supeł tuż pod wystającym brzuchem – ogólnie nadinspektor sprawiał wrażenie faceta, który właśnie wyskoczył na szluga.

– Znajdowałem się w okolicy i zobaczyłem samochody patrolowe na podjeździe.

– I pomyślałeś, że warto by wpakować nos w nie swoje sprawy, co? Gadaj, czego tu szukasz?

– Nie zamierzałem wtrącać się do pańskiego śledztwa, szefie. Przyszło mi do głowy, że może się przydam. Wychowałem się w tej okolicy, więc może będę mógł jakoś pomóc.

Duguid westchnął głośno, z teatralną ostentacją wzruszył ramionami.

– No, cóż. Niewykluczone. Skoro już tu jesteś, może nawet będzie z ciebie jakiś pożytek. Idź i pogadaj z tym twoim kumplem, patologiem. Przekonajmy się, do jakich to genialnych wniosków doszedł tym razem.

McLean już miał ruszyć w stronę drzwi frontowych, ale Duguid powstrzymał go, mocno chwytając za ramię.

– Tylko pamiętaj, masz sporządzić raport. Żebyś mi się nie wymigiwał.

Po miękkim wielkowiejskim półmroku, zapadającym na zewnątrz, jasne światła w środku rezydencji zakłuły go w oczy. McLean wszedł do obszernego hallu przez mniejszy ganek – mniejszy, ale i tak imponujący. Wewnątrz roilo się od pracowników ekipy technicznej, odzianych w białe kombinezony. Zdejmowali odciski palców, fotografowali, zbierali i dokumentowali wszelkie ślady. Zanim zdążył uczynić więcej niż dwa kroki, zaaferowana młoda kobieta wręczyła mu białą rolkę. Nie rozpoznał jej i uznał, że musi być nowa.

– Dobrze radzę, niech pan to na siebie włoży – powiedziała i wskazała kciukiem za siebie, w stronę otwartych drzwi prowadzących na korytarz. – Straszna jatka. Załatwilby pan sobie garnitur.

– Albo skaziłbym miejsce zbrodni i zatarł ślady pozostawione przez zbrodniarza – dodał McLean.

Podziękował jej, włożył jednorazowy kombinezon fizelinowy, na buty wciągnął plastikowe ochraniacze. Ruszył ku drzwiom po wzniesionym przez ekipę techniczną pomoście, który miał zapobiec zdeptaniu wypolerowanej drewnianej podłogi, kierując się ku dobiegającym go głosom.

Podążając za nimi, znalazł się w bibliotece. W bibliotece dżentelmena: wzduż ścian piętrzyły się mahoniowe półki, zastawione oprawnymi w skórę tomami. Pomiędzy dwoma wysokimi oknami stało antyczne biurko, na którego blacie znajdowały się jedynie suszka do atramentu i telefon komórkowy. Dwa skórzane fotele o wysokich oparciach ustawiono po obu stronach ozdobnego kominka, przodem do wygasłego ogniska. Ten po lewej był wolny, na poręczu leżało starannie poskładane ubranie. McLean przeszedł przez pokój i podszedł do drugiego fotela, bo

zauważył siedzącą w nim postać. Odruchowo zmarszczył nos, reagując na ohydny smród.

Mężczyzna niemal emanował spokojem, jego dłonie spoczywały niedbale na podłokietnikach, lekko rozchylone stopy opierały się o podłogę. Twarz miał bladą, oczy szklanym spojrzeniem wpatrywały się wprost przed siebie. Czarna krew ściekała z jego zamkniętych ust, skapywała z podbródka. W pierwszej chwili McLean sądził, że denat ma na sobie ciemny aksamitny szlafrok. Dopiero po chwili dostrzegł wnętrzości, błękitno-szare lśniące zwoje, opadające na perski dywan. Nie aksamit, nie szlafrok. Dwie odziane na biało postaci kucą obok nich, tak jakby nie chciały dotykać kolanami przesączzonego krwią dywanu.

– Chryste Panie!

McLean zasłonił usta i nos, chroniąc się przed intensywnym odorem krwi oraz wyraźnym smrodem ludzkich odchodów. Jedna z białych postaci podniosła głowę: rozpoznał policyjnego patologa, Angus Cadwalladera.

– A, Tony. Wpadłeś na imprezkę, co? – Cadwallader wstał i podał asystentce coś oślizgłego. – Zechcesz to zabrać, Tracy?

– Barnaby Smythe.

McLean podszedł krok bliżej.

– Znałeś go? – zdziwił się Cadwallader.

– Tak, może tylko niezbyt dobrze. Nigdy nie byłem u niego w domu. Aż do dziś. Ale, rany boskie, co się z nim stało? Dagwood nic ci nie powiedział?

McLean rozejrzał się, na poły spodziewając się, że nadinspektor stoi tuż za nim i krzywi się paskudnie, słysząc tak zniekształconą wersję swojego nazwiska. Jednak nie, jeśli nie liczyć nieboszczyka oraz asystentki Cadwalladera, byli w pokoju sami.

– Prawdę mówiąc, nie zachwyił się na mój widok. Najwyraźniej pomyślał, że znowu chcę sprzątnąć mu sprzed nosa sukces i wykryć sprawcę na własną rękę.

– A nie chcesz?

– Nie, skąd. Po prostu akurat szedłem do domu mojej babci. Zauważyłem radiowozy i... – McLean urwał, bo zauważył uśmiech, który pojawił się na twarzy patologa.

– Właśnie, jak tam Esther? Nastąpiła poprawa?

– Tak naprawdę to nie. Później się do niej wybiorę. To znaczy, o ile tutaj nie ugrzęznę.

– Ciekaw jestem, co by powiedziała na ten widok. – Cadwallader machnął dłońmi okrytą zakrwawioną rękawiczką w stronę resztek tego, co ongiś było człowiekiem.

– Nie mam pojęcia. Na pewno jakieś okropieństwo. Wy, patolodzy, wszyscy jesteście jednakowi. Powiedz mi, Angus, co tu się wydarzyło.

– O ile mogę się zorientować, nie został związany ani obezwładniony w żaden inny sposób, a to by sugerowało, że wypatroszono go po śmierci. Jest jednak zbyt wiele krwi, a to znaczy, że

serce musiało bić, kiedy go rozcinano. Z tego z kolei należy wnosić, że najprawdopodobniej został oszołomiony jakimiś narkotykami. Dokładnych danych na ten temat dostarczy raport toksykologa. W istocie większość krwi wypłynęła stąd. – Cadwallader pokazał płat luźnej czerwonej skóry wokół szyi nieboszczyka. – Sądząc po tym, co ma na nogach i co jest na fotelu, stało się to po wyjęciu wnętrzości. Odnoszę wrażenie, że zabójca usunął je, żeby móc swobodnie pogrzebać w środku. Większość wewnętrznych organów jest chyba na miejscu, jeżeli nie liczyć kawałka śledziony, który gdzieś przepadł.

– On ma coś w ustach, szefie – stwierdziła asystentka.

Wyprostowała się, przy czym jej kolana chrupnęły. Cadwallader przywołał fotografa, a następnie nachylił się, wepchnął palce między usta zmarłego, rozwarł je, sięgnął do środka i wyjął z nich gładki czerwony strzęp. McLean poczuł, że zbiera mu się na mdłości. Opanował się wysiłkiem woli, a tymczasem patolog podniósł znalezisko do światła.

– O, znalazła się zguba. Świetnie.

McLean wyszedł na zewnątrz i stwierdził, że zapadła już noc. W tym mieście nigdy nie jest tak naprawdę ciemno; zbyt wiele ulicznych latarni zabarwia ulotną mgiełkę smogu upiornym oranżowym blaskiem. Jednak sierpniowa spiekota zelżała, powietrze stało się rześkie, co stanowiło miłą odmianę po smrodzie, panującym wewnątrz rezydencji. Buty McLeana zazgrzytały na żwirowym podejździe, gdy patrzył w niebo, rozglądał się bezskutecznie za gwiazdami lub też powodem, dla którego ktoś miałby wypruć flaki ze starszego pana i poczęstować go własną śledzioną.

– No? – McLean usłyszał znajomy głos, który nadpłynął razem z kwaśnym odorem kiepskiego tytoniu. Odwrócił się, ujrzał nadinspektora Duguida, który zdążył się pozbyć kombinezonu. Jak zwykle miał na sobie zbyt obszerny garnitur. Nawet w półcieniu McLean był w stanie dostrzec lśniące plamy tam, gdzie z biegiem wielu lat materiał się przetarł.

– Najbardziej prawdopodobna przyczyna śmierci: utrata krwi. Gardło miał poderżnięte od ucha do ucha. Angus... To znaczy, doktor Cadwallader ocenia, że zgon nastąpił późnym popołudniem albo wczesnym wieczorem, między szesnastą a dziewiętnastą. Ofiara nie była skrupowana, więc prawdopodobnie oszołomiono ją jakimiś środkami, o których więcej dowiemy się z raportu toksykologa.

– To wszystko wiem, McLean. Ślepy nie jestem. Opowiedz mi o tym Barnaby'm. Kto mógłby go tak wypatroszyć?

– Nie znałem zbyt dobrze pana Smythe'a, panie nadinspektorze. Był skryty, zamknięty w sobie. Dopiero dzisiaj pierwszy raz przekroczyłem próg jego domu.

– Na pewno nie raz kradłeś jabłka z jego ogrodu, kiedy byłeś mały.

McLean z trudem powstrzymał się od cisnącej się na usta odpowiedzi. Przywykł do zaczepek

Duguida, ale naprawdę nie rozumiał, dlaczego musi je znosić, skoro z własnej nieprzymuszonej woli zgłosił się do pomocy w śledztwie.

– Co wiesz o tym człowieku?

– W przeszłości zajmował się bankowością handlową, ale na pewno był już na emeryturze. Czytałem gdzieś, że podarował kilka milionów na nowe skrzydło National Museum.

Duguid westchnął i uszczypnął się w nos.

– Liczyłem na to, że podsuniesz mi coś ciekawszego. Może chociaż wiesz coś na temat jego przyjaciół i wrogów?

– Raczej nie, panie nadinspektorze. Jak wspomniałem, wycofał się z interesów, teraz ma... miał pewnie z osiemdziesiąt lat. Raczej nie bywam w tych kręgach. Moja babcia mogłaby powiedzieć więcej, ale obecnie to raczej mało realne, ponieważ jak pan wie, przeszła udar.

Duguid parsknął, nie było w tym odgłosie ani cienia współczucia.

– W takim razie nie będę miał z ciebie żadnego pożytku. Zmiataj stąd! Jazda! Wracaj do swoich bogatych przyjaciół i ciesz się z wolnego wieczoru.

Odwrócił się, poszedł w stronę grupy mundurowych policjantów, którzy palili papierosy. McLean już się ucieszył, że pozbył się nadinspektora, ale nagle przypomniało mu się, że przecież otrzymał od niego wyraźne polecenie.

– Czy mam sporządzić raport, panie nadinspektorze? – zawołał za odchodzącym Duguidem.

– Nie masz, nie masz – rzucił przez ramię Duguid. Jego twarz kryła się w cieniu, tylko oczy połyskiwały odbitym światłem ulicznych latarni. – To jest moje śledztwo, McLean. Wypierdalaj z mojego miejsca zbrodni.

The Western General Hospital cuchnie chorobą. Unosi się tam charakterystyczna woń, na którą składa się mikstura środków odkażających, przegrzanego powietrza i sączących się cielesnych płynów. Smród, który przywiera do ubrania, o ile spędzi się w szpitalu więcej niż dziesięć minut. Pielęgniarki w recepcji rozpoznały McLeana, powitały go uśmiechem i skinęły mu głowami, nie mówiąc ani słowa. Jedna z nich miała na imię Barbara, druga – Heather, jednak za cholerę nie mógł sobie przypomnieć, która jest która. Nigdy nie pojawiały się osobno na wystarczająco długo, żeby zdołał to ustalić, a przecież głupio by było przyglądać się o wiele za małym identyfikatorom przypiętym do ich fartuchów na wysokości biustu.

McLean szedł cicho, przynajmniej na tyle, na ile umożliwiała to skrzypiące linoleum, którym wyłożono podłogi we wszystkich korytarzach szpitala. Mijał szurających nogami mężczyzn w obwisłych szpitalnych łachach, ściskających artretycznymi szponami zaopatrzone w kółka stojaki na kroplówkę; zabiegane pielęgniarki, śpieszące zażegnać kolejny kryzys; białych młodych lekarzy i lekarki, wyglądających, jakby mieli zemdleć z wycieńczenia. Dawno już to wszystko przestało na niego działać, przychodził tu wiele razy, i to od dawna.

Sala, do której zmierzał, znajdowała się w spokojniejszym zakątku szpitala, z dala od zgiełku i krzątani. Był to całkiem miły, zaciszny pokój z oknami, wychodzącymi na Firth of Forth w stronę Fife. Uważał, że byłby odpowiedniejszy dla ludzi, dochodzących do siebie po poważnej operacji. Tymczasem umieszczano w nim pacjentów, którym było całkowicie obojętne, jaki mają widok za oknem, i którzy nie potrzebowali ciszy. Zablokował drzwi gaśnicą, żeby nie przestał do niego docierać odległy szum z bardziej gwarnych okolic szpitala, i wszedł głębiej, zanurzając się w półmrok.

Babcia na wpeł leżała, oparta o kilka poduszek. Oczy miała zamknięte, jakby spała. Przewody prowadziły od głowy do stojącego obok łóżka monitora, wskazującego stały, równomierny rytm. Do pomarszczonego i pokrytego wątrobowymi plamami ramienia sączył się przez rurkę jasny płyn, na jednym z jej zasuszonych palców zamocowano klamerkę pulsoksymetru, monitorującego stężenie tlenu we krwi. McLean przysunął sobie krzesło i usiadł. Ujął w dłoń wolną rękę babci i popatrzył na jej ongiś dumną i pełną życia twarz.

– Widziałem się dzisiaj z Angusem. Pytał, co u ciebie.

Mówił cicho, nie był pewien, czy babcia go słyszy. Miała chłodną dłoń, w temperaturze otoczenia. Była nieruchoma, jeżeli nie liczyć miarowego unoszenia się i opadania klatki piersiowej.

– Od jak dawna tutaj jesteś? Chyba z osiemnaście miesięcy, prawda?

Od ostatniej wizyty policzki babci zapadły się jeszcze bardziej, a ktoś nieudolnie przyciął włosy tak, że głowa jeszcze bardziej przypominała trupa czaszkę.

– Myślałem, że w końcu się obudzisz i wszystko będzie jak dawniej, ale już nie jestem tego pewien. Co mogłoby ci przywrócić świadomość?

Nie odpowiedziała. Nie słyszał głosu babci od ponad półtora roku. Odkąd tamtego wieczoru zadzwoniła do niego i powiedziała, że nie czuje się najlepiej. Pamiętał karetkę, ratowników... I jak potem zamykał pusty dom. Nie mógł jednak przypomnieć sobie, jak wyglądała twarz babci, gdy znalazł ją nieprzytomną w fotelu przy kominku. Od tamtej chwili upłynęły miesiące, przez które wiedła i nikła, a on obserwował, jak gaśnie, aż wreszcie miał przed sobą już tylko cień kobiety, opiekującej się nim, odkąd skończył cztery lata.

– A to co znowu?! Jak tak można?!

McLean rozejrział się nerwowo; podniesiony głos wyrwał go z zadumy. W drzwiach stała pielęgniarka, próbując usunąć gaśnicę. Oburzona wkroczyła do sali. Rozejrzała się i dopiero wtedy go zauważyła.

– Och, to pan, McLean. Bardzo przepraszam. Nie zauważyłam, że pan tu jest.

Miękki akcent z zachodnich wysp Szkocji, blada twarz, ścięte na pazia ognistorude włosy... McLean nie był pewien, jak ona ma na imię. Jane, a może Jenny? Wydawało mu się, że w związku ze swoją pracą i dzięki wizytom w tej cichej salce zna imiona niemal wszystkich siostr zatrudnionych w szpitalu. Jednak imienia tej w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć.

– Nic się nie stało – powiedział i wstał. – Zamierzałem już iść – dodał i zwrócił się do pogrążonej w śpiączce babci, wypuszczając z uścisku jej chłodną dłoń. – Niedługo znów tu zajrzę, obiecuję.

– Wie pan? Tylko pan przychodzi tutaj regularnie – powiedziała pielęgniarka.

McLean rozejrział się po sali, spoglądając na inne łóżka, zajmowane przez milczące i nieruchome postacie. Na swój sposób było to przynębiające – i na swój sposób straszne. Jakby kolejka do kostnicy. Cierpliwe oczekiwanie, aż Ponury Żniwiarz znajdzie dla nich chwilę czasu.

– Nie mają rodzin? – spytał.

– Pewnie, że mają, ale krewni nie przychodzą. To znaczy, z początku owszem, odwiedzają bliskich, a niektórzy nawet codziennie przez tydzień lub dwa, albo i przez miesiąc. Z czasem pojawiają się coraz rzadziej i rzadziej. Panu Smithowi, który tu leży, od maja nikt nie złożył wizyty. Natomiast pan wpada co tydzień.

– Cóż, nikogo innego nie miała.

– Mimo wszystko. Nie każdy zachowałby się tak jak pan.

McLean nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Owszem, przychodził do babci, kiedy tylko mógł,

jednak nie spędzał tu zbyt wiele czasu. W przeciwieństwie do babci skazanej na to, żeby spędzić resztę swoich dni w tym milczącym piekle.

– Muszę już iść. – Podszedł do drzwi. – Przepraszam za gaśnicę. – Pochylił się, podniósł urządzenie i powiesił je z powrotem na haku. – Dziękuję pani.

– Za co?

– Za to, że pani się nią opiekuje. Myślę, że polubiłaby panią.

Taksówka zatrzymała się na podjeździe. McLean wysiadł i przez chwilę stał w wieczornym chłodzie, patrząc, jak obłoczek spalin odjeżdżającego samochodu rozprasza się w mroku. Nie więcej niż kilka metrów od niego pojawił się kot. Zatrzymał się nagle, jakby zdał sobie sprawę, że jest obserwowany. Poruszył łepkiem na lewo, na prawo, rozglądając się bystrzymi ślepiami, aż spostrzegł McLeana. Zagrożenie zostało wykryte, po czym natychmiast całkowicie zlekceważone: kot rozsiadł się pośrodku ulicy i zaczął oblizywać łapę.

McLean oparł się o najbliższe z drzew, rozsadzających korzeniami splekane płyty chodnika, jakby nadszedł już z dawna spodziewany kres cywilizacji. Patrzył. Na tej ulicy z reguły panował spokój, a o tej porze niemal całkowita cisza. Miejski gwar dochodził z dala, przypominając, że życie toczy się nadal. Nagle w oddali odezwało się jakieś zwierzę. Kot zamarł w połowie liźnięcia, z jęczyzkiem na wierzchu. Spojrzał podejrzliwie na McLeana, żeby przekonać się, czy to nie on wydał ten odgłos, po czym odszedł z godnością i w następnej chwili zniknął, wskoczywszy bez trudu na mur, okalający jeden z ogrodów.

McLean odwrócił się w stronę pozbawionego wyrazu budynku, domu swojej babci. Mroczne okna nasunęły mu myśl o jej skurczonej w śpiączce twarzy. Oczy zamknięte okiennicami, by chronić przed nocą, która nigdy nie jest ciemna. Wizyty w szpitalu uważał za obowiązek, który chętnie spełniał. Natomiast przychodzenie tutaj stanowiło przykrą i uciążliwą konieczność. Dom, w którym wyrósł, dawno już nie istniał. Życie wyciekło z niego tak samo, jak czas wysysał je z jego babki, aż nie zostało nic prócz kości z kamienia i skwaśniałych wspomnień. Niemal zapragnął, żeby kot wrócił, dobrze byłoby mieć chociaż takie towarzystwo. Wiedział jednak, że to tylko przelotna myśl, która zaraz odejdzie. Zjawił się tu dlatego, że miał to i owo do zrobienia – i nie miało sensu zwlekać.

Podłogę w sieni frontowej zalegały przesyłki z całego tygodnia, w większości śmieci. McLean zgarnął je i zaniósł do biblioteki. Prawie wszystkie meble były nakryte białymi płachtami, przez co dom tym bardziej wydawał się nie z tego świata, jednak biurko babci pozostawało odsłonięte. Sprawdził telefon, żeby przekonać się, czy nie ma żadnych wiadomości. Kasował oferty dotyczące rozmaitych niezwykle okazyjnych prezentacji oraz sprzedaży, nie odsłuchując żadnej do końca. Pewnie należałoby wyłączyć automatyczną sekretarkę, pomyślał, ale z drugiej strony, nie wiadomo, czy nie odezwie się jakiś dawny znajomy rodziny, próbujący nawiązać kontakt.

Śmieciowa korespondencja powędrowała do kosza – zwrócił uwagę, że wkrótce znowu trzeba będzie go opróżnić. Pozostały dwa rachunki, które będzie musiał przesłać pełnomocnikom, zajmującym się bieżącymi sprawami babci (pamiętać!). Jeszcze tylko zrobi obchód i będzie mógł pójść do siebie. Może nawet uda mu się zdrzemnąć.

McLean nigdy nie bał się ciemności, może dlatego, że potwory pojawiły się naprawdę, kiedy miał cztery lata – i zabrały mu rodziców. Zdarzyło się najgorsze, ale on przeżył, i po tym wszystkim w mroku już nie krył się lęk. Teraz jednak przyłapał się na tym, że zapala światła w kolejnych pokojach, żeby nie przemierzać ich po ciemku. Dom był naprawdę duży, o wiele za duży jak na potrzeby samotnej starszej pani. Większość sąsiednich budynków przekształcono w siedziby, składające się z co najmniej dwóch apartamentów, a ten jakoś się ostał, w dodatku razem z otaczającym go rozległym ogrodem. Bóg raczy wiedzieć, ile jest wart, pomyślał McLean. Jeszcze jedna sprawa, którą trzeba będzie się zająć we właściwym czasie, chyba że babcia zapisała posiadłość jakiejś instytucji, zajmującej się bezdomnymi kotami. To byłoby całkiem w jej stylu, wcale by nie był zaskoczony.

Zamarł z ręką wyciągniętą w stronę włącznika światła, bo właśnie zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy zastanowił się nad tym, co będzie, kiedy ona umrze. Właśnie dopuścił możliwość, że odejdzie na zawsze. Jasne, ta ewentualność zawsze wchodziła w grę, co więcej, czaiła się w głębi jego świadomości, ale przez te wszystkie miesiące, gdy odwiedzał babcię w szpitalu, towarzyszyło mu przekonanie, że w końcu nastąpi poprawa jej stanu. Tymczasem dziś, z takiego czy innego powodu, pogodził się z myślą, że tego nie doczeka. Zrobiło mu się smutno, a jednocześnie, niespodziewanie odczuł ulgę.

W tym momencie uświadomił sobie, gdzie się znajduje.

Sypialnia babci nie była najbardziej obszernym pomieszczeniem w domu, ale i tak prawdopodobnie przewyższała powierzchnią całe mieszkanie McLeana w Newington. Wszedł głębiej do środka, przesunął dłonią po łóżku wciąż zasłanym tą samą pościelą, w której spała w nocy poprzedzającej udar. Otworzył szafę i ujrzał ubrania, których babcia już nigdy nie będzie nosić, potem przeszedł na drugą stronę pokoju. Szlafrok z japońskiego jedwabiu wisiał na krześle stojącym przed toaletką. Na szczotce, którą babcia się czesała, ujrzał pasma jej włosów – długie srebrne nitki połyskujące w ostrym białozółtym świetle lampy, odbijającej się w antycznym lustrze. Obok, po jednej stronie, na małej srebrnej tacce stało kilka buteleczek z perfumami, po drugiej – kilka zdjęć oprawionych w ozdobne ramki. To było najbardziej prywatne, ściśle osobiste miejsce babci. Owszem, bywał tu wcześniej, na przykład jako mały chłopiec, gdy babcia posyłała go po coś albo gdy zaglądał do łazienki po mydło, jednak nigdy nie spędził tu więcej czasu ani nie zwrócił na to miejsce specjalnej uwagi. Poczul się niezręcznie, a zarazem było to dla niego fascynujące.

Najważniejszym meblem w sypialni była toaletka, wcale nie łóżko. Właśnie przed nią babcia przygotowywała się na spotkanie świata zewnętrznego. McLean ucieszył się, widząc na jednym ze zdjęć siebie. Pamiętał dzień, w którym fotografia została zrobiona, to było wtedy, gdy zdał egzamin końcowy w Tulliallan. Chyba nigdy przedtem ani potem nie miał na sobie tak porządnie wyprasowanego munduru. Posterunkowy McLean. U progu kariery, rzecz jasna, ale póki co taki sam krawężnik, jak każdy inny gliniarz.

Druga fotografia przedstawiała jego rodziców, zrobiono ją w dniu ich ślubu. Patrząc na oba zdjęcia, nie miał wątpliwości, że wygląd odziedziczył przede wszystkim po ojcu. Musieli być mniej więcej w tym samym wieku, kiedy zrobiono fotografie, bo jeżeli nie brać pod uwagę różnicy w jakości filmu, niemal mogliby być braćmi. McLean przez dłuższą chwilę spoglądał na zdjęcia. Nie pamiętał rodziców, rzadko o nich myślał.

W pokoju znajdowało się mnóstwo innych fotografii, niektóre wisiały na ścianach, inne stały oprawione w ramki na szerokiej, niskiej komodzie, bez wątpienia zawierającej bieliznę. Liczne przedstawiały jego dziadka, starszego dżentelmena o surowym wyglądzie, którego portret wisiał na honorowym miejscu nad kominkiem w jadalni. Była to kronika jego życia, od młodości aż po starca. Czarno-biała dokumentacja skoków w czasie, od zdjęcia do zdjęcia. Były tam też fotografie ojca McLeana, potem zaś i jego matki, gdy pojawiła się w życiu ojca. Na kilku zdjęciach figurowała babcia – uderzająco piękna młoda kobieta w najmłodniejszych w latach trzydziestych sukniach. Na jednej z nich widniała w towarzystwie dwóch uśmiechniętych panów, również w strojach z epoki, w tle zaś MacLean rozpoznał dobrze znajome kolumny National Monument na Calton Hill. Przyglądał się temu zdjęciu przez dłuższą chwilę, nim zdał sobie sprawę, co go w nim niepokoi. U lewego boku babci stał dziadek, William McLean, niewątpiwie ten sam, który pojawiał się już na tak wielu innych zdjęciach. Jednak to facet po jej prawej stronie, obejmujący ją w talii ramieniem i uśmiechający się do aparatu, jakby świat do niego należał, był kubek w kubek podobny do mężczyzny z fotografii nowożeńców oraz do pewnego świeżo dyplomowanego absolwenta szkoły policyjnej.

– Proszę powiedzieć, panie Douglas, co dokładnie zginęło?

McLean próbował umościć się na niewygodnej sofie, w której poduszkach musiały chyba tkwić jakieś tajemnicze guzy, wielkie i twarde jak cegły. W końcu dał za wygraną. Rozejrzał się po pokoju, gdy tymczasem siedzący obok niego detektyw, sierżant Bob Laird – dla przyjaciół Bob Gburek – sporządzał notatki swoim zamaszystym piśmem.

Pokój urządzony był dostatnio, o ile nie brać pod uwagę tej nieszczęsnej sofy. Jedną ścianę zajmował kominek, pozostałe zawieszono kolekcją gustownych obrazów olejnych. Dwie inne sofy stały przy palenisku – odgradzając je od reszty pokoju – chociaż w kominku, jako że było upalne lato, rozstawiono równiutko dekorację z suszonych kwiatów. W pokoju dominował mahoń, czuć było woń pasty do podłóg przemieszaną z delikatnym kocim zapaszkiem. Wszystko było stare i szacowne, nawet człowiek siedzący naprzeciw McLeana.

– Stąd nic nie zginęło – odparł Eric Douglas. Nerwowym ruchem musnął palcem okulary w czarnej oprawce, poprawiając ich położenie na długim nosie. – Poszli prosto do sejfu, jakby dokładnie wiedzieli, gdzie się znajduje.

– Może zechce nam pan pokazać.

McLean wstał, zwłaszcza że zaczęły mu drętwieć nogi. Nie spodziewał się, że ujrawszy sejf, uzyska jakąś istotną informację, jednak przede wszystkim marzył, by ruszyć się z zajmowanego miejsca. Douglas poprowadził ich przez dom do małego gabinetu, który wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado. Na wielkim antycznym biurku piętrzyły się stosy książek zdjętych z dębowych półek po to, aby odsłonić drzwi sejfu. Ktokolwiek go otworzył, nie pofatygował się, aby go następnie zamknąć.

– Tak to mniej więcej wyglądało, kiedy przyszedłem – oznajmił Douglas. Zatrzymał się w drzwiach, jakby liczył na to, że jeżeli nie wejdzie głębiej, może jakimś cudem jeszcze wszystko wróci do normy.

McLean przecisnął się obok niego i ostrożnie obszedł biurko dookoła. Wyraźne ślady srebrzystego pyłu na półkach i na futrynie dużego okna dowodziły, że specjalistka od odcisków palców była tutaj i zdążyła przejść gdzie indziej. Pracowała teraz w innej części domu, posypywała proszkiem inne framugi i parapety. Mimo wszystko sięgnął do kieszeni marynarki po parę gumowych rękawiczek i naciągnął je, zanim sięgnął po niewielki stos papierów, nadal leżący wewnątrz sejfu.

– Zabrali tylko biżuterię, akcje zostawili. Zresztą są bezużyteczne, teraz wszystko

przechowuje się w postaci elektronicznej.

– Jak dostali się do środka?

McLean odłożył papiery na miejsce i przyjrzał się oknu. Było pomalowane w taki sposób, że nie dałoby się go otworzyć i z pewnością w ciągu minionych dziesięciu lat nikt tego nie zrobił, nie mówiąc już o ostatnich dwudziestu czterech godzinach.

– Kiedy wróciłem z pogrzebu, wszystkie drzwi były zamknięte na klucz. Alarm był włączony, ale sygnalizacja się nie uruchomiła. Naprawdę nie mam pojęcia, jak ktoś zdołał dostać się do środka.

– Wspominał pan o pogrzebie...

– Mojej matki. – Twarz pana Douglasa się zachmurzyła. – Zmarła w zeszłym tygodniu.

McLean zgromił się w duchu za brak spostrzegawczości. Douglas miał na sobie czarny garnitur, białą koszulę i czarny krawat. W dodatku dom emanował wrażeniem pustki, panowała ta nieokreślona atmosfera miejsca, w którym ktoś niedawno zmarł. Powinien był zdać sobie sprawę, że w tym domu panuje żałoba, jeszcze zanim zaczął zadawać pytania. Spróbował sobie przypomnieć, czy jak dotąd nie popełnił nieświadomie rażącego nietaktu.

– Wyrazy współczucia, panie Douglas. Proszę powiedzieć, czy wiadomość o pogrzebie była powszechnie dostępna?

– Nie bardzo wiem, co pan ma na myśli. W gazecie pojawił się nekrolog, a w nim wzmianka o czasie i miejscu pochówku... Ach, rozumiem.

– Otóż to. Istnieją hieny, które czyhają, żeby skorzystać na czyjejs stracie. Ktoś, kto tego dokonał, prawdopodobnie uważnie przegląda gazety. Może mi pan pokazać centralkę alarmu?

Wyszli z gabinetu i jeszcze raz przeszli przez hall. Pan Douglas otworzył drzwiczki pod schodami, za którymi ich oczom ukazały się kamienne schodki, prowadzące do piwnicy. Tuż za drzwiczkami znajdowało się płaskie pudełko, błyszczące zielonymi światełkami. McLean przyglądał mu się przez chwilę, zwrócił uwagę na nazwę firmy obsługującej alarm. Penstemmin Alarms – renomowane przedsiębiorstwo, wyszukany system alarmowy.

– Potrafi pan to obsługiwać?

– Ależ inspektorze, za kogo mnie pan bierze? W tym domu znajduje się wiele cennych rzeczy. Niektóre z obrazów osiągnęłyby na aukcji wartość wyrażającą się w liczbach sześciocyfrowych, natomiast dla mnie są wprost bezcenne. Osobiście ustawiłem alarm przed udaniem się do Mortonhall.

– Proszę mi wybaczyć. Muszę takie rzeczy wiedzieć na pewno.

McLean wsunął notes do kieszeni. Policjantka ze służb technicznych właśnie schodziła na dół. Rzucił jej pytające spojrzenie, ale ona tylko pokręciła głową, przemierzyła hall i wyszła na zewnątrz.

– Nie będziemy zabierać panu więcej czasu, natomiast gdyby zechciał pan dostarczyć nam szczegółowy opis skradzionych przedmiotów, może się to okazać bardzo pomocne.

– Firma, w której były ubezpieczone, przechowuje szczegółowy inwentarz. Poproszę ich, żeby wysłali panu kopię.

McLean podszedł do policjantki ze służb technicznych. Właśnie pozbyła się kombinezonu i cisnęła swoje rzeczy na tylne siedzenie samochodu. To była ta nowa, którą widział w domu Smythe'a. Rzeczy rzuciła się w oczy – blada karnacja, niesforna burza czarnych włosów, oczy podkreślone mocnym makijażem – albo to, albo miała potężnego kaca.

– Jak poszło? Udało się coś znaleźć?

– W gabinecie nic a nic. Czyściutko jak w duszy zakonnicy. Za to wszędzie indziej cała masa odcisków palców, ale nic nietypowego. Pewnie w większości należą do właścicieli. Będę potrzebowała zestawu odcisków do porównania.

McLean zaklął.

– Właścicielkę skremowano dziś rano.

– Cóż, i tak niewiele by się dało zrobić. Nie ma śladów włamania, żadnych odcisków w pokoju, gdzie jest sejf.

– Zrób, co się da, dobrze? – poprosił McLean, podziękował i popatrzył przez chwilę w ślad za jej odjeżdżającym samochodem.

Następnie skierował się w stronę pojazdu, który przydzielono Bobowi Gburkowi rankiem tego dnia, gdy McLean otrzymał tę sprawę. Tak naprawdę, pierwszą sprawę, odkąd awansował na inspektora. I w zasadzie, o ile los nie będzie mu sprzyjał, bez większych szans na rozwiązanie. Dlaczego nie mógł mu się trafić ćpun, który ukradł telewizor, żeby mieć na następną działkę? Co prawda, takimi przypadkami obarcza się zwykłych policjantów. Swoją drogą, pan Douglas musiał dysponować niejakimi wpływami, skoro kradzież tak pospolitą powierzono inspektorowi, choćby i świeżo mianowanemu.

– Co chcesz teraz zrobić, szefie? – spytał Bob Gburek ze swojego miejsca za kierownicą, gdy McLean wsiadł do wozu.

– Wracamy do komisariatu. Spróbujemy dopatrzyć się w tych notatkach jakiegoś porządku i sprawdzimy, czy mamy coś podobnego wśród spraw nierozwiązanych.

McLean rozparł się w fotelu pasażera, przyglądając się miejskiemu ruchowi, podczas gdy jechali zatłoczonymi ulicami. Minęło zaledwie pięć minut i odezwała się krótkofalówka Gburka. McLean sięgnął po nią, przez chwilę nie mógł sobie poradzić z przyciskami, ale w końcu udało mu się odebrać połączenie.

– McLean.

– Witam, inspektorze. Próbowałem dodzwonić się na komórkę, ale chyba nie jest włączona.

McLean rozpoznał głos Pete'a, dyżurnego sierżanta. Wyciągnął telefon z kieszeni, nacisnął na próbę jakiś przycisk. Kiedy wychodził z domu, bateria była całkowicie naładowana, ale teraz, po zaledwie kilku godzinach, była martwa jak starsza pani Douglas.

– Przykro mi, Pete. Bateria zdechła. Co mogę dla ciebie zrobić?

– Mam dla pana sprawę, to znaczy, o ile nie jest pan zbyt zajęty. Podobno to gdzieś blisko.

McLean jęknął głucho, zastanawiając się, jakie to kolejne drobne wykroczenie przypadnie mu w udziale.

– Dawaj, Pete. Gdzie to jest i o co chodzi?

– Farquhar House, panie inspektorze. W Sighthill. Dzwonił jakiś budowlaniec, podobno znalazł zwłoki.

Przez okno samochodu McLean obserwował mijane fabryki, hurtownie, sklepy i ponuro wyglądające magazyny; w oddali wznosiły się wieżowce, rozmazane za mgiełką szarobrązowego smogu. Sighthill to jedna z dzielnic miasta, których nie pokazuje się w broszurach dla turystów; przemysłowe i mieszkalne przedmieście, ciągnące się aż po obwodnicę wzdłuż dawnej drogi do Killmarnock, nad którym dominuje potężna, toporna bryła Stevenson College.

– Wiemy coś więcej na ten temat, szefie? – zapytał Gburek. – Mówiłeś tylko, że znaleźli zwłoki.

McLean wciąż nie mógł przywyknąć do tego, że Bob Gburek nazywa go szefem. Detektyw sierżant był od niego starszy o piętnaście lat i jeszcze całkiem niedawno służyli w tej samej randze. Jednak odkąd McLean otrzymał promocję na inspektora, Bob Gburek przestał zwracać się do niego „Tony” i przeszedł na „szefie”. Teoretycznie było to zgodne z regulaminem, ale jednak McLean czuł się z tym dziwnie.

– Nie znam szczegółów. Plac budowy czy coś takiego, na którym ktoś znalazł zwłoki. Najwyraźniej pani komendant stwierdziła, że to sprawa w sam raz dla mnie. Nie jestem pewien, czy uznać to za komplement z jej strony.

Bob Gburek milczał, skupiony na prowadzeniu samochodu przez oszalałymi labirynt bocznych uliczek, wzdłuż których wznosiły się identyczne szare szeregowce. Nieliczne przejawy odrębnego charakteru – choćby drzwi pomalowane na odmienny kolor czy inne świetliki na dachu – pozwalały rozpoznać te segmenty, które nie należały do władz miejskich. W końcu skręcili w wąską aleję, biegnącą między piętrzącymi się po obu stronach wysokimi murami, które zasłaniały widok. Na jej końcu ujrzeli groteskową pośród budowlanej masówki wspaniałą ongiś bramę z kutego żelaza, porośniętego bluszczem, zwisającą pod niebezpiecznym kątem między dwiema splekanymi kamiennymi kolumnami. Na lewej wisiała tablica z napisem: KOLEJNA PRESTIŻOWA INWESTYCJA PRZEDSIĘBIORSTWA MCALLISTER HOMES.

Za bramą wznosiła się rezydencja w stylu Scottish Baronial, trzypiętrowa, o wąskich oknach, z okrągłą wieżą sterczącą w rogu. Jedną ze ścian podpierano rusztowanie, a ongiś wspaniałe rozległy ogród pełen był ciężarówek, kontenerów z piaskiem i kontenerów mieszkalnych, baraków oraz innego wyposażenia związanego z budowlanym fachem. Dwa wozy patrolowe czekały u drzwi frontowych, pilnowała ich samotna policjantka. Kiedy McLean pokazał jej legitymację, zdobyła się na znużony uśmiech, a potem poprowadziła ich przez mroczną sieć

frontową. Wewnątrz, zwłaszcza w porównaniu z panującym na dworze upałem, było chłodno. McLean poczuł ciarki na skórze i wzdrygnął się mimo woli.

Policjantka to zauważyła.

– Właśnie, właśnie. Tak tu jest. Strach się bać.

– Kto znalazł zwłoki?

– Słucham? A, tak. – Policjantka sięgnęła po notes. – Zadzwoił do nas pan McAllister we własnej osobie. Zatrudniony przez niego brygadzysta, niejaki pan Donald Murdo z Bonnyrigg, pracował wczoraj wieczorem do późna, sprzątał piwnice. Doznał szoku, kiedy... No, wie pan.

– Wczoraj wieczorem? – McLean zatrzymał się tak nagle, że Bob Gburek o mało na niego nie wpadł. – Kiedy nadeszło zgłoszenie?

– Około szóstej.

– I zwłoki nadal się tu znajdują?

– Tak, techniczni właśnie kończą robotę. Wczoraj mieli sporo zajęcia, a tej sprawy nie uznano za priorytetową.

– Jak to możliwe, żeby zwłoki nie były priorytetowe?

Policjantka popatrzyła na niego jakby z przyganą.

– Wczoraj wieczorem, o siódmej piętnaście lekarz policyjny stwierdził zgon. Zabezpieczyliśmy miejsce zbrodni i od tego czasu go pilnuję. To nie moja wina, że wczoraj wieczorem połowa ekipy technicznej poszła się nawalić. Prawdę mówiąc, też jestem zdania, że ktoś z dochodzeniówki powinien tu się pojawić znacznie wcześniej. Nie ukrywam, że znam przyjemniejsze miejsca, w których można spędzić noc.

Stukając butami, zaczęła schodzić do piwnicy. Słowa policjantki tak zaskoczyły McLeana, że się nie odezwał, tylko poszedł za nią.

Na dole powitała ich sceneria wyrażająca przedsiębiorczą determinację. Grube kable wily się po zakurzonej podłodze – prowadziły do potężnych lamp łukowych. Lśniące aluminiowe skrzynie zostawiono otwarte, ich zawartość leżała rozrzucona wokół. W środku głównego korytarza ułożono chodnik, ale najwyraźniej nikt z niego nie korzystał. Z pół tuzina funkcjonariuszy technicznych kręciło się po piwnicy, przekładali jakieś rzeczy z miejsca na miejsce. Tylko jedna osoba zauważyła ich przybycie.

– Tony. Czym tak strasznie naraziłeś się Jayne McIntyre u samego zarania swojej nowej kariery?

Lawirując pośród rozrzuconego sprzętu, McLean przedostał się w głąb piwnicy. Angus Cadwallader stał w blasku potężnych lamp przy okazałym otworze wybitym w ścianie. Wyraźnie był nieswój, gdzieś ulotniła się beztraska cynicznego wesółka.

– Naraziłem się? – McLean schylił się, żeby zajrzeć przed otwór. – Co masz dla mnie tym

razem, Angus?

Po drugiej stronie znajdowało się spore okrągłe pomieszczenie o gładkich białych ścianach. Pośrodku ustawiono cztery lampy, wszystkie pochylone do wewnątrz, jakby miały oświetlić jakąś wschodzącą gwiazdę sceny. Wschnięta, z rozłożonymi rękami, skatowana – nie mogła się spodziewać choćby najmniejszego aplauzu.

– Niepięknie to wygląda. – Cadwallader wyciągnął z kieszeni zapasową parę lateksowych rękawiczek i podał je McLeanowi. – Przyjrzyjmy się bliżej.

Przeszli przez wybity w ceglany murze otwór, McLean natychmiast poczuł, że jest tam jeszcze chłodniej. Gwar rozmów prowadzonych przez ekipę techniczną przycichł, jakby inspektor zamknął za sobą drzwi. Spojrzał za siebie i nagle zapragnął wycofać się z tego ukrytego pomieszczenia; nie tyle ze strachu, co z powodu jakiegoś dziwnego wrażenia wstępu, nakazującego ucieczkę. Nie bez trudu otrząsnął się z tego paraliżującego odczucia. Skupił się na ogłędzinach zwłok.

Była młoda. Kiedyś. Nie był pewien, skąd to wie, ale coś w tej drobnej postaci mówiło o życiu brutalnie przerwany, zanim na dobre się rozpoczęło. Ramiona szeroko rozłożone w parodii ukrzyżowania. Czarne żelazne gwoździe przebijające dłonie, zakrzywione, by nie zdołała tych dłoni wyszarpnąć. Czas wysuszył skórę jak pergamin, dłonie skurczyły się i przybrały wygląd szponów, twarz naznaczył grymas potwornego cierpienia. Miała na sobie prostą, kwiecistą bawelnianą sukienkę, zadartą aż powyżej piersi. McLean mimochodem zwrócił uwagę na jej staromodny wygląd, a ten szczególnie wyleciał mu jednak z głowy, gdy zauważył resztę.

Miała rozcięty brzuch, równo, od krocza aż do górnej części klatki piersiowej. Skóra i mięśnie zmarszczyły się jak płatki wędnącego kwiatu. Żebra połyskiwały bielą pośród poszarzałej masy, ale z jej wnętrzości nic nie pozostało. Nogi rozłożone szeroko, tak że kolana niemal dotykały desek. Skóra napięta na wyschniętych mięśniach, widoczna każda kość aż po szczupłe stopy, podobnie jak dłonie przybite do podłogi.

– Jezu Chryste. Kto mógł zrobić coś takiego?

McLean zachwiał się, spojrział przez oślepiające światła na pozbawione wyrazu ściany wokół. Potem popatrzył w światło, jak gdyby mogło wypalić obraz, który właśnie utrwalił się w jego umyśle.

– Może należałoby zadać inne pytanie: kiedy ów ktoś to zrobił. – Cadwallader przykucnął po drugiej stronie zwłok, wyciągnął drogie wieczne pióro i zaczął wskazywać nim kolejne części szczątków dziewczyny. – Jak widzisz, z jakiejś przyczyny nie nastąpił rozkład tkanek, co z kolei umożliwiło naturalną mumifikację. Organy wewnętrzne zostały usunięte, prawdopodobnie pozbyto się ich w jakiś sposób. Kiedy znajdzie się w kostnicy, będę musiał przeprowadzić kilka testów, ale uważam, że została zabita co najmniej pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat temu.

McLean wstał, zadrzał z zimna. Chciał odwrócić wzrok, ale oczy wciąż same wracały do leżącego u jego stóp ciała. Niemal czuł przażenie i ból nieszczęsnej ofiary. Żyła, przynajmniej kiedy ta potworność się rozpoczęła. Tego był pewien.

– Każ swoim ludziom ją zabrać – powiedział. – Wątpię, czy techniczni znajdą coś na podłodze pod nią, ale zawsze warto spróbować.

Cadwallader skinął głową i wyszedł, przestępując przez ceglane rumowisko, które powstało, gdy robotnik wybił dziurę. McLean został sam z martwą dziewczyną. Próbował wyobrazić sobie, jak wyglądało to miejsce, kiedy umierała. Ściany pokryte były gładkim tynkiem; u góry sklepienie z pomalowanych na biało cegieł, ciało zostało umieszczone bezpośrednio pod najwyższym jego punktem. Gdyby znajdował się w jakiejś kaplicy, spodziewałby się ujrzeć naprzeciwko zamurowanych drzwi coś na kształt ołtarza, ale rotunda była pusta.

Światło łukowych lamp rzucało na drewniane deski podłogi dziwne cienie, które zdawały się falować tym bardziej, im usilniej McLean im się przyglądał. Zupełnie jakby czekały na kogoś, kto miał tu powrócić. Te kształty wciągały, hipnotyzowały: jakby wijące się wyzłobienia utworzone w regularnych odstępach wokół szerokiego kręgu, ciągnące się około metra od ściany. Potrząsnął głową, żeby wyzbyć się iluzji, wyszedł z kręgu światła, ale w tej samej chwili stanął jak wryty. Jego własny cień poruszył się, przesunął się po podłodze w czterech odrębnych kształtach. Jednak wzór na podłodze pod jego cieniem nawet nie drgnął.

Przykucnął, przyjrzał się z bliska drewnianym deskom. Były wygładzone i pokryte tylko cienką warstwą kurzu, jak gdyby pomieszczenie to było hermetycznie zamknięte, dopóki robotnik nie rozbil ściany. Światło lamp łukowych sprawiało, że nie był już pewien, co widzi, sięgnął więc do kieszeni po cieką latarkę. Przekręcił włącznik, skierował strumień światła bezpośrednio na wzory pokrywające podłogę. Rysunek był ciemny, niemal nie do odróżnienia od drewna. Ozdobne węzły, linie to grubsze, to cieńsze, splatające się w pewnym miejscu w przedziwne kłębowisko. Śledził je w kierunku przeciwnym do biegu wskazówek zegara; po drodze odkrył kolejnych pięć zawitych splotów, znajdujących się w tej samej odległości od siebie. Mniej więcej między pierwszym a ostatnim piętrzyły się cegły z wybitych drzwi.

McLean wyjął notes i zaczął sporządzać pobieżny szkic znaków, notując jednocześnie ich położenie w stosunku do ciała martwej dziewczyny. Odpowiadały idealnie jej rozpostartym ramionom i nogom, jej głowie oraz centralnemu punktowi między nogami.

– Można już zabrać ciało, inspektorze?

Omali nie wyskoczył ze skóry. Odwrócił się gwałtownie. Bob Gburek spoglądał na niego pytająco przez dziurę w ścianie.

– Gdzie jest fotograf? Poproś go tutaj na chwilę.

Bob wycofał się z otworu, wykrzyknął coś, czego McLean nie zrozumiał. W następnej chwili

przez dziurę głowę wetknął niski facet, którego McLean nie rozpoznał. Uznał, że to kolejny nowy pracownik ekipy technicznej.

– Cześć. To ty robiłeś zdjęcia zwłok?

– Tak jest.

Akcent z Glasgow, nuta zniecierpliwienia w głosie. Nic dziwnego, McLean też nie miał ochoty przebywać w tym miejscu ani przez chwilę dłużej niż to konieczne.

– Fotografowałeś te znaki na podłodze? – Pokazał mu najbliższy, ale za odpowiedź wystarczył zdziwiony wyraz twarzy fotografa.

– Nic tu nie widzę.

Młody funkcjonariusz przykucnął, żeby się przyjrzeć. Biła od niego silna woń mydła, McLean zdał sobie sprawę z tego, że to był pierwszy zapach, jaki poczuł, odkąd wszedł do tego pomieszczenia.

– No, w każdym razie, czy mógłbyś obfotografować podłogę dookoła zwłok? Mniej więcej w tej odległości od ściany. Na zbliżeniu, jeżeli można prosić.

Fotograf skinął głową, zerknął nerwowo na bezgłośną postać pośrodku pokoju, po czym zabrał się do roboty. Flesz aparatu pykał i wizgał po każdym wyładowaniu, mikroblyskawice rozjaśniały pomieszczenie. McLean wyprostował się, skupiając teraz uwagę na ścianach. Od ciała zmarłej, tak jak wskazywały znaki... Przez cienką lateksową rękawiczkę poczuł chłód tynku, zastukał w powierzchnię. Odpowiedział mu odgłos głuchy, płaski, wskazujący na lity mur. Przesunął się nieco, zastukał znowu – głucho. Spojrzał przez ramię i ustawił się dokładnie na linii głowy martwej dziewczyny. Tym razem stukanie zabrzmiało dźwięczniej, jakby stłumionym echem.

Zastukał raz jeszcze. W świetle błyskającego flesza i dziwnym blasku lamp łukowych wyglądało to tak, jakby ściana ugięła się pod naciskiem. Docisnął dłoń na płasko, pchnął lekko i poczuł, że ściana ustępuje pod jego palcami. Rozległ się trzask i szeroki na jakieś trzydzieści centymetrów panel skruszył się, spadł na podłogę. Za nim kryła się mała wnęka, w której coś połyskiwało.

McLean znów sięgnął po latarkę, włączył ją i skierował strumień światła do wnęki. Na poskładanym kawałku pergaminu leżała cienka srebrna obrączka, a za nią, w szklanym słoju, jak okaz w szkolnym laboratorium biologicznym, znajdowało się ludzkie serce.

– Czy tylko na to nas stać?

Bob Gburek przechadzał się po klitce, dawnym schowku na miotły i środki czystości, bo jedynie takie pomieszczenie operacyjne zdołali uzyskać. Cóż, przynajmniej było tam okno, chociaż wychodziło na tyły innej części budynku. Milczący McLean stał pośrodku, naprzeciwko tablicy, na której jeszcze widniały zapiski z poprzedniego śledztwa, dawno zapomniane nazwiska, obwiedzione kółkami, a potem skreślane. Ktokolwiek je zapisał, niestety zabrał ze sobą markery i gąbkę. Były jeszcze dwa małe stoliki, jeden wepchnięty pod okno, drugi ustawiony pośrodku, ale krzesła dawno gdzieś przepadły.

– Mnie się podoba.

McLean zaszurał butem po wykładzinie i oparł się o jedyny kaloryfer. Był gorący, chociaż na zewnątrz panowała spiekota. Sięgnął, żeby przestawić termostat na zero, ale tandetna plastikowa gałka została mu w dłoni.

– Mogliby jednak trochę zadbać o wyposażenie.

Rozległo się pukanie do drzwi. McLean otworzył je i ujrzał młodego człowieka, objuczonego kilkoma pudłami. Opierał je o kolano, bo właśnie próbował sięgnąć do klamki. Miał na sobie nowiutki garnitur, jego buty lśniły od pasty i polerowania. McLean spojrział w okrągłą, starannie ogoloną twarz o świeżej cerze; krótko przycięte ryże włosy przypominały zarost nastolatka.

– Inspektor McLean? Czy to pan?

McLean skinął głową, jednocześnie złapał górne pudło, bo w przeciwnym razie spadłoby na podłogę, a jego zawartość by się rozsypała.

– Detektyw posterunkowy MacBride – przedstawił się młodzieniec. – Pani komendant McIntyre przysłała mnie, żebym pomógł panu w dochodzeniu.

– A w którym?

– Hm... Tego nie powiedziała. Tylko tyle, że przyda się panu ktoś do pomocy.

– Dobra, nie stój w drzwiach, bo ciepło ucieka.

McLean postawił pudło na bliższym z dwóch stolików, a MacBride wszedł do środka, umieścił drugie pudło obok i rozejrzał się po pokoju.

– Nie ma krzesel – zauważył.

– Jak widać, jej wysokość przydzieliła nam detektywa o sokolim wzroku – stwierdził Bob Gburek. – Nic nie umknie jego uwadze.

– Nie zwracaj uwagi na sierżanta Lairda. To z czystej zawiści, dlatego że jesteś od niego dużo

młodszy – powiedział McLean.

- Eee... Tak jest – odparł niepewnie MacBride.
- Masz jakoś na imię, detektywie posterunkowy?
- No... Stuart, szefie.
- Doskonale, Stuart. Witaj w zespole. Obaj cię witamy.

Młody spoglądał to na McLeana, to na Boba Gburka. Miał przy tym lekko rozchylone usta.

– No, nie stój tak tutaj i nie gap się, jakby ci dupę oskalpowali. Rusz się i znajdź dla nas jakieś krzesła.

Bob Gburek niemal wygonił konstabla z pokoju, zamknął za nim drzwi i wybuchnął śmiechem.

– Nie czepiaj się go za bardzo, Bob. Na nikogo innego raczej nie możemy liczyć. Poza tym on jest dobry, a przynajmniej powinien być dobry. Pierwszy ze swojego rocznika, który uzyskał stopień detektywa.

McLean otworzył jedno z pudeł, wyciągnął gruby plik teczek, po czym rozłożył je na stole: kradzieże z ostatnich pięciu lat, sprawy niewykryci. Westchnął ciężko, bo ostatnie, o czym marzył, to przekopywanie się przez rozwlekłe raporty, dotyczące skradzionych dóbr, których nikt nigdy nie odnajdzie. Spojrzał na nadgarstek i zorientował się, że rano zapomniał nakręcić zegarka. Zsunął go i dotknął palcami maleńkiego mosiężnego pokrętła.

– Która godzina, Bob?

– Wpół do trzeciej. Czy wiesz, że są już zegarki na baterie? Normalnie nie trzeba ich wcale nakręcać. Kumaszą? Mógłbyś sobie taki kupić.

– To zegarek po ojcu – wyjaśnił McLean. Ustawił wskazówki, po czym sprawdził, czy ma w kieszeni komórkę. Owszem, była, tyle że nie działała. – Przypadkiem nie naszła cię chętna na spacer do kostnicy miejskiej?

Bob Gburek pokręcił przecząco głową. McLean doskonale wiedział, jak starszy kolega reaguje na widok krajanego nieboszczyka.

– Dobra, nieważne. W takim razie ty i ten młody zajmijcie się raportami dotyczącymi włamań. Może uda wam się znaleźć jakąś prawidłowość, którą przeoczyły dziesiątki detektywów przed wami. Ja tymczasem spotkam się z doktorem w sprawie zmumifikowanych zwłok.

Schodził w stronę Cowgate, oddychając gęstym i ciepłym popołudniowym powietrzem. Mokra od potu koszula kleiła mu się do pleców, marzył o chłodnym powiewie. W tym mieście zazwyczaj można liczyć na rześki wietrzyk, za sprawą którego upał staje się znośny, jednak od kilku dni powietrze ani drgnęło. W kanionie ulicy ocienionej wysokimi budynkami po obu stronach żar zalegał bez ruchu, bez życia. Odetchnął z ulgą, kiedy pchnąwszy drzwi kostnicy, znalazł się w błogim chłodzie klimatyzowanego pomieszczenia.

Angus Cadwallader był już przygotowany i czekał na McLeana w sali sekcyjnej. Spojrzał na inspektora taksującym wzrokiem.

– Gorąco na dworze?

McLean skinął głową.

– Jak w piecu. Przygotowałeś wszystko?

– Znaczy co? Aha, jasne. – Cadwallader odwrócił się i zawołał do asystentki: – Tracy, jesteś gotowa?

Niska, pulchna kobieta o pogodnym wyglądzie podniosła wzrok znad zagraconego kontuaru, znajdującego się w dalszej części pomieszczenia, odsunęła krzesło i wstała. Miała na sobie zieloną medyczną bluzę i spodnie; idąc ku nim, naciągnęła na dłonie lateksowe rękawiczki. Stół do sekcji zakrywała biała płachta, wyrzuszona pośrodku, tam gdzie spoczywały zwłoki w oczekiwaniu, by wyjawić swoje sekrety.

– W porządku, w takim razie bierzmy się do roboty.

Cadwallader sięgnął do kieszeni, z której wyjął mały słoiczek. McLean rozpoznał ten preparat, miksturę kremu do skóry i kamfory, która miała stłumić zapach rozkładu. Patolog zerknął na pojemniczek, potem na inspektora, pociągnął nosem i wsadził słoiczek z powrotem do kieszeni.

– Coś mi się zdaje, że dzisiaj nie będzie potrzebny.

W toku swojej kariery McLean uczestniczył w aż nazbyt wielu autopsjach. Nie można powiedzieć, żeby do nich przywykł, ale przynajmniej nie mdliło go tak jak dawniej. Ze wszystkich ofiar zabójstw, nieszczęśliwych wypadków i zwykłych pechowców, którzy wylądowali na tym stole, zmumifikowane ciało młodej dziewczyny było najdziwniejsze choćby dlatego, że zostało dużo wcześniej rozcięte. Mimo to Cadwallader uważnie badał każdy centymetr drobnego ciała, rzucając uwagi do zwisającego nad nim mikrofonu. Kiedy wreszcie upewnił się, że z żadnego fragmentu skóry nie dowie się niczego więcej o przyczynie śmierci, przeszedł do etapu procedury, którego McLean szczególnie nie cierpiał. Wysoki wizg piły do kości, jakby ktoś skrobał paznokciami po tablicy, niezmiennie przyprawiał go o ciarki. Trwało to o wiele za długo, a kończyło się paskudnym odgłosem czaszki rozłupywanej niczym skorupa jajka.

– Ciekawe. Najwyraźniej usunięto mózg. Chodź, Tony. Popatrz.

McLean wziął się w garść i podszedł bliżej. Martwa dziewczyna z otwartą głową wyglądała na jeszcze drobniejszą, jeszcze młodszą. Wnętrze jej czaszki było matowe, pokryte zaschniętą krwią i odpryskami kości od piłowania. Poza tym było zupełnie puste.

– Nie mógł się rozłożyć?

– Zdecydowanie nie. Biorąc pod uwagę stan reszty ciała, spodziewałbym się, że nieco by się skurczył, natomiast tu go po prostu nie ma. Prawdopodobnie mózg został usunięty przez nos, tak jak robili to starożytni Egipcjanie.

– I gdzie się podział?

– Cóż, mamy tu te preparaty z piwnicy, jednak żaden z nich nie wygląda mi na mózg.

Cadwallader wskazał ręką w stronę stalowego wózka, na którym stały cztery słoje. McLean rozpoznał serce, które widział poprzedniego dnia, natomiast nawet nie próbował zgadywać, czym są pozostałe organy. Kolejne dwa słoiki znajdowały się w białych plastikowych pojemnikach, chodziło o to, żeby ich zaschnięta zawartość nie wydostała się na zewnątrz przez szerokie pęknięcia w szkle. Wszystkie sześć zostało znalezionych w ukrytych zagłębieniach, rozmieszczonych symetrycznie wokół ciała martwej dziewczyny. W każdym zagłębieniu natrafiono też na przedmioty – kolejne elementy układanki, dla których trzeba będzie znaleźć odpowiednie miejsce w całości.

– A co z tymi stłuczonymi słoikami? – spytał McLean. Zajrzał do jednego z nich, na dnie widniały resztki jakiejś brązowoszarej masy. – To mógłby być mózg, nie?

– Trudno powiedzieć, biorąc pod uwagę ich stan. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że w jednym z nich są nerki, a w drugim płuco. Dowiemy się po zrobieniu kilku badań. W każdym razie ten słoik ma nieodpowiedni kształt do przechowywania mózgu. Właściwie powinieneś już o tym wiedzieć, Tony. To i owo ci powiedziałem. Poza tym, jeżeli rzeczywiście wydobyto go przez nos, musiał zostać mocno uszkodzony. Co znaczy, że nie byłoby sensu umieszczać go w formalinie.

– To mnie przekonuje. A jak dawno temu umarła?

– Trudne pytanie. Pomimo usunięcia organów w ogóle nie powinno dojść do mumifikacji, bo w tym mieście panuje zbyt duża wilgoć nawet w zamkniętej piwnicy. A przynajmniej powinny pożreć ją szczury. Tymczasem tkanki zachowały się znakomicie, w dodatku za cholere nie mogę znaleźć ani śladu chemikaliów, których normalnie by się do tego celu użyło. Tracy przeprowadzi inne testy, poza tym wyślemy próbkę do zbadania metodą węgla aktywnego C-14 i może to coś da. Natomiast sądząc po jej sukience, powiedziałbym, że co najmniej pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu. Dokładniej ustalić tego nie potrafisz, to już ty sam będziesz musiał zrobić.

McLean podniósł do światła cienki materiał rozłożony na wózku obok słoików z preparatami. Dolną część pokrywały brązowe plamy; delikatna koronka wokół kołnierza i przy rękawach zwietrzała, stała się krucha i delikatna jak pajęczyna. To był elegancki strój, raczej sukienka koktajlowa niż coś, co młoda dziewczyna nosiłaby na co dzień. Wyblakłe kwieciste wzory wyglądały raczej tandetnie. Odwrócił sukienkę, zobaczył dwie równo i starannie przyszyte łatki w miejscu, gdzie zapewne rąbek sukienki się przetaił. Żadnej metki producenta. To była sukienka biednej dziewczyny, która starała się wyglądać szykownie. Kiedy jednak znów spojrzął na jej zbezczeszczone, skatowane ciało, zdał sobie sprawę z tego, że absolutnie nic więcej o niej nie wie.

Drzwi kamienicy jak zwykle stały otworem – ktoś zablokował je kamieniem. W pierwszym odruchu McLean chciał zamknąć je porządnie, ale potem uznał, że nie warto. Ostatnie, czego by sobie życzył, to pobudka o czwartej rano, kiedy studenci z mieszkania na parterze będą wracać z imprezy i naciskać na guziki wszystkich domofonów, aż wreszcie ktoś ich wpuści. W tym upale włóczędzy nie będą szukać miejsca do spania, a zresztą nawet tuzin kloszardów nie sprawi, żeby na klatce schodowej śmierdziało gorzej niż obecnie. Zmarszczył nos, bo terytorium znaczyły tu niezliczone kocury, aż wreszcie doszedł po kamiennych stopniach na ostatnie piętro.

Automatyczna sekretarka migiała światelkiem, sygnalizując jedną pozostawioną wiadomość. Zamknął drzwi, rzucił klucze na stół i uruchomił przyciskiem taśmę. Wysłuchał wiadomości od byłego współlokatora, który proponował, żeby spotkali się w pubie. Gdyby nie migające światelko, równie dobrze mogłaby to być stara wiadomość, bo Phil dzwonił co najmniej dwa razy w tygodniu z takim samym zaproszeniem. Od czasu do czasu McLean je przyjmował. Uśmiechając się na myśl o przyjacielu, przeszedł do sypialni i zanim udał się do łazienki, zrzucił ubranie, które cisnął do kosza na brudy. Długi, chłodny prysznic zmył z niego pot całego dnia, nie mógł jednak splukać wspomnień. Kiedy się wycierał, przyszło mu do głowy, że może warto by pobiegać albo wybrać się do siłowni. Włożył więc T-shirt i luźne bawełniane spodnie. Godzina intensywnej ćwiczeń mogłaby mu dobrze zrobić, ale nie miał ochoty na towarzystwo spiętych i zmotywowanych pracowników korporacji. Wolałby znaleźć się wśród ludzi zrelaksowanych, rozbawionych – nawet gdyby miał im się tylko przyglądać z zewnątrz. Może ten pomysł z pubem nie był wcale taki głupi? Włożył wygodne buty, zgarnął klucze, zatrzasnął drzwi i ruszył do knajpy. Newington Arms nie był najlepszym w Edynburgu miejscem na wypicie drinka; chyba nikt by tak o tym pubie nie powiedział. Miał natomiast niewątpliwą zaletę, mianowicie znajdował się najbliżej domu. McLean pchnął wahadłowe drzwi, już przygotowując się na uderzenie hałasu oraz kłęby dymu, ale w tej samej chwili przypomniał sobie, że przecież mędrzy z parlamentu w Holyrood zakazali palenia. Natomiast owszem, zgiełk okazał się wprost ogłuszający. Zapewne zakażą go przy następnej okazji, pomyślał i kupił sobie pintę deucharsa, po czym rozejrzał się, szukając znajomych twarzy.

– Hej, Tony! Tutaj.

Okrzyk rozległ się między jednym a drugim kawalkiem z szafy grającej, akurat wtedy, gdy zgiełk nieco przycichł. McLean zlokalizował jego źródło – grupkę ludzi stoczonych wokół dużego stołu przy oknie wychodzącym na ulicę. Na oko głównie doktorantki. Pośród nich królował

i machał na niego ręką profesor Philip Jenkins, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Co tam u ciebie, Phil? Widzę, że zabrałeś ze sobą cały harem.

Studentki przesunęły się, zrobiły miejsce i McLean usiadł.

– Nie mogę narzekać – stwierdził Phil, najwyraźniej zadowolony z siebie. – Laboratorium właśnie dostało granty na kolejne trzy lata. W dodatku podwyższone.

– W takim razie gratuluję.

McLean uniósł kufel w żartobliwym geście, a potem popijał piwo, podczas gdy stary kumpel opowiadał różne historyjki z dziedziny biologii molekularnej oraz niuansów sztuki uzyskiwania prywatnych sponsorów. Wkrótce rozmowa zeszała na niezobowiązujące tematy, ot, takie zwykłe knajpiane pogawędki. Włączał się od czasu do czasu, przede wszystkim jednak dobrze mu było z tym, że siedział i słuchał. Na krótko mógł zapomnieć o całym tym szaleństwie, o potwornych okaleczeniach, o pracy. Inaczej niż wtedy, gdy wychodził z kolegami po służbie – bo oni odreagowywali w zgoła odmienny sposób, zazwyczaj prowadzący do tego, że nazajutrz potężnie bolała go głowa.

– Powiedz, Tony, co ostatnio porabiasz? Dawno cię tu nie widzieliśmy.

McLean spojrzał w stronę dziewczyny, która wypowiedziała te słowa. Był niemal pewien, że ma ona na imię Rachel i że pisze doktorat z dziedziny, której nazwy raczej na pewno nie byłby w stanie powtórzyć. Była trochę w typie tej nowej policjantki z ekipy technicznej, która pracowała na miejscu włamania i przy morderstwie Smythe'a, tylko z dziesięć lat młodsza i miała płomiennorude włosy, przy czym włosy te swą jaskrawość zawdzięczały w takim samym stopniu chemii co naturze. Takie to czasy, że nawet dziewczyny na studiach doktoranckich stały się młode, pomyślał.

– No, no, Rachel. Nie wolno ci zadawać inspektorowi pytań, bo może cię aresztować. Może nawet zakuje cię w kajdanki. – Phil zaśmiał się do swojego kufła tym złośliwym śmieszkciem, który McLean aż za dobrze pamiętał sprzed lat, kiedy mieszkali jeszcze razem.

– Faktycznie, nie wolno mi opowiadać o bieżących śledztwach – odparł McLean. – Zresztą, nie chciałybyś o nich usłyszeć. Uwierz mi.

– Takie straszne?

– Tego bym nie powiedział... W niczym nie przypominają CSI czy innych bzdur, które pokazują w telewizji. Najczęściej nudziarstwo, zwykle włamania i tak zwana przestępczość uliczna. Nawiasem mówiąc, nie za wiele tego. W dodatku coraz mniej mam wspólnego z prawdziwymi śledztwami. W tym tkwi problem, kiedy człowieka awansują na inspektora. Teraz moje obowiązki bardziej polegają na zarządzaniu ludźmi i sprawami takimi, jak nadgodziny czy budżety. Krótko mówiąc, oczekuje się ode mnie szerszego spojrzenia. Przypuszczam, że nie różni się to tak bardzo od pracy Phila.

McLean właściwie nie był pewien, dlaczego skłamał, choćby nawet było to kłamstwo tylko w połowie. Rzeczywiście, odkąd został inspektorem, mniej spraw prowadził osobiście, natomiast obarczono go ponad miarę papierkową robotą – to się akurat zgadzało. Może po prostu nie miał ochoty wspominać ciężkiego dnia, przecież wybrał się do pubu, żeby wyrwać się z kręgu zawodowych problemów. Tak czy inaczej, to pytanie zepsuło mu humor, bo jakoś nie potrafił zapomnieć wyrazu martwych oczu Barnaby’ego Smythe’a ani grymasu cierpienia na twarzy dziewczyny.

– Walnę sobie jeszcze jedno – oznajmił.

Uniósł kufel i omal się nie oblał, bo wypił resztę piwa duszkiem, trochę za szybko. Zdawało mu się, że nikt nie zwrócił na to uwagi. Przecisnął się do baru.

– Jak na policjanta kiepsko kłamiesz, inspektorze McLean.

McLean odwrócił się. Zdał sobie sprawę, że stoją bardzo blisko siebie, ale nawet gdyby chciał, z powodu tłoku nie mógłby się cofnąć. Była mniej więcej jego wzrostu, miała słomkowego koloru blond włosy przycięte na pazia – o ile dobrze zapamiętał nazwę tego rodzaju fryzury. Tak jakby kojarzył skądś jej twarz, ale dziewczyna była starsza niż większość studentek ze świty Phila.

– Przepraszam, skąd my się znamy?

Wyraz zaskoczenia, który musiał pojawić się na jego twarzy, rozbawił ją, w oczach pojawiły się figlarne błyski.

– Nie pamiętasz? Jestem Jenny. Jenny Spiers. Siostra Rachel. Poznaliśmy się na urodzinach Phila.

Ach, tak, tamta impreza, przypomniał sobie McLean. Gromada studentów, zalewających się w trupa tanim winem i Phil panujący pośród nich niczym jakiś współczesny król Artur. Przyniósł wtedy butelkę naprawdę bardzo drogiej whisky, napił się kwaśnego wińska, od którego drętwiały zęby, a potem szybko się urwał. To było tego samego dnia, kiedy dostali wezwanie do kamienicy czynszowej w Leith. Sąsiedzi skarżyli się, że czyjś pies robi straszny hałas. Cóż, trudno było mu się dziwić, skoro jego właścicielka zmarła w łóżku co najmniej dwa tygodnie wcześniej. Ze staruszki nie zostało wiele i nie za bardzo już nadawało się do jedzenia. Całkiem możliwe, że się poznali właśnie na tamtej imprezie, ale on niestety pamiętał raczej obgryzione kości i strzępki ciała gnijące na zapadniętym materacu.

– Jasne, Jenny. Wybacz, byłem myślami gdzie indziej.

– Mam wrażenie, że dalej jesteś gdzie indziej, przy czym nie jest to nazbyt miłe miejsce. Kiepski dzień w pracy?

– I to jak. – McLean pochwyił spojrzenie barmana i przywołał go gestem dłoni. – Mogę ci postawić drinka, Jenny?

Zerknęła ponad barem w stronę grupki studentów, zaśmiewających się z żarcików profesora.

Pomyślał, że zapewne w tej chwili przyszło jej do głowy, gdzie właściwie powinna się znajdować, ale mimo to powiedziała:

– Chętnie, białe wino. Dzięki.

Podczas gdy barman nalewał wino, zapadło między nimi niezręczne milczenie. McLean próbował dyskretnie przyjrzeć się swojej rozmówczyni. Była starsza od siostry, znacznie starsza. Pośród blond włosów zauważył siwe pasemka, których najwyraźniej nie chciało jej się maskować. Co więcej, chyba nie zrobiła makijażu, a ubrana była zwyczajnie, może nawet trochę staromodnie. W każdym razie z pewnością nie wystroiła się na rozrywkowy wieczór – w przeciwieństwie do zgrai, z którą przyszła. Krótko mówiąc, ani w barwach wojennych, ani na ścieżce wojennej.

– Powiadasz, że Rachel to twoja siostra? – odezwał się, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, jak głupio to brzmi.

– Owszem, tatuś i mamusia mieli małą wpadkę. – Jenny uśmiechnęła się, wyraźnie chodziło o rodzinny żart. – Chyba przypadła do gustu twojemu przyjacielowi. Podobno mieszkaliście kiedyś razem?

– Tak, w trakcie studiów. Dawno temu wspólnie wynajmowaliśmy mieszkanie.

McLean wypił łyk piwa, Jenny umoczyła usta w winie.

– Czy muszę wyciągać z ciebie tę historię na siłę, po kawałku?

– Nie... Ja... Wybacz. Mam zły dzień i tyle. Chyba nie za bardzo nadaję się do towarzystwa.

– Czy ja wiem? – Jenny wskazała głową studencką hałastkę, podjudzającą profesora, żeby wyglądał się jeszcze bardziej. – Biorąc pod uwagę, jaki mam wybór, wolę pogadać z kimś ponurym i introwertycznym.

– Ja... – McLean już chciał odpowiedzieć, ale przerwało mu coś, do czego nie przywykł – dziwne odczucie wibracji w kieszeni spodni.

Wyciągnął telefon akurat w samą porę, żeby zorientować się, że nie zdążył odebrać. Dzwonili ze szpitala. Przez krótką chwilę patrzył na ekran, nie wiedząc, co robić dalej, tymczasem wyświetlacz zbladł, a następnie zgasł. Naciskanie przycisków dało tyle, że coś błysnęło raz i drugi, a potem komórka zupełnie już padła. Wetknął ją z powrotem do kieszeni.

– Słuchaj, pożyczylabyś mi na chwilę telefon? Muszę oddzwonić, a w moim ciągle siada bateria.

– Ktoś posyła w twoim kierunku negatywne myśli. Wysysa w ten sposób życie ze wszystkich elektronicznych urządzeń, na których chciałbyś polegać. – Jenny grzebała przez chwilę w torebce, po czym podała mu płaskiego smartfona. – Tak w każdym razie powiedziałaby mój były, tyle że to świr. Dzwonili z pracy?

– Nie, ze szpitala. Chodzi o moją babcię.

McLean jakimś cudem zdołał wywołać na ekran klawiaturę i wystukał z pamięci numer, bo wcześniej wiele razy dzwonił do szpitala. Znał wszystkie pielęgniarki, więc potrwało tylko chwilę, nim dotarł do właściwej osoby, a rozmowa zajęła zaledwie kilka sekund.

– Muszę uciekać. – McLean oddał telefon i odwrócił się w stronę drzwi. Jenny chciała pójść za nim, ale ją powstrzymał. – Nic się nie stało. Wszystko w porządku. Po prostu powinienem pojechać, żeby się z nią zobaczyć. Zostań i dopij wino. Powiedz Philowi, że odezwę się do niego w weekend.

McLean przepchał się przez rozbawiony tłum, nie oglądając się za siebie. Bądź co bądź, naprawdę był kiepskim kłamcą.

Tył głowy kierowcy przechodził tłustymi wałkami w kark i właściwie szyi nie było. Wyglądało to dziwnie, jakby się roztopiał. McLean siedział za nim, spoglądał na cielesną masę przez otwór w zagłówku i wyteżał siłę woli, by zmusić taksówkarza do milczenia. Za oknami migały pomarańczowe latarnie; przemieszczali się całkiem prędko przez opustoszałe o północy miasto w stronę szpitala. Widok rozmywał się w kroplach niespodziewanego deszczu, przywianego znad Morza Północnego. Jeszcze czuł na skórze dotyk kropel, które spadły na niego w drodze do postoju, miał mokre włosy i za sprawą deszczu jego kurtka zaczęła pachnąć starym psem.

– Pod główną recepcją czy na ostry dyżur? – odezwał się taksówkarz.

Mówił z wyraźnie angielskim akcentem, pewnie z południowego Londynu, czyli znalazł się daleko od ojczyzny. Słowa te wyrwały McLeana z czegoś, co może nawet i było snem. Mrużąc oczy, zerknął przez zamazaną przednią szybę na lśniąca od deszczu bryłę szpitalnego budynku.

– Może być tutaj.

Podał kierowcy banknot dziesięciofuntowy i powiedział, że reszty nie trzeba. Idąc przez prawie pusty parking, zdołał się rozbudzić, jednak od tego nie rozjaśniło mu się w głowie. Czy rzeczywiście dopiero wczoraj był u babci i na nią patrzył? A teraz odeszła. Powinno mu być smutno, więc jak to się dzieje, że zupełnie nic nie czuje?

W korytarzu na tyłach szpitala z reguły panowała cisza, ale o tej porze nocy odniósł wrażenie, jakby budynek został ewakuowany. McLean nagle zdał sobie sprawę, że idzie na palcach, stara się robić jak najmniej hałasu, oddycha płytko i nasłuchuje najłżejszego choćby odgłosu. Gdyby usłyszał, że ktoś nadchodzi, kto wie, czy nie próbowałby schować się w jakimś zagłębieniu albo schowku. Prawie odetchnął z ulgą, kiedy niezauważony przez nikogo doszedł do sali, gdzie leżeli chorzy pogrążeni w śpiączce. Właściwie nie był pewien, dlaczego tak bardzo nie chciał nikogo spotkać. Pchnął drzwi i wszedł do środka.

Od pozostałych pacjentów łóżko jego babci oddzielały cienkie zasłony – czegoś takiego jeszcze nie widział. Nadal rozlegały się dobrze znajome szумы i piknięcia, bo przecież urządzenia musiały utrzymywać przy życiu wszystkich innych, jednak w pomieszczeniu zapanowała inna

atmosfera. A może działo się to tylko w jego głowie? Wziął głęboki wdech, jakby miał zanurkować w oceanie, odsunął kotarę i zbliżył się do łóżka.

Pielęgniarki zabrały już wszystkie druty i rurki, cała maszynyria też zniknęła, została tylko babcia. Leżała nieruchomo, zapadnięte oczy zakryte były powiekami jak we śnie, ręce spoczywały na kołdrze, starannie ułożone, dłonie złączone ze sobą. Po raz pierwszy od osiemnastu miesięcy nieco przypominała osobę, którą pamiętał.

– Okropnie mi przykro.

McLean odwrócił się i zobaczył stojącą w drzwiach pielęgniarkę. Tę samą, z którą ostatnio rozmawiał. Opiekowała się jego babcią przez wszystkie te długie miesiące. Jeannie, uprzytomnił sobie. Jeannie Robertson.

– Dziękuję pani – odpowiedział – ale przecież było wiadomo, że nigdy nie odzyska przytomności. Naprawdę, tak jest lepiej. – Z powrotem stanął twarzą do martwej kobiety leżącej na łóżku i po raz pierwszy zobaczył babcię, tę tak bliską osobę, której jakby nie widział przez osiemnaście miesięcy. – Jeżeli będę to sobie powtarzał, może w końcu w to uwierzę.

Wczesny ranek, tłum policjantów, stojący przy wejściu do jednej z większych sal. McLean zajrzał do środka, ujrzał chaos, jaki zawsze powstaje u zarania wszystkich poważniejszych dochodzeń. Biała tablica, biegnąca wzdłuż całej ściany, na której ktoś nabazgrał czarnym flamastrem „Barnaby Smythe”. Ubrani po cywilnemu policjanci ustawiali stoły i krzesła, komputerowiec uwijał się, podłączając sprzęt. Duguida nigdzie nie było widać.

– Będzie pan nam pomagał, szefie?

McLean rozejrzał się. Postawny mężczyzna o szerokich ramionach przepychał się przez tłum; dźwigał duże kartonowe pudło, zapieczętowane czarno-żółtą taśmą. Andrew Houseman, dla przyjaciół Wielki Andy, był kompetentnym gliniarzem i o wiele lepszym zawodnikiem rugby. Gdyby nie poważna kontuzja u zarania kariery, prawdopodobnie grałby teraz w reprezentacji kraju, a nie biegał na posyłki z rozkazu Dagwooda. Wielki Andy może nie był tytanem intelektu, ale był przynajmniej rzetelnym policjantem i McLean go lubił.

– Nie – odpowiedział. – To nie moja sprawa. Zresztą, wiesz, jak bardzo Dagwood lubi, kiedy mu pomagam.

– Przecież był pan na miejscu zbrodni. Em pana widziała.

– Co za Em?

– Emma. Emma Baird. Wie pan, ta nowa w ekipie technicznej. Wysoka, czarne włosy na sztorc, zawsze wygląda tak, jakby przesadziła z makijażem.

– Ach, to tak? Kręcicie ze sobą, co? Nie chcę ci psuć nastroju, ale przypominam, że jesteś żonaty.

– Nie, nie. Skąd. Po prostu dopiero co u nich byłem, żeby zgarnąć dowody znalezione na miejscu zbrodni. Powiedziała, że widziała pana w domu Smythe'a i że pewnie pan złapie tego pojebańca, który go zabił.

– Tak po prostu? Własnoręcznie?

– No, nie. Na pewno miała na myśli nas wszystkich.

– Na pewno, Andy. Ale nie, to dochodzenie będzie musiało obejść się bez mojego udziału. Sprawą kieruje Dagwood. Zresztą, mam własne morderstwo do rozwikłania.

– Owszem, słyszałem. Słaba historia.

McLean miał coś odpowiedzieć, ale w tej chwili na korytarzu rozległ się tubalny głos, zapowiadający nadejście nadinspektora. Nie zamierzał dać się wciągnąć w kolejne śledztwo, zwłaszcza że kierował nim Charles Duguid.

– Muszę lecieć, Andy. Pani komendant chce mnie zobaczyć, wolałbym, żeby nie czekała zbyt długo.

Przemknął za potężną postacią kolegi i ruszył do własnego pokoju dochodzeniowego. Skonstatował przy tym, że na oko połowa policjantów z rewiru stawiała się na poranną odprawę w sprawie zamordowana Barnaby’ego Smythe’a. Świetnie, że siły zostały rozdzielone po równo, pomyślał z ironią. Jednak z drugiej strony, Smythe był naprawdę kimś ważnym, zasłużonym dla miasta, wybitnym członkiem społeczności. Natomiast braku dziewczyny zaszlachtowanej w piwnicy nikt nie zauważył przez ponad pięćdziesiąt lat.

W przydzielonym im pomieszczeniu McLean nie zastał Boba Gburka – za wcześnie jak na niego, uznał. Natomiast posterunkowy MacBride pogrążony był w pracy. Skądś udało mu się wytrzasnąć trzy krzesła i, co zakrawało już na rodzaj cudu, nawet laptopa. Spojrzał znad ekranu na inspektora.

– Co słyca? – spytał go McLean. Zdjął marynarkę i powiesił ją na drzwiach. Od kaloryfera pod oknem nadal bił żar.

– Przejrzałem już prawie wszystkie raporty o włamaniach, szefie. Wydaje mi się, że może na coś wpadłem.

McLean przysunął sobie biurowe krzesło. Brakowało mu jednego kółka.

– Dawaj.

– A więc tak, szefie: o ile jestem w stanie stwierdzić, to wszystko dotyczy pospolitych złodziejasków. Żadni tam fachowcy, zwykle ćpuny, które kradną, bo potrzebują na działkę. – MacBride uniósł okazały plik raportów, piętrzący się po jednej stronie biurka, po czym włożył je z powrotem do kartonu. – Za to te... Nie wiem, wydaje mi się, że może być między nimi jakiś związek. – Podniósł dużo cieńszy plik papierów, może cztery albo pięć raportów. Rzucił je z powrotem na stół.

– Mów dalej.

– W każdym przypadku to robota profesjonalistów. Bez żadnego wybijania okien cegłą, w ogóle bez śladów włamania. Za każdym razem włączony był system alarmowy, ale nie zadziałał, złodzieje jakoś go ominęli i we wszystkich wypadkach zabrali tylko niewielkie przedmioty o dużej wartości.

– Trzymane w sejfie?

– Nie, szefie. Włamanie do sejfu to nowość. Istnieje jednak jeszcze jeden wspólny czynnik. We wszystkich przypadkach właściciel domu dopiero co umarł.

– A po jakim czasie od śmierci doszło do włamania?

– W ciągu miesiąca. – MacBride zamilkł, jakby zastanawiał się, czy ma coś powiedzieć, czy nie, po czym jednak dodał: – Chociaż nie, jedno z włamań nastąpiło osiem tygodni po śmierci

starszej pani. Natomiast wszystkich czterech pozostałych dokonano w ciągu dwóch tygodni. Włamanie z zeszłego tygodnia miało miejsce w tym samym dniu co pogrzeb. Muszę jeszcze ustalić daty pogrzebów w pozostałych przypadkach, bo tych danych nie ma w dokumentacji.

– Informacja o pogrzebie pani Douglas ukazała się w gazecie, a przedtem pojawił się nekrolog – zauważył McLean. Sięgnął po raporty.

Najpierw sprawdził nazwiska i daty. Najnowsze ze sprawozdań, jeżeli nie liczyć sprawy właśnie przez nich badanej, pochodziło sprzed prawie roku, najstarsze sprzed pięciu lat. Teoretycznie były to sprawy otwarte, nierozwiązane. Wszystkie dochodzenia odbywały się pod czujnym okiem jego ulubionego nadinspektora. McLean wątpił, czy Duguid pamięta choćby nazwiska poszkodowanych.

– Spróbujmy, może uda się coś wyłowić. – Oddał papiery MacBride’owi. – Dowiedz się czegoś więcej o tych ludziach. Czy były nekrologi? Czy informacja o pogrzebie pojawiła się w gazecie i jeżeli tak, to w jakiej?

– A co z alarmami? – spytał MacBride. – Nie tak łatwo obejść niektóre z tych zabezpieczeń...

– Słusznie. Musimy też sprawdzić, gdzie zmarli ci ludzie. U siebie, w szpitalu, w domu starców?

– Sądzi pan, że złodziej poważyłby się na coś takiego? Nie za duże ryzyko?

– Nie, jeżeli ofiara umrze przed dokonaniem kradzieży, to nikomu się nie wygada. Przemysł to. Jeżeli taki złodziej pracuje w domu opieki, jest w stanie oczarować staruszków, zdobyć ich zaufanie, naciągnąć na zwierzenia. Jak już dowie się od nich wszystkiego, co mu potrzebne, pozostaje mu tylko czekać na ich śmierć.

Mówiąc te słowa, McLean zdał sobie sprawę, że to mocno naciągana koncepcja. Na szczęście negatywne myśli odeгнаło stukanie do drzwi. Obejrzał się. Do pokoju wetknęła głowę nieumundurowana policjantka – w taki sposób, jakby nie chciała angażować się w ich sprawy ani o milimetr dalej, niż to konieczne, bo w przeciwnym razie mógłby ją spotkać jakiś straszliwy i okrutny los.

– Witam. Przypuszczałam, że tutaj pana znajdę. Pani komendant prosi na słówko.

Policjantka natychmiast zniknęła, a McLean wstał z ociąganiem i sięgnął po wygniecioną marynarkę.

– Najpierw zajmijmy się sprawą nekrologów. Znajdź najbliższych krewnych. Osoby przesłuchiwane po zgłoszeniu kradzieży. Dowiedz się, na ile znani byli ci ludzie. Kiedy pojawi się Bob Gburek, możecie obaj skontaktować się ze wszystkimi wymienionymi w tych aktach i sprawdzić, czy pojawią się jakieś wspólne motywy. Ja tymczasem muszę iść i dowiedzieć się, czego życzy sobie jej wysokość. Aha, Stuart...

Młody detektyw zerknął na niego pytająco znad otwartej teczki z papierami.

– Dobra robota.

McLean pamiętał Jayne McIntyre z czasów, kiedy była zwykłą policjantką, tyle że bardzo ambitną i szybko wspinającą się po stopniach kariery. Już wtedy potrafiła zadbać o tych, którzy znajdowali się niżej w policyjnej hierarchii. Co prawda, niespecjalnie zadawała się z równymi sobie, wołała obracać się wśród inspektorów i komisarzy, ale jeżeli ktoś potrzebował jej pomocy, to mógł na nią liczyć. Pnąc się w górę, lepiej mieć na względzie spotykanych po drodze ludzi choćby na wypadek, gdyby przyszło zetknąć się z nimi po drodze w dół, jednak McLean nie przypuszczał, żeby akurat w tym przypadku zaistniała taka sytuacja. McIntyre była szanowana niemal przez wszystkich, a poza tym spodziewał się, że zawędruje jeszcze wyżej, na sam szczyt. Była zaledwie o osiem lat od niego starsza, a oto już znalazła się na stanowisku komendanta i kierowała komisariatem. Raczej nie ulegało wątpliwości, że za półtora roku, gdy zastępca naczelnika przejdzie na emeryturę, właśnie ona zajmie jego miejsce. Umiała działać politycznie, wiedziała, jak robić wrażenie na odpowiednich i ważnych ludziach, nie uciekając się jednocześnie do wciskania kitu. Być może właśnie na tym polegał jej szczególnie talent i McLean wcale nie miał jej za złe sukcesów, jakie dzięki swoim zdolnościom odniosła. Zależało mu tylko na tym, żeby jej się nie narazić.

– O, Tony. Dzięki, że wpadłeś.

McLean zapukał w uchylone drzwi, a McIntyre wstała. Zły znak. Wyszła zza biurka i podała mu dłoń. Była niska, może nawet i minimalnego wzrostu wymaganego w policji. Długie kasztanowate włosy były spięte z tyłu w kok. Dostrzegł siwe pasemka na skroniach. Podkład nałożony wokół oczu nie był w stanie ukryć zmarszczek, gdy się uśmiechała.

– Przepraszam, że nie przyszedłem wcześniej. Miałem ciężką noc.

– Nieważne. Siadaj. – Wskazała dłonią jeden z foteli, stojących w kącie obszernego gabinetu, po czym usadowiła się w drugim. – Nadinspektor Duguid rozmawiał ze mną dzisiaj rano. Podobno węszył eś na miejscu zbrodni, a to on prowadzi sprawę Barnaby'ego Smythe'a.

Aha, więc o to chodzi, pomyślał. Zawiść zawodowa to jednak coś wyjątkowo paskudnego. Głośno stwierdził:

– Znajdowałem się w pobliżu, zobaczyłem naszych ludzi i pomyślałem, że może będę w stanie pomóc. Wychowałem się w tej okolicy, znam sporo tamtejszych mieszkańców. Nadinspektor Duguid sam mnie zaprosił, żebym obejrzał miejsce zbrodni.

McIntyre kiwała głową, słuchając McLeana, ale nie spuszczała oczu z jego twarzy. Wobec niej zawsze czuł się jak uczeń, który coś zbroił, i w konsekwencji wylądował „na dywaniku” u dyrektorki szkoły. Nagle wstała bez słowa, przeszła przez pokój do niskiej półki, na której stał ekspres.

– Kawy?

McLean skinął głową. McIntyre zajęła się odmierzaniem zmielonej kawy i nasypywaniem jej do filtra, a potem skupiła się na tym, żeby nalać dokładnie tyle wody, ile potrzeba na dwie filiżanki. Włączyła urządzenie.

– Barnaby Smythe był bardzo ważną postacią w tym mieście. Zamordowanie go wzbudziło niepokój różnych wysoko postawionych osób. Pojawiły się naciski z góry, nawet z Holyrood. Potrzebujemy w tej sprawie wyników, i to szybko.

– Jestem pewien, że nadinspektor Duguid zajmie się śledztwem z należytą starannością. Jak zauważyłem, dostał do dyspozycji liczny zespół.

– To nie wystarczy. Potrzebuję do tej sprawy najlepszych detektywów i chcę, żeby współpracowali ze sobą.

Cienka strużka brązowego płynu zaczęła skapywać do szklanego dzbanka.

– Chce pani, żebym przyłączył się do dochodzenia?

McIntyre podeszła do biurka, wzięła do ręki kartonową teczkę, otworzyła ją i położyła na stole. Wewnątrz znajdowało się kilkadziesiąt powiększonych do dużego formatu kolorowych zdjęć, zrobionych w bibliotece Barnaby’ego Smythe’a. Zbliżenia na rozciętą klatkę piersiową, rozwarłe martwe oczy i poplamiony krwią podbródek, na ręce oparte o podłokietniki, wnętrzności wypływające na kolana. Dobrze, że jestem przed śniadaniem, przemknęło przez myśl McLeanowi.

– Już to widziałem – powiedział.

McIntyre nalała kawę do dwóch kubków, przyniosła je i usiadła w fotelu.

– Miał osiemdziesiąt cztery lata. Przez całe długie życie Barnaby Smythe zrobił dla tego miasta znacznie więcej niż ktokolwiek, kto przychodziłby mi na myśl, a jednak ten stary człowiek został zamordowany, i to w taki sposób. Musisz się dowiedzieć, kto to zrobił i dlaczego. Ponadto musisz to zrobić, zanim sprawcy wyprują flaki z kolejnego prominentnego obywatela.

– A Duguid? Cieszy się, że będę w jego zespole?

McLean upił łyk kawy i natychmiast tego pożałował. Była gorąca, ale słaba i smakowała brudną ścierką.

– Nie, Tony. Zachwycony nie jest, ale to doświadczony śledczy. Nie pozwoli, żeby osobista niechęć stanowiła przeszkodę w tak ważnym dochodzeniu. Mam nadzieję, że mogę liczyć na taką samą postawę z twojej strony.

– Oczywiście.

McIntyre uśmiechnęła się.

– Dobrze. A jak pozostałe sprawy?

– Posterunkowy MacBride wysnuł interesującą teorię dotyczącą włamania. Dopatruje się powiązań z kilkoma innymi, podobnymi sprawami na przestrzeni ostatnich pięciu lat. Wciąż nie

wiemy, kim była zamordowana dziewczyna, natomiast doktor uważa, że nastąpiło to pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu. Niedługo jestem umówiony na spotkanie z przedsiębiorcą budowlanym.

McLean dość pobieżnie zdał sprawozdanie z prowadzonych przez siebie czynności, bo zorientował się od razu, że pani komendant nie bardzo go słucha. To było tylko na pokaz, udawała, że się interesuje, że darzy go przyjaźnią. Co skądinąd stanowiło dobry znak – nasuwało bowiem wniosek, iż jej zdaniem McLean może okazać się przydatny. Nie był jednak na tyle głupi, by umknął mu pewien istotny podtekst. Otóż uświadomił sobie, że przydzielono go do dochodzenia w sprawie Smythe'a dlatego, iż może zakończyć ono się niepowodzeniem. Może dojść do kolejnych zabójstw prominentnych obywateli albo do czegoś jeszcze gorszego, a morderca nie zostanie wykryty. Naturalnie, nie będzie to wina pani komendant McIntyre ani też nadinspektora Duguida. Nie, nie. Zaproszono go do współdziałania w dochodzeniu po to, żeby zwierzchnictwo policji Lothian i Borders miało kogo rzucić na pożarcie lwom, gdyby okazało się to niezbędne.

Już po dwóch minutach McLean uznał, że Tommy McAllister mu się nie podoba.

Nie poprawił mu humoru fakt, że kiedy po rozmowie z panią McIntyre wrócił do przydzielonego mu pomieszczenia, nie zastał podległych mu funkcjonariuszy. Szukał ich przez dobrych kilkanaście minut, zanim przypomniał sobie, że polecił im przesłuchać ofiary wcześniejszych kradzieży. W komisariacie prawie nie było już mundurowych i McLean pomyślał, że pewnie wszyscy zostali zaprzężeni do śledztwa w sprawie Smythe'a. W końcu udało mu się namierzyć młodą posterunkową i przekonać ją, że powinna znaleźć mu wolny samochód. Stała teraz w kącie pokoju, najwyraźniej zdenerwowana i trzymała notes w dłoni. Będzie musiała popracować nad sobą, ocenił, jeżeli chce awansować.

– Napije się pan kawy, inspektorze? Może pani? – McAllister rozpiął się w wielkim fotelu z czarnej skóry. Bez wątpienia uważał, że mebel dodaje mu powagi. Miał na sobie garnitur, ale marynarkę rzucił na stojącą obok szafkę z segregatorami. Bawełniana tkanina pogniecionej koszuli pociemniała pod pachami od potu. Poluzowany krawat i podwinięte rękawy miały sprawiać wrażenie, że jest zrelaksowany, jednak McLean od razu dostrzegł, że facet nerwowo strzela oczami, wylamuje palce i porusza stopą.

– Nie, dziękuję – odpowiedział. – My tylko na chwilę. Chciałbym wyjaśnić kilka faktów dotyczących budynku w Sighthill. Czy zastaliśmy pana Murdo?

McAllister skrzywił się na dźwięk tego nazwiska. Przynął się do biurka i nacisnął guzik staromodnego interkomu.

– Janette, przywołaj Donniego. – Podniósł palec znad przycisku i spojrzał na McLeana. Szybkim ruchem głowy wskazał okno za sobą. – Chyba kręci się gdzieś po dziedzińcu.

Stłumiony przez szkło głos kobiety wezwał przez megafon Donniego Murdo, aby stawiał się w gabinecie dyrektora. McLean rozejrzał się wokół. Nie dostrzegł niczego, co wzbudziłoby jego zainteresowanie. Tyle że pokój był zagracony, pełen segregatorów. Do ścian przychepione były jakieś rachunki, faktury, żółte karteczki i inne śmieci. W jednym z rogów zgromadzono statywy, laty oraz inny sprzęt mierniczy.

– Kto jest właścicielem tamtego domu? – spytał McLean.

– Ja. Kupiłem za gotówkę.

McAllister oparł się wygodnie, na jego ogorzałej twarzy pojawiło się coś na kształt dumy.

– Od jak dawna jest pan właścicielem?

– Jakies półtora roku, coś koło tego. Janette będzie wiedziała dokładnie. Opracowanie

projektu zajęło sporo czasu. Dawniej można było zrobić, co się tylko chciało, wystarczyło znać właściwych ludzi. Teraz trzeba przebrnąć przez komitety, odwoływać się i tak dalej. Prawdę mówiąc, coraz trudniej z tego wyżyć, o ile rozumie pan, co mam na myśli.

– Na pewno jakoś pan sobie radzi, panie McAllister.

– Dziękuję, panie inspektorze.

– Od kogo kupił pan dom?

– Od takiego tam nowego banku, który dopiero co otworzył placówkę w mieście. Nazywa się Mid-Eastern Finance. Szczerze powiem, że nie wiem, dlaczego chcieli go sprzedać. Pewnie uznali, że najwyższy czas zacząć wycofywać się z nieruchomości i zainwestować w giełdę. Mam wrażenie, że nie był zbyt długo w ich posiadaniu. – McAllister pochylił się i dźgnął palcem przycisk interkomu. – Janette, wygrzeb papiery dotyczące Farquhar House – rzucił i rozłączył się, nie czekając na odpowiedź.

– W pana przypadku to pewna zmiana branży, prawda, panie McAllister? – odezwał się McLean. – To znaczy renowacja starego domu. Dorobił się pan przede wszystkim na budowie tych kubików w Bonnyrigg i Lasswade. Zgadza się?

– Dokładnie. To były dobre czasy. Problem polega na tym, że coraz trudniej o tani grunt pod deweloperkę. Ludzie narzekają, że niszczymy krajobraz, a potem płaczą, że ceny mieszkań idą w górę. Nie można mieć wszystkiego naraz, czyż nie, inspektorze? Albo budujemy nowe domy, albo zaczyna brakować mieszkań i ceny szybko rosną.

– A nie lepiej zburzyć stary budynek i w jego miejsce postawić apartamentowiec?

McAllister już miał odpowiedzieć, ale przerwało mu pukanie do drzwi, które po chwili się otwarły. Pojawił się w nich mężczyzna o naburmuszonym wyrazie twarzy.

– Wchodzi, Donnie, siadaj. Śmiało.

McAllister nie wstał. Donnie Murdo zerknął na McLeana, potem na posterunkową. Miał wyraz twarzy osoby schwytanej w pułapkę. Najwyraźniej nieraz już miał do czynienia z przedstawicielami prawa. Stał ze skulonymi ramionami, na lekko ugiętych nogach, jakby w każdej chwili był gotów rzucić się do ucieczki. Miał wielkie dłonie, a na knykciach widniały zblakłe tatuaże LOVE oraz HATE.

– Tutaj są te papiery, Tommy.

Sekretarka, którą widzieli wcześniej, bo przyprowadziła ich do gabinetu szefa, weszła bez pukania i położyła na biurku grubą teczkę. Zmierzyła McLeana spojrzeniem, w którym kryła się milcząca dezaprobatą, po czym opuściła gabinet, zamykając drzwi za sobą.

– To pan pracował w starym domu w Sighthill przedwczoraj wieczorem?

McLean zauważył, że budowlaniec szybko rzucił okiem w stronę przełożonego. McAllister siedział teraz prosto, z ramionami opartymi o blat biurka. Niemal niedostrzegalnie skinął głową.

– Zgadza się. Byłem tam, a jakże – przyznał Mudro.

– A co dokładnie pan robił?

– No, żeśmy sprząтали piwnicę, tak? Potem tam się urządził siłownię.

– „My”? Przedtem zeznał pan, że był sam w momencie odkrycia zamurowanego pomieszczenia.

– A, tak. Zgadza się. Faktycznie. Znaczący się, przedtem chłopaki mi pomagali, ale żem posłał ich do domu. Ja zostałem, żeby posprzątać. Niby skończyć robotę, by od rana można było tynkować.

– To musiał być wstrząsający widok, kiedy znalazł pan ciało?

– Za dużo to żem nie widział, no nie? Rękę tylko, nic więcej. Od razu żem zadzwonił do pana McAllistera.

Donnie przyjrzał się uważnie swoim dłoniom, zaczął wydłubywać brud spod paznokcia, nie podnosząc oczu, aby nie nawiązać wzrokowego kontaktu z nikim w pokoju.

– Dobrze, dziękujemy panu. Bardzo nam pan pomógł.

McLean wstał, podał dłoń robotnikowi, który w pierwszym momencie sprawiał wrażenie zaskoczonego, ale potem ją uściśnił.

– Czy mogę zrobić dla pana coś jeszcze, inspektorze? – spytał McAllister.

– Owszem, chciałbym prosić o odpis dokumentów. Muszę dowiedzieć się, kto był właścicielem domu, kiedy zamordowano tę nieszczęsną dziewczynę.

– Wszystko tu jest. Niech pan je sobie weźmie. – McAllister wskazał dłonią teczkę, nie wstając z fotela. – Gdzie jak gdzie, ale w rękach policji chyba będą bezpieczne.

McLean sięgnął po teczkę, po czym podał ją swojej asystentce. Miał już wyjść, kiedy McAllister wstał.

– Inspektorze?

– Tak, panie McAllister?

– Nie wie pan przypadkiem, kiedy będziemy mogli podjąć prace? Chodzi o to, że i bez tego wszystkiego mieliśmy spore opóźnienie. Każdy dzień zwłoki oznacza dla mnie koszty, a na razie nic tam nie możemy robić.

– Pogadam z technicznymi i zobaczę, co da się załatwić. Myślę, że jeszcze dzień, może dwa. Nie więcej.

Wyszli na zewnątrz. McLean wsiadł do samochodu po stronie pasażera, pozostawiając miejsce za kierownicą posterunkowej. Nie odezwał się ani słowem, dopóki nie ruszyli.

– Wiesz, że on kłamie?

– McAllister?

– Nie. To znaczy, tak, on też. To deweloper, a oni zawsze mają coś do ukrycia. Obecnie chodzi

mu przede wszystkim o to, żeby podjąć przerwane roboty budowlane. Nie, mówię o tym robolu. O Donniem Murdo. Może i był tam w piwnicy, ale nie pracował. W każdym razie nie młotkiem. Moim zdaniem, sądząc po jego dłoniach, już od lat nie wykonywał żadnej cięższej pracy.

– To znaczy, że ciało znalazł ktoś inny? Ale kto?

– Tego nie wiem. Zresztą, prawdopodobnie nie ma to nic wspólnego ze sprawą zabójstwa. – McLean otworzył teczkę i zaczął przerzucać dokumenty. – Mimo to zamierzam się tego dowiedzieć.

– Mógłbyś, kurwa, mieć włączony telefon?

Na czole nadinspektora Duguida pulsowała gruba żyła. Zły znak. McLean sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął komórkę i otworzył klapy. Ekran był ciemny. Nacisnął włącznik, ale nic to nie dało.

– Znowu padła bateria. Już trzecia w tym miesiącu.

– Wiesz co? Zostałeś inspektorem. Dysponujesz własnym budżetem, więc spraw sobie nowy telefon. Może na przykład taki, który by działał? Albo po prostu krótkofalówkę.

McLean wetknął nieszczęsny złom z powrotem do kieszeni, po czym wręczył teczkę posterunkowej Alison Kydd, dziewczynie, która towarzyszyła mu podczas przesłuchania McAllistera, a teraz wyglądała, jakby chciała czym prędzej uciec, byle tylko nie dać się wciągnąć w spór między dwoma starszymi oficerami.

– Możesz zanieść te dokumenty posterunkowemu MacBride'owi? Powiedz mu, żeby ich nie zgubił. Nie chcę mieć żadnych zobowiązań wobec Tommy'ego McAllistera.

– A co to za jeden, ten McAllister? Jeszcze jeden z tych twoich szemranych kapusiów? – Duguid spojrzął nad ramieniem McLeana na odchodzącą policjantkę, bez wątplenia zdziwiony, dlaczego i ona nie należy do jego ekipy.

– Jest właścicielem domu, w którym znaleźli tamtą dziewczynę.

– A, tak. Ten twój mord rytualny. Słyszałem o tym. No, nie powiem, to na pewno w twoim guście. Bogacze i ich popaprane perwersje.

McLean zignorował zaczepkę. Słyszał już gorsze rzeczy.

– Dlaczego pan mnie wzywał, szefie?

– Chodzi o sprawę Smythe'a. Z tego, co wiem, Jayne już z tobą rozmawiała, więc sam wiesz, jakie to ważne, żebyśmy mogli wykazać się wynikami, i to szybko.

McLean skinął głową, odnotowując przy okazji, w jak poufały sposób Duguid wyraża się o pani komendant.

– Sekcja odbędzie się za pół godziny i chcę, żebyś w niej uczestniczył. Chcę też, żebyś był na bieżąco ze wszystkimi szczegółami technicznymi i ogólnie zabrał się za problem z tej strony. Ja będę przesłuchiwał ludzi i spróbuję zorientować się, kto mógłby mieć coś za złe takiemu

człowiekowi, jak Smythe.

To było całkiem rozsądne podzielenie śledztwa. McLean zdążył pogodzić się z tym, że będzie musiał pracować z Duguidem, i uznał, że pewnie najlepiej będzie, jeżeli wszystko sobie wyjaśnią.

– Chciałem coś powiedzieć, szefie. Co do tamtego wieczoru. Przepraszam, że wtykałem nos w nie swoje sprawy. Dobrze wiem, że to pańskie dochodzenie.

– To nie jest wyścig, McLean. Zamordowano człowieka, a morderca jest na wolności. W tej chwili tylko to się liczy. Jeśli dostarczysz wyniki, to będę cię tolerował w moim zespole. Jasne?

I to by było na tyle, jeśli chodzi o zadziernięcie porozumienia. McLean skinął głową. Wołał nic nie mówić, nie ufał bowiem sobie w takim stopniu, by mieć pewność, że zabrzmią słowa, które Duguid powinien usłyszeć, a nie te, które McLeanowi pierwsze przychodziły do głowy.

– W porządku. To teraz jedź do prosektorium i dowiedz się, co wykombinował twój kumpel, doktor zombie Cadwallader.

*

Doktor Sharp spojrzała znad biurka na McLeana. Powitała go uśmiechem, po czym na powrót zajęła się komputerowym pasjensem.

– Jeszcze nie wrócił, będziesz musiał zaczekać – powiedziała zwrócona twarzą do ekranu komputera.

McLean nie miał nic przeciwko temu. Doprawdy, rozcinanie zwłok nie stanowiło zbyt atrakcyjnej rozrywki, natomiast w tym budynku była klimatyzacja i do tego działała.

– Masz już jakieś dane w sprawie tej dziewczyny, Tracy? – spytał.

Lekarka westchnęła, kliknęła jeszcze coś w komputerze i odwróciła się w stronę przepelnionej tacki z dokumentami.

– Zobaczmy... – Przerzucała papiery, aż w końcu wyciągnęła pojedynczą kartkę. – Jest. Hm. Ponad pięćdziesiąt lat temu.

– Tylko tyle?

– Nie całkiem. Została zabita mniej niż trzysta lat temu, ale ponieważ nastąpiło to przed ponad pięćdziesięciu laty, obawiam się, że nie możemy bliżej określić terminu zgonu. W każdym razie nie metodą z użyciem C-14.

– A dlaczego?

– Dzięki Amerykanom. Testy nuklearne zaczęli w latach czterdziestych, ale tak na dobre rozkręcili je w latach pięćdziesiątych. Z tego powodu atmosfera jest przesycona nienaturalnymi izotopami. Pełno ich jest w tobie, we mnie i w każdym, kto żył po roku mniej więcej tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym. Po śmierci rozpoczyna się rozpad izotopów. Możemy posłużyć się tą metodą, by stwierdzić, jak dawno nastąpił zgon, ale jedynie od połowy lat

sześćdziesiątych. A ta twoja biedaczka przestała żyć wcześniej.

– Rozumiem – skłamał McLean. – A co z mumifikacją? Czego użyto?

Tracy znów pogrzebała w teczce i znalazła kolejną kartkę.

– Niczego.

– Jak to niczego?

– Nie użyto żadnej substancji, którą bylibyśmy w stanie wykryć. Sądząc po wynikach testów, ta dziewczyna po prostu wyszła. Wiesz, Tony, to się może zdarzyć. Zwłaszcza jeżeli wykrwawiła się i usunięto inne płyny cieleśne.

McLean obejrzał się, bo do pomieszczenia właśnie wszedł Cadwallader. Podał asystentce torebkę z brązowego papieru.

– Awokado i bekon. Pastrami już nie mieli.

Tracy wzięła od niego torebkę, zajrzała do środka i wyciągnęła długą brązową bagietkę. Na ten widok McLeanowi zaburczało w brzuchu. Zdał sobie sprawę, że od rana niczego nie jadł, ale zaraz potem przypomniał sobie, po co tam przyszedł i uznał, że jednak postąpił słusznie.

– Jesteś tu z konkretnej przyczyny czy tylko wpadłeś, żeby pogadać z moją asystentką? – Cadwallader zdjął marynarkę i powiesił ją na drzwiach, po czym włożył świeży zielony kombinezon.

– Barnaby Smythe. O ile wiem, masz go zbadać dziś po południu.

– Myślałem, że to sprawa Dagwooda.

– Smythe miał wielu wpływowych przyjaciół. Zdaje mi się, że nasza pani komendant gotowa jest zaangażować w to dochodzenie wszystkich oficerów, o ile uzna, że to przyspieszy rozwiązanie zagadki. Naciski z góry.

– Domyślam się. Inaczej nie łączyłaby ciebie i tego starego pierdziela w jeden zespół. Dobra, zobaczmy, czy te szczątki dostarczą nam jakichś danych.

Zwłoki czekały na nich w sali sekcyjnej, ułożone na stalowym stole, okryte lśniąca gumowaną płachtą. McLean ustawił się tak daleko, jak tylko się dało, tymczasem Cadwallader zabrał się do Barnaby'ego Smythe'a, niejako kończąc robotę, zaczęta przez mordercę. Patolog pracował systematycznie, badając najpierw każdy centymetr bladej, jeszcze niezwiotczalej skóry, a następnie ziejącej rany.

– Obiekt w wyjątkowo dobrym stanie zdrowia jak na swój wiek. Tonus mięśni wskazuje, że regularnie ćwiczył. Żadnych otarć czy śladów po więzach, co sugeruje, że nie był skrupowany w czasie, kiedy go rozcinano. To by się zgadzało z sytuacją zastaną na miejscu zbrodni. Brak skaleczeń czy otarć na dłoniach – nie bronił się, nie próbował odepchnąć napastnika.

Następnie Cadwallader zajął się głową i szyją Smythe'a, w szczególności zaś równą raną, ciągnącą się od ucha do ucha.

– Gardło zostało podcięte ostrym nożem, ale prawdopodobnie nie był to lekarski skalpel. Może na przykład nóż introligatorski. Cięcie nastąpiło od lewej do prawej strony. Najprawdopodobniej zabójca znajdował się z tyłu, za siedzącą ofiarą, trzymał narzędzie w prawej ręce i... – Lekarz wykonał dłonią gest, naśladujący poderżnięcie gardła.

– I to była przyczyna śmierci? – spytał McLean, starając się nie wyobrażać sobie, jakie to uczucie, kiedy człowiekowi coś takiego robią.

– Przypuszczalnie. Tyle że po takim urazie dawno nie powinien żyć. – Cadwallader przesunął ręką wzdłuż długiego nacięcia, biegnącego od podbrzusza Smythe'a aż po jego klatkę piersiową.

– Serce mogło pompować krew tylko pod warunkiem, że został poddany znieczuleniu.

– Ale miał otwarte oczy – przypomniał McLean, bo doskonale pamiętał martwe spojrzenie ofiary.

– Och, można znieczulić człowieka całkowicie, nie powodując jednocześnie utraty przytomności, ale nie jest to łatwe. Tak czy inaczej, trudno mi stwierdzić, co mu dali, musimy poczekać na wyniki badań krwi. Pewnie przyjdą pod koniec dnia, najpóźniej jutro rano.

Patolog znowu zajął się zwłokami, zaczął wydobywać kolejne organy. Wyciągał je, badał uważnie, a potem umieszczał w białych plastikowych kubelkach, które nie wyglądały podejrzanie, zupełnie jakby w swoim poprzednim życiu zawierały lody malinowe. Następnie przekazywał je Tracy do zważenia. McLean spoglądał z coraz większym niepokojem na Cadwalladera, który uważnie dokonywał inspekcji różnobarwnych płuc, niemal pieszczotliwie gładząc je palcem okrytym lateksem.

– Ile lat miał Barnaby Smythe? – spytał Cadwallader.

Trzymał w dłoni coś brązowego i oślizgłego. McLean sięgnął po notes, ale w tej chwili przypomniał sobie, że akurat na temat tej sprawy nie ma w nim żadnych informacji.

– Nie mam pojęcia. Stary był. Miał chyba osiemdziesiątkę.

– Tak właśnie sądziłem.

Patolog włożył wątrobę do plastikowego wiaderka, zawiesił ją na ramieniu wagi. Mruknął coś pod nosem. McLean dobrze znał takie mruczenia i wiedział, że ucisk w żołądku, który poczuł, tym razem nie ma nic wspólnego z głodem. Znał aż nazbyt dobrze to paskudne uczucie, kiedy okazuje się, że w jakiejś z pozoru zwykłej sprawie nagle pojawiają się nieprzewidziane komplikacje. Zbyt dużo komplikacji, które Duguid będzie miał mu za złe. Zawsze winny jest ten, kto przekazuje złe wiadomości.

– Ale jest pewien problem? – Właściwie to nie było pytanie.

– Nie, chyba nie. Tak tylko sobie pomyślałem... – Cadwallader machnął ręką, pokrytą warstewką zasychającej krwi. – Szkoda. Facet musiał przez całe życie bardzo się starać, żeby być w takiej kondycji, aż tu zjawia się jakiś skurwysyn i tak go urządza.

W pomieszczeniu operacyjnym, przeznaczonym na śledztwo w sprawie Smythe'a, panował ruch i gwar – McLean zajrzał tam przez otwarte drzwi, wracając z kostnicy. Zobaczył co najmniej tuzin mundurowych, wstukujących informacje w komputery, wykonujących telefony i ogólnie rzecz biorąc, bardzo zajętych. Duguida jednak ani śladu. Dobre i to, pomyślał. Powędrował dalej korytarzem, zatrzymał się tylko na chwilę przy automacie z napojami, mając nadzieję, że zanim znajdzie się w pokoiku operacyjnym przeznaczonym na jego własne śledztwo, zdoła wyszarpnąć z maszyny butelkę zimnej wody. Odkręcił zakrętkę i trzema haustami opróżnił butelkę do połowy. Płyn natychmiast zaciążył mu na żołądku i zabulgotał, gdy inspektor wszedł do pokoju.

Bob Gburek siedział przy jednym ze stołów z głową opartą na dłoniach, czytając gazetę i ogólnie próżnując. Kiedy McLean wszedł, podniósł wzrok. Przyłapany na gorącym uczynku, przysunął w swoją stronę brązową kartonową teczkę.

– Co tam masz, Bob?

– No... – Bob Gburek spojrział na teczkę, po czym przekręcił ją o sto osiemdziesiąt stopni, żeby przeczytać widniejący na niej napis. W końcu ją otworzył, zdawszy sobie sprawę, że spogląda na jej grzbiet. – To jest raport z włamania do domu niejakiej pani Doris Squires. Z czerwca tego roku. Pojechaliśmy tam dzisiaj z chłopakiem, żeby przepytać jej syna. Raczej zdziwił się na nasz widok, ale przypuszczał, że może natrafiliśmy na jakiś ślad biżuterii jego matki.

– A gdzie jest posterunkowy MacBride? – McLean rozejrzał się po pokoju, w którym naprawdę nie było gdzie się schować.

– Posłałem go po pączki. Pewnie zaraz wróci.

– Pączki? W taki upał?

McLean zdjął marynarkę, powiesił ją na haczyku na drzwiach. Dopił resztę wody. Trochę zakręciło mu się w głowie, kiedy zimny płyn spływał jego gardłem. Przypomnił sobie Barnaby'ego Smythe'a. Nóż rozcinający arterię, krew tryskającą na zmasakrowane ciało... Facet wiedział, że jest martwy. Otrząsnął się, próbując odepchnąć od siebie tę myśl. Może jednak dobrze byłoby coś zjeść?

– I co, dowiedziałeś się od pana Squiresa czegoś przydatnego? – spytał.

– Zależy, co kto uważa za przydatne. Raczej spokojnie możemy przyjąć, że pani Squires nikomu nie przekazała kodu alarmu.

– Czyli mieli alarm, tak?

– Pewnie, pewnie. Penstemmin Alarms, zdalnie sterowany. Ostatni krzyk mody i najnowsze osiągnięcie techniki. Tyle że pani Squires była w zasadzie ślepa i trochę niekumata. Nie była w stanie nauczyć się kodu. Zawsze syn ustawiał alarm. Poza tym umarła w domu, we śnie. Włamanie nastąpiło jakieś dwa tygodnie później, w dniu pogrzebu. W gazecie ukazało się zawiadomienie i przedtem nekrolog.

– A więc to nie żaden pielęgniarz. Dobra, w takim razie sprawdzimy systemy alarmowe. Dowiedz się, kto w kwaterze głównej odpowiada za kontakty z nimi.

Bob Gburek niewątpliwie zamierzał poskarżyć się, że został obciążony dodatkową robotą ponad siły, ale przeszkodziło mu w tym energiczne pukanie do drzwi. Zanim którykolwiek z nich zdążył cokolwiek zrobić, klamka poruszyła się, drzwi się otwały, i ich oczom ukazał się ogromny karton zawieszony w powietrzu. Gdy przyjrzeni się uważniej, stwierdzili, że karton jest obdarzony nogami odzianymi w granatowe spodnie. Trzymały go drobne dłonie, zza pudła rozległ się stłumiony kobiecy głos:

– Inspektor McLean?

McLean wyciągnął ręce i przechwycił karton. Zza niego ukazała się poczerwieniała na twarzy posterunkowa Alison Kydd, mocno zmachana.

– Dziękuję, szefie. Obawiam się, że dłużej bym tego nie utrzymała.

– A co to jest, Alison? – spytał Bob Gburek.

Wstał, kiedy McLean ciężko opuścił pudło na stół, przygniatając teczkę poświęconą Doris Squires.

– To od technicznych. Powiedzieli, że zrobili wszystkie testy, ale wynik jest negatywny. To znaczy niczego nie wykryli.

W pudle znajdowały się plastikowe torby, starannie oznaczone i opisane, a w nich przedmioty znalezione we wnękach tajnego pomieszczenia w Farquhar House, prócz tego grube pliki raportów oraz zdjęć z miejsca zbrodni. Wypreparowane organy nadal pozostawały w kostnicy, załączono natomiast ich zdjęcia oraz dokumenty, potwierdzające, że zgodnie z wynikami badań należały do zamordowanej dziewczyny. McLean wziął do ręki pierwszą torbę. Była w niej zwykła złota szpilka do krawata oraz kawałek kartki. Zaczął przerzucać zdjęcia, aż wreszcie znalazł to, które przedstawiało oba przedmioty in-situ, przed pękniętym słoikiem.

– Mamy tu inne fotki z miejsca zbrodni? – spytał.

Bob Gburek poczłapał za stół, pochylił się, po czym wyprostował z trzaskiem stawów i podał mu grubą tekę. Wewnątrz znajdowało się kilkadziesiąt lśniących odbitek w formacie A4.

– Dobrze, teraz spróbujmy ułożyć je po kolei. Posterunkowa... Alison, możesz nam pomóc?

Dziewczyna zmieszala się.

– Właściwie powinnam wrócić do śledztwa w sprawie Smythe'a.

– Tak, a ja powinienem napisać raport z sekcji, coś jednak mówi mi, że to będzie zabawniejsze. Nie przejmuj się, nie pozwolę, żeby Dagwood się nad tobą pastwił.

Wyciągnęli wszystkie torby z pudła, rozłożyli je na podłodze razem z odpowiadającymi im zdjęciami. Tymczasem wrócił MacBride, niosąc okazałych rozmiarów torbę z brązowego papieru, pełną pączków.

W ścianach podziemnej rotundy w Farquhar House było sześć zagłębień, w każdym z nich znajdował się pojemnik z innym zakonserwowanym organem, złożona kartka, na której napisano słowo, oraz jakiś przedmiot. Szpilka do krawata leżała w tym samym zagłębieniu co słoik, zawierający zaschnięte resztki nerek dziewczyny; na kartce napisano Jugs. McLean położył torbę z materiałami dowodowymi na zdjęciu odpowiedniej wnęki. Rozejrzał się za kolejnymi znaleziskami: były to fotografia doskonale zakonserwowanej wątroby, puzderko na pigułki z resztkami aspiryny oraz kartka z napisem Wombat. Dalej pęknięty słoik z płucami oraz ozdobiona klejnotem spinka do mankietu i kartka z napisem Toots; następnie całkiem nieźle zachowana śledziona, japońskie pudełeczko netsuke, zawierające kilka listków zaschniętej na wiór tabaki i kartka podpisana Profesor. Kolejny nieuszkodzony słoik, a w nim jajniki i macica dziewczyny. Towarzyszyły im zwykle druciane okulary oraz słowo Grebo. A na koniec znalezisko z wnęki odpowiadającej głowie dziewczyny – jej serce, kartka z napisem Skipper i cienka papierosnica.

Kiedy wszystko to zostało rozłożone, w pokoju zapadło niezręczne milczenie. Sześć elementów układanki, sześć słoików – z których dwa w tajemniczy sposób uszkodzone. Czy w tym stanie je zamurowano? Celowo, czy za sprawą zbiegu okoliczności?

McLean wstał, chrupnęło mu w kolanach.

– No, dobra. Kto chce zacząć?

Długa pauza, całkiem jak w klasie, kiedy nauczyciel zadaje podstępne pytanie.

– Może to pseudonimy? – odezwała się posterunkowa Kydd, przerywając ciszę niepewnym głosem.

– Dalej – zachęcił ją McLean.

– Cóż, jest ich sześć. Sześć przedmiotów. Sześć narządów, pobranych od ofiary. A więc sześć osób?

McLean wzdrygnął się. Owszem, to nawet miało sens, bo w to zabójstwo było pewnie zamieszanych więcej sprawców. W przeciwnym razie trudno byłoby je ukryć. Ale żeby aż sześć?

– Pewnie masz rację. Musiał istnieć jakiś powód, Bóg jeden wie jaki. Sześć osób wzięło w tym udział, każda z nich musiała być w to zaangażowana, potem każda z nich zostawiła po sobie pamiątkę, a wzięła kawałek tej dziewczyny...

– To... wstrętne. Po co robić coś takiego? – odezwał się Bob.

– Kiedyś plemię Fore z Papui Nowej Gwiney zjadało swoich zmarłych.

Oczy wszystkich zwróciły się na posterunkowego MacBride'a, który poczerwieniały na policzkach, zawstydzony, wypowiedział to zdanie.

– Okej, ale co to ma do rzeczy, chłopie?

– Nie wiem, skąd mam wiedzieć? Wierzyli, że jeżeli człowiek kogoś zje, to przejmuje jego moc. Urządzali sobie uczty pogrzebowe, podczas których każdy dostawał kawałek ciała. Wódz oraz inni ważni goście otrzymywali najlepsze kawałki, a kobiety czy dzieci musiały zadowolić się jelitami i mózgiem.

– Stuart, skąd ty wiesz takie rzeczy? – zainteresował się McLean.

– Było tak: zaczęli umierać od jakiejś tajemniczej choroby. Chyba nazywała się kuru. O mało ich wszystkich nie wykończyła. Uczeni doszli do wniosku, że jeden z przodków zachorował na coś w rodzaju choroby wściekłych krów. Pamiętacie, nie? Choroba Creutzfeldta-Jakoba? Kiedy faceta zjedli, przeszła na całe następne pokolenie.

– No, może, ale co to ma do rzeczy? Jak to się ma do tej biednej zamordowanej dziewczyny? Przecież jej nikt nie zjadł – stwierdził Bob Gburek.

– O rany, jeżeli każdy wziął jakąś część ciała, może chodziło o... nie wiem... żeby przywłaszczyć sobie jej młodość czy coś takiego?

– Naciągane – stwierdził Bob Gburek.

– Przestań się go czepiać, Bob. Póki co, naprawdę nie mamy pojęcia, z jakiego powodu zginęła ta dziewczyna. Jestem otwarty na wszelkie pomysły, choćby najdziwniejsze. Odnoszę jednak wrażenie, że przede wszystkim powinniśmy się skupić na fizycznych dowodach. – McLean wyciągnął z pudła ostatnią torbę. Zawierała sukienkę w kwiatki, złożoną tak starannie, jakby miała za chwilę wylądować na półce w sklepie Marks & Spencer. – Trzeba sprawdzić, czy nie dałoby się jednak określić bliżej czasu jej śmierci.

Detektyw nadinspektor Charles Duguid stał pośrodku pomieszczenia dochodzeniowego i wydawał instrukcje, trochę jak dyrygent, kierujący mocno niemrawą orkiestrą. Śledczy podchodzili do niego z wyraźną niechęcią, by zapytać o zgodę na jakieś zamierzone poczynania lub częściej po to, żeby miał okazję ich wyśmiać. McLean obserwował to przez otwarte drzwi zaledwie przez chwilę, a jednak przyszło mu do głowy, że śledztwo toczyłoby się gładziej, gdyby nie obecność Duguida.

– Nie, szkoda na to czasu. Potrzebuję konkretów, a nie czczych domysłów – mówił właśnie nadinspektor, gdy napotkał wzrok McLeana. – O, inspektorze – zdołał wymówić to słowo tak, że zabrzmiało niczym obelga. – Miło, że pan wpadł. Co do ciebie, posterunkowa Kydd, proszę porozumieć się ze swoim bezpośrednim przełożonym, zanim włączysz się w inne dochodzenia.

McLean już chciał wystąpić w jej obronie, ale dziewczyna skinęła przepaszająco głową

i zniknęła w tłumie mundurowych, pracujących przy komputerach. Aż nazbyt dobrze pamiętał prezentowany przez Duguida styl kierowania ludźmi. Sprowadzał się on głównie do wrzasku i zastraszania. Każdy funkcjonariusz, obdarzony choćby minimalnym zasobem instynktu samozachowawczego, uczył się szybko, żeby kłaść uszy po sobie i nie pyskować.

– No i jak? Jak tam autopsja?

– Najprawdopodobniej zgon nastąpił z powodu utraty krwi na skutek poderżnięcia gardła. Doktor Cadwallader nie jest pewien, ale uważa, że Smythe mógł zostać znieczulony, zanim wypruto z niego wnętrzości. Nie ma śladów walki, nic nie wskazuje na to, by został skrępowany. Biorąc pod uwagę, że żył jeszcze, kiedy usunięto mu śledzionę, musiał być pod działaniem jakichś środków.

– Co by znaczyło, że morderca posiada pewną wiedzę medyczną – zauważył Duguid. – Jakich środków użyto?

– Badania krwi będą najwcześniej dzisiaj wieczorem, szefie. Na razie nic nie wiadomo.

– Przyciśnij ich, bo nie możemy sobie pozwolić na najmniejsze opóźnienie. Naczelnik dzwonił już do mnie dzisiaj nie wiadomo ile razy. Zaraz wiadomość ukaże się w gazetach, a my musimy coś powiedzieć dziennikarzom.

Chodzi o to, aby sprawę rozwiązać jak najprędzej, gdyż szef policji znalazł się w kłopotcie, skonstatował w duchu McLean. Kto by się przejmował faktem, że po ulicach krąży pojeb, który na żywca wycina ludziom wnętrzości, a potem wypcha im własne flaki do ust. Ciekawa hierarchia priorytetów.

– Już się za to biorę, szefie – oznajmił i odwrócił się, żeby odejść.

– A co tu masz? Coś ważnego? – Duguid wskazał palcem torbę, trzymaną w dłoni przez McLeana, a zapytał głosem tonącego, który chwytą się brzytwy.

Do licha, pomyślał McLean, czyżby cały dzień przesłuchań zupełnie nic nie dał? A może nadinspektor po prostu nie wie, od czego zacząć robotę?

– To ze sprawy w Sighthill. Sukienka zamordowanej dziewczyny – odparł i podał nadinspektorowi plastikową torbę, ale Duguid nie wziął jej do ręki. – Chcę ją pokazać komuś, kto może będzie w stanie stwierdzić, kiedy została uszyta. W ten sposób można by nieco przybliżyć czas śmierci.

Przez chwilę McLean sądził, że Duguid na niego nawrzeszczy, całkiem jak za dawnych czasów, kiedy McLean był sierżantem. Twarz nadinspektora poczerwieniała, na czole wystąpiła mu żyła. Jednak opanował się, choć z wyraźnym wysiłkiem.

– Doskonale. Tak, tak. Oczywiście. Tylko nie zapominaj, że to dochodzenie jest najważniejsze.

– Kolistym ruchem ręki wskazał pokój. – Istnieje spora szansa, że twój morderca już nie żyje, a nam potrzebny jest żywy morderca.

Nie pamiętał już, kiedy dokładnie ten sklep się otworzył. Chyba w połowie lat dziewięćdziesiątych. Trudno się było połapać, bo wyglądał dokładnie tak jak wszystkie inne podobne butikiki, czyli te, które były tam od zawsze. Na Clerk Street aż się od nich roilo, ich główną klientelę stanowiły niezamożne studentki, czyli akurat mniej więcej połowa mieszkanki okolicy. Sklepy te specjalizowały się w ciuchach z drugiej ręki, zarówno dla kobiet, jak i mężczyzn. Oferowały szczególnie duży wybór koktajlowych i wieczorowych sukienek, uszytych w czasach, kiedy jakość jeszcze się liczyła. McLean zaglądał tam kilka razy, gdy zależało mu, żeby kupić coś innego niż ciemny garnitur, który odkąd zdał egzamin na detektywa, stał się jego codziennym mundurem. Jednak nic nie wpadło mu w oko. Te ubrania były po prostu zbyt pretensjonalne jak na jego gust. W końcu dogadał się z mało znanym krawcem i zamówił dwa garnitury na miarę. Jeden z nich nadal wisiał w jego szafie, wciąż nienoszony, drugi zaś uległ likwidacji, gdyż McLean odwiedził w nim pewne szczególnie krwawe miejsce zbrodni. Żadna pralnia chemiczna, nawet z tych najdroższych, nie potrafiła nic zaradzić. Odtąd, pogodzony z losem, nosił tanie garnitury z sieciówek.

Dziewczyna przy kasie miała na sobie strój chłopczycy z lat dwudziestych. Spojrzała na niego podejrzliwie – nic dziwnego, pewnie rzadko do tego sklepu zaglądali ludzie w jego wieku, a zwłaszcza facci.

– Zna się pani na tych rzeczach? – McLean ruchem głowy wskazał rzędy wieszaków z ubraniami posegregowanymi według dekad. – To znaczy chodzi mi o styl. Co i kiedy było modne.

– A co konkretnie chce pan wiedzieć? – Sposób mówienia zdradził to, co ukrył strój.

Zdał sobie sprawę, że dziewczyna to raczej dziewczynka. Mogła mieć najwyżej szesnaście lat, a strój ją postarzał.

– Kiedy została uszyta albo przynajmniej, kiedy mogła być noszona. O ile da się to, oczywiście, stwierdzić.

McLean położył plastikową torebkę z sukienką na kontuarze. Dziewczyna ją odwróciła.

– Chce mi pan to wcisnąć? Nie kupujemy takich rzeczy.

McLean wyciągnął legitymację służbową.

– Prowadzę dochodzenie. Sukienka została znaleziona na miejscu zbrodni.

Dziewczyna wypuściła torbę z rąk, jakby zobaczyła w niej żywą zmiję.

– Zawołam mamę. Lepiej się na tym zna.

Dała nura na tyły sklepu i zniknęła za rzędami wieszaków. Po chwili pojawiła się druga kobieta. Starsza, chociaż nie aż tak stara, jak wskazywałby noszony przez nią strój, bo ubranie pochodziło pewnie sprzed stulecia. Poza tym prezentowała się nadzwyczaj znajomo.

– O, Jenny. Jenny Spiers, prawda? Ledwo cię poznałem w tym stroju.

– Nic dziwnego. Wszystkie ubieramy się w stylu naszych ulubionych epok. Musisz kiedyś zobaczyć, jak prezentuje się Rae w hippisowskich ciuchach. A tak przy okazji, co u babci?

McLean rozejrzał się po sklepie. Stroje z różnych epok. Aż trudno sobie wyobrazić, że to wszystko w pocie czoła szyły jakieś biedne robotnice w Bangladeszu i w Indiach, potem mijały lata, aż wreszcie ubrania trafiły tutaj.

– Nie wiedziałem, że tu pracujesz.

Zabrzmiało to dość żałośnie. Wykręcił się od odpowiedzi na pytanie jak jakiś polityk.

– Nawet jestem właścicielką od dziesięciu lat. Jeżeli chodzi o ścisłość, sklep należy do banku, ale... – Jenny urwała, jakby zawstydzona. – Chyba nie przyszedłeś tu ze mną pogadać, prawda, inspektorze?

– Przestań, mów mi „Tony”. Chciałem spytać, czy byłabyś w stanie powiedzieć mi coś o tej sukience.

Znowu podniósł plastikową torbę.

– Mogę ją wyjąć?

McLean skinął głową. Jenny zręcznym ruchem wydobyła sukienkę, rozłożyła ją na szerokim kontuarze, żeby przyjrzeć się dokładnie. Jej palce zatrzymały się i lekko zdrząły, kiedy zobaczyła zblakłe plamy krwi.

– Własna robota – stwierdziła w końcu. – Ręcznie szyta przez kogoś, kto nadzwyczaj sprawnie posługiwał się igłą i nicią. Koronka chyba kupna, ale to trudno powiedzieć. W kroju bardzo podobna do czegoś, co niedawno widziałam. Zaczekaj chwilę. – Oddaliła się w głąb sklepu, przeciskając się między dwoma rzędami owiniętych w plastik sukienek, zwisających z długich stelaży. Zręczne dłonie przebierały między nimi, aż wreszcie trafiły na poszukiwany strój. Przyniosła sukienkę do kontuaru niczym zdobyczne trofeum.

– To jest sukienka koktajlowa z końca lat trzydziestych. Tak się ubierały tuż przed wojną bogate dziewczyny z dobrego towarzystwa. Twoja sukienka jest bardzo podobna, prawie jak kopia. Tyle że materiał jest tańszy i jak mówiłam, została uszyta ręcznie. Zresztą, nie ma żadnej metki, więc także dlatego przypuszczam, że uszył ją ktoś, kogo nie było stać na kupno w sklepie.

– Zatem kiedy mogła powstać i jak długo była używana?

– No cóż, przed tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym rokiem raczej nikt takich rzeczy nie nosił. Panowała moda na dłuższe stroje, poza tym nie ta linia kołnierza. Jest trochę znoszona, z tyłu są bardzo zręcznie załatane ubytki, poza tym materiał jest miejscami odrobinę przetarty. Oceniałabym, że mogła być noszona przez jakieś dziesięć lat. To były czasy wojny, więc trzeba było oszczędzać, naprawiać.

Połowa lat czterdziestych, koniec drugiej wojny światowej. Czy istnieje szansa, żeby

ktokolwiek, mający powiązania z morderstwem, jeszcze żył? – zastanawiał się McLean.

Był w połowie hallu komisariatu, kiedy przywołał go sierżant dyżurny.

– Znasz kolesia, który się nazywa Jonas Carstairs?

McLean skupił się. Owszem, skądś znał to nazwisko.

– W każdym razie ktoś taki dzwonił do ciebie przez cały dzień i zostawiał wiadomości.

– A powiedział, czego chce?

– Chodziło mu o twoją babcię. A właśnie, jak się miewa starsza pani? Jakaś poprawa?

Krew odpłynęła z twarzy McLeana. Trudno było powiedzieć, żeby zapomniał. Raczej odkładał myśl o jej chorobie tak długo do osobnej szuflady pamięci, że jej śmierć nie zdołała się jeszcze w jego umyśle utrwalić. Odpowiedział wymijająco na pytanie zadane przez Jenny Spiers, ale tutaj, w komisariacie, tajemnice miały krótki żywot. Poza tym najszybszy i najprostszy sposób powiadomienia wszystkich o odejściu babci, to wyjawić to dyżurnemu sierżantowi. Wieść rozeszłaby się szybciej tylko wtedy, gdyby zastrzegł, że to tajemnica.

– Zmarła wczoraj wieczorem.

– Jezu, Tony! Co robisz w pracy?!

– Chyba to normalne, nie? Nie odeszła nagle ani nic w tym rodzaju.

Chociaż z drugiej strony, stało się to niespodziewanie, bo tak bardzo przyzwyczyił się do tego, że ona leży w śpiączce, w szpitalu. Wiedział, że prędzej czy później umrze, bywały nawet takie chwile, kiedy miał nadzieję, iż nastąpi to prędzej. Spodziewał się jednak znaku, zapowiedzi, że babcia wkrótce odejdzie. Myślał, że będzie miał czas się do tego przygotować.

– Zostawił jakiś numer? To znaczy, ten Carstairs?

– Tak i prosił, żebyś jak najprędzej oddzwonił. Nie chcę nic mówić, ale może czasami warto by włączyć telefon, no nie?

McLean sięgnął do kieszeni i wyciągnął komórkę. Oczywiście, zdechła.

– Włączam, ale ciągle mi padają baterie.

– To może załatw sobie krótkofalówkę? Dlaczego akurat detektywi nie mogliby się nią posługiwać?

– Gdzieś mam, Pete, ale to jeszcze gorszy złom. Wszystko mi się rozładowuje, chyba że jest cały czas podłączone do ściany, a to generalnie niezbyt mobilna forma komunikacji.

– Dobra, dobra. Załatw sobie w każdym razie coś, co będzie działać, okej?

Sierżant podał McLeanowi kartkę z nazwiskiem i numerem, po czym odblokował bramkę i przy wtórce brzęczyka wpuścił go do komisariatu.

McLean miał do dyspozycji własny gabinet – oto jeden z przywilejów, jakie uzyskuje się po awansie na inspektora. Była to obskurna nora z niewielkim okienkiem, w dodatku zasłoniętym przez okoliczne czyszówki, więc w środku zawsze panował półmrok. Większość dostępnej przestrzeni zajmowały szafki z segregatorami, pozostawionymi przez jego poprzednika, choć jakiś geniusz geometrii zdołał tam wcisnąć również biurko. Na blacie piętrzyły się papiery, a na samym szczycie stosu leżała teczka opatrzona żółtą karteczką z podkreślonym trzy razy napisem „Pilne!”. McLean zignorował je wszystkie i przecisnął się za biurko. Sięgnął po telefon i wystukał cyfry, jednocześnie spoglądając na zegarek. Było już trochę późno jak na godziny urzędowania, ale przecież nie miał pojęcia, czy właściciel telefonu podał mu służbowy numer.

– Carstairs i Weddell, czym mogę służyć? – Wygłoszona gładkim tonem odpowiedź recepcjonisty zbiła McLeana z tropu. Rozpoznał nazwę firmy prawniczej, która zajmowała się sprawami jego babci, i jednocześnie zrobiło mu się trochę głupio, że tej nazwy nie skojarzył.

– Tak. Właśnie... Czy mógłbym rozmawiać z panem Jonaszem Carstairsem, jeśli można prosić? Dziwne, pomyślał. Poprzednio za każdym razem miał do czynienia z jakimś urzędniczną, Stephensem czy Stephensonem. Jakoś tak się nazywał. Zastanawiające, że teraz chciał się z nim skontaktować jeden ze współwłaścicieli firmy we własnej osobie.

– A z kim mam przyjemność?

– McLean. Anthony McLean.

– Oczywiście. Chwileczkę, panie inspektorze. Zaraz pana łączę.

Raz jeszcze McLean złapał się na tym, że ktoś wie o nim więcej, niż on o danej osobie. Był zostawiono mu jednak zbyt wiele czasu na zdziwienie. Muzyka rozbrzmiewała tylko przez króciutką chwilę, zaraz potem rozległo się w telefonie kliknięcie.

– Dzień dobry, panie inspektorze, tu mówi Jonas Carstairs. Jest mi ogromnie przykro z powodu śmierci pańskiej babci. Esther była wspaniałą osobą.

– Wnoszę stąd, że pan ją znał, panie Carstairs?

– Jonas, bardzo proszę, niech pan mi mówi po imieniu. Otóż tak, znałem ją od bardzo dawna. Poznałem ją wiele lat przed tym, zanim zostałem jej pełnomocnikiem. Jednak właśnie w charakterze pełnomocnika chciałbym z panem porozmawiać. Zostałem przez nią wyznaczony jako wykonawca ostatniej woli. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan wpaść do kancelarii, załatwilibyśmy parę formalności.

– Jasne. Może jutro, co? Robi się późno, a prawdę mówiąc, wczoraj w nocy wcale nie spałem.

McLean otarł wolną dłonią oczy, uprzytamniając sobie, jak bardzo jest wykończony.

– Oczywiście. Doskonale rozumiem. Poza tym proszę się nie przejmować, to nic poważnego. Panuję nad wszystkim. Jutro w „Scotsmanie” znajdzie się ogłoszenie, pewnie nekrolog też się ukaże. Esther nie życzyła sobie kościelnego pogrzebu, nastąpi więc tylko krótka ceremonia

pożegnalna w Mortonhall. Dam znać, kiedy uda się znaleźć wolne miejsce. Czy mam zorganizować poczęstunek i tak dalej? Wiem, że oficerowie policji bywają bardzo zajęci.

Do McLeana docierała może połowa z tego, co mówił prawnik. Owszem, myślał już o różnych drobiazgach, które trzeba będzie załatwić po śmierci babci, ale miał na głowie tak wiele innych spraw, że wszystko to zaczęło mu się wymykać. Koktajlowa sukienka w kwiatki, bezpiecznie zapakowana w plastikową torbę na materiał dowodowy, leżała przed nim na biurku i przez krótką chwilę nie mógł sobie przypomnieć, co to za przedmiot i skąd się tu wziął. Powinien coś zjeść i się przespać.

– Tak, będę wdzięczny – powiedział.

Podziękował prawnikowi i umówił się z nim na dziesiątą następnego dnia, po czym odłożył słuchawkę. Popołudniowe słońce zabarwiło ściany czynszówek na ciepły ugier, ale do gabinetu wciąż dostawało się bardzo mało światła. Było tam zbyt duszno. McLean rozparł się w fotelu, żeby się przeciągnąć i oprzeć głowę o chłodną ścianę za plecami. Zamknął oczy tylko na chwilę.

Jest naga, jak ją pan Bóg stworzył, chudzinka o patykowatych ramionach i nogach. Włosy zwisają w beładzie z trupiej głowy, oczy zapadły się głęboko. Gdy idzie ku niemu, wyciąga ręce, sięga w jego stronę, błaga, żeby jej pomógł. A potem potyka się i na jej brzuchu ukazuje się rana, która się rozdziera, od krocza aż po mostek. Wstaje, próbuje pochwycić wypadające na ziemię wnętrzności, zgarnia je ramieniem, drugą rękę dalej wyciąga w jego stronę. Postępuje jeszcze krok do przodu, tym razem wolniej, w jej oczach jest błaganie.

On chce odwrócić wzrok, ale nie jest w stanie tego zrobić. Nawet nie potrafiłby zamknąć oczu. Może tylko patrzeć, jak dziewczyna pada na kolana, jak jej wnętrzności rozplývają się po ziemi, a ona wciąż próbuje je pozbiierać.

– Inspektorze.

W jej głosie brzmi ból. Kiedy słyszy ten głos, jej twarz zaczyna się zmieniać, skóra wysychać, naciągając jeszcze bardziej na kościach policzkowych. Oczy zapadają się jeszcze głębiej w czaszkę, a usta wykrzywają w grymasie, parodii uśmiechu.

– Inspektorze!

Jest blisko, wolną ręką sięga do jego ramienia, dotyka go, potrząsa nim. Druga ręka usiłuje utrzymać wnętrzności gestem samotnej pani domu, która przytula połę szlafroka, gdy otwiera drzwi listonoszowi. Jej szczątki zaczynają wypadać; nerki, wątroba, śledziona.

– Tony, obudź się!

McLean drgnął gwałtownie, uniósł powieki i omal nie spadł z krzesła od nagłego przejścia ze snu do rzeczywistości. Koło niego stała pani komendant McIntyre, spoglądając na niego z irytacją i jednocześnie z troską.

– Co to za spanie w robocie? Nie tego się po tobie spodziewałam, kiedy rekomendowałam cię do awansu.

– Przepraszam, pani komendant. – McLean potrząsnął z lekka głową, próbując pozbyć się wizji wypatroszonej dziewczyny. – To ten upał. Zamknąłem oczy tylko na moment i... – Urwał, kiedy zdał sobie sprawę, że McIntyre próbuje skryć uśmiech.

– Tony, ja tylko żartowałam. Sprawiasz wrażenie wykończonego. Powinieneś iść do domu i wypocząć. – Przysiadła na krawędzi biurka. Owszem, w pokoju było nawet miejsce na drugie krzesło, ale na krzesle tym piętrzyły się kolejne pudła z aktami. – Sierżant Murray powiedział mi o twojej babci. Bardzo mi przykro.

– Tak naprawdę umarła dawno temu.

McLean czuł się trochę niezręcznie, bo komendantka właściwie stała, a on siedział... Tyle że gdyby wstał, sytuacja byłaby jeszcze bardziej niezręczna.

– Może, ale musisz sobie z tym poradzić, Tony. Wiem, że bardzo ci jej brakuje.

– Tak. Wie pani, że moi rodzice zginęli, kiedy miałem cztery lata, prawda? Babcia wychowała mnie, jak gdybym był jej synem. Czyli moim ojcem... To musiało być dla niej ogromnie trudne, kiedy cały czas kręciłem się po domu i przypomiąłem jej o nim.

– A co z tobą? Nie potrafisz sobie wyobrazić, jak to było, ale straciłeś w tak młodym wieku oboje rodziców.

McLean oparł się o biurko, przetaił oczy. To były stare rany, dawno już zabliznione. Nie, nie zamierzał ich rozdrapywać. Tyle że umarła jego babcia i czekało go właśnie rozpamiętywanie przeszłości. Być może również z tego powodu trudno mu przychodziło pogodzić się z jej odejściem. Zobaczył przed sobą plastikową torbę i sukienkę w kwiatki. Nagle poczuł potrzebę, żeby zrobić coś z rękami.

– Udało nam się ustalić czas śmierci o mniej więcej połowę lat czterdziestych.

– Słucham? – McIntyre patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

– Chodzi o tę zamordowaną dziewczynę w domu w Sighthill. Jej sukienka prawdopodobnie była noszona od dziesięciu lat i raczej mało możliwe, żeby powstała przed tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym rokiem. Na podstawie metody C-14 ustalono, że zmarła przed tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym piątym rokiem. Domyślamy się jednak, że nastąpiło to jakoś w okolicy końca drugiej wojny światowej.

– Istnieje więc prawdopodobieństwo, że jej morderca nie żyje.

– Mordercy. Liczba mnoga. Zakładamy, że było ich sześć.

McLean zwięźle podsumował dotychczasowe wyniki dochodzenia. McIntyre siedziała na biurku, słuchając w milczeniu. Nie było tego zbyt wiele.

– A co ze Smythe'em?

To pytanie go zaskoczyło.

– Myśli pani, że jest jakieś powiązanie?

– Nie, nie. Źle się wyraziłam. Chciałam tylko zapytać, jak przebiega śledztwo w sprawie Smythe'a. Radzicie sobie jakoś?

– Z sekcji wynika, że został zamordowany, a prawdopodobną przyczyną śmierci jest utrata krwi. Czekam na raporty toksykologa, ponieważ nie ulega wątpliwości, że użyto przy tym bardzo silnego anestetyku. Już to powinno wystarczyć, żeby zawęzić liczbę podejrzanych. Duguid zajął się przesłuchiowaniem świadków, ale jeszcze nie miałem okazji z nim pogadać.

– Dobrze, dobrze. Wszystko to ogarniemy jutro rano na odprawie. Chciałabym jednak, żebyś skoncentrował się na zabójstwie Smythe'a. W miarę możliwości. Tamta sprawa ci nie ucieknie, zważywszy że minęło ponad sześćdziesiąt lat.

Oczywiście miała rację. Dużo ważniejsze, by dorwać zbrodniarza, który uderzył zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu. Tylko dlatego czuł, że powinien raczej zająć się sprawą nieszczęsnej dziewczyny? Może po prostu dlatego, że nie miał ochoty na współpracę z Dagwoodem? McLean powstrzymał ziewnięcie, starał się nie patrzeć na stos papierów, domagających się jego pilnej uwagi, co zostało trzykrotnie podkreślone. Niestety, te dokumenty bardzo, ale to bardzo niepokojąco przypominały mu formularze dotyczące nadgodzin oraz zamówień, które należało zatwierdzić w zgodzie z budżetem otrzymanym na bieżący kwartał. Nawet sięgnął po w trójnasób pilną teczkę z wierzchu, ale McIntyre go powstrzymała. Dłoń jej była miękka, ale silna.

– Zjeżdżaj do domu, Tony. Połóż się wcześniej i wyśpij porządnie. Jutro rano będzie ci się myślało zupełnie inaczej.

– Czy to polecenie służbowe, pani komendant?

– Tak jest, inspektorze. To rozkaz.

W jego umyśle panuje zamęt. Nie zna tego miasta, nie rozumie chrapliwego języka, którym tutaj mówią. Rzygać mu się chce z samej głębi trzewi. Ciężko mu się oddycha, za każdym razem, gdy chwyta powietrze, płuca palą go w środku. Kiedyś był silny, wie to nawet teraz, chociaż nie pamięta własnego imienia. Potrafił unieść na grzbiecie tuzin snopków z ziarnem, sprzątnąć całe pole w jedno popołudnie. Nawet w taki upał. A teraz grzbiet mu się przygarbił, nogi uginają się i drżą pod nim. Jak do tego doszło, że tak się zestarzał, całkiem jak jego ojciec? Co się stało z jego życiem?

Hałas promieniuje z pobliskiego budynku. Wysokie przeszklone okna zamarzyły, ale widzi barwne cienie ludzi przemieszczających się wewnątrz. Główne drzwi obrotowe poruszają się, wychodzi niepewnym krokiem jakaś młoda kobieta, za nią jeszcze dwie inne. Śmieją się, poszturchują się nawzajem i przerzucają słowami, których on nie rozumie. Są pijane i szczęśliwe, nie widzą go, kiedy spogląda na nie z drugiej strony ulicy. Wysokie obcasy postukują na bruku, kiedy dziewczyny zataczają się, a kuse sukienki opinają się jeszcze wyżej na ich udach, krótkie bluzki ukazują blade ciało.

Udaje mu się pochwycić jakieś strzępki pamięci. Ktoś zrobił coś strasznego. Właśnie tak, blade ciało, rozcięte ostrym nożem. Krew spływająca po brzegach rany. Gniew z powodu dawno popełnionego niesprawiedliwego okrucieństwa. Coś ciemnego, mokrego i oślizgłego wewnątrz... Nie, to nie jego wspomnienia. A może jego, bo czyje? Ale on już nie wie, co jest rzeczywiste.

Powietrze jest ciepłe; gęsty koc wilgoci wisi pod ciemnym niebem. Oranżowe latarnie odbijają się w matowych chmurach, rzucają piekielne światło. Ból w jego głowie pulsuje rytmem serca. Nagle zasycha mu w gardle i wie, co to za budynek, ten tam, po drugiej stronie ulicy.

Hałas uderza go w uszy, gdy otwiera ciężkie drzwi. Ogarnia go zapach nieumytych ciał, dezodorantów, perfum, piwa, jedzenia. Tutaj stoją setki ludzi, inni siedzą, wykrzykują coś do siebie na tyle głośno, żeby słyszano ich pośród muzyki, która przepelnia wszystko.

Patrzy na swoje dłonie, tak dobrze znany widok. Te dłonie budowały ściany, pieściły kobiece ciała, kołysały maleńkie dziecko, którego imię dawno już zapomniał, tak samo jak swoje. Są to dłonie pokryte zaschniętą krwią, która wsiąkła w pory skóry, zastygła pod paznokciami, te dłonie władają nożem, który tak doszczętnie zgwałcił tamtego człowieka. Te ręce szukały pomsty za wszelkie zło uczynione jemu i jego podobnym.

Widzi sztyl, rozumie tę jedną małą rzecz w tym obcym miejscu. Czy choroba tak go osłabiła, czy to straszne obrazy zatłaczające jego umysł, który go tu wlecze? Tak czy inaczej, jest w kibl

skulony nad sedesem. Rzyga. Przynajmniej próbuje, ale wychodzi z tego tylko suche rżęzenie. Ma pusty żołądek.

Chwyta papier, ociera twarz i dłonie, spuszcza wodę. Kiedy się podnosi, świat kołysze się niebezpiecznie. Nie może złapać tchu, traci przytomność. W tym kiblu są jeszcze jacyś inni ludzie, chyba się z niego śmieją. Jak ci przekłęci gówniarze, którzy naśmiewali się z niego w szkole. Nie potrafi skupić wzroku, ale pamięta okropny dotyk noża w dłoni, moc płynącą przez niego, gdy się nim posłużył w sprawiedliwym gniewie. Czuje go znów, ciężko spoczywa w jego ręce.

Już się nie śmieją. Zapadła cisza. Nawet obmierzłe pulsowanie muzyki na zewnątrz przycichło. Rozgląda się. Po raz pierwszy widzi przed sobą podłużne lustro. Trudno jest dostrzec cokolwiek poprzez obrazy rzezi, wypełniające jego mózg. Dociera jednak do jego świadomości odbicie mężczyzny, którego nie rozpoznaje, wychudzonego, wynędzniałego, ubranego w tanie łachmany, o siwych, matowych włosach. Patrzy zafascynowany i przerażony, jak tamten sięga dłonią wwyż. Dłoń ma zaciśniętą na rękojeści krótkiego monterskiego noża, z klingą skierowaną ku obnażonemu gardłu. Robił to już wcześniej – teraz to wie – i czuje dotyk chłodnej stali na skórze.

Krew tryska na zwierciadło.

McLean pojawił się rano w komisariacie i trafił na niezły zamęt. Curry z dostawą do domu oraz porządna dawka snu sprawiły, że czuł się tego dnia o wiele lepiej niż poprzedniego, kiedy to przypominał raczej bezmózgiego zombie. Pojawił się pół godziny przed poranną odprawą w sprawie Smythe'a i nawet miał nadzieję, że uda mu się wykorzystać ten czas na nadrobienie zaległości w papierkowej robocie. Jednak gdy wspinał się po schodach, przez otwarte drzwi usłyszał dudniący głos Dagwooda.

– No, pięknie, kurwa. Nie można się skurwysynów pozbyć, a jak już przyjedzie jeden z drugim, to popierdolony...

Zajrzał do środka, mając nadzieję, że zdoła zorientować się w sytuacji, nim pójdzie dalej. Akurat w tej chwili nadinspektor przerwał rozmowę z dwoma mundurowymi sierżantami i spozjrzał w jego stronę.

– O, McLean. Świetnie. Fajnie, że przyszedłeś wcześniej. Możesz pomóc w sprzątananiu.

– Sprzątananiu, szefie? – zdziwił się McLean.

Rozejrzał się po pomieszczeniu i rzeczywiście zauważył, że posterunkowi pakują rzeczy do pudeł, zdejmując zdjęcia ze ścian i ścierają to, co zapisano na tablicy.

– Tak, Tony. Dorwaliśmy go zeszłej nocy. Nie ma wątpliwości co do winy. W bibliotece Smythe'a było pełno jego odcisków.

– Dorwaliście zabójcę?

McLean jakoś nie mógł skojarzyć etapu, na którym porzucił śledztwo, wychodząc do domu poprzedniego wieczoru, z faktem pojmania winnego. Miał tylko nadzieję, że nie rozdziawił gęby ze zdumienia.

– Jak to?

– No, „dorwaliśmy” to może za dużo powiedziane – przyznał Duguid. – Koleś wszedł do pubu niedaleko St Andrew's Square mniej więcej w pół do jedenastej wczoraj wieczorem. Poszedł do szacza i poderznął sobie gardło. Nawet nóż miał ten sam.

– I co? Nic mu się nie stało?

– Jasne, że mu się stało, kretynie. Nie żyje. Myślisz, że likwidowalibyśmy cały ten kram, gdyby siedział teraz w celi i czekał na przesłuchanie?

– Nie, szefie. Jasne, że nie. – McLean przyglądał się przez krótką chwilę postępującej likwidacji biura śledczego. – A kto to był?

– Nielegalny imigrant. Nazywał się Akimbo czy jakoś tak. Nie wiem, nie potrafię wymawiać

tych cudzoziemskich nazwisk.

– Kto go zidentyfikował?

– Jakaś panienka z ekipy technicznej. Chyba nazywa się Baird. Poszukiwanie w bazie odcisków palców nic nie dało, ale szczęśliwie wpadła na genialny pomysł, żeby przejrzeć rejestr nielegalnych imigrantów. No i koleś powinien siedzieć pod kluczem. Mieli go wywieźć do jakiegoś tam Fuzzistanu czy innego zadupia.

McLean postanowił nie zwracać uwagi na rasistowskie teksty Duguída. Nadinspektor stanowił chodzący przykład tego wszystkiego, co drażniło McLeana w policji. Nieważne, im wcześniej pójdzie na emeryturę, tym lepiej.

– Aha, to pani komendant będzie zachwycona. Zresztą pewnie szef policji także. Wiem, że były spore naciski, żeby szybko osiągnąć wynik.

– Zgadza się. Dlatego też musimy jak najszybciej sporządzić raport; do końca dnia musi wylądować na biurku Jayne. Nie sądzę, żeby prokurator chciał ciągnąć sprawę, ale na wszelki wypadek trzeba dopełnić wszystkich formalności. Będziesz musiał uczestniczyć w sekcji, tak dla pewności, żeby nie wyszło jakieś gówno. Jednak dowody są raczej przekonujące. Mamy na jego ubraniu ślady krwi tej samej grupy co krew Smythe'a. Wyniki DNA wszystko potwierdzają. Jestem pewien, że to nasz człowiek.

Cudownie. Kolejna jedyna w swoim rodzaju możliwość uczestnictwa w krojeniu trupa.

– O której sekcja, szefie? – McLean spojrział na zegarek. Była siódma rano.

– Chyba o dziesiątej, ale lepiej zadzwoń, żeby sprawdzić.

– O dziesiątej... Powinienem się spotkać... – McLean urwał. Wiedział, że nie ma sensu spierać się z Duguidem. Sprowokowałby tylko jedną z jego tyrad. – Dobra. Przełożę.

– Przełoż, McLean. Przełoż.

Kiedy wreszcie udało mu się wyrwać ze szponów Duguída, a następnie przedostać na tyły komisariatu, okazało się, że w małym pokoiku operacyjnym nie ma jeszcze jego pomocników. Gazeta Boba Gburka leżała na jednym z dwóch stołów; posterunkowy MacBride zdążył spiętrzyć na drugim schludny stosik teczek. McLean przerzucił je pośpiesznie – były to raporty z włamań z minionych pięciu lat. Spomiędzy stron wystawały żółte karteczki z notatkami. Dobrze, przynajmniej jeden z jego podwładnych nie próżnował.

Zdjęcia narządów i innych znalezisk z zamurowanej piwnicy zostały przyklejone do ściany, odtwarzając wzór z miejsca zbrodni. Pośrodku wisiało zdjęcie w formacie A3, przedstawiające skatowane, skręcone ciało dziewczyny. McLean wciąż gapił się na nie, kiedy ktoś otworzył drzwi.

– Dzień dobry, szefie. Słyszał pan najnowsze wiadomości? – Detektyw MacBride wyglądał tak, jakby dopiero co wyszorował się do różowości. Włosy miał jeszcze trochę wilgotne od prysznicza, na jego gładkiej, krągłej twarzy malował się wyraz niewinnej nadziei i zarazem

eksycytacji.

– Wiadomości? A, o tym mordercy Smythe'a. Nie sądzisz, że to trochę dziwne?

– Dlaczego, szefie?

– Bo po cholereę to zrobił? Po co włamał się do domu starego człowieka i wypruł z niego flaki?

Po co wypychał mu śledzionę do ust? I w dodatku zaraz potem sam się zabił?

– Był nielegalnym imigrantem, no nie?

McLean najeżył się.

– Proszę cię, nie opowiadaj mi takich kawałków. To naprawdę nie jest tak, że przyjeżdżają tutaj, żeby gwałcić nasze kobiety i odbierać nam pracę. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Dość już się nasłuchałem tych bzdur od Dagwooda.

– Nie to miałem na myśli, szefie. – Twarz MacBride'a stała się jeszcze bardziej różowa, a koniuszki uszu przybrały barwę niemal krwistą. – Chodziło mi o to, że mógł mieć pretensje do Smythe'a, który był przecież przewodniczącym Rady Odwoławczej do spraw Imigracji.

– Poważnie? Skąd te informacje?

– Od Alison... to znaczy posterunkowej Kydd.

Teraz McLean się zawstydział.

– Wybacz, Stuart. Nie zamierzałem cię opieprzać. Co jeszcze wiesz o zabitym?

– No cóż, szefie. Miał osiemdziesiąt cztery lata, ale był bardzo aktywny. Codziennie pracował. Zasiadał w radach nadzorczych kilkunastu różnych przedsiębiorstw i posiadał pakiet kontrolny co najmniej dwóch start-upów z dziedziny biotechnologii. Tuż po wojnie przejął po ojcu bank handlowy i przekształcił go w jedną z największych instytucji finansowych tego miasta, a potem sprzedał go, tuż przed kryzysem dotcomów. Od tego czasu zajmował się głównie prowadzeniem działalności dobroczynnej w różnych szlachetnych sprawach. W jego domu w mieście na stałe pracowało troje służących, ale w dniu zabójstwa wszyscy dostali wychodne. Wydaje się, że nic w tym niezwykłego – często ich odsyłał wieczorami, bo lubił siedzieć sam.

McLean słuchał, a mimochodem w duchu stwierdził, że MacBride chyba wykuł te wszystkie szczegóły na pamięć. Jednak pomijając dość wątpliwy związek między nielegalną imigracją a kwestią repatriacji, absolutnie nic nie łączyło Smythe'a z człowiekiem, który go zamordował.

– Zaraz, jak się ten morderca nazywał?

Tym razem MacBride musiał sięgnąć po notes, poślinił koniec palca, nim przerzucił stronę.

– Jonathan Okolo. Przyjechał, zdaje się, z Nigerii. Trzy lata temu ubiegał się o azyl polityczny, ale otrzymał odmowę. Do kwietnia przebywał w zakładzie, „czekając na repatriację” – jak wynika z zapisków. Właściwie nikt nie wie, w jaki sposób udało mu się uciec, natomiast nie był sam, kilku innych też zniknęło w ciągu ostatniego roku.

– Masz nazwiska?

– Nie, szefie, ale na pewno da się znaleźć. A co?

– Tak naprawdę nie wiem. Rzecz w tym, że Duguidd chciałby jak najprędzej umyć ręce od tej sprawy. Domyślam się, że szef policji i inne grube ryby też nie zamierzają specjalnie w to wnikać. I ja też, gdybym miał chociaż odrobinę rozumu, trzymałbym się od tego śledztwa z daleka. Natomiast mam paskudne przeczucie, że nie ostatni raz słyszymy o Jonathanie Okolo. I nie miałbym nic przeciwko temu, żeby być o krok do przodu, kiedy jego postać znowu wypłynie.

– Pogrzebię tu i tam – obiecał MacBride.

Zapisał to w notesie, który odłożył na bok. Nagle McLean zaczął się zastanawiać, gdzie podział się jego notes. Pewnie został na górze, w gabinecie. Razem z całą papierkową robotą, która niestety sama się nie robi.

– Co masz do załatwienia na dzisiaj?

– Detektyw sierżant Laird i ja mieliśmy przesłuchać kolejne ofiary włamań, szefie. Właśnie czekam, aż się pojawi.

– Wiesz, z Gburkiem kłopot polega na tym, że on raczej się nadaje do nocnej zmiany. – Z wyrazu twarzy MacBride’a McLean zorientował się, że młody chyba jeszcze nigdy nie słyszał przezwiska Bob Gburek. – Powiem ci, co zrobimy. Kiedy wróci, poleć mu, żeby przesłuchał tych wszystkich gości. Jeżeli czuje się samotny, niech weźmie sobie kogoś z mundurowych. A my przez następną godzinę poszukamy, czego można się dowiedzieć o Okolo i jego kumplach. A potem pojedziemy sobie razem do Cowgate i popatrzymy, jak doktor Cadwallader będzie go kroił.

– Hm, czy muszę jechać, szefie? – Rumiana cera MacBride’a nagle przybrała zielonkawy odcień.

– Byłeś już przy sekcji?

– Owszem, szefie, byłem. I właśnie dlatego wołałbym zrobić coś innego.

McLean znalazł notes tam, gdzie go pozostawił. Na biurku, pod foliową torbę z kwiecistą sukienką martwej dziewczyny. Wsadził go do kieszeni, napominając przy okazji samego siebie, aby zabrać sukienkę do pokoju operacyjnego. Karteczka z numerem Carstairsa nadal leżała obok telefonu. Zadzwonił, przełożył spotkanie na później, na popołudnie, po czym włączył komputer i przysunął do siebie stos papierzysek. Rozumiał doskonale, że księgowość i procedury są ważne, jednak marzył o tym, żeby ktoś go w tym wyręczył.

Była to praca głupia, otępiająca, wymagająca akurat tyle koncentracji, że można było przy niej rozmyślać o innych rzeczach. Cały czas kątem oka widział torbę z sukienką. W końcu, kiedy dotarł niemal do połowy sterty papierów, wyjął notes, odsunął się z krzesłem od biurka i zaczął przeglądać zapiski.

Niemal natychmiast trafił na szkic, przedstawiający rysunki pokrywające podłogę w zamurowanej piwnicy. W każdym razie wydawało mu się, że tam je widział. To one wskazywały na rytualny, ofiarny charakter morderstwa, dopiero potem ukryte wniki dostarczyły bardziej oczywistych i namacalnych dowodów. Skoncentrował się więc na nazwiskach czy pseudonimach, zachowanych narzędziach i artefaktach. Jego dawny mentor powtarzał, że zazwyczaj najmniej rzucające się w oczy ślady mają kluczowe znaczenie. Spojrzał na zegarek, było wpół do dziesiątej. Wyłączył więc komputer, zgarnął sukienkę i wrócił do pokoju operacyjnego. Bob Gburek jak zwykle czytał gazetę. Posterunkowy MacBride wpatrywał się w ekran laptopa i zawzięcie stukał w klawiaturę.

– Cześć, szefie – powiedział Bob Gburek, złożył gazetę i wrzucił ją do pudła pod stołem.

– Cześć, Bob. Masz zdjęcia z miejsca zbrodni?

Bob Gburek zerknął na MacBride'a, nie otrzymawszy jednak odpowiedzi, musiał sam się pofatygować – poszedł po stojące w kącie pudło. Postawił je na stole i wyciągnął z niego plik lśniących odbitek.

– O to ci chodziło, szefie?

– Raczej o zdjęcia podłogi, mniej więcej w okolicy trzydziestu centymetrów od ściany.

– Aha. Nawet się zastanawiałem, po co fotograf je zrobił.

Bob Gburek pogrzebał jeszcze trochę w pudle i wydobył inne odbitki. Rozkładał je na stole, czasami sprawdzając numery, wydrukowane na odwrocie.

– Zrobił, bo go poprosiłem – wyjaśnił McLean.

Przyglądał się zdjęciom, potem kolejnym i następnym. Wszystkie wyglądały tak samo; w świetle flesza widać było tylko gładką podłogę, zwykle drewno bez żadnych rysunków. Wyciągnął notes i popatrzył na swoje szkice. Był pewien, że widział właśnie takie wzory. Więcej nie ma? – spytał Boba, kiedy obejrzał wszystkie fotografie i niczego w ten sposób nie uzyskał.

– O ile wiem, tak.

– W takim razie skontaktuj się z technicznymi i upewnij się jeszcze raz. Zrobisz to dla mnie, Bob? Szukam takich zdjęć, jak te rysunki.

Pokazał mu nabazgrane w notesie wzorki.

– A nie mógłby się tym zająć MacBride? – spytał Bob. – Sam wiesz, że lepiej sobie radzi z komputerowymi historiami niż ja.

– Przykro mi, Bob. On jedzie ze mną – odparł i zwrócił się do posterunkowego: – Skończyłeś?

– Prawie, szefie. Jeszcze chwileczkę. – MacBride stuknął parę razy w klawisze, po czym rozłożył na płasko notes. – Po drodze zgarnę wydruki. Chyba że wolałby pan jednak zabrać na sekcję sierżanta Lairda, szefie?

W jego głosie wyraźnie pobrzmiwała nadzieja. McLean uśmiechnął się.

- O ile się nie mylę, Bob właśnie zjadł śniadanie, a ja nieszczęśliwie mam ochotę dowiedzieć się, co miał w jadłospisie.

– To już trzy razy w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, inspektorze. Mógłby ktoś pomyśleć, że pan mnie molestuje. – Doktor Sharp czekała na nich w kostnicy. – A kim jest pana przystojny asystent?

– To jest detektyw posterunkowy MacBride. Proszę się z niego nie naśmiewać. – McLean zignorował poczerwieniałą twarz MacBride’a. – Czy doktor już jest? – spytał.

– Przygotowuje się – odparła Tracy. – Zapraszam.

Sala sekcyjna niewiele się zmieniła od poprzedniego dnia, tyle że na stole operacyjnym leżały inne zwłoki. Patolog powitał ich, kiedy weszli do środka.

– O, Tony. Najwyraźniej wciąż jeszcze nie skumałeś, że czarną robotę zwała się na innych. Kiedy ktoś posyła młodszego funkcjonariusza, żeby coś za niego wykonał, postępuje tak dlatego, że sam nie zamierza tego zrobić. Jak sądzisz, po co Dagwood cię tu przysłał?

– Może to miejsce za bardzo przypomina mu dom rodzinny?

– Niegłupia myśl – przyznał z uśmiechem Cadwallader. – To co, do dzieła?

Jak na zawołanie pojawiła się Tracy, wychodząc z pokoju służącego za gabinet. Miała na sobie medyczny kombinezon, włożyła też długie gumowe rękawice. Popychała stalowy wózek, na którym rozłożyła najrozmaitsze narzędzia tortur. McLean czuł obok siebie obecność spiętego, zdenerwowanego MacBride’a, który kołysał się lekko na nogach.

– Obiekt płci męskiej, Afrykanin, metr osiemdziesiąt osiem wzrostu. Tak na oko powiedziałbym, że ponad sześćdziesiąt lat.

– Czterdzieści cztery.

Głos MacBride’a zabrzmiał nieco wyżej, chociaż lekarz jeszcze nie zaczął pracy.

– Słucham? – Cadwallader położył dłoń na zwisającym nad stołem mikrofonie.

– Miał czterdzieści cztery lata, proszę pana. Tak wynika z jego dokumentów.

MacBride potrząsnął plikiem papierów, które po drodze wziął z drukarki.

– Hm, nie wygląda na to. Tracy, czy na pewno mamy właściwego trupa?

Asystentka sprawdziła dokumenty, zerknęła na metkę, zdobiącą stopę nieboszczyka, potem podeszła jeszcze do chłodni – otworzyła kilka z szuflad i zajrzała do środka, po czym wróciła.

– Zgadza się – powiedziała. – Jonathan Okolo. Przywieziony wczoraj, późno wieczorem. Zidentyfikowany na podstawie odcisków palców. Odciski dostaliśmy z biura imigracyjnego.

– W takim razie to dziwne. – Cadwallader zajął się na powrót nieboszczykiem. – Jeżeli miał zaledwie czterdzieści cztery lata, to nie chciałbym wiedzieć, co w życiu przeżył. Dobra, jedziemy

dalej.

Zajął się szczegółowym badaniem zwłok.

– Dłonie silne, paznokcie krótko przycięte. Świeże blizny, poza tym ślady po drzazgach na wnętrzu dłoni i palcach. Zajmował się jakąś pracą ręczną, ale biorąc pod uwagę jego stan zdrowia, raczej kiepsko sobie z nią radził. O, tu coś mamy. – Patolog zajął się głową nieboszczyka. Wsunął szczypcę w jego skręcone, siwiejące włosy. – Tracy, poproszę o słoik. O ile się nie mylę, to jest po prostu tynk. Ma mnóstwo tynku we włosach.

Kątem oka McLean dostrzegł ruch i odwrócił się w stronę posterunkowego, który zawzięcie notował. Uśmiechnął się; przebieg i wyniki sekcji i tak zostaną zapisane, raport dostanie jeszcze tego samego dnia, ale nieco zapału nie zaszkodzi. Poza tym może dzięki temu posterunkowy nieco lepiej znieśie to, co za chwilę ma nastąpić, uznał.

Wprawny lekarz sądowy otwiera zwłoki nie bez pewnej elegancji. A Cadwallader był pewnie najlepszym patologiem, jakiego McLean miał okazję obserwować. Właśnie ta zręczność oraz być może cicho wymieniane z asystentką uwagi sprawiały, że dało się znieść krojenie nieboszczyka. Mimo wszystko odetchnął, kiedy było po wszystkim i zaczęło się szycie. Oznaczało to bowiem, że mógł wyjść z sali sekcyjnego, a to z kolei zapowiadało rychłą możliwość opuszczenia budynku.

– I jakie wnioski, Angus? Będzie żył? – McLean zauważył, że żarcik wzbudził cień uśmiechu, który jednak zaraz zniknął, a twarz doktora się zachmurzyła.

– Bardzo to dziwne: jak on zdołał dożyć do tego, że zamordował Smythe'a, nie mówiąc już o tym, że wystarczyło mu sił, żeby zabić samego siebie? – odpowiedział pytaniem Cadwallader.

– Co to znaczy?

– Miał zaawansowaną rozedmę, ostrą marskość wątroby, nerki w strasznym stanie. Bóg jedyny wie, jakim cudem serce z taką ilością tkanki bliznowatej mogło bić wystarczająco regularnie choćby na tyle, żeby był w stanie samodzielnie chodzić.

– Sugerujesz, że to nie on zabił Smythe'a? – Po plecach McLeana przeszedł zimny dreszcz.

– Nie, zabił go. Pewnie, że go zabił. Ubranie miał przesiąknięte krwią Smythe'a, poza tym ślady tej samej krwi znalazłem pod paznokciami. Ten nóż Stanleya akurat idealnie pasuje do nacięć pozostawionych na kręgach szyjnych. To na pewno on.

– A może miał współnika?

McLean poczuł nieprzyjemny skurcz żołądka. Wiedział, że gdyby chociaż wspomniał o takiej możliwości, ktoś bardzo go za to zniełubi. Jednak przynajmniej sobie musiał zadać pytanie.

– Ty jesteś detektywem, Tony. Ty mi to powiedz.

Kancelaria Carstairs i Weddell zajmowała cały rozległy dom w stylu georgiańskim, usytuowany w zachodniej części centrum. Nowocześniejsze firmy prawnicze przeniosły biura do specjalnie w tym celu wzniesionych budynków przy Lothian Road albo nawet dalej, w stronę Gogarburn, natomiast ta kancelaria oparła się fali przyływu. McLean pamiętał, a nie było to wcale bardzo dawno temu, że wszystkie edynburskie firmy rodzinne, czyli prawnicy i brokerzy, bankierzy i importerzy cennych delikatesów, mieściły się w reprezentacyjnych rezydencjach zachodniej dzielnicy. Obecnie pełno tam było restauracyjek gnieźdzących się w piwnicach, butików, siłowni i drogich apartamentów. Cóż, czasy się zmieniły, miasto dostosowało się do nowej epoki.

Chociaż do umówionej pory spotkania brakowało godziny, to sekretarka wyjaśniła, że jej zdaniem nie będzie to stanowiło problemu. Poprosiła McLeana, żeby zaczekał w recepcji, eleganckiej sali, w której wisiały portrety mężczyzn o surowych twarzach, a wygodne skórzane fotele zapraszały do wypoczynku. Pomieszczenie przypominało klub dla dżentelmenów z wyższych sfer, a poza tym panował w nim przyjemny chłód, gdy tymczasem na zewnątrz wzmagał się skwar.

– Inspektorze, miło znów pana zobaczyć.

McLean rozejrzał się, szukając mężczyzny, który powitał go tymi słowami. Nie słyszał odgłosu otwieranych drzwi, a jednak siwowłosa mężczyzna w okularach z metalowymi oprawkami stał z wyciągniętą dłonią. McLean ją uściśnął.

– Pan Carstairs? Czy wcześniej się spotkaliśmy?

Rzeczywiście, prawnik wydawał mu się znajomy. Zawsze istniała możliwość, że widzieli się w sądzie, podczas gdy McLean zeznawał. Kto wie, może prawnik nawet go przesłuchiwał.

– Ależ naturalnie, inspektorze. Co prawda, minęło od tego czasu sporo lat. W zamierzchłej epoce Esther urzędowała fantastyczne przyjęcia, natomiast zaprzestała, odkąd poszła na uniwersytet. Nigdy nie dowiedziałem się dlaczego.

McLeanowi przypomniła się cała masa ludzi, którzy bywali regularnymi gośćmi w domu babci. O większości zapamiętał tyle, że byli starzy. Babcia też była leciwa, więc nie widział w tym nic dziwnego. Obecnie Jonas Carstairs był w sile wieku, ale chyba za młody, żeby móc należeć do tamtego towarzystwa.

– Odnoszę wrażenie, że tęskniła za samotnością, panie Carstairs. Przypuszczam, że chciała, abym poznawał ludzi, ale kiedy przestałem u niej mieszkać i przenieśliśmy się do Newington,

skończyła z życiem towarzyskim.

Carstairs skinął głową, jakby było to dla niego całkowicie satysfakcjonujące wytłumaczenie.

– Mów mi po imieniu, jestem Jonas.

Wyciągnął z kieszonki kamizelki zegarek, otworzył go, żeby sprawdzić godzinę, po czym wsunął go w powrotem na miejsce płynnym, wyćwiczonym ruchem.

– Co powiesz na wspólny lunch? Tuż za rogiem otworzyli nową knajpkę, a słyszałem, że jest bardzo dobra.

McLean pomyślał o stosie papierzyśk piętrzących się na jego biurku oraz o dziewczynie, która nie żyła już od tak dawna, że godzina czy dwie nie robi żadnej różnicy. Bob Gburek zajął się śledztwem w sprawie kradzieży, MacBride szuka informacji dotyczących Jonathana Okolo. Tylko by im przeszkadzał.

– To brzmi całkiem interesująco, Jonas. Przestań tytułować mnie inspektorem, skoro chwilowo nie jestem na służbie.

McLean znalazł się w lokalu odmiennym od tych, do których przywykł. Świeżo otwarty, częściowo umiejscowiony w suterenie, sporo ludzi, stłumiony gwar zadowolonych gości posiłających się lunchem w swobodnej atmosferze. Kelner zaprowadził ich do małego stolika, znajdującego się we wnęce z oknem wychodzącym na zagłębienie poniżej poziomu chodnika. Kiedy McLean spojrział w stronę nieba, zdał sobie sprawę, że mimo woli zagląda pod spódnicę przechodzącym kobietom. Skupił się więc na menu.

– Podobno podają tu dobrą rybę – stwierdził Carstairs. – Przypuszczam, że dziki łosoś będzie w sam raz na tę porę roku.

McLean posłusznie zamówił łososia i stłumił chęć, żeby poprosić o frytki. Poza tym ograniczył się do gazowanej wody mineralnej. Pojawiła się na stole w błękitnej butelce o kształcie ły, opatrzonej jakimś napisem po walijsku.

– W dawnych czasach aptekarze trzymali w niebieskich butelkach trucizny. Dzięki temu wiedzieli, czego nie należy pić – zauważył McLean.

Nalał sobie szklankę i zaproponował to samo prawnikowi.

– Cóż, w Edynburgu truciele się zdarzali, jak zresztą pewnie doskonale wiesz. Byłeś w Pathology Museum w Surgeons' Hall?

– Kilka lat temu oprowadził mnie po nim Angus Cadwallader. Byłem wtedy sierżantem.

– Aha, no tak. Angus. Ma irytujący zwyczaj wychodzenia z teatru w połowie przedstawienia. Pewnie z powodu nawału pracy.

Zaczęli rozmawiać o policyjnej robocie, zagadnieniach prawnych i tych kilku wzajemnych znajomych oraz przyjaciółach, których udało im się ustalić, zanim pojawiło się jedzenie. McLean był tylko odrobinę zawiedziony, kiedy okazało się, że łosoś jest z wody, a nie zapiekany

w cieście. Nie chodziło o to, że nie potrafił docenić przyjemności stołu, raczej brakowało mu na to czasu. Właściwie nie pamiętał, kiedy ostatnio był w restauracji takiej jak ta.

– Nie jesteś żonaty, Tony? – Pytanie Carstairsa było w miarę niewinne, jednak zapadło po nim kłopotliwe milczenie. McLean bowiem właśnie przypomniał sobie, kiedy ostatni raz był w takiej restauracji. Jego towarzyszką była dużo młodsza, ładniejsza i zupełnie nieświadoma, że on zbiera się na odwagę, aby zadać pytanie, które miało zmienić ich życie.

– Nie – odpowiedział. Głos zabrzmiał płasko i bezbarwnie, ale na to McLean nie mógł nic poradzić.

– Spotykasz się z kimś?

– Nie.

– Szkoda. Młody mężczyzna taki jak ty powinien mieć żonę, która by o niego zadbała. Jestem pewien, że Esther...

– Był ktoś parę lat temu. Nawet byliśmy zaręczeni. Ale... ona umarła.

McLean wciąż widział jej twarz: oczy zamknięte, skóra gładka jak alabaster i tak samo blada. Sine usta, długie czarne włosy rozplywające się wokół niej w lodowatych, niespiesznych wodach Leith.

– Ogromnie mi przykro. Nie wiedziałem.

Głos Carstairsa wyrwał go z zamyślenia. Nie wiadomo skąd i jak, ale McLean wiedział, że stary jurysta kłamie. Niewielu mogło być ludzi w mieście, którzy nie pamiętali tamtego wydarzenia.

– Mówiłeś, że chcesz porozmawiać ze mną o testamentie babci – przypomniał, czepiając się pierwszego tematu, jaki przyszedł mu do głowy.

– Tak, w rzeczy samej. Pomyślałem, że miło byłoby najpierw odnowić starą znajomość. Na pewno nie będzie dla ciebie zaskoczeniem, kiedy ci powiem, że Esther zostawiła wszystko tobie. To oczywiste, nie miała nikogo innego, komu mogłaby zapisać majątek.

– Szczerze mówiąc, niespecjalnie się nad tym zastanawiałem. Trudno mi się pogodzić z faktem, że odeszła. Ciągle muszę sobie przypominać, że już nie trzeba jej odwiedzać w szpitalu.

Carstairs nie odpowiedział i przez chwilę jedli w milczeniu. Prawnik zmiotł wszystko z talerza, otarł twarz miękką białą serwetą i dopiero wtedy się odezwał:

– Pogrzeb odbędzie się w poniedziałek o dziesiątej rano. W Mortonhall. Zawiadomienie pojawiło się w dzisiejszym „Scotsman”.

McLean skinął głową. Resztę jedzenia zostawił. Było wyborne, ale tak się złożyło, że stracił apetyt.

Wrócili do biura; Carstairs zaprowadził go do obszernego gabinetu na tyłach budynku. Okna

wychodziły na dobrze utrzymany ogród. W kącie pomieszczenia stało antyczne biurko, ale Carstairs wskazał McLeanowi jeden z obitych skórą foteli przy kominku, po czym siadł w drugim. Przypomniało to inspektorowi jego rozmowę z panią komendant dzień wcześniej. Niby nieoficjalną, a przecież jak najbardziej służbową. Na niskim mahoniowym stoliku między nimi spoczywała gruba teczka z czarnymi wstążkami. Carstairs pochylił się, sięgnął po nią i rozwiązał tasemkę. McLean nie mógł nie zwrócić uwagi, że jak na swój wiek prawnik porusza się ze zdumiewającą gracją i wigorem, zupełnie jakby młody aktor odgrywał rolę starego człowieka.

– Tutaj mamy szczegółowy wykaz masy spadkowej w dniu śmierci Esther. Zarządzaliśmy jej interesami przez wiele lat, praktycznie od śmierci twojego dziadka. Była właścicielką rozległego portfolio akcji, a także nieruchomości.

– Doprawdy?

McLean był szczerze zdumiony. Wiedział, że babci nie powodziło się źle, ale nigdy nie dostrzegł oznak bogactwa. Ot, starsza pani, która odziedziczyła rodzinną siedzibę i przez całe życie ciężko pracowała jako lekarz, a potem żyła z całkiem niezłej emerytury.

– Ależ tak. Esther była wyśmienitą inwestorką. Niektóre z jej zaleceń zaskakiwały nawet nasz dział finansowy, ale rzadko ponosiła straty.

– Jak to się stało, że nic o tym nie wiem? – McLean nie wiedział, czy ma się złościć, czy dziwić.

– Twoja babcia udzieliła mi pełnomocnictw na długo przed wylewem, Anthony. – Głos Carstairsa był miękki, kojący, jakby zdawał sobie sprawę, że przekazywane przez niego wieści mogą budzić rozmaite emocje. – Wyraźnie poleciła mi, żebym nie informował cię o aktywach przed jej śmiercią. Esther wyznawała dość staroświeckie poglądy. Chyba uważała, że gdybyś wiedział, że czeka cię wejście w posiadanie znacznego majątku, mogłoby ci to przeszkadzać w skupieniu się na własnej karierze.

McLeanowi trudno było się z tym spierać. Przeciwnie, to było wyjątkowo w stylu jego babci, niemal mógłby ją sobie wyobrazić, jak siedzi przy kominku w ulubionym fotelu i wygłasza kazanie o tym, jak ważna jest w życiu ciężka praca. Co więcej, charakteryzowało ją dość przekorne poczucie humoru, więc może właśnie w tej chwili śmieje się gdzieś tam do rozpuku, pomyślał. Ku swemu zaskoczeniu, stwierdził, że wraz z myślą o babci na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Pierwszy raz od miesiący wspomniął ją jako energiczną, pełną życia osobę, a nie bezwolną i bezwładną – gorzej niż martwą – roślinę, którą się stała u swojego kresu.

– A wiadomo mniej więcej, ile to wszystko jest warte?

To pytanie zabrzmiało niestosownie, ale nie przychodziło mu do głowy nic innego, co należałoby powiedzieć.

– Wycena nieruchomości została przeprowadzona według najlepszej wiedzy współpracujących

z nami specjalistów, natomiast udziały zostały ocenione według kursu rynkowego z dnia jej śmierci. Rzecz jasna, pozostaje też mnóstwo innych rzeczy, na przykład spodziewam się, że umeblowanie i obrazy w jej domu mogą coś być warte, zwłaszcza że Esther miała dobre oko do cennych przedmiotów.

Carstairs wziął z wierzchu teczki pojedynczą kartkę i położył ją na stole w taki sposób, żeby McLeanowi wygodniej było przeczytać.

Detektyw wziął ją drżącymi palcami, próbując ogarnąć wzrokiem jednocześnie wszystkie kolumny i liczby, aż jego wzrok wylądował na pogrubionym i podkreślonym podsumowaniu znajdującym się u samego dołu.

– Jasna cholera.

Babcia zostawiła mu ogromny dom i portfolio akcji wartych sporo ponad pięć milionów funtów.

Kwaterna główna znajdowała się niemalże po drodze do komisariatu, jeżeli poszłoby się pieszo od siedziby kancelarii Carstairs i Weddell. W każdym razie na tyle po drodze, że McLean uważał się za usprawiedliwionego. Rzecz jasna, jego wybór nie miał nic wspólnego z tym, że im dłużej będzie zwlekał z powrotem, tym większy się szansa na to, że nie zostanie Duguida. Chodziło o to, że musiał z kimś porozmawiać o fotografiach z miejsca zbrodni, a przynajmniej tak sobie wmawiał.

Jak zwykle w dziale technicznym nie było prawie nikogo. Znudzona recepcjonistka wpuściła go za pomocą elektronicznej karty, dzięki czemu mógł przemierzać opustoszałe korytarze, gdzie działała klimatyzacja, co stwierdził z satysfakcją. Odnalazł oświetloną blaskiem z wysoko umieszczonych wąskich okien suterenę i trafił do laboratorium fotograficznego; drzwi pomieszczenia były unieruchomione w pozycji otwartej za pomocą metalowego krzesła. Zastukał, zawołał: „Halo?“, po czym wszedł do środka. W pokoju rozlegał się brzęk działającej maszyny, chociaż przeznaczenia większości z niej McLean nie był w stanie odgadnąć. Wzdłuż ściany biegł drewniany blat, nad którym świeciły takie same okna, a na nim stały rzędem ogromne monitory – migały i bzyczały cichutko. W najdalszej części pomieszczenia siedziała samotna postać, skulona przed obrazem rozmazanym na ledowym ekranie. Sprawiała wrażenie całkowicie pochłoniętej pracą.

– Halo? – zawołał znowu McLean, ale zaraz potem zauważył ogromne białe słuchawki, tkwiące na głowie policjantki.

Ruszył niezbyt prędkim krokiem, próbując zwrócić na siebie jej uwagę, jednak im bardziej się zbliżał, tym głośniejsz rozlegał się jazgot ze słuchawek. Nie było sposobu, żeby załatwić to bezboleśnie.

– Jezus! Kurwa! O mało nie dostałam zawału. – Młoda kobieta przycisnęła dłoń do klatki piersiowej, drugą zerwała słuchawki i rzuciła je na blat. Przewód wplątał się między klawisze komputera.

McLean rozpoznał ją teraz, widział ją w miejscu dokonania kradzieży, a także w domu zamordowanego Smythe'a – zbierała odciski palców.

– Oj, przepraszam. Darłem się, jak mogłem.

– Jasne. Spoko. Pewnie trochę za głośno odpaliłam muzykę. W czym mogę pomóc, panie inspektorze? Nieczęsto się zdarza, żeby któryś z was, starych wyjadaczy, pofatygował się aż tutaj, do piwnicy.

– Przynajmniej chłodniej tu niż w moim pokoju operacyjnym.

McLean nie miał nic przeciwko temu, żeby traktowano go jako osobę starszą; był najmłodszym inspektorem, więc najczęściej odnoszono się do niego z niejakim pobłażaniem.

– A tak przy okazji, ciekaw byłem, czy macie oryginalne pliki zdjęć z miejsca zabójstwa w Sighthill.

– Sierżant Laird coś o tym wspominał.

Sięgnęła po myszkę, szybkimi kliknięciami pozamykała błyskawicznie kilka okien. McLeanowi zdawało się, że widzi tam prewki zdjęć z domu Smythe'a, ale nim zdążył się przyjrzeć, już ich nie było. Ekran wypełnił się serią fotografii, które wyglądały na pozór identycznie.

– Czterdzieści pięć zdjęć wysokiej rozdzielczości, przedstawiających podłogę. Pamiętam, jak Malky skarżył się, że musiał przez pana wrócić do pokoju, w którym leżał trup. Naprawdę dziwna sprawa. Przecież sfotografował już dziesiątki, a raczej setki zwłok, i robi to od lat. Przepraszam, rozgadałam się. Co pan chciał zobaczyć?

McLean wyjął notes. Przewertował kilka kartek, zanim znalazł pierwszy szkic. Wrócił pamięcią do tamtej sceny, próbując sobie przypomnieć, od którego miejsca kazał fotografowi zacząć.

– Widziałem jakieś znaki na podłodze, mniej więcej tam, gdzie robotnicy przebili się przez ścianę. Wyglądały z grubsza tak.

Pokazał jej rysunek. Kliknęła w pierwsze zdjęcie, powiększyła je na cały ekran. Widniała na nim tylko gładka drewniana podłoga, a na niej trochę gruzu, ale żadnych znaków czy pieczęci.

– Tak, zdecydowanie to właściwe miejsce, tam je widziałem. Czy to możliwe, że stały się niewidoczne w świetle flesza?

– Zobaczmy.

Emma Baird kliknęła, rozwinęły się kolejne menu opcji, które wybierała z oszałamiającą prędkością. Nie wiedział, jakiego oprogramowania używa ta dziewczyna, ale bez wątplenia posługiwała się nim niezwykle sprawnie. Obraz poszarzał, zbladł, rozjaśnił się, stracił kontrast, potem przerodził się w negatyw. Wciąż jednak wyglądał praktycznie tak samo. Nie było widać na nim niczego więcej niż przedtem.

– Obawiam się, że niczego tu nie ma. Jest pan pewien, że to nie były tylko cienie? Światło łukowe daje czasami dziwne efekty, zwłaszcza w zamkniętej przestrzeni.

– Cóż, niewykluczone. Jednak właśnie umiejscowienie tych znaków skojarzyło mi się z kręgiem, na którym zaznaczono sześć miejsc. A dobrze pani wie, co znaleźliśmy w ścianach właśnie tam, w odpowiadających im wnękach.

– Hmm. Mogę spróbować jeszcze jednej sztuczki. Niech pan siądzie, bo to zajmie minutę albo dwie.

– Dziękuję pani... pani Baird, prawda?

McLean zajął najbliższe krzesło. Zwrócił przy tym uwagę, że było o wiele wygodniejsze od jakiegokolwiek siedziska w komisariacie, nie mówiąc już o wyposażeniu jego maleńkiego pokoju operacyjnego, które w porównaniu z tym wydawało się kompletem najeżonych drzazgami drewnianych narzędzi tortur. Niewątpliwie ekipa techniczna dysponowała lepszym budżetem na sprzęt, a może po prostu kreatywniejszym księgowym.

– Panno, jeżeli już, ale nazwisko się zgadza. Skąd pan wiedział?

– Jestem detektywem. Moja praca polega na tym, żeby wiedzieć różne rzeczy.

Zaczerwieniła się lekko pod bezładną czupryną czarnych jak smoła włosów. Odruchowym, nieświadomym gestem podrapała się po zadartym nosku. Zerknęła w stronę ekranu, na którym mała klepsydra niezbyt przekonująco opróżniała się i odwracała, opróżniała się i odwracała...

– Skoro pan taki spostrzegawczy, panie cwany detektywie, niech pan mi powie: jak to się stało, że pan nie zauważył napisu na drzwiach? Tam wisi tabliczka: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”!

McLean zerknął przez ramię. Drzwi były szeroko otwarte do wewnątrz, przytrzymane krzesłem wciśniętym pod klamkę. Nie było na nich żadnej tabliczki poza numerem pomieszczenia – B12. Odwrócił się do dziewczyny, która uśmiechała się od ucha do ucha.

– Ha, ha, dał się pan nabrać. No, gotowe. – Spojrzała na ekran, kliknęła, żeby powiększyć poddany obróbce obraz. – Spróbujemy to jeszcze wzmocnić... Tak, proszę bardzo. Miał pan rację.

McLean wytężył wzrok, mrużąc jednocześnie oczy od blasku bijącego z ekranu. Nie miał pojęcia, co właściwie ta dziewczyna zrobiła w komputerze, ale od tego czegoś powierzchnia obrazu przybrała niemal biały kolor. Gruz z rozbitej ściany jakby unosił się nad podłogą, zarysowany w powietrzu ostro kontrastującymi cienkimi czarnymi liniami. A tuż za nimi w najbledszym odcieniu szarości na białym tle ukazała się część wzoru tworzącego wiry czy pieczęcie.

– Co pani zrobiła?

– A zrozumiałby pan, gdybym powiedziała?

– Wątpię.

McLean spojrział na notes, potem na ekran. Mało brakowało, a byłby zwątpił w coś, co widział na własne oczy, i bardzo mu się to nie spodobało.

– Można zrobić to samo z innymi fotografiami?

– Jasne. To znaczy ja zacznę, potem niech Malky dokończy. Powinien niedługo wrócić. Ucieszy się, że nie robił tych zdjęć na próżno.

– Dziękuję. Bardzo mi pani pomogła, bo już przez chwilę obawiałem się, że zwariowałem.

– Ja bym tego tak pochopnie nie wykluczała. Nie miał pan prawa dostrzec tych znaków gołym

okiem.

– Poważnie? W takim razie pogadam z okulistą podczas następnego badania wzroku.

McLean wstał z krzesła i wsadził notes do kieszeni, zbierając się do wyjścia.

– Wyślę te pliki na pańską drukarkę. Powinny być gotowe, kiedy będzie pan na miejscu.

– Można tak zrobić? – Cudom nie ma końca! – pomyślał.

– Jasne, spoko. Tak będzie szybciej, niż wieźć je przez całe miasto. Co nie zmienia faktu, że całkiem niedługo i tak będę tam jechać. Będzie pan w pubie razem z innymi, prawda?

– W pubie?

– Zgadza się. Duguid stawia drinka każdemu, kto brał udział w sprawie Smythe'a. Słyszałam plotki, że nieczęsto sięga do portfela, więc pewnie będzie tam nieprzebrany tłum.

– Dagwood ma stawiać drinki? – McLean pokręcił głową z niedowierzaniem. – Muszę to zobaczyć.

Tak jak zapowiadała panna (nie pani) Baird, po powrocie do komisariatu na McLeana czekał plik świeżo wydrukowanych fotografii. Zabrał je do swojego pokoju operacyjnego, pustego i cichego późnym popołudniem. Ze ściany wciąż wpatrywała się w niego zamordowana dziewczyna, w niemym krzyku oskarżała, że nie dość się postarał, nie zrobił wszystkiego, co możliwe, by dowiedzieć się, kim była i kto ją zabił. Patrzył na nią, potem na zdjęcia, z których każde było niemal całkowicie białe. Cienkie czarne linie wskazywały krawędzie desek podłogi, niekiedy sęki w drewnie. Ledwo widoczny w blasku świetlówki jasnoszary wzór ciągnął się przez każde ze zdjęć.

McLean znalazł wodoodporny flamaster z cienką końcówką i zaczął zakreślać nim krawędzie wzorów na pierwszej fotografii. Prawie nie sposób je było wypatrzyć, ale w miarę, jak robił to na kolejnych zdjęciach, zadanie stawało się łatwiejsze, bo wzór się powtarzał. Odsunął stoliki pod ścianę, próbując zrobić jak najwięcej miejsca na podłodze, a potem przez pół godziny rozkładał fotografie pośrodku pokoju. Kiedy ostatnia część układanki znalazła się we właściwym miejscu, a McLean przyjrzał się swojemu dziełu, zachodzące słońce zasłoniła chmura i nagle powiało chłodem.

Stał pośrodku kręgu utworzonego z sześciu splatających się linii. W sześciu równo odległych od siebie i od środka kręgu miejscach linie zaplatały się w fantastyczne węzły, tworząc przedziwne kształty; kiedy im się przyglądał, zdawało mu się, że wiją się niczym węże. Poczł się jak uwięziony w pułapce, jakby pierś ścisnęły mu bandaże. Światła pociemniały, wszechobecny wielkomięski zgiełk przycichł, stał się niemal bezgłośny, nieskończenie odległy. Słyszał swój oddech, świst powietrza przechodzącego przez nos; czuł rytmiczne, wolne bicie serca. Chiał wyjść z kręgu, ale jego stopy przykleiły się do podłogi. Mógł tylko poruszyć głową.

Ogarnęło go przerażenie, rodzaj pierwotnego lęku; tymczasem linie, na które patrzył, zaczęły się rozprostowywać, a potem nagle otworzy się drzwi i powiew zdmuchnął kilka odbitek. Światła znów rozbłysły. Ciśnienie w piersi zniknęło. McLean poczuł, że znowu może jasno myśleć. Gdzieś w dali rozległo się tylko coś, co przypominało wściekły ryk odbijający się echem pośród mroków. Niewidzialne więzy pękły, McLean zachwiał się, żeby złapać równowagę, i w tym momencie komendant McIntyre weszła do pokoju.

– Co to było?

Przechyliła głowę lekko na bok, jakby nasłuchując tego echa, które się nie rozległo. McLean nie odpowiedział. Z trudem łapał oddech.

– Nic ci nie jest, Tony? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Przykucnął i zgarnął ku sobie fotografie, poczynając od splątanego węzła, który dopiero co się rozwijał. Na błyszczącym papierze nie widniało nic oprócz kilku linii zakreślonych zielonym markerem, ale i tak przeszedł go zimny dreszcz.

– Chyba za szybko wstałem – powiedział. Zabrzmiało to nawet całkiem przekonująco.

– Dobra, ale co właściwie robiłeś na podłodze?

McLean opowiedział jej o odkryciu, o znakach na podłodze, które zauważył, i o tym, jak doprowadziły go do ukrytych wnęk. Nie wspominał ani słowem o dziwnych halucynacjach, jakich doświadczył. Coś mówiło mu, że pani komendant może nie odnieść się do nich ze zrozumieniem, a poza tym zaczął o nich zapominać, pozostało tylko nieokreślone uczucie niepokoju.

– Cóż, przyjrzyjmy się.

McIntyre wzięła od niego zdjęcia, przerzuciła je, zatrzymując się chwilę dłużej przy tych, na których widniały węzły czy pieczęcie.

– Jakies skojarzenia? – spytał.

– Nie mam pojęcia.

– Wydaje mi się, że to może być coś w rodzaju kręgu ochronnego.

– Co?

– No tak. Pentagramy, świece i takie tam. Używa się kręgu ochronnego, żeby uwięzić w nim demona, kiedy się go przywołuje.

– W zasadzie orientuję się, co to jest krąg ochronny, tylko nie bardzo wiem, co możesz zrobić, aby aresztować demona. Wiąże się z tym pewien drobny problem: demony nie istnieją poza wyobraźnią porąbanych pismaków i fanów trash metalu.

– Zdaję sobie z tego sprawę, pani komendant. Bóg raczy wiedzieć, jak ciężka jest nasza praca nawet bez interwencji sił nadprzyrodzonych. Rzecz w tym, że o ile demony nie istnieją, nie znaczy to jeszcze, że ktoś nie byłby w stanie uwierzyć w nie na tyle, żeby zabić człowieka.

– Z tym się zgodzę.

– Wszystko to w żadnym razie nie ułatwia sprawy. Trudno powiedzieć, jakie szaleństwo doprowadziło do czegoś takiego.

McLean potarł dłońmi oczy i przejechał nimi po twarzy, na próżno usiłując w ten sposób pozbyć się zmęczenia.

– Okej, jeżeli chcesz się czegoś dowiedzieć o magicznych kręgach i kulcie demonów, musisz pogadać z madame Rose. Przyjmuje na Leith Walk.

– Słucham? Poważnie?

– Uwier mi, mało kto wie więcej o naukach tajemnych niż madame Rose.

Powiedziała to w taki sposób, że McLean nie był do końca pewien, czy pani komendant żartuje

z niego, czy nie. Jeżeli była to kpina, w takim razie trzeba pamiętać, żeby nigdy nie zagrać z panią komendant w pokera, pomyślał. Uznał, że półzart będzie najlepszą odpowiedzią.

– W porządku, w takim razie muszę się do niej wybrać. Może przy okazji przepowie mi przyszłość.

– Wybierz się do niej, Tony. Jednak to może poczekać. – McIntyre zebrała fotografie, stanowczym gestem położyła je na stole. – Nie przyszedłam tutaj, żeby rozmawiać z tobą o wywoływaniu demonów. W każdym razie nie tego rodzaju demonów. Otóż Charles zwracał się do mnie w sprawie Smythe'a. Czy upoważniłeś posterunkowego MacBride'a, żeby zbierał informacje od służb imigracyjnych?

McLean nie tak by to ujął w słowa, ale przecież nie zamierzał pozwolić, żeby młody dostał po uszach za swoją inicjatywę.

– Owszem, upoważniłem. Pomyślałem, że warto będzie ustalić motyw i może uda się namierzyć współwzięniów Okolo. Podczas sekcji pojawiło się kilka istotnych wątpliwości.

– I właśnie dlatego powinieneś zrobić tak, jak polecił ci nadinspektor Duguid, czyli zostawić śledztwo w spokoju. Wiemy, że w przypadku Okolo procedura repatriacyjna ciągnęła się od ponad dwóch lat. To nic fajnego, siedzieć pod kluczem, zwłaszcza jeśli człowiek uważa, że nie zrobił niczego złego. Smythe często się tam pojawiał, więc wszyscy go znali. Okolo uciekł, wytropił człowieka, który miał rzekomo być odpowiedzialny za jego cierpienia, po czym w napadzie szału go zamordował. Koniec sprawy.

– Przecież uciekli też inni. A co, jeżeli wpadli na ten sam pomysł? I co z innymi członkami Rady Odwoławczej?

– Wszyscy pozostali uciekinierzy zostali schwytani i odwiezieni z powrotem do ośrodka. Dwóch z nich już repatriowano. Okolo był samotnym szaleńcem. Niewykluczone, że nasz system doprowadził go do tego stanu, jednak obecnie nie o to chodzi. Nie ma żadnych bezpośrednich dowodów na to, że w morderstwo zamieszany był ktokolwiek inny. Brakuje mi ludzi na takie fanaberie, a poza tym jestem szczerze przekonana, że ciągnąc to śledztwo, tylko tracilibyśmy czas.

– Ale...

– Oduść sobie, Tony. – McIntyre spojrzała na zegarek. – A poza tym, co tu jeszcze robisz? Dlaczego nie jesteś w pubie? Charles nieczęsto stawia drinka.

– Nadinspektor Duguid jakoś nie zechciał mnie poinformować.

Zabrzmiało to małostkowo i żałośnie, jakby się obraził na starszego oficera.

– E tam, nie bądź nadętym dupkiem. Wiem, że posterunkowy MacBride i sierżant Laird już tam poszli, a przecież nawet nie kiwnęli palcem w tej sprawie. Siedzi tam prawie cała dzienna zmiana. Jak sądzisz, co pomyślą na twój temat młodszy funkcjonariusze, jak będziesz się zamykał

z dziwnymi zdjęciami? Że odkąd zostałeś inspektorem, jesteś już za dobry, by widywano cię w knajpie z takimi jak oni?

Wobec takiego podejścia McLean musiał przyznać, że zachowuje się irracjonalnie.

– Przepraszam. Chyba rzeczywiście trochę za bardzo zaangażowałem się w tę sprawę. Po prostu nie lubię zostawiać niewyjaśnionych wątków.

– Właśnie dlatego zostałeś detektywem inspektorem, Tony, ale nie na więcej niż dwanaście godzin dziennie, przynajmniej nie w moim komisariacie. I z pewnością nie dzień po śmierci swojej babci. A teraz idź do pubu albo do domu. Wszystko jedno. W każdym razie zapomnij o Barnabym Smythie i Jonathanie Okolo. Raportem z autopsji będziemy martwić się jutro.

Wnętrze pubu wyglądało jak komisariat w krzywym zwierciadle. McLeanowi żal było stałych bywalców, którzy nie mieli nic wspólnego z policją, chociaż kiedy się rozejrzyał, nie był w stanie dostrzec w tłumie żadnej twarzy, której nie widział wcześniej w komisariacie. Impreza najwyraźniej trwała od jakiegoś czasu; zebrani rozdzielili się na mniejsze grupki, zajmując wszystkie stoliki. Jak na dłoni widoczne stały się przyjaźnie i alianse, a jeszcze wyraźniej niechęci i wrogości. Duguid znajdował się przy barze, wobec czego McLean musiał zmierzyć się z pewnym dylematem. Nie życzył sobie sytuacji, w której nadinspektor odmówiłby postawienia mu drinka, a z drugiej strony, niespecjalnie chciał przyjąć poczęstunek od nielubianego przełożonego. Tyle że głupio przyjść do pubu i nie napić się piwa.

– A, tu jesteś, szefie. Już myślałem, że wystawiłeś nas do wiatru. – McLean obejrzał się i ujrzał Boba Gburka wychodzącego z męskiej ubikacji. Sierżant wskazał stolik w ciemnym kącie, wokół którego zgromadziło się dosyć liczne towarzystwo.

– Siedzimy tam. Dagwood wyłożył tylko pięćdziesiątaka, kutwa jeden. Nie starczyło nawet po pół pinty na leb.

– Nie narzekaj, Bob. Przecież nie brałeś udziału w tym śledztwie.

– Nie o to chodzi. Jak można obiecać, że postawi się drinka każdemu, a potem zapłacić tylko za pół drinka?

Do wężki doszli, zanim McLean zdołał znaleźć jakąś odpowiedź. W dalekim kącie siedział posterunkowy MacBride, przy nim posterunkowa Kydd. Bob przepchnął się obok potężnej postaci Andy'ego Housemana i zajął miejsce. McLeanowi została wąska ławeczka obok „panny, nie pani” Baird.

– Znasz Emmę? Przybyła do nas z wesołych wzgórz Aberdeen.

Bob Gburek wymówił to ostatnie zdanie, przesadnie naśladowując góralski dialekt.

– Owszem, znamy się.

McLean wsunął się na ławeczkę.

– Jednak dotarłeś – stwierdziła Emma. Tymczasem Bob Gburek sięgnął po kufel pełen

pienistego jasnego piwa i podał go McLeanowi, następnie sam uraczył się z drugiego kufła stojącego na stole.

– Posił się, szefie.

– Zdrowie.

McLean uniósł kufel, pozdrowił nim wszystkich po kolei, po czym upił łyk. Piwo było zimne i mocno gazowane. Więcej powiedzieć by o nim nie potrafił, ponieważ pozbawione było jakiegokolwiek odróżnialnego smaku.

– Dostałem zdjęcia, dzięki za nie – zwrócił się do Emmy.

– To część moich służbowych obowiązków. A przydały się na coś? Ja tam nie widziałam na nich nic prócz bieli.

– A i owszem, przydały się... Jak najbardziej.

McLean wzdrygnął się, przypomniał sobie to dziwne uczucie niemocy i niesamowity pogłos wściekłego ryku. To był jakby jakiś sen, a może jedynie poniosła go wyobraźnia? Nie, po prostu za szybko wstał, a przedtem spędził długi czas z nosem przy podłodze.

– Gadacie o pracy? Jasne, że tak! – Bob Gburek triumfalnie wyszczerzył zęby, zdążył już prawie całkiem opróżnić kufel. Trzepnął posterunkowego MacBride'a w pierś. – Jesteś mi winien dychę, chłopcze. Pamiętaj, jak mówiłem, że inspektor przyjdzie ostatni i pierwszy będzie płacił karę.

– O co chodzi? – spytała Emma, trochę zaniepokojona.

McLean westchnął i wyjął portfel z kieszeni marynarki. Zresztą, zamierzał postawić następną kolejkę. Bądź co bądź, było go na to stać.

– W pubie nie wolno gadać o pracy, za to grozi kara. To taka stara tradycja, wywodzi się jeszcze z czasów, kiedy Bob Gburek był zwykłym posterunkowym, czyli mniej więcej jakoś tak przed wojną. Zgadza się, Bob? – Wyciągnął banknot dwudziestofuntowy i plasnął nim o stół, nie zważając na protesty Boba Gburka. – Stuart, zajmij się tym, dobra?

– Co? Ale dlaczego ja?

– Bo jesteś najmłodszy.

Mrucząc coś pod nosem, posterunkowy MacBride wy dostał się ze swojego przytulnego kącika, zgarnął pieniądze i ruszył w stronę baru.

– Tylko postaraj się, żeby tym razem było to porządne piwo.

Znacznie, znacznie później McLean pomachał na pożegnanie odjeżdżającym taksówką nietrzeźwym posterunkowym tudzież ekspertem technicznym. Wielki Andy wyszedł wcześniej, spieszyło mu się do żony i małego dziecka, tak więc tylko Bob Gburek odprowadzał McLeana do domu, a sądząc po stanie, w jakim się znajdował, aż do mieszkania i wolnego pokoju, by w nim przemocować. Nie byłby to pierwszy raz, szczególnie że pani Gburkowa zdecydowanie na niego

nie czekała, odeszła bowiem wiele lat wcześniej.

– Fajna dziewczyna ta Emma. Nie uważasz?

– A ty nie uważasz, że jesteś trochę za stary, żeby dać się znowu usidlić?

McLean spodziewał się żartobliwego kuksańca w ramię i zaraz też go otrzymał.

– Nie dla mnie, wariacie. Mówię o tobie.

– Jasne, Bob. Owszem, fajna. Ma trochę dziwne upodobania, jeżeli chodzi o muzykę, ale to akurat drobiazg. A wiesz o niej cokolwiek?

– Tyle że przenieśli ją kilka miesięcy temu, a pochodzi z Aberdeen. – Bob Gburek znów popisał się parodią góralskiego akcentu.

– To już mówiłeś.

– Niewiele więcej wiem. Techniczni dobrze się o niej wypowiadają, więc chyba jest niezła w swojej robocie. Miło, kiedy pojawia się ładna buzia pośród tych wszystkich ponuraków.

Zamilkli, idąc ulicą krok w krok, jak przystało na nocnym patrolu siwowłosemu podstarzałemu sierżantowi i podległemu mu nie najmłodszemu posterunkowemu. Powietrze było chłodne. Ciemne niebo przybrało pomarańczowe zabarwienie; gwiazd w tym mieście nie było widać z powodu zbyt wielu świateł. Niespodziewanie Bob Gburek zatrzymał się w pół kroku.

– Słyszałem o twojej babci, Tony. Przykro mi. Była wspaniałą kobietą.

– Dzięki, Bob. Trudno mi uwierzyć, że naprawdę odeszła. Mam wrażenie, że powinienem ubrać się na czarno i wyrwać sobie włosy z głowy. Może nawet zawrodozenie i zgrzytanie zębami nie byłoby od rzeczy. Tymczasem czuję raczej ulgę niż smutek. Tak długo była w śpiączce.

– Masz rację. Tak naprawdę, trzeba dziękować Bogu.

Ruszyli w dalszą drogę, obeszli róg ulicy, przy której mieszkał McLean.

– Dzisiaj widziałem się z jej prawnikiem. Zostawiła mi wszystko. Sporo tego.

– Chryste, Tony, ale nie odejdziesz z policji?

Do tamtej chwili McLean ani przez chwilę się nad tym nie zastanawiał, a jednak był w stanie natychmiast odpowiedzieć:

– Rany, nie. Co innego miałbym robić? A poza tym, kiedy odejdę, kto inny pozwoli ci czytać gazetę przez cały dzień?

Doszli do drzwi frontowych kamienicy. McLean zauważył ten sam strategicznie umieszczony kamień, uniemożliwiający zatrzasknięcie się drzwi.

– Będziesz człapał do domu, Bob, czy może chcesz przekimnąć się u mnie?

– Nie, pójdę spacerkiem, łknę trochę powietrza. Kto wie, może nawet wytrzeźwieję, zanim dowielekę się do domu.

– Dobra. Śpij dobrze.

Bob Gburek pomachał mu ręką, nie odwracając się i idąc już w swoją stronę. McLean był ciekaw, ile mu zajmie zatrzymanie taksówki.

Firma Penstemmin Security Systems zajmowała sporą powierzchnię działki na końcu Forth, pomiędzy Leith a Trinity. Sam budynek był pozbawionym jakichkolwiek cech szczególnych nowoczesnym magazynem. Mógłby to być sklep dla majsterkowiczów albo call center, chociaż akurat tego rodzaju instytucji zazwyczaj nie otacza się zasięgami z drutów kolczastych, czujnikami ruchu oraz kamerami przemysłowymi, liczniejszymi niż wokół przeciętnego więzienia. Ściany pomalowano na kolor szary jak pancerniki marynarki wojennej, wokół całego budynku tuż pod okapami szerokiego dachu ciągnął się pas przyciemnionego szkła, który w rogu przy wyjściu opadał do samego dołu.

Posterunkowy MacBride zaparkował dyżurny samochód w jedynym miejscu, gdzie widniała tabliczka „Goście”. Biały vauxhall vectra zupełnie nie pasował do lśniących bmw i mercedesów z napędem na cztery koła. Jak zauważył McLean, dyrektor przedsiębiorstwa mógł pozwolić sobie na to, żeby przyjeżdżać do pracy nowiutkim ferrari.

– Chyba powinniśmy zmienić zajęcie – powiedział.

Poszedł za posterunkowym przez parking, rozkoszując się porannym chłodnym powiewem znad Firth. MacBride był blady na twarzy, miał podkrążone oczy – niewątpliwie z powodu zbyt hucznego świętowania dnia poprzedniego. Przypuszczałnie koktajle z tequilą, którymi raczył się w towarzystwie posterunkowej Kydd, pozbawiły go tak około miliona funkcjonujących szarych komórek. Najpierw zaśmiał się, dopiero potem zwrócił uwagę na kolekcję drogich wozów.

– Nie przypuszczałem, że z pana samochodziarz, szefie. Mówią nawet, że pan nie ma własnego wozu.

McLean powstrzymał chętkę, by spytać, kto rozpuszcza takie pogłoski. Po pierwsze, była to prawda, a po drugie, mówił już o nim gorsze rzeczy i jako przeżył.

– Rzeczywiście nie mam, ale to nie znaczy, że zupełnie nie znam się na samochodach.

Ich tożsamość sprawdzono już przy bramie wjazdowej do całego ogrodzonego drutami kolczastymi kompleksu, teraz musieli jeszcze raz wszystko powtórzyć do kamery, nim zostali wpuszczeni do wnętrza budynku. Tam przywitała ich schludnie ubrana młoda kobieta, króciutko ostrzyżona, w okularach z ciężkimi oprawkami, ale tak wąskimi, że musiała widzieć świat, jakby oglądała go przez szparę skrzynki na listy.

– Posterunkowy MacBride?

Wyciągnęła rękę do McLeana.

– Nie, nie całkiem. Jestem inspektor McLean. A to mój kolega, posterunkowy MacBride.

– O, przepraszam. Courtney Rayne.

Nastąpiły uściski dłoni, po czym kobieta przeprowadziła ich przez kolejne zabezpieczone drzwi do serca budynku. Był to rozległy bunkier, wysoko sklepiony, z pajęczą siecią belek podtrzymujących kopułę sufitu. Przemysłowe klimatyzatory pompowały tak schłodzone powietrze, że McLeana przeszedł dreszcz.

Z głównej hali wydzielono mniejsze kwadraty za pomocą ścianek działowych. W każdym z tych miejsc siedziało za komputerami kilkanaście lub więcej osób, ze słuchawkami na głowach. Przemawiali do małych mikrofonów zawieszonych przed ich ustami jak osy znieruchomiałe w powietrzu. W całym pomieszczeniu rozbrzmiewał donośny jednostajny szum, ponad który od czasu do czasu przebiegał się czyjś podniesiony głos, a wówczas któryś z szefów zespołów podbiegał w pośpiechu do tego czy innego komputera.

– Nasz ośrodek monitoruje ponad dwadzieścia tysięcy systemów alarmowych, działających w różnych miejscach na obszarze całego Pasa Centralnego – wyjaśniła Rayne.

– Nie miałem pojęcia, że Penstemmin jest tak wielką firmą.

– Och, nie. Nie wszystkie systemy są naszej produkcji. Świadczymy usługi monitoringu na rzecz dwudziestu kilku mniejszych przedsiębiorstw. Akweny w tamtej części sali zajmują się regionem policyjnym Strathclyde, a te dwa tutaj monitorują systemy alarmowe w Lothian i Borders.

– Akweny?

– Tak nazywamy nasze zespoły, inspektorze. Każda grupa stanowi akwen. Proszę nie pytać mnie dlaczego, bo nie mam pojęcia.

Rayne poprowadziła ich przez ogromną halę szerokim korytarzem, dzielącym dwa wielkie szkockie miasta niczym przypisana im prastara wzajemna animozja. McLean obserwował oświetlone zimnym światłem monitorów twarze pracowników. Gdy kobieta w eleganckim kostiumie przechodziła obok, pochylali głowy i udawali, że są bardzo zajęci, nawet jeżeli akurat nie mieli nic do roboty. Miejsce nie sprawiało wrażenia, jakby miło się tu pracowało. McLean zastanawiał się, jak duża jest rotacja tutejszego personelu, czy często się zdarza, że ktoś odchodzi z poczuciem krzywdy i zasobem poufnych informacji zamiast odprawy.

W odległym krańcu hali znajdowały się schody prowadzące na długą antresolę; tam wzdłuż całego budynku ciągnęły się biura o szklanych ścianach, zajmowane przez pojedyncze osoby, bez wątpliwości właścicieli szpanerskich samochodów stojących na parkingu. Biedni frajerzy pracujący w hali głównej zapewne dojeżdżali do pracy autobusem, a w najlepszym razie parkowali na zewnątrz, na ulicy.

Musieli przejść wzdłuż całego budynku, żeby dostać się do schodów, teraz zmierzała z powrotem ku frontowi. McLean podejrzewał, że istnieje jakaś krótsza droga, którą mogliby

dotrzeć bezpośrednio z recepcji do biura, jednak z jakichś powodów Rayne chciała pokazać im wielką halę główną. Może chodziło o to, żeby policjantom zaimponować. Jeżeli tak, skutek był raczej odwrotny, bo widok ten wywarł na inspektorze wprawdzie silne, ale zdecydowanie negatywne wrażenie. McLean już był znużony firmą Penstemmin Security Systems, a jeszcze nawet nie zaczął zadawać pytań.

Doszli do dużych drzwi z matowego szkła, umieszczonych pośrodku ściany z takiego samego szkła, odcinającej róg budynku. Ich przewodniczka zatrzymała się tylko na chwilę, zastukała lekko, po czym pchnęła drzwi, oznajmiając ich przybycie:

– Doug? Przyszedł inspektor McLean z Wydziału Śledczego Lothian i Borders. Pamiętasz? Dzwonili do nas z policji.

Kiedy McLean przekraczał próg, mężczyzna, do którego zwróciła się Rayne, zdążył wstać z fotela stojącego za wielkim biurkiem i ruszył na ich spotkanie przez rozległą przestrzeń gabinetu. Akweny jak akweny, ale do tego akwarium można by nalać wody i trzymać pół tuzina wielorybów, pomyślał inspektor.

– Doug Fairbairn. Miło panów poznać. Panie inspektorze, panie posterunkowy...

Cały rozplywał się w uśmiechu, śnieżnobiałe zęby pobłyskiwały w opalonej na brązowo twarzy. Miał na sobie luźną koszulę z ciężkimi złotymi spinkami u mankietów, a u szyi starannie zawiązany krawat. Marynarka wisiała na oparciu krzesła, a spodnie od garnituru zostały uszyte na miarę, tak by zręcznie ukryć rosnący brzuszek.

– Panie Fairbairn... – McLean uściśnął wyciągniętą dłoń i potrząsnął nią. Silny uścisk, uznał. Fairbairn emanował pewnością siebie albo i arogancją, trudno orzec. – Czy to pańskie ferrari stoi na zewnątrz?

– F430 Spider. Lubi pan samochody, prawda, inspektorze?

– Gdy byłem młodszy, jeździłem do Knockhill i obserwowałem wyścigi. Teraz już nie mam na to czasu.

– Ten wóz jest za mocny na Knockhill. Muszę jeździć na południe, żeby się pościgać. W zeszłym roku wybrałem się na Ring. Siadajcie, panowie. – Fairbairn wskazał im ruchem ręki niską skórzaną sofę i fotele. Szare, w minimalistycznym stylu. – W czym mogę pomóc, panie inspektorze?

Żadnej kawy, herbaty, herbatników. Tylko paplanina o sobie samym.

– Prowadzę dochodzenie w sprawie serii włamań. Można powiedzieć, że to robota profesjonalisty. W każdym razie z pewnością nie pospolitego rabusia. W tej chwili dostrzegamy między nimi jedynie dość luźny związek, jednak w trzech z tych wypadków w domach zainstalowane były alarmy Penstemmin. W każdym z tych wypadków alarm nie zadziałał.

– Courtney, proszę o dokumentację. – Fairbairn skinął na młodą kobietę o surowym

wyglądzie, która wciąż stała tuż przy drzwiach. Wysła, by wrócić po krótkiej chwili z kartonową teczką. – Domyślam się, że chodzi o ostatnie włamanie do domu państwa Douglas. Bardzo nad tym ubolewam, panie inspektorze, rzecz jasna, ale przeprowadziliśmy pełną analizę systemu i nic nie wskazuje na to, żeby ktoś manipulował przy alarmie.

– Czy w waszym systemie jest zapisane, kiedy alarm został włączony? – wtrącił posterunkowy MacBride, trzymając w dłoni otwarty notes i ołówek.

– Owszem, panie posterunkowy. Instalacje działające u pana Douglasa są najwyższej klasy. W naszym systemie komputerowym odnotowano, że alarm został uruchomiony... – Fairbairn otworzył teczkę i wyciągnął wydruk – ...o dziesiątej trzydzieści rano tamtego dnia. Wyłączony został o godzinie za piętnaście trzecia po południu. Monitoring odnotował w tym czasie kilka nieznacznych zmian napięcia w sieci, ale w tym nie ma nic nadzwyczajnego. Napięcie w sieci miejskiej notorycznie podlega wahaniom.

– Czy ktoś mógł obejść alarm? Na przykład zresetować zapis monitoringu?

– Teoretycznie pewnie byłoby to możliwe. Jednak ten ktoś musiałby dostać się do naszej centrali, która znajduje się w piwnicy, za stalowymi drzwiami grubości trzydziestu centymetrów. A to oznaczałoby, że zdołałby najpierw wejść tutaj, a zapewniam panów, że nie jest to łatwe. Musiałby też znać na wylot nasz system oraz być w posiadaniu najnowszych haseł. Nawet wtedy prawdopodobnie zostawiłby po sobie ślady. Nasz system został przetestowany przez najlepszych ekspertów w dziedzinie bezpieczeństwa komputerowego. Jest praktycznie nie do pokonania.

– To znaczy, że jeżeli system został zmanipulowany, musiał dokonać tego ktoś z waszej firmy?

McLean z radością odnotował wyraz paniki, jaki po tych słowach pojawił się na twarzy Fairbairna.

– To niemożliwe! Nasi pracownicy w procesie rekrutacji są dokładnie sprawdzani. Poza tym nikt nie ma dostępu do całości systemu. Chlubimy się naszą nieposzlakowaną opinią.

– Oczywiście, oczywiście. A mogę wiedzieć, kto instalował system u pana Douglasa?

Fairbairn zajrzał do teczki i nerwowo przerzucił kartki. Jego pewność siebie gdzieś się ulotniła.

– Carpenter – odpowiedział po chwili. – Geoff Carpenter. Jeden z naszych najlepszych instalatorów. Courtney, mogłabyś sprawdzić, czy Geoff nie wyjechał w teren? Jeżeli nie, zechciej go tutaj sprowadzić, dobrze?

Rayne znowu zniknęła z gabinetu. Zza niedomkniętych drzwi rozległ się stłumiony odgłos rozmowy telefonicznej.

– Domyślam się, że chcecie panowie z nim porozmawiać? – spytał Fairbairn.

– Czemu nie, chętnie – odparł McLean. Patrzył uważnie na rozmówcę. – Panie Fairbairn, pani

Rayne stwierdziła, że w tym ośrodku świadczyce państwo usługi w dziedzinie monitoringu alarmów na rzecz wielu innych przedsiębiorstw. Czy mógłbym prosić o ich listę?

– To jest bardzo poufna informacja, inspektorze. – Fairbairn wahał się przez chwilę, przebieirał palcami, ale o wiele mniej zręcznie niż Bob Gburek. W końcu otarł dłonie o drogie jedwabne spodnie. – Sądzę jednak, że mogę ją panu wyjawić. Bądź co bądź, ściśle współpracujemy ze wszystkimi siłami policyjnymi całej Szkocji.

– Tak będzie dla pana lepiej. Czy nazwy takie jak Secure Home, Lothian Alarm Systems oraz Subsisto Raptor coś panu mówią?

Fairbairn był coraz bardziej zaniepokojony.

– Ja... To jest, tak, panie inspektorze. Monitorujemy instalacje w Edynburgu dla wszystkich trzech wymienionych przez pana firm.

– Od jak dawna macie z nimi umowę, panie Fairbairn?

Posterunkowy MacBride przerzucił stronę w notesie i polizał czubek ołówka. McLeanowi przyszło do głowy, że chłopak naoglądał się trochę za dużo kryminałów w telewizji, ale zabawnie było obserwować, czego się z nich nauczył.

– Tak, hm, niech się zastanowię. Lothian wykupiliśmy parę miesięcy temu, ale świadczyliśmy usługi na rzecz tej firmy już od około pięciu lat. Secure Home podjęła z nami współpracę dwa lata temu. Subsisto Raptor przyłączyła się mniej więcej osiemnaście miesięcy temu. Jeśli pan chce, znajdę dokładne daty. Domyślam się, że to właśnie te podobne wypadki, tak?

– Zgadza się, panie Fairbairn.

– Chyba nie chce pan sugerować...

– Niczego nie chcę sugerować, panie Fairbairn. Prowadzę dochodzenie. Nie podejrzewam, żeby pańskie przedsiębiorstwo czerpało dodatkowe zyski z okradania swoich klientów. To byłaby skrajna głupota. Natomiast w waszym systemie najwyraźniej jest jakaś luka i zamierzam ją odnaleźć.

– Oczywiście, inspektorze. To rozumiacie. Jednak nasza reputacja jest dla nas największym skarbem. Jeżeli wyjdzie na jaw, że system zawiódł, zbankrutujemy w ciągu roku.

– Wie pan dobrze, że nie leży to w moim interesie, panie Fairbairn. Ogólnie rzecz biorąc, takie przedsiębiorstwa jak pańskie znacznie ułatwiają nam pracę. Zamierzam jednak znaleźć sprawcę włamań.

– Czegoś mi w tym wszystkim brakuje, Stuart.

– Tak, szefie?

– Czegoś oczywistego, na co powinienem od razu zwrócić uwagę.

– Jasne, Fairbairn nie powiedział nam wszystkiego, co do tego nie ma dwóch zdań.

– Co takiego? Ach, nie. Wybacz. Myślałem o zabitej dziewczynie.

Jechali Leith Walk, kierując się w stronę komisariatu. Znajdowali się daleko od wybrzeża, a ulicę z obu stron blokowały wysokie budynki, więc narastający skwar stawał się nie do zniesienia, zwłaszcza we wnętrzu samochodu. McLean otworzył okno, ale posuwali się zbyt wolno, żeby powiew przyniósł ulgę. Coś przed nimi blokowało ruch uliczny.

– Skręć w następną w lewo. – McLean wskazał palcem wąską przecznicę.

– Ale dojeżdżamy do komisariatu, szefie.

– Jeszcze nie chcę tam wracać. Zamierzam jeszcze raz przyjrzeć się tamtej piwnicy.

– W Sighthill?

– Dojedziemy tam dużo prędzej, jeżeli wreszcie przestaniesz zadawać durne pytania.

– Tak jest, szefie. Przepraszam, szefie.

MacBride przemieścił wóz na pas dla autobusów, podjechał z wolna i skręcił. McLean już żałował, że na niego warknął. Właściwie nie wiedział, co tak nagle go rozzłościło.

– Co wiemy o tej dziewczynie?

– W jakim sensie, szefie?

– No, zastanów się. Jest młoda, niezamożna, wyjściowo ubrana. Jaki z tego wniosek?

– Wybierała się na imprezę?

– Właśnie. Weźmy pod uwagę taką ewentualność. Załóżmy, że impreza miała się odbywać w domu, w którym ją znaleźliśmy. Co by z tego wynikało?

Chwila milczenia. Jechali teraz labiryntem uliczek w pobliżu Holyrood Palace.

– Że ktoś, kto był właścicielem domu, w którym zginęła, wiedział o morderstwie?

– A kto był właścicielem domu?

– Dom należał do Farquhar's Bank. Akt własności pochodzi z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku. Pozostawał w posiadaniu banku aż do czasu zakupienia go osiemnaście miesięcy temu przez Mid-Eastern Finance.

– Dobrze, ujmijmy to inaczej. Kto mieszkał w tym domu? A tak poza tym, kto prowadził Farquhar's Bank, nim został sprzedany?

– Nie mam pojęcia, szefie. Może ktoś o nazwisku Farquhar?

McLean westchnął. Zdecydowanie zbyt wiele luk do zapełnienia.

– Musimy pogadać z Mid-Eastern Finance. Z pewnością jeszcze zatrudniają kogoś, kto pracował w dawnym banku. Po powrocie do komisariatu sprawdź, czy da się coś ustalić.

– Mam tam pojechać, szefie?

– Jeszcze nie. Chcę ponownie przyjrzeć się temu domowi. Pędziej czy później będę musiał pozwolić McAllisterowi na podjęcie prac. Wiem, że techniczni dokładnie przeczesał to miejsce, ale mimo wszystko muszę jeszcze raz zobaczyć je na własne oczy.

Powitał ich opustoszały budynek, również w żadnym z okien mieszkalnych kontenerów nie

palilo się światło. Francuskie okna na parterze zostały zasłonięte płytami z grubej sklejki, solidny rygiel i klódką broniły dostępu do drzwi wejściowych. McLean polecił MacBride'owi, żeby załatwił przez telefon klucze, po czym wybrał się na przechadzkę po terenie, żeby się rozejrzeć.

Nietypowo jak na dom w tym stylu, ozdobna wieża znajdowała się na tyłach. Sądząc po wybitych szybach oraz płatach tynku, które odpadły i zalegały w zapuszczonym ogrodzie, McLean wywnioskował, że w tym domu od wielu lat nikt nie mieszkał. Kolczaste krzaki pięły się po wilgotnych ścianach, sięgały aż do okien na pierwszym piętrze; na niedysiejszym gazonie wyrosły młode drzewka – potomstwo rosnącego w pobliżu jaworu. Posesja była ogrodzona wysokim kamiennym murem, wyłożonym u góry tłuczonym szkłem, którego kawałki powtykano w kruszejącą zaprawę murarską. Wydeptana ścieżka prowadziła do tylnego wejścia, zwieńczonego łukiem. Stare drewniane drzwi leżały pośród poszycia, całkiem spróchniałe, otwór zaś wypełniono płytą ze sklejki. Najwyraźniej Tommy McAllister mniej gościnnie niż Farquhar's Bank odnosił się do miejscowych narkomanów i wandalii.

Minęło zaledwie dziesięć minut, nim przyjechał samochód z kluczami; przywiozła je ta sama młoda posterunkowa, która pilnowała miejsca zbrodni w nocy, kiedy odkryto ciało.

– Panie inspektorze, jak szybko uporacie się z tą sprawą? Chodzi o to, że Tommy McAllister dzwoni do mnie trzy razy dziennie i truje mi o tym, że płaci robotnikom za to, żeby nic nie robili. – Otworzyła klódkę i wsadziła klucz do kieszeni.

– Będę to miał na względzie, pani posterunkowa, natomiast wygoda pana McAllistera nie jest głównym celem dochodzenia.

– Oczywiście, zdaję sobie z tego sprawę, szefie. Tyle tylko że pan nie musi go wysłuchiwać.

– Jeżeli będzie się skarżył, proszę mu powiedzieć, żeby zgłosił się do mnie – zaproponował McLean.

– Tak zrobię, sir. Proszę założyć klódkę i zatrasnąć ją, kiedy pan skończy.

Posterunkowa odwróciła się i ruszyła do swojego samochodu. McLean pokręcił głową, po czym wszedł do starego domu. Jednocześnie uświadomił sobie, że wciąż nie wie, jak nazywa się ta młoda policjantka.

Wejście do piwnicy przegrodzone było policyjną taśmą, ale kiedy przedostał się pod nią i zszedł na dół po kamiennych schodach, stwierdził z całą pewnością, że ktoś tutaj był i posprzątał. Zniknęły resztki tynku wokół wybitego otworu, za którym znajdowało się ukryte pomieszczenie, pozostały tylko zamiecione do czysta płyty kamiennej posadzki. Niewykluczone, że ekipa techniczna usunęła gruz po zakończeniu prac, ale byłby to pierwszy taki wypadek w historii.

Wyciągnął latarkę, zapalił ją i wszedł przez wybity otwór do pomieszczenia. Teraz, kiedy zabrano nieszczęsne ciało zakatowanej dziewczyny, sprawiało zupełnie inne wrażenie. Miał

przed sobą sześć równych otworów, umiejscowionych w regularnych odstępach w gładko otynkowanej ścianie. Zaglądał po kolei do każdego z nich, chociaż nie spodziewał się wiele zobaczyć. To były zwyczajne wnęki powstałe przez to, że ktoś wyjął cegły, którymi wyłożona była cała piwnica. Pod każdą z wnęk piętrzył się stosik tynku i patyków – resztki maskowania, za pomocą którego je ukryto.

– Tutaj ją znalezione?

McLean odwrócił się, zobaczył w wejściu MacBride’a, który swoim ciałem przysłaniał światło padające z żarówek znajdujących się na zewnątrz. Uświadomił sobie, że młody jeszcze nie widział miejsca zbrodni.

– Tak jest, posterunkowy. Wejdz, rozejrzyj się i powiedz mi, co widzisz.

McLean zauważył, że MacBride ma większą latarkę niż on. Może należała do standardowego wyposażenia samochodu, jednak raczej nie. Posterunkowy przeszedł wolno wokół pomieszczenia, poświecił na sufit, potem na podłogę, przyjrzał się czterem niewielkim otworom po gwoździach. W końcu obejrzał ściany, przesunął dłonią po tynku.

– Położenie tynku w okrągłym pomieszczeniu to istny koszmar – stwierdził. – Ktokolwiek tego dokonał, musiał być fachowcem.

McLean popatrzył uważnie na MacBride’a, a potem przeniósł wzrok na wnęki i na łuk drzwi, które zamurowano, aby ukryć straszną zbrodnię. Jak mógł być tak beznadziejnie głupi?

– To jest to.

– Co jest co? Aha, praca, którą tu wykonano. Ktoś zakrył wnęki, zamurował drzwi. Do tego trzeba fachowca.

– Właśnie.

– Jeżeli będziemy się trzymać teorii, że to mord rytualny, należałoby wnioskować, że sprawcami są ludzie wykształceni. Poza tym zamożni, skoro bywali na przyjęciach w takim domu jak ten.

– A więc?

– A więc pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat temu bogaci i wykształceni ludzie nie zajmowali się majsterkowaniem. Nie potrafiliby odróżnić packi tynkarskiej od kiloła.

– Nie rozumiem...

– Zastanów się. Części ciała w słoikach zostały umieszczone we wnękach, co znaczy, że tynk położono po zabiciu dziewczyny. Ktokolwiek tego dokonał, musiał zatrudnić w tym celu fachowca. A ów fachowiec musiał zobaczyć, co tutaj się stało. Jak sądzisz, w jaki sposób zabójcy powstrzymali go, żeby nie rozpowiedział, co widział?

– Zabili go, kiedy skończył robotę?

– Otóż to. Nie ma mowy, żeby pozostawili go przy życiu.

– Tylko na co nam się to przyda? Skoro nie żyje, no to... nie żyje. A ciało pewnie dobrze ukryli.

– O czymś zapominasz. Nie możemy ustalić tożsamości zabitej dziewczyny na podstawie rejestrów osób zaginionych, ponieważ zupełnie nic o niej nie wiemy. Może była przyjezdna, może była cudzoziemką. Nie wiadomo. Natomiast ktoś, kto otynkował to pomieszczenie, ukrył wnęki, musiał być murarzem, tynkarzem, fachowcem prawdopodobnie pochodzącym z tej okolicy.

– Czy nie mógł być jednym z nich? Jednym z tych sześciu?

McLean umilkł, zбитy z tropu prostą i nieodpartą logiką wywodu MacBride'a. Po chwili przypomniał sobie jednak o przedmiotach umieszczonych we wnękach. Złota spinka, srebrna papierośnica, pudełko netsuke, puzderko na pigułki, szpilka do krawata. Tylko druczane okulary mogły należeć do robotnika z lat czterdziestych, a i to wydawało się mało prawdopodobne.

– Cóż, możliwe – przyznał – ale raczej wątpliwe. Póki co, to najlepszy trop, jaki mamy. Być może trzeba będzie przewertować papierzyska z dwudziestu lat, ale gdzieś tam jest informacja o zaginionym tynkarzu. Znajdźmy go, a wtedy będziemy mogli odszukać jego pracodawcę.

– O, to pan McLean. Proszę poczekać, mam dla pana przesyłkę.

Inspektor zatrzymał się na dole schodów, starając się nie wdychać smrodu kocich sików. Staruszka, pani McCutcheon, musiała siedzieć w swoim przedpokoiu i czekać, aż przyjdzie. Zostawiła drzwi otwarte, po czym zniknęła w mrokach mieszkania. Gdy tylko odeszła, przez uchylone drzwi wystawił łepkę smukły czarny kot. Węszył. Przez głowę McLeana przemknęła szalona myśl, że staruszka jest czarownicą i przemieniła się w to stworzonko. W tej postaci łatwiej było snuć się nocami po ulicach Newington, zaglądać przez okna i dzięki temu widzieć, co kto wyczynia. To z pewnością tłumaczyłoby, skąd pani McCutcheon wie tak dużo o tym, co się dzieje w sąsiedztwie.

– Okropnie mi przykro z powodu pana babci.

Pani McCutcheon pojawiła się znowu; dzierżyła w pomarszczonych, drżących dłoniach spory pakunek. Kot zaczął ocierać się o jej nogi, mało brakowało, a potknęłaby się o niego. Cóż, pomyślał McLean, ta teoria okazała się jednak niesłuszna.

– Dziękuję pani. To bardzo miłe z pani strony.

McLean odebrał pakunek, nim zdążyła go upuścić.

– Muszę panu powiedzieć, że nie miałam pojęcia, ile ona dokonała w swoim życiu. I że straciła syna, i... Och. – Popatrzyła mu w oczy, po czym jej spojrzenie powędrowało w stronę podłogi. – Och, strasznie mi przykro. Oczywiście, przecież to musiał być pana ojciec.

– Bardzo proszę, niech pani się tym nie przejmuje – odpowiedział McLean. – Bądź co bądź, to wszystko stało się bardzo dawno temu. A skąd się pani o tym dowiedziała?

– Jest artykuł w gazecie. – Znowu zniknęła w czeluściach mieszkania, żeby pojawić się po chwili z egzemplarzem „Scotsmana”. – Proszę, niech pan sobie weźmie. Ja już wszystko przeczytałam.

McLean podziękował, po czym wspiął się po krętych kamiennych schodach na ostatnie piętro, do swojego mieszkania. Na sekretarce błyskała wielka czerwona cyfra 2. Nacisnął guzik, odłożył pakunek i gazetę, podczas gdy nagrana taśma przewijała się od tyłu.

– Cześć, Tony, tu mówi Phil. Schowaj kajdanki do szuflady i wpadnij do pubu o ósmej. Jen zdradziła mi, że okazałeś się transwestytą i szukasz nowych sukienek, chciałbym poznać wszystkie szczegóły.

Maszyna wydała z siebie pisk, po czym odegrała drugą wiadomość.

– Inspektor McLean? Tu mówi Jonas Carstairs. Chciałem tylko potwierdzić, że pogrzeb

odbędzie się w poniedziałek o dwunastej. Zamówiłem samochód, który podjedzie po ciebie o jedenastej. Proszę do mnie dzwonić, gdybym mógł w czymś pomóc. Masz mój telefon domowy i numer komórki. Aha, w ciągu weekendu powinieneś dostać przesyłkę ode mnie. To tylko kopie wszystkich dokumentów prawnych i innych papierów dotyczących spadku po Esther. Pomyślałem, że może zechcesz się z nimi zapoznać. Szczegóły możemy omówić później.

McLean spojrział na pakunek. Widniała na nim pieczęć firmy Carstairs i Weddell. Otworzył i wyciągnął z koperty gruby plik papierów, wciąż jeszcze pachnących fotokopiarką. Kartka na samym wierzchu nosiła wykaligrafowany starannie tytuł: „Ostatnia wola”. Właśnie miał zacząć czytać, kiedy automatyczna sekretarka piknęła jeszcze raz.

– Proszę mi pomóc. Proszę mnie znaleźć. Proszę mnie uratować. Proszę. Proszę.

Od tego głosu przeszedł go zimny dreszcz. To była jakaś młoda kobieta, może dziewczyna. Dziwny akcent. Szkocki ze wschodniego wybrzeża, ale nie z Edynburga. Spojrział na sekretarkę, czerwone diody zdecydowanie sygnalizowały „2” – dwie wiadomości. Jeszcze raz nacisnął play, czekał niecierpliwie, aż taśma się przewinie. Rozległ się wesoły głos Phila, potem usłyszał wiadomość od Jonasa Carstairsa. A potem nic. Koniec. Maszyna kliknęła i zatrzymała się.

Przewinął i odsłuchał wiadomości jeszcze dwa razy. Za każdym razem tylko dwie. Poszedł do gabinetu, odnalazł w szufladzie biurka stary dyktafon, a potem jeszcze przez dziesięć minut szukał baterii. Umieścił w urządzeniu kasetę z sekretarki, odegrał ją od samego początku. Najpierw powitanie – czy jego głos naprawdę brzmi tak płasko i bezbarwnie? Potem krótka przerwa, a następnie wiadomość od Phila. Znowu przerwa, potem Jonas. Kilka starych wiadomości, które nie zostały jeszcze skasowane przez nowe, ale nic, co choćby odrobinę przypominało to, co słyszał albo wydawało mu się, że usłyszał. Nacisnął szybkie przewijanie do przodu. W ten sposób dyktafon odtwarzał wszystko, co zostało nagrane, ale w przyspieszonym tempie. Powinien usłyszeć tę dziewczynę. Jednak nie, była tylko przerwa, a potem, przez dobrych kilka minut, seria bardzo starych wiadomości. Później nic.

Czyżby mu się zdawało? Byłaby to bardzo dziwna halucynacja. W każdym razie taśma w przyspieszonym tempie przesuwiała się do przodu, urządzenie milczało aż do samego końca taśmy. Wyjął kasetkę, włożył drugą stronę.

– Witaj, to numer Tony’ego i Kirsty. Jesteśmy zbyt zajęci, by odebrać telefon, ponieważ walczyliśmy ze zbrodnią. Musisz zadowolić się pozostawieniem wiadomości po sygnale.

McLean z wolna opadł na kolana, bo mięśnie nóg nie były już w stanie utrzymać jego ciężaru. Niejasno zdawał sobie sprawę, gdzie się znajduje, z otoczenia, ale ten pokój nagle stał się ciemniejszy, niewyraźny. Jej głos. Ile lat upłynęło, odkąd ostatnio słyszał jej głos? To ostatnie, feralne, kłamliwe „do zobaczenia”. A przez cały czas jej głos był nagrany na taśmie w tej durnej maszynie.

Bez zastanowienia cofnął taśmę, odtworzył wiadomość jeszcze raz. Słowa odbijały się echem w pustym mieszkaniu, zgiełk dobiegający z ulicy jakby uciął. Rozejrzał się po pokoju. Na ścianach wisiały te same stare obrazki, na podłodze leżał ten sam dywan, teraz trochę zszargany, a pod nim były jasne, gładkie deski parkietu. Wąski stolik przy drzwiach, na którym trzymał telefon i klucze. Kupili ten stolik razem, na wyprzedzący w Duddingston. Jak to określił Phil? Że wiją sobie gniazdko. Tak mało się zmieniło w tym mieszkaniu od śmierci Kirsty. Odeszła nagle, nawet zostawiła po sobie głos.

Dzwonek domofonu wyrwał McLeana z melancholijnego zamyślenia. W pierwszej chwili zamierzał udawać, że nie ma go w domu. Mógłby spędzić cały wieczór, słuchając jej głosu i wierzyć, że może jednak wróci. Ale przecież wiedział, że to wykluczone. Widział jej zimnego trupa leżącego na chodniku. Patrzył, jak trumna na zawsze znika za ostatnią zasłoną. Sięgnął po słuchawkę domofonu.

– Tak?

To był Phil. McLean otworzył mu drzwi, przy okazji przemknęło mu przez myśl, że studenci pewnie wrócili i zabrali kamień przytrzymujący drzwi na klatkę. Wyszedł na podest, nasłuchiwał odgłosu kroków. Zdecydowanie więcej niż jedna para stóp, a więc Phil przyprowadził ze sobą Rachel. Podejrzane, bo jego stary kumpel zawsze wpadał sam na niespodziewane wizyty.

Po chwili znaleźli się w jego mieszkaniu wszyscy troje: Phil, Rachel i Jenny, śmiali się jeszcze z czegoś zabawnego, co któreś z nich powiedziało na schodach. Jednak śmiech umilkł aż nazbyt prędko.

– Jezu, Tony. Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

Phil wkroczył do wnętrza tak, jakby nadal tu mieszkał; kobiety zatrzymały się w korytarzu. Przez ułamek sekundy McLean złościł się z powodu ich obecności. Chciał być sam ze swoim żalem. A potem uświadomił sobie, że to głupota. Kirsty odeszła. Przecież pogodził się z tym dawno temu. Tyle że niespodziewanie usłyszał jej głos i to ścięło go z nóg.

– Chwila słabości, przepraszam. Wchodźcie, dziewczyny. Czujcie się jak u siebie w domu. Philowi nie muszę tego mówić.

Wrzucił dyktafon do kieszeni, wskazał im drzwi do dużego pokoju. Miał nadzieję, że panuje tam względny porządek. Właściwie nie pamiętał, kiedy ostatni raz tam był.

– Chcecie się czegoś napić?

McLeanowi dziwnie było z tym, że w jego mieszkaniu przebywają kobiety. Był przyzwyczajony do nieco szemranego towarzystwa Boba Gburka po szczególnie obfitym oblewaniu takiego czy innego zakończonego dochodzenia, od czasu do czasu wpadał też Phil – zazwyczaj gdy zerwał z którąś ze swoich studentek i musiał szukać ukojenia w butelce whisky. Nie pamiętał jednak, kiedy ostatni raz przyjmował gości. Lubił być tu sam, życie towarzyskie

wolał wieść w pubie. Dlatego też kuchnia była słabo zaopatrzona w wiktuały. Udało mu się znaleźć tylko sporą paczkę prażonych orzeszków ziemnych, jednak właśnie zbliżała się pierwsza rocznica upływu ich terminu przydatności do spożycia, zresztą, torebka wzduła się podejrzanie, niczym żołądek nieboszczyka.

– Co jest, Tony? Gdybym nie znał cię lepiej, sądziłbym, że próbujesz nas unikać.

McLean odwrócił się do stojącego w drzwiach Phila.

– Nie, szukam czegoś do żarcia.

McLean ostentacyjnie otworzył szafkę.

– Halo. To ja, Phil. Twój ulubiony współlokator, pamiętasz? Możesz wcisnąć kit policyjnemu psychologowi, ale ja znam cię za dobrze i zbyt dawno. Coś złego się z tobą dzieje. Chodzi o babcię?

McLean zerknął na plik dokumentów. Po przyjsciu do domu rzucił je na kuchenny stół, razem z raportami o włamaniach i teczką z materiałami dotyczącymi zamordowanej dziewczyny. Jeszcze jeden powód, dla którego wolał nie przyjmować gości. Nigdy nie wiadomo, na co mogą się natknąć.

– Nie, Phil. Nie chodzi o babcię. Straciłem ją półtora roku temu. Miałem mnóstwo czasu, żeby sobie z tym poradzić.

– Więc co cię dręczy?

– To. Trafiłem na to nagranie chwilę przed waszym przyjsciem.

McLean wyciągnął z kieszeni mały dyktafon, położył go na blacie i włączył.

– Jezu, Tony. Strasznie mi przykro. – Z twarzy Phila odpłynęła krew. Usiadł ciężko na jednym z kuchennych krzeseł. – Pamiętam tę wiadomość, słyszałem ją wiele razy, gdy do ciebie dzwoniłem. Boże, kiedy to było? Chyba z dziesięć lat temu. Ale jak to się stało?

McLean zaczął mu tłumaczyć i dopiero wtedy przypomniał sobie, co skłoniło go do przesłuchania taśmy: obcy głos dziewczyny. To musiało być urojenie, ale teraz stopiło się ze słowami wypowiedzianymi przez Kirsty w rozpaczliwe wezwanie od kogoś, kto dawno umarł, kto jest już daleko poza jego zasięgiem. Wzdrygnął się na tę myśl.

– Ej, chłopie. Przyda ci się towarzystwo. – Phil sięgnął po torbę orzeszków, zauważył, w jakim jest stanie i zaniósł na drugi koniec kuchni, po czym wrzucił do pustego pojemnika na śmieci. – Skoro Rachel i ja mamy dopomóc ci w opróżnieniu twojej znamienitej kolekcji butelek z winem, potrzebna będzie pizza.

– Czyli ty i Rachel... To coś poważnego?

– Czy ja wiem? Może i tak. Nie staję się z roku na rok młodszy, tylko odwrotnie. A ona jakoś wytrzymała ze mną dłużej niż większość dziewczyn. – Phil zaszurał butami, wetknął dłoń do kieszeni, całkiem nieźle odgrywając zakłopotanego uczniaka. McLean nie mógł powstrzymać

śmiechu i od razu poczuł się lepiej. Niemal w tej samej chwili z pokoju gruchnęła muzyka. *The Blue Nile* i utwór *Tinseltown in the Rain*, o wiele za głośno, potem nieco ciszej, ale i tak za głośno. McLean ruszył pospiesznym krokiem, zamierzał poprosić, żeby dziewczyny przyciszyły, ale przypomniał sobie bezsenne noce, jakie zafundowali mu studenci z mieszkania piętro niżej. Był piątek wieczór, wszyscy w kamienicy oprócz pani McCutcheon bawią się, a staruszka jest przecież głucha jak pień. Czym tu się przejmować?

Rachel siedziała płytko na sofie, chyba czuła się trochę skrępowana. Rozpromieniła się na widok Phila, który wszedł do pokoju zaraz za McLeanem. Jenny przycupnęła przed półeczką, przeglądała kolekcję płyt gospodarza. Była plecami do nich, a ponieważ muzyka grała na cały regulator, nie zauważyła, że się pojawili.

– Tony jest beznadziejnym starym kawalerem, w domu nie ma nic do jedzenia, tylko woda! – zawołał Phil, przekrzykując muzykę. – Trzeba będzie zamówić pizzę.

– Myślałam, że idziemy do pubu – powiedziała Rachel. Na dźwięk jej głosu Jenny odwróciła się, sięgnęła do pokrętki i przyciszyła muzykę.

– O, przepraszam. Nie powinnam tak się szarogęsić. Ja... – Urwała, zacerwieniła się.

– Daj spokój, nie ma sprawy – odpowiedział McLean. – Trzeba je czasami puszczać, bo inaczej zapleśnieją.

– Chyba nie znam nikogo innego, kto jeszcze miałby gramofon i w dodatku tyle płyt. Na pewno są warte fortunę.

– To nie jest żaden gramofon, Jen – zaproponował Phil. – To jest audiofilski zestaw Linn Sondek, wart nieco więcej niż produkt krajowy brutto przeciętnego afrykańskiego państewka. Musiałaś się naprawdę spodobać Tony’emu. Obciąłby mi ręce, gdybym chociaż dotknął tego sprzętu.

– Dobra, dobra, Phil. Wiem doskonale, że puszczałeś sobie na nim tę starą płytę Alison Moyet, kiedy tylko nie było mnie w domu.

– Alison Moyet! Obrażasz mnie, detektywie inspektorze McLean. Jestem zmuszony wyzwać cię na pojedynek, mój panie.

– Broń jak zwykle?

– Oczywiście.

– W takim razie przyjmuję wyzwanie.

McLean uśmiechnął się na widok zdziwionych i zaciekawionych min Jenny oraz Rachel. Phil zniknął i po chwili wrócił z dwiema gąbkami roślinnymi przyniesionymi z łazienki. Były suche jak pieprz i pokryte pajęczynami, nietknięte od wielu lat.

– Rachel będzie moją sekundantką. Jen, zechcesz wyświadczyć ten zaszczyt naszemu gospodarzowi? – Phil pokłonił się, podał jej jedną z gąbek. – W korytarzu, jak sądzę.

– Mówicie poważnie? – spytała Rachel. W tle Neil Buchanan zaczął śpiewać Stay, żalobny ton

jego głosu zabawnie kontrastował z coraz weselszym nastrojem towarzystwa.

– Jak najpoważniej, moja pani. Plama na honorze musi zostać zmyta.

Phil uroczystym krokiem pomaszzerował do korytarza, McLean ruszył za nim.

– Zaraz, co wy wyprawiacie? – spytała Jenny, gdy McLean związał chodnik. Postawił go w kącie długiego, wąskiego korytarza.

– Odbywamy pojedynkę na gąbki. W ten sposób rozwiązywaliśmy spory, kiedy byliśmy studentami.

– Faceci – westchnęła ciężko, podała mu broń i wycofała się na bezpieczną odległość, gdy tymczasem Phil zajął bojową pozycję w drzwiach kuchennych.

Kiedy pojawił się dostawca pizzy, nadal sprząтали bałagan po pojedynku. McLean nie był pewien, który z nich zwyciężył, natomiast zdecydowanie tak dobrze nie czuł się już od wielu dni. Jako cyniczny detektyw, doskonale zdawał sobie sprawę, że Phil z rozmysłem zaaranżował całą tę sytuację. W innych okolicznościach przyjaciel zjawiłby się znacznie później i najprawdopodobniej sam. Słuchaliby deprymującej muzyki, piliby single malta, narzekali na życie i powtarzali sobie wzajemnie, jak to się starzeją. Tymczasem on sprowadził obie siostry i zrobił z tego coś w rodzaju imprezy, jakby stygę ku czci Esther McLean, i to w takim stylu, jaki jego babcia bez cienia wątpliwości uznałaby za najwłaściwszy.

McLean nie był już co prawda tak całkiem pewien, czy akurat Jenny przypadłaby babci do gustu. Była trochę starsza od siostry, a więc pewnie w tym samym wieku co on. Nie miała na sobie takich ciuchów jak w sklepie, przebrała się w normalny strój, czyli dżinsy i zwykłą białą bluzę. Bez makijażu, który zapewne stanowił część jej roboczego uniformu, wyglądała atrakcyjnie, choć oczywiście w dojrzałym typie. Zastanawiał się, dlaczego wcześniej nie zwrócił na nią uwagi. Może z tego powodu, że oświetlenie w Newington Arms trudno było uznać za korzystne, albo raczej dlatego, że wtedy jego myśli krążyły głównie wokół zmasakrowanych zwłok.

– Co się tak zadumałeś?

Obiekt jego rozmyślań pochylił się i sięgnął po kolejny kawałek pizzy. Phil i Rachel pogrążeni byli w dyskusji na temat jakiegoś filmu.

– Proszę? A, przepraszam. Trochę odpłynąłem.

– Zauważyłam. Z rzadka bywasz obecny tu i teraz. A więc gdzie byłeś, inspektorze? – użyła tego służbowego tytułu żartobliwie, ale niechący trafiła w samo sedno.

Nawet przy winie i pizzy, nawet podczas towarzyskiego spotkania sprawy zawodowe nie dawały mu spokoju, nieustannie pojawiały się w tle.

– Cóż, zastanawiałem się, czy twoja siostra sprawi, że mój przyjaciel stanie się porządnym człowiekiem.

– Oj, wątpię. Z reguły miała raczej demoralizujący wpływ na wszystkich.

– Może powinienem Phila przed nią ostrzec?

– Obawiam się, że na to już za późno.

– A nie przeszkadza ci, że zadaje się z facetem starszym od siebie?

– E tam, zawsze miała słabość do kumpli naszego brata, a Eric jest pewnie starszy od was obu.

– Czyli jest spora różnica wieku między tobą a rodzeństwem?

– Można powiedzieć, że Rae to owoc szczęśliwego przypadku. Miałam dziesięć lat, kiedy przyszła na świat, a Eric czternaście. A ty, Tony? Masz jakichś zatajonych braci?

– O ile wiem, to nie. Gdyby po świecie snuli się inni McLeanowie, babcia nie omieszkalaby mnie o nich poinformować.

– Ojej, przepraszam. To było niedelikatne z mojej strony. Phil powiedział mi, że... Że odeszła.

– Jenny wyprostowała się i splotła dłonie, wyraźnie zawstydzona.

– Daj spokój, wolę o niej rozmawiać, niż udawać, że nie ma tematu. Dostała udaru półtora roku temu. Od tamtego czasu była pogrążona w śpiączce, z której nigdy się nie wybudziła. Czyli tak naprawdę nie żyje od osiemnastu miesięcy, tylko nie można było jej pogrzebać.

– Byłeś do niej bardzo przywiązany, prawda?

– Moi rodzice zginęli, kiedy miałem cztery lata. Babcia nigdy nie skarżyła się, że musiała mnie wychowywać, chociaż straciła jedyne syna. Zawsze mogłem na nią liczyć, nawet... – Przerwał mu dźwięk dzwonka telefonu, dochodzącego z korytarza. Przez chwilę nawet myślał, żeby nie odebrać, ale przypomniał sobie, że wyjął kasetę z sekretarki i znów napłynął strumień wspomnień. – Przepraszam, to może być z pracy.

Sięgając po słuchawkę, McLean zerknął na zegarek. Było już po jedenastej, wieczór upłynął jak z bicza strzelił.

– McLean.

Dołożył starań, by w jego głosie nie słychać było rozdrażnienia. Zresztą, o tej porze mogli dzwonić do niego tylko w jednej sprawie.

– Nie jesteś nawalony, co?

Przez telefon głos Duguida zabrzmiał jeszcze bardziej nosowo niż zazwyczaj. McLean dokonał szybkiego rachunku sumienia, ale nie – wypił najwyżej pół butelki wina w ciągu trzech godzin. A poza tym nie pił na pusty żołądek, jadł przecież pizzę.

– Nie, szefie.

– Świetnie. Wysłałem po ciebie samochód. Pewnie zaraz będzie na miejscu.

Jakby za sprawą przewrotnej magii, odezwał się dzwonek domofonu.

– A co się stało, szefie? To coś tak ważnego, że nie może poczekać do rana?

Zdawał sobie sprawę, jakie głupie pytanie zadaje. Może jednak wypił odrobinę za dużo?

– Kolejne morderstwo, McLean. Czy to dla ciebie sprawa wystarczająco ważna, żebyś zechciał się pofatygować?

Posterunkowa Kydd przez całą drogę nie odezwała się ani słowem, w związku z czym McLean domyślał się, że i ona tego wieczoru nie miała być na służbie. Z początku zamierzał wypytać ją, aby dowiedzieć się czegoś więcej ponad to, co oznajmił mu Duguid, ale zorientował się, że dziewczyna jest strasznie wkurzona, a nie chciał, by wyładowała się właśnie na nim.

Nie jechali zresztą długo, zaledwie kilka minut. Niebieskie światła wozów patrolowych odbijały się od kocich łbów na Royal Mile. Nieumundurowani policjanci starali się trzymać na dystans ciekawskich gapiów, głównie imprezowiczów piątkowego wieczoru, którzy chętnie zobaczyliby, co się dzieje. Posterunkowa zaparkowała pośrodku zagrodzonej drogi, a McLean skierował się do furgonetki ekipy technicznej. Została zaparkowana tak blisko, jak tylko było to możliwe przy wejściu do wąskiej alejki między dwoma domami. W przyćmionym świetle zobaczył szereg zaopatrzonych w kółka pojemników na śmieci, upchanych za płotem i bramką z kutego żelaza. Za nimi kilka płytkich stopni prowadziło do bramy kamienicy.

– Gdzie jest nadinspektor Duguid?

McLean pokazał swoją kartę jednemu z posterunkowych rozwijających niebiesko-białą taśmę.

– Nie mam pojęcia, panie inspektorze. Tutaj go nie widziałem. Techniczni i doktor są już na górze.

Funkcjonariusz wyciągnął rękę i wskazał palcem ostatnią kondygnację czteropiętrowego budynku.

Świetnie, cholera, pomyślał McLean. To dokładnie w stylu Dagwooda, żeby posłać kogoś, kto ma wolny wieczór, a samemu nie ruszyć dupska. Obszedł furgonetkę i już miał wejść po schodkach, kiedy w nocnym zgiełku usłyszał donośny głos:

– Ej, tam! Gdzie się pchasz, durniu?

McLean znieruchomiał, obejrzał się i zobaczył ubraną w biały kombinezon postać, wynurzającą się z mrocznych czeluści furgonetki. Kiedy znalazła się w plamie światła, rozpoznał Emmę Baird. Omal nie upuściła trzymanej w ręce torby.

– O rany! Przepraszam pana. Nie wiedziałam, że to pan.

– Nic się nie stało. Rozumiem, że jeszcze nie skończyliście?

Faktycznie, wyszedł na zupełnie durnia. Powinien był to sprawdzić, a nie od razu pakować się jak debil do środka.

– Proszę przynajmniej włożyć kombinezon, rękawiczki też. Koledzy nie będą zachwyceni, jeżeli będą musieli pobrać próbki jeszcze i z pana ubrania. Jak może pan wie, chodzi

o wyeliminowanie śladów nieistotnych dla śledztwa.

Cofnęła się do samochodu, po chwili pojawiła się z białym zawiniątkiem. McLean wcisnął się w kombinezon, założył ochraniacze na buty oraz lateksowe rękawiczki, po czym pomaszzerował za policjantką z ekipy technicznej na górę po krętych, wąskich schodach.

W dzień na podeście ostatniego piętra musiało być bardzo jasno, bo cały dach był przeszklony; jednak w nocy jedyne oświetlenie stanowiły dwa kinkiety umieszczone na ścianie przy wejściu do dwóch mieszkań. Drzwi do obu były otwarte, smugi krwi na biało pomalowanych ścianach sprawiały, że nie sposób było odgadnąć, w którym doszło do zabójstwa. McLean poszedł więc za Emmą Baird, ta jednak zatrzymała się przy drzwiach, przez które właśnie miała wejść.

– Idę pobrać odciski palców od świadka. Zwłoki znajdzie pan tam. – Wskazała mu drugie mieszkanie.

McLean znowu poczuł się jak idiota, który nie ma pojęcia o procedurach obowiązujących na miejscu zbrodni ani tak naprawdę właściwie w ogóle o policyjnej robocie. Skinął głową na znak, że zrozumiał, odwrócił się i przeszedł przez podest. Z wnętrza apartamentu dochodziły ściszone głosy. Zajrzał do środka. W korytarzu stał sierżant Andy Houseman bez ochronnego kombinezonu.

– Co masz dla mnie?

McLean skrzywił się, bo Wielki Andy drgnął gwałtownie.

– Jezus! O mało nie dostałem zawału. – Rosły sierżant rozejrzał się, rozpoznał inspektora i odsapnął z ulgą. – Dzięki Bogu, wreszcie detektyw. Od dwóch godzin usiłuję się porozumieć z kimś przez radio.

– Dostałem wiadomość dopiero dwadzieścia minut temu, więc nie do mnie te pretensje, Andy. Nawiasem mówiąc, to miał być mój wolny weekend.

– Przepraszam, szefie. Tyle że... No, siedzę tu już kawał czasu, a za przyjemnie nie jest.

McLean przyjrzał się korytarzowi mieszkania. Urządzony był na bogato, wręcz zagracony antykami. Ściany gęsto zawieszono obrazami, raczej sztuka nowoczesna. Przyjrzał się bliżej jednemu z nich.

– To Picasso, szefie. W każdym razie tak mi się wydaje. Nie znam się na tym.

– Dobra, Andy. Załóżmy, że nie wiem absolutnie nic o tym zabójstwie. Opowiedz o wszystkim od początku.

– Ja i posterunkowy Peters patrolowaliśmy High Street i w pewnym momencie otrzymaliśmy wezwanie, szefie. Mogła być mniej więcej dwudziesta pierwsza. Włamanie i napaść. Udaliśmy się pod wskazany adres. Bramka i drzwi frontowe były otwarte. Weszliśmy na górę, gdzie na podeście klatki schodowej zastaliśmy pana Garnera. Był w szlafroku.

– Pana Garnera?

– To sąsiad, szefie. On i pan Stewart byli dobrymi przyjaciółmi. Jak na moje wyczucie może nawet czymś więcej, ale to już nie moja sprawa, szefie.

– Pan Stewart?

McLean znowu poczuł się jak idiota, przeklinał w duchu Duguida, bo to przez niego znalazł się w niekomfortowej sytuacji.

– Ofiara, szefie. Niejaki pan Buchan Stewart. Jest tutaj.

Sierżant pokazał mu jedyne otwarte drzwi w korytarzu mieszkania, ale nawet nie drgnął, aby się do nich zbliżyć.

– Dobra, Andy. Przejmuję sprawę, ale ty nie uciekaj, zaczekaj na schodach. Opowiesz mi wszystko ze szczegółami.

Sierżant nie kazał sobie tego powtarzać, czym prędzej opuścił mieszkanie. McLean wszedł do pokoju.

Od razu w nozdrza uderzył go smród. To znaczy czuł go i przedtem, ale na zewnątrz był stłumiony. Teraz jednak w pełni poczuł metaliczną woń świeżo przelanej krwi. Znajdował się w prywatnym gabinecie zamożnego człowieka, tutaj również nie brakowało antyków i dzieł sztuki. Pan Buchan Stewart przejawiał gust poniekąd eklektyczny – dla każdego coś miłego. Tyle że teraz nie na wiele już mu się to zdało.

Siedział w fotelu w stylu królowej Anny, twarzą w stronę pokoju. Był nagi, przedtem musiał mieć na sobie piżamę i długi aksamitny szlafrok, ale ktoś zdjął je z niego, po czym ułożył schludnie na biurku. Krew spływająca z rany, ziejącej na szyi ofiary od ucha do ucha, poplamiała i skleiła kręcone siwe włosy na piersi. Głowa odchyliła się do tyłu, oczy patrzyły niewidzącym wzrokiem na ozdobne sztukaterie sufitu. Krew ściekała także z ust na podbródek.

– No proszę, nareszcie pojawił się ktoś z pionu śledczego.

Spojrzenie McLeana powędrowało niżej, ku kolanom zmarłego. Dopiero wtedy zauważył przykucniętego medyka i jego asystenta. Doktor Peachey nie zaliczał się do grona jego ulubionych lekarzy sądowych.

– Dobry wieczór, panie doktorze. – Postąpił niezdarnie krok do przodu, uważając, żeby nie wdepnąć w kałużę krwi, rozpościerającą się ciemną plamą wokół Buchana Stewarta. – Jak denat?

– Czekam tutaj od półtorej godziny na kogoś od was, żebyśmy mogli wreszcie zabrać stąd trupa. Gdzie się pan podziewał, do ciężkiej cholery?!

– Byłem w domu w towarzystwie przyjaciół. Popijaliśmy wino i zajadaliśmy się pizzą. Powiadomiono mnie o sprawie dokładnie pół godziny temu, panie doktorze. Przykro mi, że ktoś panu zepsuł piątkowy wieczór, ale nie jest pan w tym odosobniony. Podejrzewam zresztą, że również pan Stewart nie był zachwycony tym, co się wydarzyło. Krótko mówiąc, może jednak zechciałby mi pan powiedzieć, co udało się jak dotąd ustalić, doktorze?

Peachey spojrział zmrużonymi oczami na McLeana, na jego bladej twarzy malowała się wściekłość. Jednak z Angusem łatwiej się dogadać, pomyślał znużony McLean. Już takie moje szczęście, że trafiłem na tego mądrąłę.

– Przyczyna śmierci: najprawdopodobniej utrata znacznej ilości krwi. Gardło ofiary poderżnięto ostrym nożem. – Doktor Peachey mówił krótkimi zdaniami, same konkrety. – Poza tym brak bezpośrednich obrażeń, za wyjątkiem krocza. – Dźwignął się z podłogi i odsunął na bok, żeby odsłonić zwłoki. – Penis i moszna zostały usunięte.

– I co, zniknęły? Zabójca zabrał je ze sobą?

McLean poczuł, że pizza ciąży mu na żołądku, a wypite wino kwaśniej w mgnieniu oka. Doktor Peachey sięgnął po plastikową torebkę leżącą obok jego lekarskiego kuferka, podniósł ją do światła, żeby inspektor mógł się przyjrzeć. Zawartość w zdumiewającym stopniu przypominała wnętrzności, które – zapakowane w folię – znajduje się wewnątrz bożonarodzeniowego indyka.

– Ależ nie, zostawił. Tylko zanim sobie poszedł, wepchnął je ofierze do ust.

Timothy Garner był najwyraźniej w szoku. Miał skórę przezroczystą w taki sposób, jak zdarza się tylko bardzo starym ludziom; przypominała papier ryżowy, zakrywający żółte muskuły i niebieskie żyły. Posterunkowa Kydd siedziała z nim w jego schludnym mieszkaniu, a gdy do środka wszedł McLean, spojrzała na niego z nadzieją w oczach. Ciało Buchana Stewarta zostało już tymczasem zabrane do kostnicy, ekipa techniczna spakowała manatki, po czym wyniosła się, zabierając ze sobą wszystkie pojemniki na śmieci. Kogoś czekała niezła zabawa. Sierżant Houseman zmobilizował kilku mundurowych, żeby przesłuchali lokatorów, zajmujących mieszkania na niższych piętrach, pozostał więc jeszcze tylko świadek, który znalazł zwłoki i zawiadomił o przestępstwie.

– Panie Garner, jestem detektyw inspektor McLean.

Pokazał mu swoją kartę, ale starzec nawet na nią nie spojrzał. Gapił się w pustkę, jego dłonie z wolna wygładzały fałdy szlafroka na udach.

– Nie załatwiłabyś nam po filiżance herbaty?

– Tak jest.

Posterunkowa zerwała się, jakby ktoś ukłął ją w tyłek widelcem, i pospiesznie opuściła pokój. Należało z tego wnioskować, że towarzystwo pana Garnera nie należało do najprzyjemniejszych. McLean usiadł na jej miejscu, obok starszego pana.

– Panie Garner, muszę zadać panu kilka pytań. Mógłbym wrócić później, ale najlepiej załatwić to od razu, dopóki pamięta pan wszystko dokładnie.

Starzec nadal nie odpowiadał, dalej na niego nie patrzył, tylko powoli gładził uda dłońmi. McLean wyciągnął rękę i przykrył nią jedną z dłoni Garnera, żeby go powstrzymać. Dotyk wytrącił biedaka z tego dziwnego transu. Zejrzał się i powoli skupił spojrzenie się na twarzy inspektora. Pomarszczone powieki nabrzmiały od nagromadzonych łez.

– Powiedziałem mu, że jest skurwysynem i zdrajcą. To ostatnie, co ode mnie usłyszał.

Jego głos był cienki, wysoki, pobrzmiwał w nim miękki akcent z Morningside, który kontrastował z przekleństwem.

– Dobrze pan znał pana Stewarta, panie Garner?

– Och, tak. Buchan i ja poznaliśmy się jeszcze w latach pięćdziesiątych. No i wie pan, od tamtych czasów jesteśmy razem w biznesie.

– A jaki to biznes?

– Antyki, sztuka. Buchan ma oko, inspektorze. Potrafi wypatrzeć talent i chyba zawsze wie,

jakie są tendencje na rynku.

– Zauważyłem to, widziałem jego mieszkanie. – McLean rozejrzał się po salonie Garnera. Też wyglądał dostаточно, ale nie aż tak jak wewnątrz apartamentu jego współnika. – A pan, panie Garner? Jaką rolę pan pełnił?

– Ludzie nieprzeciętni potrzebują tła, lustra, żeby się w nim odbijać. – Garner przełknął ślinę, wydatna grdyka poruszyła się w jego cienkiej, żylastej szyi. – A Buchan to człowiek naprawdę nieprzeciętny... Powinienem chyba powiedzieć, że to był człowiek nieprzeciętny.

– A czy może mi pan zdradzić, o co się pokłóciliście?

– Buchan coś przede mną ukrywał, inspektorze. Tego jestem pewien. Tylko przez ostatnich kilka dni, ale ja go dobrze znam... Znałem.

– I doszedł pan do wniosku, że dopuścił się zdrady. Na czym miała polegać? Czy robił interesy z kimś innym?

– Można tak powiedzieć, panie inspektorze. Zdecydowanie podejrzewam, że w tę sprawę zamieszany jest jakiś inny mężczyzna.

– Może człowiek, który go zabił?

– Tego nie wiem. Może i tak.

– Widział pan tego mężczyznę?

– Nie. – Garner pokręcił głową, jakby chciał umocnić się w tym stwierdzeniu, jednak w jego głosie słychać było niepewność. McLean milczał, niech wątpliwości same dokonają tego, czego mają dokonać. – Trudno mi oczekiwać, żeby pan pojął, inspektorze. Jest pan jeszcze ciągle młody. Może kiedy będzie pan miał tyle lat co ja, zrozumie pan, o czym mówię. Buchan był kimś więcej niż tylko moim współnikiem w interesach. On i ja byliśmy...

– Parą? To nie przestępstwo, panie Garner. Już od dawna.

– Owszem, ale zawsze wstyd, czyż nie? Ludzie na ulicy tak dziwnie patrzą... Jestem skrytym człowiekiem, panie inspektorze. Zależy mi na mojej prywatności. A poza tym jestem za stary, żeby interesować się seksem. Myślałem, że z Buchanem jest tak samo.

– Ale teraz pan sądzi, że spotykał się z innym mężczyzną?

– Byłem tego pewien. Bo dlaczego nagle stał się taki tajemniczy? Dlaczego tak się niecierpliwil i chciał się mnie pozbyć?

Przez chwilę McLean nic nie mówił. W ciszy słyszał gulgotanie wody gotującej się w czajniku, brzęk łyżeczki o porcelanę.

– Proszę mi opowiedzieć, co się wydarzyło dziś wieczorem, panie Garner. Jak doszło do tego, że znalazł pan pana Stewarta.

Starzec znieruchomiał. Potem jego dłonie znów zaczęły poruszać się miarowo, zacisnął je w pięści, żeby się powstrzymać.

– Pokłóciliśmy się dziś po południu. Buchan chciał, żebym wyjechał na parę tygodni na targi sztuki do Nowego Jorku. Uważał, że to mi dobrze zrobi. Nawet załatwił bilety, hotel, wszystko. Chodzi o to, że całe lata temu wycofałem się z interesu. Nie miałbym siły na taką długą podróż, nie mówiąc już o uczestnictwie w aukcjach. Powiedziałem mu, że wolę zostać, a on niech jedzie. Zawsze miał o wiele więcej energii ode mnie.

– Pokłóciliście się. Jednak później udał się pan do jego mieszkania, żeby jeszcze z nim porozmawiać, czy tak?

McLean zorientował się, że starszy pan odchodzi od tematu, więc delikatnie naprowadził go z powrotem.

– Co takiego? Ach, tak, tak. To było koło dziewiątej, może kwadrans po. Nie lubię niedopowiedzeń, w dodatku rzuciłem parę ostrych słów, więc pomyślałem, że go przeproszę. Nieraz bywało, że siedzieliśmy do późna w nocy, czasem popijaliśmy brandy i gadaliśmy o ludziach i świecie. Mam klucz do jego mieszkania i mogłem wejść w każdej chwili. Tym razem nie potrzebowałem klucza, bo drzwi były otwarte na oścież. Poczulem brzydki zapach, jakby wybiła kanalizacja. Wszedłem i... O Boże, Boże...

Garner zaczął szlochać. W tym momencie do pokoju weszła posterunkowa Kydd z tacą, przyniosła imbryk i trzy filiżanki.

– Wiem, że trudno panu o tym mówić, ale bardzo proszę, niech pan spróbuje opisać, co pan zobaczył. Zdaję sobie sprawę, że to marna pociecha, ale kiedy opowie pan o tym, może panu nieco ulżyć.

Staruszek pociągnął nosem, ujął drżącymi dłońmi filiżankę i upił łyk herbaty z mlekiem.

– Siedział całkiem nagi. Myślałem, że coś sobie robi. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego siedzi nieruchomo, dlaczego patrzy w sufit. Potem zobaczyłem krew. Nie wiem, jak to się stało, że przedtem jej nie widziałem. Wszędzie pełno krwi.

– I co pan wtedy zrobił, panie Garner? Próbował pan ratować pana Stewarta?

– Że co? Ach, no tak. To znaczy nie. Podeszedłem do niego, ale zorientowałem się, że nie żyje. Chyba wykręciłem numer dziewięć, dziewięć, dziewięć. A następne, co pamiętam, to policjanta.

– Dotykał pan czegoś? To znaczy oprócz telefonu?

– Nie wiem... raczej nie. Dlaczego pan pyta?

– Pamięta pan policjantkę, która była tu wcześniej? Pobrała od pana odciski palców, żebyśmy mogli odróżnić je od odcisków pozostawionych w mieszkaniu pana Stewarta przez inne osoby. Jeżeli będziemy wiedzieć, czego pan dotykał, ułatwi nam to pracę. – McLean podniósł filiżankę do ust.

Garner uczynił to samo, upił spory łyk. Wzdrygnął się, gdy ciepła herbata spłynęła jego gardłem, wystające jabłko Adama podnosiło się i opuszczało za każdym przełknięciem. Jeszcze

przez chwilę siedzieli w milczeniu, potem McLean odstawił filiżankę na tacę. Zauważył przy okazji, że posterunkowa Kydd nie wypila ani kropli.

– Musimy zaprosić pana do komisariatu, żeby złożył pan oficjalne zeznania, panie Garner. Oczywiście nie teraz, to może poczekać do jutra – dodał, bo starszek już zamierzał wstać. – Przysię po pana samochód, który zawiezie pana i odwiezie z powrotem. Co pan powie na dziesiątą rano?

– Tak, tak. Oczywiście. Może być wcześniej. Pewnie i tak tej nocy nie zasnę.

– Czy jest ktoś, to mógłby dotrzymać panu towarzystwa? Jeżeli nie, może mógłby zostać z panem ktoś od nas?

McLean zerknął na posterunkową Kydd, która odpowiedziała mu gniewnym spojrzeniem.

– Nie. Dam sobie radę. Na pewno. – Garner znów opuścił dłoń, jednak tym razem po to, by się nimi podeprzeć i wstać. – Pewnie wezmę kąpiel. Zazwyczaj potem łatwiej mi usnąć.

– Dziękuję panu. Bardzo mi pan pomógł. – McLean podniósł się i podał starszemu panu rękę. – Przez całą noc mieszkania pana Stewarta będzie pilnował policjant. W razie jakichkolwiek kłopotów proszę zwrócić się do niego, a on porozumie się przez radio z komisariatem.

– Dziękuję panu, inspektorze. To bardzo uprzejme z pana strony.

Póki co, na podeście nie było nikogo. Drzwi naprzeciwko pozostały otwarte, jednak ze środka nie dochodziły żadne odgłosy. McLean ociężałe zszedł na dół, po czym wyszedł na ulicę, gdzie kręciło się jeszcze kilku mundurowych. Zagadnął sierżanta Housemana pilnującego bramy. Furgonetka ekipy technicznej dawno już odjechała.

– Jak tam rozmowy z lokatorami?

Wielki Andy wyciągnął notes.

– Większość mieszkań jest pusta. Należą do firmy leasingowej, która używa ich jako mieszkań służbowych dla zagranicznych gości i temu podobnych. Na parterze są dwa mieszkania, lokatorzy niczego nie słyszeli i nie widzieli, dopóki się nie pojawiliśmy. Aha, jest jeszcze mieszkanie w suterenie. Facet wrócił z dziewczyną jakieś pół godziny temu i trochę się wkurzył, kiedy poinformowaliśmy go, że nie może tak po prostu wejść do środka. No i tak się porobiło, że sierżant Gordon, który miał mu towarzyszyć, ma rozwalony nos, natomiast pan Cartwright spędzi nieco czasu za kratkami.

– Za napaść na policjanta?

– E tam. Za posiadanie. Najprawdopodobniej w celu zbycia. Można by sądzić, że facet, który ma przy sobie pół kilo haszu, wolałby raczej nie zadzierać z glinami.

– Rzeczywiście, nierozsądne z jego strony. Nawiasem mówiąc, miałeś rację.

– Poważnie? Ale w jakiej sprawie?

– Jeżeli chodzi o Buchana Stewarta i Timothy'ego Garnera. Swoją drogą, trochę dziwny układ.

Mieszkali osobno, ale na tym samym piętrze.

– Świat jest pełen dziwnych ludzi, szefie. Czasami myślę sobie, że tylko ja jestem normalny.

– Może i tak, Andy. – McLean spojrział na zegarek, zbliżała się druga nad ranem. – Chyba na dzisiaj wystarczy, zrobiliśmy, co się dało. Zostaw dwóch ludzi na straży. Mamy tu potencjalnego świadka, nie chciałbym, żeby morderca wrócił i spróbował go uciszyć.

– Czyli co, nie uważa go pan za podejrzanego? Znaczący tego Garnera?

– Raczej nie, chyba że byłby wyjątkowo dobrym aktorem. Na moje wyczucie to coś poważniejszego niż sprzeczka kochanków z nieszczęśliwym zakończeniem. W tej chwili Garnera nie da się porządnie przesłuchać. Obawiam się, że pobyt w celi też nie zrobiłby mu dobrze. – McLean popatrzył na okna ostatniego piętra, z których sączyło się światło. – Nie sądzę, żeby dokąś się wybierał tej nocy. Niech się trochę uspokoi, pogadam z nim rano. Powiedz tym pechowcom, którzy będą pełnili tutaj straż, że on tam jest. Gdyby chciał się dokąś wybrać, niech jeden z nich mu towarzyszy. W porządku?

– Tak jest, szefie.

Wielki Andy odszedł ciężkim krokiem. Po chwili gromkim głosem rzucił kilka poleceń obecnym jeszcze na miejscu policjantom. McLean spojrział w stronę posterunkowej Kydd, która stłumiła ziewnięcie.

– Myślałem, że byłaś na dziennej zmianie.

– Nie byłam, jestem.

– Jak to się stało, że cię w to wrobili?

– Uczylaam się w jednym z gabinetów w komisariacie, szefie. Tak się składa, że u mnie w domu raczej trudno o ciszę, a zwłaszcza w piątek wieczorem. Wtedy najlepiej poszukać sobie innego miejsca, jeżeli chce się mieć nieco spokoju.

– Aha, już się domyślam. Duguid cię wytropił, a potem posłał po mnie. Nie wiesz przypadkiem, dlaczego sam się nie pofatygował?

– Wolę się nie domyślać, szefie.

McLean uznał, że dalsze wypytywanie policjantki nie ma żadnego sensu. W końcu to nie jej wina, że i ona, i on mieli zepsuty piątkowy wieczór. Prędzej czy później i tak się dowie, dlaczego ta sprawa właśnie jemu się dostała.

– Dobra, w takim razie wracaj do domu i prześpij się trochę. Nic się nie stanie, jeżeli jutro nieco się spóźnisz. Załatwię to z dyżurnym sierżantem, żeby coś tam zakombinował w księdze dyżurów.

– Dzięki, szefie. – Posterunkowa odpowiedziała mu znużonym uśmiechem. – Podrzucić pana do domu?

– Nie, dziękuję. – McLean popatrzył na High Street.

Mimo późnej godziny snuło się sporo ludzi. Imprezowicze wracali z pubów, wychodzili z nocnych klubów, kebaby i hamburgery sprzedawały się wciąż w hurtowych ilościach. To miasto nigdy tak naprawdę nie zasypia, pomyślał. A gdzieś tam krążył zabójca, który odciął część ciała swojej ofiary i wepchnął ją w usta nieboszczyka. Tak samo stało się z Barnabym Smythe'em. Zbieg okoliczności? Naśladowca? McLean potrzebował czasu, powietrza i dystansu, żeby to wszystko przemyśleć.

– Przejdę się, mam blisko.

Przespacerował się dwa i pół kilometra dzielące go od kamienicy, w której mieszkał. Szczęśliwie u siebie nikogo nie zastał. Co prawda, lubił towarzystwo, ale wolał zgubić się w tłumie. A za najgorszą sytuację uważał przebywanie z kimś sam na sam szczególnie wtedy, gdy do głosu dochodziła jego zawodowa osobowość. Pojawiało się wtedy zbyt wiele ewentualności i przeciwieństw, by naprawdę cieszyć się czyjąś obecnością. Szczerze mówiąc, nawet gdyby nie wrócił z miejsca wyjątkowo brutalnego morderstwa, wolałby własne towarzystwo.

W zasadzie sobota miała być wolna. Nie, żeby McLean snuł jakieś plany, ale nie zamierzał znaleźć się o wpół do dziewiątej na komisariacie, w dodatku mając za sobą tylko cztery godziny niespokojnej drzemki. Przeglądał na monitorze komputera cyfrowe zdjęcia z miejsca zbrodni. Zdołał stwierdzić, że trzeba je wydrukować, bo na niewielkim ekranie trudno cokolwiek dojrzeć. Wysłał je więc na drukarkę znajdującą się w korytarzu, mając nadzieję, że chociaż raz wystarczy papieru i toner nie skończy się w połowie drukowania, po czym wstał, aby wziąć wydruki.

– O, jesteś, Tony. Liczyłam na to, że cię zastanę.

McLean drgnął nerwowo, widząc idącą korytarzem w jego stronę Jayne McIntyre. Nie najkorzystniej wyglądała w mundurze i przemknęło mu przez myśl, że chyba przybrała na wadze.

– Tak, pani komendant?

– Wiem, że zeszłej nocy zająłeś się sprawą Stewarta. Dziękuję.

Szła teraz obok niego korytarzem.

– Jak to się stało, że nie było nikogo, kto by się tym zajął?

– A, no tak. Co prawda, nadinspektor Duguid jak najbardziej chciał wziąć to dochodzenie, ale kiedy tylko się dowiedziałam, musiałam nalegać, żeby przekazał je komu innemu.

– Dlaczego?

– Bo Buchan Stewart to... był jego wuj.

– Aha.

– Tak więc to wyraz uznania z jego strony, że wybrał właśnie ciebie. Wiem przecież, że za sobą nie przepadacie.

– Oględnie mówiąc, pani komendant.

– Cóż, moje stanowisko poniekąd zmusza mnie do wyrażania się oględnie. Natomiast zależy mi na tym, żeby podlegli mi oficerowie byli w stanie ze sobą współpracować. Spraw się jak należy, Tony, a Dagwood na pewno ci odpuści, cokolwiek ma przeciwko tobie.

Pierwszy raz słyszał, by pani McIntyre posłużyła się przezwiskiem nadinspektora, i nawet uśmiechnął się leciutko, bo pani komendant tym samym dawała mu do zrozumienia, iż darzy go zaufaniem oraz że istnieje między nimi coś w rodzaju porozumienia. Jednak tak naprawdę po prostu nie rozumiała, skąd bierze się wzajemna niechęć dwóch detektywów. Otóż McLean nie lubił Duguida, ponieważ nadinspektor był po prostu kiepskim śledczym. A Duguid nie lubił jego, ponieważ sam o tym dobrze wiedział.

– Co udało ci się ustalić? – spytała McIntyre.

– Na razie stawiamy pierwsze kroki. Skłaniam się jednak do stwierdzenia, że motywem była zazdrość. Nic wartościowego nie skradziono, a więc nie chodziło o rozbój. Poza tym Stewart był nagi, co może sugerować, że zamierzał uprawiać seks. Był homoseksualistą, niewykluczone, że ostatnio znalazł nowego partnera. Jak dla mnie, nowy kochanek jest głównym podejrzanym. Nie wiem, ale domyślam się, że to ktoś od niego młodszy, może nawet dużo młodszy.

– Są świadkowie? Zapisy z monitoringu?

– Nie, nikt w kamienicy niczego nie widział. Detektyw posterunkowy MacBride sprawdza właśnie zapisy z monitoringu, ale jedyna kamera obejmująca ten dom znajduje się dosyć daleko. Może dowiemy się czegoś więcej, kiedy patolog bliżej określi czas zgonu.

– A co z facetem, który nas wezwał?

– Timothy Garner. Mieszkał obok, na tym samym piętrze. Był partnerem Stewarta, zarówno w interesach, jak i... no, osobistym.

– Mógł to zrobić?

– Nie sądzę. Ma zresztą pojawić się tutaj około dziesiątej, żeby złożyć zeznanie, jednak może lepiej będzie, jeżeli pojedę do niego i przesłucham go w domu. Będzie się czuł swobodnie.

– Dobra myśl. A przy okazji, tak będzie dyskretniej. Coś mi mówi, że nadinspektor Duguid potrafi to docenić. – McIntyre mrugnęła porozumiewawczo do McLeana. – Widzisz, Tony, jak się postarasz, jeszcze będzie z ciebie dyplomata.

Smugi krwi na ścianach klatki schodowej w świetle dziennym, padającym obficie przez przeszklony dach, nie wyglądały już złowrogo i nie rzucały się aż tak bardzo w oczy. Przed drzwiami apartamentu Buchana Stewarta stał policjant. Sprawiał wrażenie śmiertelnie znudzonego, jednak stanął na baczność na widok wchodzącego po schodach inspektora. Za McLeanem wlokła się posterunkowa Kydd, na którą znowu wypadło, i ponownie była tego dnia jego kierowcą.

– Ktoś przychodził, ktoś wychodził? – spytał.

– Nie, szefie.

– To dobrze. – Zapukał delikatnie do drzwi mieszkania Garnera. – Panie Garner? Tutaj inspektor McLean.

Żadnej odpowiedzi. Zapukał mocniej.

– Panie Garner? – McLean odwrócił się do dyżurnego policjanta. – Nie wychodził, prawda?

– Nie, szefie. Jestem tutaj od siódmej i przez ten czas nic się nie działo. Phil, to znaczy posterunkowy Patterson, był przede mną. Powiedział, że przez całą noc panowały cisza i spokój, jak w grobie.

McLean zapukał jeszcze raz, po czym nacisnął klamkę. Drzwi otworzyły się bezgłośnie, ujrzał

mroczny korytarz.

– Panie Garner? – Po plecach przeszedł mu zimny dreszcz. A co, jeżeli staruszek umarł w nocy na zawał? Przywołał posterunkową Kydd. – Chodź ze mną – polecił i wszedł do środka.

W mieszkaniu panowała cisza, jeżeli nie liczyć tykania starego szafkowego zegara, stojącego w korytarzu. McLean udał się do salonu, w którym przesłuchiwali Garnera, a posterunkowa Kydd poszła dalej wąskim korytarzem, przypuszczalnie prowadzącym do kuchni. Starszy pan nie siedział w fotelu, na którym widzieli go ostatnio, nie było go też w gabinecie, czyli w następnym pomieszczeniu, do którego z korytarza zajrzał McLean. Tam również było czysto, panował porządek, na blacie biurka nie było niczego oprócz lampy ze szklanym zielonym kloszem. Była zapalona, światło padało na pojedynczą kartkę papieru. Kilkoma krokami przemierzył pokój, teraz jego umysł pracował na pełnych obrotach. Pochylił się i przeczytał starannie wykaligrafowane słowa:

„Zabiłem bliską duszę, mojego ukochanego, mojego przyjaciela. Nie było to moim zamiarem, lecz los zrzucił inaczej. Nie mogłem już z nim być, lecz teraz okazuje się, że nie potrafię żyć bez niego. Słowa te kieruję do kogokolwiek, kto znajdzie ten list”.

W ciszy zalegającej mieszkanie rozległ się cichy okrzyk. McLean wybiegł z gabinetu.

– Gdzie jesteś? – zawołał.

– Szefie. Tutaj!

Przebiegł przez hall, potem wąskim korytarzem. Już wiedział. Posterunkowa Kydd stała w drzwiach łazienki, blada na twarzy. Delikatnym ruchem odsunął ją na bok i wszedł.

Timothy Garner, tak jak zapowiadał, nalał wody do wanny, a potem wszedł do niej i podciął sobie żyły.

– Szybka akcja, Tony. Chyba nawet pobieś rekord Duguida.

Pani komendant McIntyre przysiadła na skraju biurka, nie było tam na czym usiąść, jeżeli nie liczy krzesła, które zajął McLean. Sprawiała wrażenie całkiem zadowolonej, bo przecież nie ma nic lepszego niż szybki wynik dochodzenia, który poprawia statystyki – a wszak statystyki to czynnik, którego nie wolno zaniedbywać. Jaka szkoda, że nie mógł podzielać jej entuzjazmu.

– Myślę, że on tego nie zrobił, pani komendant.

– Jak to? Przecież zostawił list z przyznaniem się do winy.

– Owszem, list zostawił.

McLean podał jej kartkę formatu A4, wydruk cyfrowej fotografii przedstawiającej ostatnie słowa Timothy'ego Garnera. Rzecz jasna, oryginał zabrali techniczni, żeby „zrobić testy”. Mógłby im powiedzieć, żeby nie zawracali sobie głowy, bo szkoda czasu. Z badań na pewno wyniknie, że list został napisany charakterem pisma Garnera. Na papierze nie będzie innych odcisków palców, tylko analiza śladów płynu, w którym rozmyły się ostatnie litery, wykaże, iż były to prawdopodobnie lzy zmarłego.

– „Zabiłem bliską duszę, mojego ukochanego, mojego przyjaciela”. Przecież to oczywiste wyznanie winy. Sam mówiłeś, że pokłócili się, bo zdaniem Garnera, Stewart zrobił sobie skok w bok. Owszem, dosyć brutalne morderstwo jak na kulturalnego starszego pana, ale z drugiej strony, zbrodnie w afekcie często są brutalne. A potem, kiedy dotarło do niego, co zrobił, nie potrafił już z tym żyć.

– Nie wiem, nie wiem. Jakoś mi to wszystko nie pasuje. Poza tym napisał to takim kwiecistym stylem... Może winił się za to, że przez kłótnię pchnął Stewarta w ramiona mordercy czy coś w tym rodzaju.

– Daj spokój. Miał motyw i narzędzie zbrodni.

– Czy aby na pewno? Techniczni nie zdołali stwierdzić, czy brzytwa, którą podciął sobie żyły, jest tym samym narzędziem, którym został zabity Stewart. Stwierdzili tylko, że owo narzędzie zbrodni było bardzo ostre.

– Odsuść sobie, Tony. Dobrze? Widziałeś taśmy z monitoringu. Przez godzinę przed czasem zgonu i przez godzinę po nim nikt nie wchodził i nikt nie wychodził z budynku. Nie ma żadnych świadków, a najbardziej prawdopodobny sprawca po prostu przyznał się do winy i popełnił samobójstwo. Nie ma co w tym dalej gmerać.

McLean odchylił się, usiłując się wygodniej na krześle, i podniósł wzrok, żeby spojrzeć na

szefową. Jasne, że miała rację. Timothy Garner najlepiej nadawał się na podejrzanego.

– A co z odciskami palców? Nie wszystkie pasowały do Garnera.

– Nie pasowały dlatego, że były kompletnie rozmazane i nie sposób ich było dopasować do kogokolwiek. Poza tym ślady krwi Stewarta znaleziono w umywalce w mieszkaniu Garnera, bo po prostu tam umył ręce. Na jego ubraniu również. Prawdopodobnie znalazłyby się również w wannie, tyle że akurat wannę wypełnił własną krwią. – McIntyre rzuciła wydruk listu samobójcy na biurko McLeana, obok cienkiej brązowej teczki, którą ze sobą przyniosła – raportu w sprawie morderstwa Buchana Stewarta. – Spójrz prawdzie w oczy, Tony. Z twojego własnego raportu wynika, że Garner zabił Stewarta, a następnie popełnił samobójstwo. W takiej formie sprawa wędruje do prokuratora i kropka. Sprawa zamknięta.

– A nie przypadkiem zatuszowana, żeby Duguid nie musiał tłumaczyć się przed wszystkimi, że miał wuja, który był gejem?

McLean zdał sobie sprawę, że mówi to niepotrzebnie. I rzeczywiście, McIntyre zeszywniała, wstała z biurka, poprawiła mundur.

– Będę udawała, że tego nie słyszałam, detektywie inspektorze. Tak samo jak zignoruję fakt, iż zostawiłeś Garnera samego w domu, chociaż wszystko wskazywało na to, że należy go umieścić w celi, a przynajmniej zostawić na miejscu funkcjonariusza, który dotrzymałby mu towarzystwa. A teraz podpisz ten raport i jazda stąd. Słyszałam, że masz być na pogrzebie?

Odwróciła się i wyszła.

McLean westchnął, przyciągnął do siebie cienką teczkę. Trochę był pod wrażeniem bury, jaką dostał od pani komendant, zdawał sobie przy tym sprawę, że się jej naraził, i teraz przez co najmniej parę dni będzie na niego krzywo patrzeć. Nadal jednak uważał, że za śmiercią Buchana Stewarta kryje się coś więcej. Również nie mógł przestać się winić za samobójstwo Timothy'ego Garnera. Rzeczywiście powinien był na noc kogoś z nim zostawić. Szlag, można go było przecież przymknąć jako podejrzanego. Właściwie, dlaczego tego nie zrobił?

Zerknął przez okno; na tle bladoniebieskiego porannego nieba kamienica wznosząca się za komisariatem wydawała się pogrążona w głębokim cieniu. Przeciągnął się mocno, aż zaboląły go mięśnie na plecach. Zamiast wolnego weekendu miał za sobą weekend długi i w większości nudny, bo głównie musiał czekać na wyniki sekcji Buchana Stewarta oraz na raporty ekipy technicznej. Wszystko wskazywało na winę Garnera, a jednak McLean nie potrafił się z tym pogodzić. Coś ścisnęło go w żołądku, kiedy przypominał sobie, jak rozmawiał z tym starym mężczyzną, dotknął jego dłoni, żeby go wytrącić z transu, jak słuchał jego opowieści. Do diabła, facet miał osiemdziesiątkę, ledwo powłóczył nogami. Skąd wziąłby siłę, żeby zabić? I żeby tak drastycznie okaleczyć?

Przecież w gruncie rzeczy to nieważne. Pani komendant McIntyre poleciła mu zamknąć

sprawę. Może i próbowała kryć Duguida, a może zainterweniował ktoś postawiony znacznie wyżej w hierarchii dziobania. Nieważne. Dopóki nie był w stanie pokazać nieodpartych dowodów na uczestnictwo w sprawie osób trzecich, dopóty dochodzenie z punktu widzenia wszystkich zainteresowanych jest zakończone. A wynik takowy prezentuje się doskonale w rocznych statystykach, w dodatku śledztwo nie było kosztowne. Wszyscy szczęśliwi. Za wyjątkiem Buchana Stewarta, który wylądował w chłodni, a obok jego przyrodzenie w plastikowej torebce. Za wyjątkiem Timothy'ego Garnera, bladego jak ściana, wykrwawionego niczym prosię na haku.

Tak, zwłaszcza Garnera.

Odsunął od siebie tę myśl. Otworzył teczkę i spojrzal na ścienny zegar. Tuż po dziewiątej, miał jeszcze pół godziny do przyjazdu samochodu, który go zabierze na cmentarz. Przebudził komputer z uśpienia i zaczął pisać. Skoro McIntyre chce zatuszować sprawę, trzeba to zrobić szybko i bezboleśnie.

Jest zagubiony, głodny, załęczniony. Ból wypełnia mu głowę. Nie może się skupić, trudno mu pamiętać, kim jest. Ręce ma obolałe, starte niemal do kości od mycia, a przecież wciąż są skalane. Teraz już nic nie zmyje brudu.

Było takie miejsce, do którego kiedyś chodził codziennie. Mieli tam wodę i jedzenie. Obrazy kłębią się w jego umyśle, ale jeden pozostaje. Namydłone ręce pocierają o siebie, z kranu leci ciepła woda. Rytmiczny rytuał, palce przesuwiają się między palcami, wnętrza dłoni razem, kciuki ocierają się o siebie. Zna to miejsce, ono jest blisko. Musi iść właśnie tam. Tam zdoła się oczyścić.

Ulice są jak wąwozy, wysokie budynki wznoszą się po obu stronach, zatrzymują światło, ale i tak panuje spiekota, żar jak w piecu. Samochody mijają go w pędzie, ich opony dudnią na kociach łbach. Jest im obojętny, one są mu obojętne. Teraz już ma dokąd iść, a kiedy już tam dojdzie, wszystko będzie dobrze. Wystarczy, że umyje ręce.

Schody prowadzące z ulicy. Są niczym góry dla jego osłabłych, obolałych nóg. Co on robił, że czuje się tak strasznie? Dlaczego nie pamięta, gdzie był? Dlaczego nie pamięta, kim jest?

Drzwi są szklane, rozsuwają się na jego widok, a raczej odsuwają, jakby nie mogły na niego patrzeć. Pomieszczenie za nimi jest przestrzenne i jasne, jest tam chłodniej, nie tak potwornie duszno jak na zewnątrz. Idzie krokiem niepewnym po lśniącej podłodze, rozgląda się, próbuje sobie przypomnieć, gdzie są te krany, gdzie to mydło. Patrzy na swoje dłonie, nagle boi się ich, lęka się, co mogą zrobić. Wpycha je w kieszenie; prawa dotyka czegoś twardego, gładkiego, odruchowo chwyta to coś.

Słyszy czyjś głos, nachalny głos, którego nie rozumie. Rozgląda się, nagle jest zbyt jasno, światło wbija się w oczy jak sztylety. Za biurkiem siedzi kobieta o białej twarzy, patrzy szeroko rozwartymi oczyma. Wydaje mu się, że chyba kiedyś ją znał. Za nią stoją mężczyźni w jasnych

garniturach, wyglądają jak marionetki, którym poprzecinano sznurki. Ich też chyba kiedyś znał. Wyjmuje rękę z kieszeni, bo chce do nich pomachać, pokazać poplamione dłonie, żeby wytłumaczyć im, że zamierza tylko umyć ręce. Jednak razem z ręką pojawia się też ten twardy, gładki przedmiot, a wraz z nim pamięć powraca.

I już wie, co musi zrobić.

Prawdopodobnie krematorium Mortonhall mało komu przyjemnie się kojarzy. Niewykluczone, że ogrodnicy, sprawujący pieczę nad otaczającą je zielenią, są dumni z efektów swoich działań, a pracownicy, którzy tak sprawnie kierują ruchem żałobników zmierzających na półgodzinne ceremonie do przydzielonych im pomieszczeń, zapewne czerpią ponurą satysfakcję z racji swojej uprzejmej biegleści. Jednak dla wszystkich innych to miejsce smutku, ostatnich pożegnań. McLean bywał tu o wiele zbyt często, żeby robiło to na nim większe wrażenie. Mógł dzięki temu z chłodnym spokojem obserwować zmiany, jakie zachodziły wraz z upływem lat.

Na pogrzeb jego babci nie przyszło zbyt wiele osób. Trudno było się temu dziwić, biorąc pod uwagę jej podeszły wiek oraz upodobanie do samotności. Phil razem z Rachel zajęli miejsca obok niego w pierwszej ławce, przyszła też Jenny, co było nieoczekiwane, ale miłe z jej strony. Jedynym przedstawicielem policji regionu Lothian i Borders był Bob Gburek, poza tym w ostatniej chwili pojawił się Angus Cadwallader. Jonas Carstairs siedział z uniesioną głową, wpatrzony w przestrzeń; być może słuchał, jak zatrudniony przez władze komunalne celebrans usiłuje głosić słowa pociechy przybyłym, żegnając kobietę, której nie znał. Kilkoro starszych przyjaciół babci McLean ledwo rozpoznał, siedzieli skupieni w małych grupkach tu i tam w przestronnej sali. Właściwie nie powinien się przejmować, że na to pożegnanie przyszło tak niewielu ludzi, ale jednak ucieszyło go, że pojawił się ktokolwiek. Poza tym, rzecz jasna, mógł się pocieszać myślą, że jego babcia przeżyła większość znajomych.

Na szczęście ceremonia trwała krótko, potem trumna zniknęła za zasłoną zaciągniętą nie dość szczelnie, by nie było widać, jak wędruje na rolkach w kierunku krematoryjnego miejsca przeznaczenia. Przypomniawszy sobie, jak był tu pierwszy raz; ogłupiały i zdezorientowany czterolatek patrzył na dwie drewniane skrzynie i tylko częściowo docierało do niego, że wewnątrz znajdują się jego rodzice. Zastanawiał się, dlaczego nie obudzą się i nie wstaną. Babcia była razem z nim, trzymała go za rękę. Starła się otoczyć go opieką, chociaż sama poniosła bolesną stratę. Zdążyła mu już wytłumaczyć spokojnie i logicznie, o co chodzi ze śmiercią. A on rozumiał, dlaczego to zrobiła, ale nie na wiele to się zdało. Myślał, że ujrzy otwierające się wrota paleniska, a za nimi płomienie, pełznące ku świeżej porcji paliwa. Koszmary dręczyły go jeszcze przez lata.

Wyszli przed frontowe wejście, przy którym spory tłumek czekał już, aby odprowadzić w zaświaty kolejnego nieboszczyka. Poranne powietrze znowu stawało się skwarne, słońce wzniosło się nad wysokie drzewa otaczające krematorium. McLean przywitał się z przybyłymi

na pogrzeb uściskiem dłoni, podziękował im za przyjście – trwało to jakieś pięć minut. Jak zauważył, Jenny Spiers trzymała się na uboczu, nie chciała dołączyć do pozostałych, tak więc on podeszedł do niej.

– Dziękuję, że przyszłaś.

– Szczerze mówiąc, właściwie nie wiedziałam, czy powinnam. Przecież nie znałam twojej babci.

Odgarnęła niesforny kosmyk. Przyjechała prosto ze sklepu, przynajmniej tak należało sądzić po jej ubraniu. Ciemna suknia, a więc w jak najbardziej stosownym tonie, natomiast prawdopodobnie był to ciuch, jaki na pogrzeb włożyłaby jego babcia, kiedy miała dwadzieścia lat. McLean ciekaw był, czy Jenny specjalnie wybrała taki strój. W każdym razie było jej w tej sukience do twarzy.

– Zawsze powtarzam, że przy takich wydarzeniach chodzi o żywych, nie o umarłych.

A zresztą, gdyby cię nie było, średnia wieku obecnych wyniosłaby koło setki.

– No nie, tak źle nie jest. Poza tym przyszła też Rae, a ma dopiero dwadzieścia sześć lat.

– Słusznie – przyznał McLean. – Wpadniesz na filiżankę zbyt długo zaparzonej herbaty oraz kanapkę z pastą rybną?

Ruchem głowy wskazał Balm Well po drugiej stronie ulicy, po czym podał jej ramię. Kilkoro starszych państwa w ciemnych garniturach i sukniach próbowało przedostać się na drugą stronę ulicy, aby w pełni skorzystać z ostatniej gościny zmarłej Esther McLean. Wspólnymi siłami udało im się przedrzeć przez sznur samochodów, razem też weszli do restauracji.

Jonas Carstairs zorganizował stypę jak należy, szkoda tylko, że przeliczył się, jeżeli chodzi o liczbę gości. Co więcej, jak zauważył McLean, starsi ludzie nie przejawiają zbyt wielkiego apetytu. Należało tylko mieć nadzieję, że obsługa lokalu przekaże komuś potrzebującemu pozostałe z posiłku resztki. Zapłacił za poczęstunek, ale to nie było tak ważne, natomiast byłoby mu przykro, gdyby jedzenie miało trafić do kosza na śmieci. Zresztą, babcia byłaby takiego samego zdania – gdyby nie fakt, że teraz była wolna od wszelkich trosk.

Pozostawił Jenny z Philem i jej siostrą, po czym odszedł, żeby porozmawiać z innymi żałobnikami, a więc przejawiać tyle gościnności, na ile było go stać. Większość z przybyłych powtarzała w rozmowie mniej więcej te same słowa o jego babci, kilkoro wspomniało jego rodziców. To był przykry obowiązek, który jednak należało spełnić, ale całkiem szczerze zatęsknił za pracą. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby zamiast być na stypie, siedzieć z posterunkowym MacBride'em w archiwum i przeglądać stopy raportów o zaginionych – raportów tak starych, że nikt nie zwracał sobie głowy wprowadzaniem ich treści do pamięci komputerów. Mógłby też spróbować się dowiedzieć, kto mieszkał i urządzał imprezy w latach czterdziestych w Farquhar House.

– Podsumowując, ceremonia wypadła całkiem znośnie. – McLean odwrócił się od ostatniego przykutego do wózka przyjaciela babci, którego nazwisko zapomniał niemal w tej samej chwili, kiedy je usłyszał.

Wyprostował się, żeby porozmawiać z Jonaszem Carstairsem. Adwokat trzymał w dłoni dużą szklanę whisky. Upił spory łyk.

– Może oprócz tego, że należało się spodziewać mniejszej liczby gości – podsunął McLean.

Zauważył, że na twarzy Carstairsa na chwilę zagościł dziwny wyraz, jakby znużenie połączone z niepokojem. Prawnik zerknął przez ramię i z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu McLean odniósł wrażenie, iż raczej kogoś wypatruje, niż szacuje liczbę przybyłych. Tak jakby spodziewał się jeszcze kogoś, kto jednak się nie pojawił.

– To zawsze trudno przewidzieć – stwierdził Carstairs.

– A oczekiwałeś kogoś konkretnego?

– Czasem zapominam, że ktoś tutaj z małego chłopca stał się detektywem, i to inspektorem.

– Carstairs uśmiechnął się blade. – Owszem, miałem kogoś na myśli. Mógłby przyjść, ale może nie wiedział.

– Znam tego kogoś?

– Och, bardzo w to wątpię. Chodzi o kogoś, kogo Esther znała, zanim wyszła za twojego dziadka. Przyjaźnili się. – Carstairs potrząsnął głową. – Kto wie, może od dawna nie żyje.

McLean już miał zapytać o nazwisko przyjaciela babci, gdy nagle przyszło mu do głowy coś innego.

– Pracowałeś kiedyś dla banku Farquhara?

Carstairs niemal zakrztusił się trunkiem.

– Skąd to pytanie?

– Nic takiego, chodzi o pewną sprawę, nad którą pracuję. Próbuję zorientować się, kto mieszkał w Farquhar House pod koniec drugiej wojny światowej.

– To dosyć proste. Najprawdopodobniej chodzi o starego Farquhara. Nazywał się Menzies Farquhar. Na przełomie wieków założył bank. Znałem jego syna, Bertiego. Pewnie o nim słyszałeś.

McLean pokręcił głową.

– Nie, nic mi to nie mówi.

– No jasne, zapomniałem, jak dawno to było. Pewnie jeszcze zanim się urodziłeś. Biedny Bertie. – Carstairs pokręcił głową. – Chociaż powinienem raczej powiedzieć: biedny głupi Bertie. Wjechał samochodem w ludzi na przystanku, zabił pewnie z pół tuzina osób. Dla rodziny byłoby to pewnie jeszcze cięższe przeżycie, gdyby przy okazji nie zabił samego siebie. Jednak po tym wypadku stary Farquhar już nie był tym samym człowiekiem. Zamknął rezydencję i przeniósł się

do apartamentu w Borders. O ile mi wiadomo, od tamtego czasu budynek stoi pusty.

– Już nie, w każdym razie nie na długo. Kupił go pewien deweloper i zamierza przerobić na luksusowy apartamentowiec czy coś w tym rodzaju.

– Doprawdy? – Carstairs podniósł szklanę do ust, by upić kolejny łyk, ale stwierdził, że już jest pusta. Ostrożnie odstawił ją na pobliski stolik, po czym wyciągnął z kieszeni na piersi białą chusteczkę i przyłożył ją do ust. – A któż, na litość boską, chciałby tam mieszkać? Lokalizacja, by tak rzec, nie zalicza się do najatrakcyjniejszych.

– W rzeczy samej, raczej nie.

– Proszę pana, panie Carstairs?

McLean odwrócił się, żeby zobaczyć, kto im przerywa. W pewnej odległości od nich, zachowując pełen uszanowania dystans, stał mężczyzna w ciemnym garniturze. Spoglądał wymownie na adwokata.

– Czy to nie może zaczekać, Forster?

– Obawiam się, że nie, proszę pana. Sam pan powiedział, żeby natychmiast dać znać, kiedy tamten się skontaktuje.

Carstairs zeszytywniał, na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju, coś jakby przelęknięcie w oczach ściganej zwierzyny. Szybko się opanował, nie na tyle jednak prędko, żeby McLean tego nie spostrzegł.

– Coś się stało?

– Tak, sprawy zawodowe. – Prawnik poklepał się po marynarce, jakby szukał czegoś w kieszeniach, zobaczył pustą szklanę na stoliku, podniósł ją, a potem chyba zorientował się, co robi. – Nadzwyczaj ważny klient. Bardzo mi przykro, Tony, ale muszę iść.

– Ależ oczywiście. Jestem wdzięczny, że w ogóle znalazłeś czas, żeby przyjść. W dodatku wszystko zorganizowałeś. – McLean wyciągnął rękę, aby uściśnąć dłoń Carstairsa. – Bardzo chętnie bym jeszcze z tobą porozmawiał. Nie ulega wątpliwości, że znałeś moją babcię o wiele lepiej niż ja. Może mógłbym wpaść któregoś dnia?

– Jasne, Tony. Kiedy tylko zechcesz. Masz mój telefon.

Mówiąc to, Carstairs uśmiechnął się, ale McLean nie mógł pozbyć się wrażenia, że adwokat nie mówił do końca szczerze.

Po zakończeniu przyjęcia pożegnalnego McLean podziękował kierowcy, którego zaangażował Carstairs, i odprawił go. Czekala go dość długa droga do domu, ale chciał zostać sam, bo miał sporo do przemyślenia, a myślało mu się najlepiej w rytm własnych kroków. Dopiero po półgodzinnym spacerze zorientował się, że nogi same niosą go do domu babci, nie do mieszkania w Newington. Już miał zmienić kierunek, ale uswiadomił sobie, że nie było go tam od dnia, w którym znaleziono ciało Barnaby'ego Smythe'a, więc jednak poszedł dalej.

Zanim babcia dostała udaru, McLean często ją odwiedzał, prosił ją o radę w takiej czy innej sprawie, szukając pomocy w rozwiązaniu problemów, z którymi nie mógł sobie poradzić. Najczęściej tak omawiała z nim temat, że w końcu dochodził do stosownej konkluzji. Bardzo cenił te spotkania i jej pomoc. Kiedy znalazła się w szpitalu, przestał lubić ten dom. Chodził tam jedynie z konieczności. Trzeba było spisywać liczniki, odbierać pocztę, sprawdzać, czy przypadkiem ktoś się nie włamał. W każdym razie traktował to jako uciążliwy obowiązek. Jednak teraz, gdy popioły babci powędrowały do ziemi, wydało mu się, że należy odwiedzić jej dom, który wkrótce stanie się jego własnością, gdy tylko uda się załatwić wszystkie formalności, a urząd podatkowy zgarnie swoje. A poza tym, kto wie, może ta wizyta pomoże mu uporać się z niektórymi problemami, których nie rozwiązałyby nawet bardzo długi spacer?

Późne popołudnie przerodziło się w wieczór, znajdował się z dala od centrum miasta, więc dochodzące stamtąd odgłosy ścichły, przekształciły się w jednostajny szum. Kiedy w końcu skręcił w uliczkę, przy której stał dom, poczuł się niemal jak na wsi. Rosłe jawory, rozsadzające korzeniami chodnik, także tłumili miejski zgiełk, również za ich sprawą szybko zapadający zmrok był ciemniejszy. W większości tamtejsze domostwa stały w oddali od ulicy, pośród dojrzałych ogrodów, jak milczące, mroczne masywy. Można było zaobserwować tylko nieliczne ślady życia, czasem rozlegało się trzaśnięcie drzwiami, przez jakieś otwarte okno dochodziły głosy – tylko to wskazywało, że nie był tam zupełnie samotny. Przez krótką chwilę czarny kot szedł z nim krok w krok po drugiej stronie ulicy, a kiedy był już pewien, że McLean go zauważył, dał susa i zniknął za wysokim kamiennym murem, dokładnie naprzeciwko bramy domu, do którego inspektor zdążał.

Żwirowy podjazd rozbrzmiewał pod stopami znajomym chrzęstem. McLean zbliżał się do budynku, który sprawiał wrażenie martwego, jakby był duchem, wychylającym spośród przerośniętych rabat, jednak gdy tylko znalazł się na terenie ogrodu, poczuł dobrze znajomy zapach. Wszedł kuchennymi drzwiami, ruszył prosto do konsoli alarmowej, wystukał kod, aby

wyłączyć wszystkie czujniki. Wpadło mu w oko logo firmy Penstemmin, co przypomniało mu, że musi przesłuchać instalatora, który montował system alarmowy w domu pani Douglas. Jeszcze jedna sprawa, której rozwiązania nieprędko się spodziewał. Przyszło mu na myśl, że to śmieszne, jak wiele instytucji finansowych prześciga się w oferowaniu pożyczek, kredytów i kart kredytowych zmarłym. Przerzucił stos śmieciarskiej korespondencji, która nagromadziła się przy drzwiach frontowych w ciągu kilku dni od jego ostatniej wizyty, odłożył na bok kilka listów, które mogły okazać się ważne, resztę wyrzucił do kosza. W hallu było ciemno, przecież zapadał wieczór, jednak wewnątrz biblioteki jeszcze rozjaśniał złotoczerwony blask zachodzącego słońca, odbijający się od wysoko płynących chmur.

McLean spędził kilka minut na zdejmowaniu białych pokrowców zakrywających większość mebli, poskładał je starannie i ułożył przy drzwiach. Biurko babci stało w rogu, płaski monitor i klawiatura wyglądały dziwnie niestosownie pośród antycznych mebli. Sprawami Esther zajmowała się kancelaria adwokacka, co jak najbardziej McLeanowi odpowiadało, natomiast zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później będzie musiał przekopać się przez pozostawioną przez babcię dokumentację, zarówno papierową, jak i elektroniczną. Uporządkować to wszystko. Już sama myśl wprawiała go w znużenie.

Nalał sobie szczerdę z kryształowej karafki, którą wydobyl z barku zręcznie ukrytego za grzbietami niby-książek. Uświadomił sobie, że woda w butelce musiała stać tam przez co najmniej osiemnaście miesięcy. Odkręcił, powąchał. Wydawała się w porządku, więc nalał kilka kropel do whisky. Upił łyk jasnobursztynowego napoju. Bez wątplenia z Islay, i to mocna. Dodał nieco więcej wody. Przypomniał sobie, że babcia miała słabość do lagavulin, więc być może kosztował właśnie beczkowy przysmak, dostarczony przez Malt Whisky Society. Już od dłuższego czasu nie pił tak wyrafinowanego trunku.

Ze szklanczką w dłoni McLean rozsiadł się w skórzanym fotelu z wysokim oparciem, stojącym przed pustym kominkiem. W bibliotece było ciepło, wysokie okna zapraszały do środka energię popołudniowego słońca. To zawsze był jego ulubiony pokój. Jakby sanktuarium, spokojna przystań, gdzie wśród ciszy mógł uciec od wielkomięjskiego szaleństwa zewnętrznego świata. Przyłożył głowę do miękkiego skózanego oparcia, zamknął oczy i pozwolił, by spłynęło z niego zmęczenie całego długiego dnia.

Obudził się w ciemności. Przez chwilę nie wiedział, gdzie się znajduje, potem pamięć wróciła. McLean miał już sięgnąć do włącznika lampy stojącej na stole obok stosu listów oraz zająć się niedopitą whisky, kiedy zdał sobie sprawę z tego, co go obudziło. Otóż usłyszał leciutkie skrzypienie desek podłogi – był pewien, że to nie było złudzenie. Oprócz niego ktoś inny przebywał w domu.

Siedział bez ruchu i wycęzał słuch, starając się nie zwracać uwagi na głośne łomotanie

własnego serca. Może jednak mu się wydawało? Dom był stary, belki i deski trzeszczały i stękały, kiedy zmieniała się temperatura. Tyle że do tamtych odgłosów przywykł, ponieważ wychował się przy ich wtórze. To było coś innego. Wypuścił powietrze z płuc, potem wstrzymał oddech. Pilnie nadstawił ucha. Nie był pewien, czy zamknął porządnie kuchenne drzwi. Owszem, tam był zatrask, ale przecież mógł go nie domknąć.

Coś brzęknęło metalicznie o porcelanę. W hallu stały dwie duże ozdobne wazy. McLean widział oczami duszy skradającego się intruza, który muska jedną z nich sygnetem noszonym na palcu. Teraz już wiedział, z której strony trzeba nasłuchiwać odgłosów, słyszał więc więcej: cichy oddech, szelest luźnego ubrania, dyskretny odgłos, jaki rozlega się, gdy bardzo ostrożnie kładzie się coś twardego na drewnianej powierzchni. Odgłosy były ciche, lecz nie na tyle, by miało to wskazywać, iż ktoś usilnie stara się nie robić hałasu – raczej te miękkie ruchy były sprawą przyzwyczajenia. Ktoś, kto znajdował się w hallu, spodziewał się zastać pusty dom. Zza krawędzi wysokiego oparcia fotela McLean spojrzał w stronę drzwi. Nie dostrzegł odbłasku światła, uznał więc, że tamta osoba albo poruszała się po omacku, albo zaopatrzona była w jakiegoś rodzaju noktowizor. Uznał, że ta druga opcja jest prawdopodobniejsza, co podsunęło mu pewien pomysł.

Przez biblioteczne okna sączyło się słabe światło nocy. Ciemne od grzbietów książek ściany pomieszczenia pochłaniały większą jego część. Było jednak na tyle jasno, że rozróżniał zarysy mebli. Poza tym znał rozkład pomieszczenia na pamięć i wiedział, które deski skrzypią – przy drzwiach i przy kominku. McLean zdjął buty, bezgłośnie odstawił je na bok, a potem najciszej, jak tylko mógł, na palcach zbliżył się do drzwi. Teraz słyszał wyraźniej, jak intruz przeszukuje hall. Czekał cierpliwie, w zupełnym bezruchu, oddychał płytko, regularnie.

Trwało to chyba całą wieczność, zanim tamten doszedł wreszcie do drzwi biblioteki, ale w końcu McLean ujrzał, jak mosiężna klamka zaczyna się poruszać. Czekał, aż drzwi uchylą się do połowy. Pojawiła się w nich głowa do połowy zasłonięta ciężkimi goglami. Błyskawicznym ruchem McLean włączył światło.

– O, kurwa!

Intruz znajdował się bliżej, niż McLean się spodziewał. Podniósł ręce, żeby zerwać z twarzy ciężką aparaturę, zanim ta wypali mu siatkówki. Nie czekając, aż włamywacz ochłonie po pierwszym zaskoczeniu, inspektor chwycił go za koszulkę i pociągnął mocno, podstawiając mu jednocześnie nogę. Obaj upadli na podłogę, mocowali się, McLean usiłował założyć mu chwyt.

– Policja! Jesteś aresztowany.

To nigdy nie działało, ale tego domagali się prawnicy. W odpowiedzi McLean oberwał łokciem w brzuch, aż go zatkało. Włamywacz szarpał się, wił, wrywał, wciąż jedną ręką usiłując zdjąć noktowizyjne gogle. Był cholernie silny, żyłasty pod czarną koszulką i džinsami, przy tym wcale

nie zamierzał łatwo się poddać. McLean zdołał objąć ramieniem jego szyję, wbijając jednocześnie kolano w plecy, tak właśnie ich uczyli w akademii policyjnej. Nie na wiele się to zdało, bo włamywacz wił się jak piskorz. Udało mu się przekręcić go tak, że znalazł się twarzą do McLeana, jakby uprawiali seks. Podniósł przy tym kolana w sposób, który z anatomicznego punktu widzenia był raczej niemożliwy.

– Uh!

Pchnął stopami, aż McLeanowi zaparło dech w piersiach. Zwalił się z trzaskiem na krzesło, spadł z niego, dźwignął się błyskawicznie na nogi. Intruz już zmierzał w stronę drzwi.

– O nie, nic z tego!

McLean rzucił się na niego jak zawodnik rugby, blokujący przeciwnika. Ich połączone masy i prędkość spowodowały, że obaj stracili kontrolę nad ruchem. Rozległ się paskudny trzask, głowa włamywacza zetknęła się gwałtownie z krawędzią otwartych drzwi. Facet zwiotczał, jakby ktoś go nagle wyłączył. McLean, nie mogąc się zatrzymać, grzmotnął na niego, lądując twarzą w tyłku włamywacza.

Zerwał się, sapiąc i kaszłąc, pochwycił ramiona intruza i wykręcił je do tyłu.

– Mówiłem ci, kurwa, że jesteś aresztowany – wydyszał ciężko, ale równie dobrze mógł sobie tego oszczędzić.

Facet stracił przytomność, drogi noktowizor uległ z jednej strony zmiążdżeniu, na twarzy włamywacza widniała ogromna czerwonosina pręga.

We wtorek rano w pokoju przesłuchań numer trzy panował nieznośny zaduch i upał. Nie było tam okna, tylko wentylator zamontowany w suficie, który powinien wtłaczać do wnętrza świeże powietrze, ale nie działał. Pośrodku pomieszczenia ustawiono zwykły stół z białym blatem, na którego fornirze widniało kilka śladów wypalonych papierosami. Naprzeciwko wąskich drzwi stało plastikowe krzesło, przymocowane do podłogi w takiej akurat odległości, żeby siedzący na nim nie mógł wygodnie oprzeć się łokciami o stół. Próbował już kilka razy to zrobić, ale zrezygnował i ręce w kajdankach położył na kolanach.

McLean przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, nic nie mówiąc. Jak dotąd włamywacz odmawiał podania imienia i nazwiska, co stanowiło pewną uciążliwość. Był młody, pod trzydziestkę lub niewiele po niej. Zdecydowanie w dobrej formie. McLean miał na prawym boku kilka niezłych siniaków, których dorobił się, kiedy przewrócił gościa na podłogę, jednak było to nic w porównaniu z widokiem, jaki przedstawiała sobą twarz tamtego.

Łomotnęły otworzone kopniakiem drzwi, do pokoju przesłuchań wszedł Bob Gburek. Niósł tacę z dwoma kubkami herbaty i talerzykiem herbatników. Jeden kubek podał McLeanowi, drugi zachował dla siebie. Zamoczył herbatnik w gorącym naparze z mlekiem.

– A ze mną co? Ja nic nie dostanę? – zostało powiedziane z akcentem rodem prosto z przedmieść Glasgow. Wypisz, wymaluj młody bandzior z serialu o gliniarzach.

McLean nie dał się na to nabrać. Ktoś, kto potrafi otworzyć skomplikowany zamek u drzwi i ma dość wyrafinowania, żeby posługiwać się noktowizorem, raczej zalicza się do nieco innej kategorii niż zwykły ćpun-złodziej.

– Zaraz, zaraz, niech no się zastanowię. – Udawał, że rozważa tę kwestię, jednocześnie popijając ze swojego kubka. – Otóż nie. Nic nie dostaniesz. Tak to właśnie działa, że dopóki nie zaczniesz współpracować, nie będziemy szczególnie mili.

– No, a szluga? Strasznie mi się chce jarać.

McLean pokazał tabliczkę z napisem PALENIE WZBRONIONE, umocowaną na ścianie. Efekt nieco osłabiał fakt, że ktoś kilkakrotnie przekreślił długopisem słowo WZBRONIONE.

– Jeszcze jedno dobrodzieństwo, jakie spłynęło ku nam z Holyrood. W całym budynku nie wolno palić. W celach też nie. A jeżeli nie zaczniesz gadać, to spędzisz w celi sporo czasu.

– Nie wolno wam trzymać mnie tutaj pod kluczem. Znam swoje prawa. Chcę adwokata.

– Naoglądałeś się telewizji, co? – odezwał się Bob Gburek. – Myślisz, że wiesz wszystko o glinach, bo widziałeś parę odcinków *The Bill*? Adwokata nie będzie, dopóki ci na to nie

pozwolimy, słoneczko. A nie pozwolimy dopóty, dopóki będziesz nas wkurzał.

Sięgnął po następnego herbatnika, ugryzł go, rozsypując przy tym na podłogę mnóstwo okruszków.

– Dobra. Zacznijmy od tego, co już wiemy. McLean zdjął marynarkę, powiesił ją na oparciu krzesła. Następnie sięgnął do kieszeni, wyciągnął z niej lateksowe rękawiczki, które nałożył powoli, starannie naciągając gumę i wygładzając ją na palcach. Przez cały czas włamywacz patrzył na niego szeroko rozwartymi szarymi oczami.

– Zostałeś zatrzymany wczoraj wieczorem w domu zmarłej Esther McLean. – Inspektor pochylił się, podniósł z podłogi kartonowe pudło i postawił je na stole. Wydobył z niego ciężką płócienną torbę zapakowaną w plastik. – Miałeś przy sobie tę torbę, a na głowie taką oto ozdobę. – Wyciągnął z pudła potrzaskane gogle noktowizyjne i również umieścił je na stole. Urządzenie także zapakowano w foliową torebkę. – W torbie znaleźliśmy przedmioty zabrane z tego domu. – Uniósł torebkę z zestawem srebrnych bibelotów, które wcześniej znajdowały się w serwantce babci w hallu. Dziwnie czuł się z tym, że własność babci stała się nagle dowodem rzeczowym i że obchodził się z tymi przedmiotami tak bezceremonialnie, choćby i były opakowane w folię. – Miałeś też przy sobie zestaw narzędzi do otwierania zamków, stetoskop, szybkoobrotową wiertarkę elektryczną oraz ubranie, które mężczyzna w twoim wieku mógłby włożyć, wybierając się do nocnego klubu. – Mówiąc to, wykladał kolejno wymieniane przedmioty na stół. – Aha, poza tym klucze, pewnie do twojego domu. Razem z nimi były też kluczyki do beamki, ale mój kolega, detektyw posterunkowy MacBride zabrał je do najbliższego autoryzowanego serwisu, żeby sprawdzili kod w bazie danych właścicieli.

Jakby na zawołanie rozległo się pukanie do drzwi, uchyliły się i w szparę wetknął głowę MacBride.

– Coś dla pana, szefie – oznajmił, po czym podał mu kartkę oraz kolejną przezroczystą plastikową torebkę.

McLean zerknął i uśmiechnął się.

– Cóż, panie McReadie, tak się składa, że pańska współpraca jednak nie będzie nam potrzebna.

Spojrzał na włamywacza, żeby zobaczyć, jak zrzędfa mu mina. Nie rozczarował się.

– Zabierz go do celi, Bob. I żadnych fajek. Przekaż to dyżurnemu sierżantowi, dobra? – Wziął ze stołu torebkę zawierającą klucze i wsadził ją do kieszeni. – Stuart, zbierz mi kilku chłopców, spotkamy się przed budynkiem. Ja załatwię nakaz rewizji.

*

Jak na chłopaka z przedmieścia, pan Fergus McReadie nieźle się urządził. Mieszkał

mianowicie w przerobionym na lofty dawnym magazynie w dokach Leith. Jeszcze dwadzieścia lat wcześniej okolica roiłaby się od prostytutek i dilerów, ale odkąd przeniesiono Scottish Office oraz od czasu, gdy u nabrzeża Leith zacumował jacht Jej Królewskiej Wysokości „Britannia”, dzielnica stała się modna, a nawet elegancka. Co więcej, jeżeli sądzić po samochodach zaparkowanych na przydzielonych im miejscach, nie była też tania.

– Niektórzy to sobie żyją, co, szefie? – zauważył posterunkowy MacBride, gdy wysiedli z windy na czwartym piętrze. Znaleźli się w nieskazitelnie czystym korytarzu, w którym było tylko dwoje drzwi wejściowych.

– Czy ja wiem? W końcu, co to za kamienica, jeżeli nie czuć szczykami? – odparł McLean. – Sprawdź, czy sąsiedzi są w domu. Przy odrobinie szczęścia może się okazać, że będą coś wiedzieli o podwójnym życiu naszego włamywacza.

Posterunkowy zadzwonił i czekał przed drzwiami na prawo, tymczasem McLean otworzył drzwi do apartamentu McReadiego. Wnętrze było wyjątkowo przestronne, istny hangar. Pod sufitem krzyżowały się stare drewniane belki. Dawne otwory, przez które załadowywano i wyladowywano towary, zostały przekształcone w wysokie okna, przez które rozciągał się widok na doki i dalej w stronę Firth of Forth. W jednym z rogów pomieszczenia urządzono otwartą kuchnię, w drugim końcu kręcone schodki prowadziły na górę, na antresolę sypialną. Pod platformą antresoli znajdowały się dwa zamknięte wejścia, zapewne do mniejszych pomieszczeń.

– Dobra, słuchajcie – zwrócił się inspektor do podkomendnych. – Szukamy jakichkolwiek towarów mogących pochodzić z kradzieży oraz wszelkich informacji dotyczących pana McReadiego.

Stanął pośrodku loftu; posterunkowa Kydd i Bob Gburek zaczęły myszkować, otwierali drzwi, zaglądali pod poduszki. Na jednej ze ścian królował ogromny ekran plazmowego telewizora, pod nim na półeczkach równo poustawiano płyty. McLean przyjrzał się im z bliska. Głównie japońskie mangi i filmy o kung fu. Na szarym końcu, jakby na dodatek, znajdował się komplet filmów z cyklu Różowa Pantera. Pudełka były zniszczone, powycierane, jak gdyby wiele razy sięgano po nie, aby obejrzeć film. Oprócz ostatniego, to wciąż było zapakowane w celofan.

– Szefie?

McLean odwrócił się, w otwartych drzwiach mieszkania stał MacBride, a zza niego wyglądała kobieta o długich jasnych włosach – potarganych, jak gdyby dopiero co się obudziła i wstała z łóżka. Podszedł do nich.

– To jest pani Adamson – wyjaśnił MacBride. Sprawiał wrażenie lekko oszołomionego. – Mieszka obok.

Przyjrawszy się z bliska kobiecie, inspektor stwierdził, że ma ona na sobie tylko długi

jedwabny szlafrok. Była boso.

– Co się dzieje? Gdzie jest Fergus? Wpakował się w kłopoty?

Mówiła głosem miękkiem, zaspanym, a poza tym tak jak mówi się w Edynburgu, a jednak z ledwo dosłyszalnym śladem amerykańskiego akcentu.

– Pani Adamson, jestem detektyw inspektor McLean. – Pokazał jej swoją kartę, ale ona ledwie rzuciła na nią okiem. – Przykro mi, że pani przeszkadzamy, ale chcielibyśmy prosić, żeby odpowiedziała nam pani na kilka pytań.

– Jasne. Nie ma problemu. Chyba niczego nie przeszkobałam, prawda?

– Ależ skąd, szanowna pani. W najmniejszym stopniu. Chciałbym tylko usłyszeć, co pani wie o swoim sąsiedzie, Fergusie McReadiem.

– Zapraszam do mnie, zaparzę kawę.

Pani Adamson zajmowała apartament mniejszy od lokalu McReadiego, ale i tak spory. Lekkim krokiem weszła do kontuar pokryty nierdzewną stalą, oddzielający kuchnię od reszty przestrzeni. Zajęła się mieleniem ziaren i już wkrótce rozszedł się błogi aromat.

– Zatem, panie inspektorze, jakiego przestępstwa dopuścił się Fergus? Swoją drogą, zawsze byłam zdania, że to trochę podejrzany facet.

McLean zasiadł na jednym z wysokich stołków przy kontuarze. Czuł, że stojący za nim MacBride jest wyraźnie onieśmielony.

– Nie wolno mi wyjawiać szczegółów, przynajmniej dopóki nie zostanie oskarżony. W każdym razie przyłapał się na gorącym uczynku, pani Adamson.

– Mam na imię Vanessa. Tylko mój agent zwraca się do mnie per „pani Adamson”.

– W takim razie, Vanesso, proszę powiedzieć, czy zna pani Fergusa McReadiego od dawna?

– Mieszkał tu, kiedy się wprowadziłam. To było jakieś dwa lata temu. Spotkałam go raz, drugi, w windzie, mówiliśmy sobie „dzień dobry”. Wie pan, jak to jest. – Nalała z dzbanka kawy do trzech kubków, potem cofnęła się po wielki karton beztłuszczowego mleka, który wydobyla z czeluści gigantycznej lodówki.

McLean mimo woli zauważył, że jeżeli nie liczyć kilku butelek szampana, właściwie nic w niej nie było.

– Kilka razy próbował do mnie startować, ale facet nie jest w moim typie. Poza tym to jakiś komputerowiec, a ja się na tym nie znam. No i ten jego akcent działał mi na nerwy.

Jej głos brzmiał miękko i melodyjnie.

– Aha, czyli pani wie, kim jest z zawodu? – McLean wziął do ręki kubek, zastanawiając się, dlaczego MacBride nie podejdzie i też nie napije się kawy.

– Chyba tak, jest jakimś ekspertem od bezpieczeństwa komputerowego. Kiedyś próbował mi to wytłumaczyć. Sama sobie jestem winna, niepotrzebnie zapraszałam go na imprezę.

Przechwalał się, jakby to było nie wiadomo co, że niby próbuje włamywać się do banków i tak dalej, żeby wykazać, gdzie mają słabe punkty w systemie. Odniosłam wrażenie, że polega to głównie na siedzeniu przed komputerem i oglądaniu numerków.

Ktoś lekko zastukał do drzwi. McLean odwrócił się i zobaczył posterunkową Kydd. Spojrzała na panią Adamson, unosząc brwi. Podążył za jej wzrokiem, zastanawiając się, co też takiego uszło jego uwagi.

– Ależ proszę bardzo, proszę wejść. Jest mnóstwo kawy.

Gospodyni pochylała się po jeszcze jeden kubek, a McLean odwrócił wzrok, bo szlafrok rozchylił się, ukazując być może nieco więcej, niż życzyłyby sobie tego pani Adamson.

– Bardzo pani dziękuję – odpowiedziała posterunkowa, nie ruszyła się jednak od drzwi. – Wydaje mi się, że inspektor powinien zobaczyć, co znaleźliśmy.

– Ani chwili spokoju – stwierdził McLean, zsuwając się ze stolka. – Posterunkowy MacBride, proszę tu zostać i wypytać panią o jak najwięcej szczegółów dotyczących naszego człowieka. Vanesso, dziękuję za pomoc. Jeżeli pani pozwoli, wrócę, by docić kawę.

– Ależ bardzo proszę. Właściwie to najciekawsza rzecz, jaka zdarzyła mi się tego lata. Zresztą, kto wie, kiedy przyjdzie mi zagrać rolę policjantki. Trafia się świetna okazja, żeby czegoś się nauczyć.

Kiedy McLean odwracał się, żeby wyjść, niemal na pewno zobaczył, jak posterunkowa Kydd bezgłośnie zadaje MacBride'owi pytanie: „Vanesso?”, ale nim mógł być tego całkiem pewien, wyraz jej twarzy przybrał zwykły wyraz lekkiego naburmuszenia. Poszedł za nią przez korytarz, do mieszkania McReadiego. Jedne z drzwi pod antresolą były otwarte.

– Co znaczą te miny, posterunkowa? – spytał McLean, gdy przemierzali rozległą przestrzeń pokoju dziennego.

– Nie poznał jej pan, szefie? To Vanessa Adamson. W zeszłym roku dostała nagrodę BAFTA za rolę w serialu kostiumowym w BBC. Nominowana do Oscara za film, w którym grała obok Johnny'ego Deppa.

McLean nie oglądał ani filmu, ani serialu, ale widział ją w wiadomościach, teraz sobie to uprzytomnił. Poczul, że się czerwieni. Nic dziwnego, że wydawała mu się skądś znajoma.

– Poważnie? Myślałam, że jest wyższa.

Umknął przed swoim zawstydzeniem do pokoju za otwartymi drzwiami. Był to spory gabinet rozświetlony blaskiem wpadającym przez ogromne pojedyncze okno – od sufitu do podłogi. Na wielkim biurku ze szklanym blatem stał laptop i telefon, nic więcej. Bob Gburek siedział w dyrektorskim fotelu z czarnej skóry, odwracał się na nim to w lewo, to w prawo.

– Coś znalazłeś, Bob?

– Chyba ci się spodoba, szefie. – Wstał, sięgnął do książki na górnej półce. Kiedy ją wysunął,

coś kliknęło, cała szafka drgnęła, przesunęła się do przodu i rozsunała się bezgłośnie na boki. Za nią znajdował się kolejny regał, tym razem ze szklanymi półkami, podświetlony od góry i od dołu. Na półkach rozłożono oszalałającą kolekcję biżuterii.

– O rany, jak na to wpadłeś? – McLean obszedł biurko, żeby przyjrzeć się ekspozycji z bliska.

– Popatrzyłem sobie na tytuły, szefie. Zauważyłem, że ten jeden, jedyny, napisany jest ręcznie, pewnie przez McReadiego. Pomyślałem, że warto spojrzeć, może to jego pamiętnik. Ale on tego nie napisał, no nie? To taki jego żarcik.

– Cóż, dziesięć punktów na dziesięć za spostrzegawczość, a jedenaście na dziesięć za łut szczęścia.

– Mało tego, szefie. Znalazłem jeszcze to. – Bob schylił się, wyciągnął dwie gazety z kosza znajdującego się pod biurkiem. Rozłożył najpierw jedną, potem drugą, i wygładził. Jedna z nich była otwarta na stronie z ogłoszeniami, druga na nekrologach. Na jednej i na drugiej ktoś zaznaczył długopisem wybrane fragmenty. McLean rozpoznał ziarniste czarno-białe zdjęcie swojej babci sprzed czterdziestu lat. Bob Gburek wykrzywił się w uśmiechu, któremu zawdzięczał otrzymany przed tak wielu laty przydomek.

– Myślę, szefie, że to może być nasz koleś od nekrologów.

– McLean! Gdzie ty, kurwa, byłeś wczoraj rano? Dlaczego nie odbierasz telefonu?

Nadinspektor Duguid szedł korytarzem w jego stronę, był czerwony na twarzy, dłonie zacisnął w pięści. McLean przez chwilę wytężył umysł, żeby sobie przypomnieć, bo dużo zdarzyło się od tamtego czasu. Jednak już w następnej chwili wszystko pamiętał.

– Miałem dzień wolny, panie nadinspektorze. Pogrzeb w rodzinie. Gdyby porozmawiał pan z panią komendant McIntyre, niewątpliwie by pana o tym poinformowała. Być może powiadomiłaby pana też, że byłem w pracy wcześniej rano, żeby dokończyć raport o śmierci pańskiego wuja i samobójstwie jego mordercy.

Twarz Duguida w gnieniu oka z żywej czerwieni przybrała odcień upiornej białości. Świńskie oczka zmrużyły się, nozdrza zaś rozděły, jak u byka grzebiącego kopytem przed podjęciem morderczej szarży.

– Ani słowa o tym, McLean – wysyczał przez zaciśnięte wargi. Rozejrzał się nerwowo, żeby sprawdzić, czy ktoś to słyszał.

Owszem, po korytarzu kręciło się kilku mundurowych, zajętych swoimi sprawami, wszyscy jednak mieli dość instynktu samozachowawczego, aby unikać kontaktu wzrokowego z nadinspektorem. Jeżeli nawet któryś z nich coś dosłyszał, pilnował się, żeby nie dać tego po sobie poznać.

– Czy mogę w czymś pomóc, panie inspektorze?

McLean panował nad głosem. Ostatnie, czego by sobie życzył, to żeby Duguid się teraz na niego wściekał. Zwłaszcza że dzień zaczął się pomyślnie.

– Jasne, cholera, że tak. Jakiś kompletny świr nazwiskiem Andrews wszedł wczoraj do biurowca, w którym było pełno ludzi, a następnie poderżnął sobie gardło brzytwą. Masz dowiedzieć się, kim był i dlaczego to zrobił.

– Nie mógłby się tym zająć ktoś inny? Mam sporo roboty...

– Sporo roboty? Co ty, kurwa, możesz o tym wiedzieć? Przystań się mazgać i rób to, za co ci płacą.

– Tak jest, panie inspektorze. – McLean całym wysiłkiem woli zmusił się, żeby nie wchodzić w dalszy spór z Duguidem. Spór tym bardziej jałowy, że nadinspektor najwyraźniej był rozwścieczony. – Kto przeprowadził wstępne dochodzenie?

– Ty przeprowadziłeś. – Duguid spojrział na zegarek. – W ciągu najbliższej pół godziny, o ile masz choć odrobinę rozumu w głowie. Na twoim biurku leży raport od sierżanta, który był na

miejscu. Bo chyba pamiętasz, gdzie masz biurko, inspektorze? W twoim gabinecie, no nie?

Rzuciwszy tę tryskającą sarkastycznym dowcipem uwagę, odszedł, mruczając coś gniewnie pod nosem.

Dopiero wtedy Bob Gburek wyłonił się ze swej kryjówki za kopiarką.

– Oż, kurwa. Coś mu w dupę wlało i zdechło?

– Trudno powiedzieć. Pewnie dowiedział się, że wujek zostawił cały majątek schronisku dla zwierząt albo coś w tym rodzaju.

– Wujek?

A więc Bob nie słuchał.

– Nieważne. Sprawdźmy, o co chodzi z samobójstwem. I tak trochę potrwa, zanim techniczni zbadają biżuterię, a bez tego nie możemy powiązać tych fantów z żadnym włamaniem.

– A co z McReadiem? Chce mu pan postawić zarzuty, szefie?

– Raczej tak, ale sam wiesz, jak to jest. Wynajmie cwane go adwokata, który wyciągnie go za kaucją jeszcze przed wieczorem. Widziałeś jego mieszkanie, facet nie wie, co robić z pieniędzmi. Może sobie kupić wolność, i dobrze o tym wie.

– W takim razie najlepiej poczekać do ostatniej chwili. Od razu pogadam o tym z dyżurnym sierżantem.

Bob Gburek udał się do recepcji, a McLean do swojego gabinetu. Czekala tam na niego – a jakże! – tekturowa teczka, którą ktoś położył na szczycie stosu formularzy dotyczących nadgodzin. Zawierała jedną, jedyną kartkę wydruku, czyli raport dotyczący samobójstwa popełnionego przez niejakiego Petera Andrewsa. Widniały tam nazwiska i adresy kilkunastu świadków, z których wszyscy byli pracownikami firmy consultingowo-finansowej noszącej nazwę Hoggett Scotia. Andrews także w swoim czasie był tam zatrudniony. Wszedł ponoć do recepcji, wyglądał przy tym, jakby przez kilka dni spał w tym samym ubraniu, wyciągnął z kieszeni brzytwę i poderżnął sobie gardło. Od tamtego czasu minęło prawie dwadzieścia cztery godziny, a policja nawet nie kiwnęła palcem.

McLean westchnął. Nie tylko czekało go jałowe dochodzenie w sprawie samobójstwa, jeszcze do tego będzie musiał świecić oczami za to, że zabrał się za tę sprawę tak późno. Genialnie.

Chwycił za telefon, wystukał numer do kostnicy. W słuchawce odezwał się świergotliwy głos Tracy.

– Przywieziono do was wczoraj samobójcę o nazwisku Andrews? – spytał McLean, najpierw zamieniwszy kilka żartobliwych zdań z asystentką doktora.

– Tak, późnym przedpołudniem – potwierdziła. – Doktor Cadwallader zamierza kroić go dzisiaj po południu, koło czwartej.

McLean podziękował jej, obiecał, że będzie obecny, po czym się rozłączył. Spojrzał jeszcze raz

na notatki: przynajmniej blisko, można iść na piechotę. Najpierw przesłuchania, potem sekcja. Przy odrobinie szczęścia po powrocie do komisariatu może zostanie biżuterię znaną z mieszkania McReadiego. Wtedy dopiero zacznie się zabawa z dopasowywaniem fantów do pozycji z listy skradzionych przedmiotów.

Wziął ze sobą teczkę, ignorując domagające się jak najpilniejszego wypełnienia formularze, a następnie wyruszył na poszukiwanie detektywa posterunkowego MacBride'a.

– Nie szczędzisz nam zajęć w tym tygodniu, Tony.

McLean skrzywił się.

– Ja również cieszę się, że cię widzę. Swoją drogą dzięki, że wczoraj wpadłeś.

– Daj spokój. Starsza pani nauczyła mnie tego i owego. Nie wyobrażam sobie, żebym mógł nie przyjść i nie dopilnować, czy została wyprawiona na tamten świat w stosowny sposób.

Cadwallader miał już na sobie kombinezon, a na rękach długie, ściśle przylegające chirurgiczne rękawice. Przeszli do prosektorium, gdzie Peter Andrews leżał na stole z nierdzewnej stali. Jeżeli nie liczyć krwawej rany ziejącej na szyi, prezentował się nadzwyczaj schludnie. Emanował od niego dziwny spokój. Włosy były siwe i przeredzone, ale twarz wyglądała młodo, jakby miał trzydzieści parę lat, może nieco ponad czterdziestkę. Trudno było jednak określić wiek ziemistobladego, bezwładnego ciała.

Patolog rozpoczął szczegółowe oględziny zwłok, poszukiwał obrażeń, śladów po zastrzykach oraz objawów chorób. McLean przyglądał się, ale jednym uchem słuchał wygłaszanych półgłosem komentarzy, bo zastanawiał się, co może skłonić człowieka do popełnienia samobójstwa w tak drastyczny i krwawy sposób. Trudno było mu pojąć sam fakt, że ktoś wolałby umrzeć, niż żyć. McLean wiedział, co to rozpacz, doświadczył jej nie raz, zawsze jednak miał na uwadze przerażenie, jakiego mogliby doznać ludzie, którzy znaleźliby jego ciało, mentalne blizny, jakie ten widok mógłby pozostawić. Na tym być może polegała różnica między samobójcą a człowiekiem w depresji – samobójca nie dba już o nikogo.

Jeżeli tak, to może Andrews był niezłym kandydatem. Jak stwierdził jego szef, był bezwzględny biznesmenem. McLean nigdy nie zdołał pojąć meandrów zarządzania finansami, wiedział jednak dość, aby zdawać sobie sprawę, że wycofując pakiet akcji ze swojego portfolio, Andrews był w stanie zniszczyć dane przedsiębiorstwo. O ile owa bezwzględność postępowania mogłaby uczynić z niego człowieka, który posunąłby się do samobójstwa, to inne okoliczności wskazywały raczej na kogoś, kto miał wszelkie dane po temu, żeby chcieć żyć. Nie był żonaty, nie miał dziewczyny, z którą byłby związany. Był bogaty, odnosił sukcesy, wykonywał pracę, która najwyraźniej sprawiała mu przyjemność. W zasadzie nikt w Hoggett Scotia nie powiedział o nim ani jednego złego słowa. Pozostawała jeszcze kwestia przesłuchania jego rodziców – mieszkali w Londynie, ale mieli przybyć do Edynburga dziś po południu.

– O, to ciekawe. – Zmiana w tonie głosu Cadwalladera przerwała tok myśli McLeana. Podniósł wzrok. Patolog zaczął właśnie badanie organów wewnętrznych.

– Co jest takie ciekawe?

– To. – Lekarz wskazał lśniącą płataninę trzewi. – Miał raka. Chyba zaczęło się od jelita, ale potem nastąpiły przerzuty na właściwie wszystkie narządy. Gdyby się nie zabił, zmarłby w ciągu miesiąca, może dwóch. Czy wiemy, u kogo się leczył? W tym stanie powinien być poddany intensywnej terapii.

– Czy nie jest tak, że pacjenci poddani chemioterapii zazwyczaj tracą włosy? – spytał McLean.

– Dobre pytanie, inspektorze. Pewnie dlatego ty jesteś detektywem, a ja jedynie zwykłym patologiem. – Cadwallader pochylał się nad głową martwego mężczyzny, pęsetą wyrwał kilka włosów. Położył je na stalowej tacy trzymanej przez asystentkę. – Bądź tak miła, Tracy, i poddaj je spektrografii. Gotów jestem założyć się, że nie brał nic mocniejszego od ibuprofenu. – Następnie zwrócił się do McLeana: – Chemioterapia pozostawia także inne, subtelniejsze ślady w ciele. U tego człowieka nie dostrzegam żadnego z nich.

– Czyżby odmówił poddania się terapii?

– Nie widzę żadnego innego wyjaśnienia. Przecież musiał wiedzieć, co się z nim dzieje, bo inaczej po co miałby popełniać samobójstwo?

– Otóż to, Angus. Właśnie. Po co?

Po powrocie do komisariatu McLean nigdzie w pobliżu nie zauważył Duguída. Wzniósł więc bezgłośną modlitwę dziękczynną i udał się pospiesznie do swojego pokoju dochodzeniowego. Przez otwarte drzwi bił żar – skumulowany efekt promieni popołudniowego słońca wpadających przez okno i działania kaloryfera, którego termostat zablokował się przy najwyższej temperaturze. Detektyw posterunkowy MacBride i Bob Gburek zdjęli marynarki. Pot lśnił na czole konstabla, który stukał w klawiaturę laptopa.

– Przypomnij mi, żebym cię kiedyś spytał, skąd wzięłeś to urządzenie, Stuart.

MacBride spojrział znad ekranu.

– Mike Simpson jest moim kuzynem – wyjaśnił. – Spytałem go po prostu, czy nie mają jakiejś niepotrzebnej maszyny.

– Co takiego? Ten komputerowy maniak? Informatyk z ekipy technicznej?

– Właśnie ten. Wcale nie jest takim znowu maniakiem, szefie. On tylko tak wygląda.

– Jasne, a kiedy mówi, rozumiem każde jego słowo. Jedyne problem sprowadza się do tego, że znaczenie wszystkich tych słów razem wziętych jakoś mi umyka. A więc to twój kuzyn? Może nam się przydać. – Zresztą, już się przydał, uznał inspektor, sądząc po stanie używanego przez MacBride'a komputera. Mógł być nawet zupełnie nowy. – Prosiłeś go, żeby rzucił okiem na komputer McReadiego?

– Właśnie teraz nad tym pracuje. Chyba nigdy nie widziałem, żeby był tak podekscytowany. Okazuje się, że McReadie jest czymś w rodzaju boga dla hakerskiej społeczności w Edynburgu. Występuje pod przydomkiem Clouseau.

McLeanowi od razu przypomniała się kolekcja filmów z cyklu Różowa Pantera, znaleziona w zbiorach włamywacza. Wszystkie nosiły ślady intensywnego użytkowania, oprócz jednego pudełka, które nawet nie było otwarte.

– Dziwię się, że wybrał akurat ten pseudonim. Można by się spodziewać, że będzie się raczej utożsamiał z postacią graną przez Davida Nivena.

Wyraz twarzy detektywa posterunkowego MacBride'a jasno wyrażał całkowity brak zrozumienia.

– Różowa Pantera, posterunkowy. David Niven grał rolę sir Charlesa Lyttona, dżentelmena włamywacza.

– Aha, nie wiedziałem. Myślałem, że to jakaś kreskówka.

McLean pokręcił głową i odwrócił się, jego wzrok spoczął na zdjęciach zamordowanej

dziewczyny, wciąż przyczepionych do ściany za Bobem Gburkiem.

– A właśnie, byłbym zapomniiał. Udało ci się do czegoś dojść w sprawie tego murarza?

MacBride stuknęła jeszcze parę razy w klawiaturę, zanim odpowiedział:

– Przykro mi, szefie. Gadałem z działem osób zaginionych, ale oni mają archiwa skomputeryzowane dopiero od lat sześćdziesiątych. Starsze raporty trzeba przepokopać osobiście. Zamierzałem się do tego zabrać dziś po południu.

– Murarz? – zdziwił się Bob Gburek.

– Tak, to posterunkowy wpadł na ten pomysł. – McLean skinął głową w stronę MacBride'a, któremu zaczerwieniły się policzki oraz uszy. – Nasi mordercy to byli ludzie wykształceni, nie potrafiliby ułożyć cegieł czy położyć tynku. A przecież ktoś to musiał zrobić, bo zasłonił wętki i zamurował tamto pomieszczenie. Potrzebny im był do tego murarz.

– Przecież żaden murarz by na to nie poszedł – zaoponował Bob Gburek. – Chodzi o to, że musiałby zobaczyć jej zwłoki i te tam, słoiki. Ja na jego miejscu nigdy bym się nie zgodził. Zrobiłbym awanturę jak cholera.

– Owszem, ale nie jesteś murarzem z tamtych czasów, urodzonym na początku dwudziestego wieku, Bob. W latach czterdziestych Sighthill to była zaledwie wioska, ludzie kłaniali się w pas miejscowemu wielmoży, jakby był królem. Niewykluczone, że ci ludzie uciekli się do gróźb, na przykład względem jego rodziny. Podejrzewam, że zdolni byli do wszystkiego.

– Ale jaki znowu wielmoża?

– Ten budynek należał do Menziesa Farquhara. Tego, co założył Farquhar's Bank.

– A więc myśli pan, że to on? Zmusił miejscowego murarza, żeby zatarł ślady, a potem się go pozbył?

Bob Gburek odniósł się do tej hipotezy co najmniej sceptycznie. Gdy w taki sposób ją podsumował, McLean w duchu przyznał, że nie może mieć mu tego za złe. Coś, co wydawało się wręcz oczywiste w ponurej scenerii miejsca zbrodni, w spiekocie i blasku słonecznym zalewającym pokój dochodzeniowy sprawiało wrażenie koncepcji mocno naciąganej. Pomysł sklecony na siłę, jak wykręt uczniaka – tyle że akurat niczego innego nie mieli.

– Nie Menzies Farquhar, ale może jego syn Albert. – McLean pamiętał rozmowę przeprowadzoną z Jonaszem Carstairssem podczas stypy. Czy to możliwe, żeby odpowiedź była tak prosta? Nie. Takie sprawy nigdy nie są proste. – Jednak w tej chwili dysponujemy zaledwie słabymi poszlakami. W gruncie rzeczy nic nie wiemy o tej rodzinie, nie mówiąc już o tym, że nie mamy pojęcia, kto mógł pracować dla nich mniej więcej w czasie wojny. Mało prawdopodobne, żeby żył jeszcze ktoś, kto to pamięta. W każdym razie nikt z rodu Farquharów nie żyje, więc żadnego z nich nie przyzmniemy, o ile to któryś z nich. Tak czy inaczej, nawet jeżeli do niczego innego nie dojdziemy, chciałbym poznać nazwisko ofiary, a póki co, jedynym sensownym tropem

jest właśnie ów murarz. – Zwracając się do posterunkowego, dodał: – Stuart, chciałbym, żebyś wygrzebał wszystko, co się da, na temat Menziesa i Alberta Farquharów. A kiedy się z tym uporasz, pomożesz Bobowi grzebać w archiwach.

– Poważnie? A co ja niby miałbym tam robić?

Stary sierżant wyraźnie nie kwapił się do papierkowej roboty, więc udawał, że nie wie, o co chodzi.

– Przejrzysz trochę raportów o zaginionych osobach, które się nie odnalazły, szukając wykwalifikowanych murarzy zamieszkałych w okolicach Sighthill. Mniej więcej od tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego do tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku, to powinno wystarczyć. Jeżeli nic nie znajdziemy, będziemy mogli poszukać wcześniej albo później.

– Naprawdę? To chyba jakieś żarty – obruszył się Bob Gburek, święcie oburzony.

– Sam wiesz, że również starsze dokumenty wciąż są przechowywane.

– Jasne, w piwnicy, w wielkich pudłach pokrytych grubą warstwą kurzu.

– W takim razie weź ze sobą jeszcze kogoś – zaproponował McLean. W tym momencie do otwartych drzwi zapukała posterunkowa Kydd. – Widzisz, ktoś już sam się zjawia.

– Słucham? – Wyraźnie zaniepokojona posterunkowa spoglądała to na Boba Gburka, to na McLeana.

– Nic takiego – uspokoił ją McLean. – Czym możemy służyć?

Weszła do środka. Ciągnęła za sobą wózek, na którym piętrzyły się kartonowe pudła.

– To łup z mieszkania McReadiego. Techniczni przejrzeni go i twierdzą, że jest czysty jak dusza posterunkowego Portera, cokolwiek miałyby to znaczyć.

– On jest świadkiem Jehowy. Nie próbował cię jeszcze przekabacić na swoje wyznanie?

– Hm, nie, szefie. Raczej nie. Mam też wiadomość z recepcji. Próbowali dodzwonić się do pana gabinetu, ale tam nikt nie odpowiada, a pańska komórka odsyła od razu do skrzynki głosowej.

McLean wyłowił z kieszeni telefon. Pamiętał dokładnie, że podłączył przekłętę urządzenie do ładowarki wieczorem, a odłączył rano – ładowało się przez całą noc. Teraz jednak ekran był martwy, nacisnął włącznik, ale nie dało to żadnego rezultatu.

– Znowu tę cholerną baterię szlag trafił. Nie mogli po prostu zadzwonić tutaj? Zresztą, nieważne. – Zerknął na samotny telefon stojący na biurku obok laptopa. Może i działał, ale jakoś nie widział, żeby ktokolwiek go używał. – Co to za wiadomość?

– Niejaki Donald Andrews chce się z panem zobaczyć. Chodzi o identyfikację jego syna.

– O, cholera. – McLean rzucił swój telefon MacBride'owi. – Pożycz mi swoją krótkofalówkę. Muszę wracać do kostnicy.

Donald Andrews nie był za bardzo podobny do syna. Wystające kości policzkowe i spiczasty

nos sprawiały, że jego rysy wyglądały jak wyostrzone na wietrze. Włosy nosił przyлизane, na skroniach pojawiły się ślady siwizny. Spojrzenie jasnoblękitnych oczu było przenikliwe. W głosie pobrzmiwał akcent z okolic Londynu. McLean zorganizował samochód z kierowcą, który zawiózł ich obu do kostnicy. Posterunkowego zostawił na zewnątrz, mając nadzieję, że nie będzie na niego zbyt długo czekał.

Doktor Sharp przygotowała ciało do oględzin. Zwłoki zostały dokładnie zawinięte, ułożone na stole w małym pokoju opodal głównego prosektorium. Kiedy się pojawili, zaprowadziła ich tam, ostrożnie odwinęła całun, ukazując głowę nieboszczyka, uważając przy tym jednak, żeby nie odkryć ziejącej rany na szyi. Donald Andrews stał w milczeniu, mijały długie minuty. Wpatrywał się w bladą twarz syna. Potem powoli odwrócił się do McLeana.

– Co to jest? – spytał. – Co się stało z moim synem?

– Przykro mi, proszę pana. To pana syn, Peter Andrews, prawda?

McLean nagle poczuł zimny skurcz żołądka.

– Ja... Tak... Tak, chyba tak. Ale... Chciałbym zobaczyć całe ciało, jeśli można prosić.

Nie było to jednak ani pytanie, ani prośba.

– Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. On został...

– Jestem chirurgiem, do ciężkiej cholery! Wiem, co się robi podczas sekcji.

– Proszę wybaczyć. Nie miałem o tym pojęcia.

McLean skinął głową i Tracy zwinęła całun. Najprawdopodobniej to właśnie ona zaszyła ciało po tym, jak doktor Cadwallader przeprowadził autopsję. McLean był pod wrażeniem, bo zrobiła to starannie i dokładnie, ale nie zdołała zatuszować faktu, iż Peter Andrews został brutalnie wypatroszony. Donald Andrews nie wydał okrzyku zgrozy, jak uczyniłaby to większość ojców, lecz wyjął z kieszeni parę wąskich okularów i pochylił się, by dokładnie obejrzeć ciało syna.

– To on – stwierdził po kilku minutach. – Ma charakterystyczne znamię i kilka blizn, które wszędzie bym rozpoznał. Nie pojmuję jednak, co się z nim stało. Co go doprowadziło do takiego stanu?

– Co pan ma na myśli? Był właśnie w takim stanie, kiedy zmarł. – McLean z trudem przełknął ślinę. – Chyba powiadomiono pana, w jaki sposób pożegnał się z życiem?

– Owszem, ale trudno mi w to uwierzyć. Peter miał swoje słabości, lecz z pewnością nie cierpiał na depresję.

– Czy wiedział pan, że był śmiertelnie chory na raka?

– Co takiego?! Przecież to niemożliwe!

– Kiedy ostatnio widział pan syna?

– W kwietniu. Przyjechał do Londynu na maraton. Robił tak co roku, zbierał w ten sposób pieniądze na szpital dziecięcy.

McLean spojrział na wymizerowane nagie ciało. Wiedział, że w maratonach biorą udział najrozmaitsi ludzie, niektórzy przebywają ten dystans, idąc przez kilka dni, ponieważ nie są w stanie biec. Peter Andrews sprawiał wrażenie, jakby musiał w tym celu wziąć taksówkę. Mięśnie nóg w zaniku, zakrzywiony kręgosłup. Po zaszcyciu trudno było stwierdzić, jak prezentował się przed sekcją, jednak McLean pamiętał jego wzdęty brzuch.

– Musiało mu bardzo zależeć na tym szpitalu, skoro zdobył się na taki wysiłek. Czy udało mu się zgromadzić dużo pieniędzy?

– Nie chodziło o pieniądze, inspektorze. Robił to, bo lubił biegać. A w dzisiejszych czasach, żeby móc wziąć udział w londyńskim maratonie, trzeba reprezentować jakąś organizację dobroczynną.

– Przepraszam, nie całkiem zrozumiałem. Chce pan powiedzieć, że pana syn regularnie brał udział w maratonach? Był biegaczem?

– Zaczął w wieku piętnastu lat. Mało brakowało, a zostałby zawodowym sportowcem. – Donald Andrews wyciągnął dłoń i dotknął nią włosów martwego syna. W spoglądających oskarżycielsko oczach zaśniły łzy. – Ostatni wyścig ukończył w dwie i pół godziny.

Gdy McLean zmierzał do komisariatu, z zamyslenia wyrwał go sygnał krótkofalówki – odgłos, od którego już dawno zdążył się odzwyczaić.

– McLean – odezwał się, gdy tylko szybko przypomniał sobie, jak należy posługiwać się tym urządzeniem. Było większe i cięższe od telefonu komórkowego, przy tym bardziej skomplikowane, ale bateria działała. Przynajmniej na razie.

– A, witam, inspektorze. Właśnie się zastanawiałem, czy kiedykolwiek mnie z tobą połączą.

McLean rozpoznał głos pełnomocnika prawnego babci.

– Dzień dobry, Carstairs, planowałem się z tobą skontaktować. Chodzi o Alberta Farquhara.

Nastąpiła chwila milczenia, jak gdyby te słowa zaskoczyły prawnika.

– Oczywiście. Co prawda, dzwoniłem w innej sprawie. Uporządkowałem już wszystkie papiery po twojej babci, pozostało ci podpisać kilka formularzy, a wówczas będziemy mogli przystąpić do nużącego procesu przekazywania tytułów własności i temu podobnych.

McLean spojrział na zegarek. Popołudnie uciekało mu między palcami, a na jego biurku piętrzyła się sterta papierów, z którymi musiał się uporać, zanim będzie mógł przystąpić do ciekawszego zajęcia, czyli do przeglądania trofeów McReadiego.

– Obawiam się, że obecnie jestem trochę zajęty.

– Naturalnie, ale nawet detektywi inspektorzy muszą czasem coś zjeść. Co byś powiedział na wspólną kolację? Może około ósmej? Przy okazji podpiszesz papiery i załatwimy resztę spraw. Esther powierzyła mi też misję przekazania ci kilku osobistych wiadomości. Wydawało mi się niewłaściwe, by rozmawiać o tym podczas pogrzebu. Przy okazji opowiem także o Bertiem Farquharze, jeżeli sobie tego życzysz, chociaż trzeba przyznać, że to dość obrzydliwy temat.

Było to przypuszczalnie najlepsze, co go mogło spotkać, a bez wątplenia kolacja była atrakcyjniejsza od żarcia na wynos kupionego około północy po drodze do domu, na co właśnie się zanosilo. A skoro miał się dowiedzieć czegoś więcej o Farquharze, to cóż, prawie jakby nadal był w pracy.

– To bardzo miłe z twojej strony.

– A więc o ósmej?

– Tak, doskonale.

Carstairs przypomniał mu swój adres, po czym się rozłączył. Tymczasem McLean prawie zdążył dojść do komisariatu. Ciągłe jeszcze trzymał krótkofalówkę w ręce, próbując zorientować się, jak ją wyłączyć, kiedy wchodził przez główne drzwi.

– Proszę, proszę. Cuda, dziwy – odezwał się dyżurny sierżant z za kontuaru. – Inspektor z krótkofalówką. Niespotykane.

– To nie moja krótkofalówka, Pete. Pożyczyłem ją od posterunkowego. – McLean potrząsnął urządzeniem, nacisnął jeden przycisk i drugi, ale to nic nie dało. – Jak się to cholerstwo wyłącza?

W pokoiku dochodzeniowym panował chaos. Pudła, które posterunkowa Kydd przywiozła na wózku, rozstawione były w całym pomieszczeniu; niektóre otwarte, inne wciąż zaklejone taśmą. Pośrodku klęczał detektyw posterunkowy MacBride, dzierżąc w dłoni plik papierów. Przeglądał je z wyraźną nadzieją.

– Dobrze się bawisz? – McLean spojrzął na zegarek. – Nie powinieneś być w domu?

– Pomyślałem, że od razu zabiorę się do identyfikacji tych okazów, szefie. – McBride uniósł przezroczystą plastikową torebkę, w której znajdowało się wykładane klejnotami złote jajko, przykład wyjątkowo wulgarnego bezguścia.

– Ha, mam wolną godzinkę. Daj mi jedną z tych kartek, trochę ci pomogę. Zdążyłeś coś ustalić?

MacBride wskazał na stosik klejnotów, ułożony na biurku.

– Te rzeczy były na liście przedmiotów skradzionych w domu pani Douglas. Ze spisu wynika, że znajdowały się na dolnej półce, najdalej na prawo. Wszystkie leżały razem, obok siebie. Przyjąłem wstępne założenie, że McReadie działał metodycznie. Bądź co bądź, to ekspert komputerowy.

– Brzmi rozsądnie, trzymajmy się tej strategii. – McLean przyjrzał się pudłom, porównując widniejące na nich podpisy z listą trzymaną w ręce. – W takim razie to powinna być górna półka, zaczynając od lewej strony, czyli pierwsza kradzież. Major Ronald Duchesne.

Otworzył pudełko i próbował skojarzyć znajdujące się w nim przedmioty z inwentarzem skradzionej biżuterii. Nie spodziewał się, by udało się znaleźć wszystko. McReadie prawdopodobnie sprzedał to, co mniej mu się podobało, poza tym niemal zawsze okradzeni dodają coś do listy. Jednak w tym pudle nie było niczego, co chociaż częściowo pasowałoby do opisu. McLean wyciągnął wszystkie torebki, rozłożył je na podłodze wokół siebie. Już miał schować je z powrotem i zabrać się za przeglądanie następnego pudła, kiedy zauważył, że pominął jeszcze jeden plastikowy woreczek. Sięgnął po niego i podniósł do światła.

Zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Popatrzył na przyczepione do ściany powiększone zdjęcia sześciu przedmiotów znalezionych we wnękach razem z zakonserwowanymi wnętrznościami zamordowanej dziewczyny. Skupił się na fotografii ozdobnie rzeźbionej złotej spinki z dużym rubinem. W torebce znajdowała się identyczna spinka od pary.

Nie rozumie, co się z nią stało. To wszystko zaczęło się... Zaraz, kiedy? Nie pamięta. Były jakieś krzyki, ludzie biegali dookoła. Bała się, nawet trochę ją mdliło. Potem na wszystko opadł ciepły koc, nawet na jej umysł.

Głosy do niej szepczą, besztają, pocieszają, mówią jej, co ma robić. Jakimś cudem przeszła wiele kilometrów, ale wcale nie pamięta tej odległości. Tylko tępy ból w nogach, w plecach, ssanie w żołądku. Jest głodna. Tak straszliwie głodna!

Zapach chwyta ją za nos i ciągnie w swoją stronę jak na linie. Brak jej sił, żeby oprzeć się temu wezwaniu, chociaż stopy sprawiają jej nieznośny ból, jak krwawe rany na końcu nóg. Wokół pełno ludzi, wszyscy mają jakieś ważne sprawy. Wstyd jej, że ją widzą, ale przecież i tak nie zwracają na nią uwagi, schodzą tylko jej z drogi, kiedy posuwa się naprzód chwiejnym krokiem. No jasne, jeszcze jedna nawalona laska.

Wścieka się na nich za to, że tak o niej myślą. Chciałaby uderzyć, sprawić im ból, pokazać im, że są nędznymi głupimi gnojkami. Jednak głosy ją uspokajają, łagodzą gniew, gromadzą go na później. A ona nie wie, co znaczy to „później”, idzie tylko za zapachem.

Jest jak we śnie. Przeskakuje od jednego zamrożonego w bezruchu obrazu do drugiego, bez tych nudnych etapów pośrednich. Jest na zatłoczonej ulicy – jest w cichej alei – stoi przed dużym budynkiem wznoszącym się w głąbi – jest już wewnątrz.

On ją widzi, odwraca się w jej stronę. Jest stary, ale porusza się jak młodziak, idzie ku niej. Spojrzenie jego oczu spotyka jej spojrzenie, a wtedy coś w niej umiera. W jego postawie jest arogancja, która raz jeszcze budzi w niej gniew. Szepczące głosy przekształcają się w tumult nietamowanej wściekłości. Wspomnienia skrywane przez całe życie kwitną jak czarne kwiaty, cuchnące i przegniłe. Spoceni starcy wpychają... Ogarnia ją ból. Niech to się skończy. Boże, spraw, aby to się skończyło. Ale to nie kończy się nigdy. Wciąż i wciąż, noc w noc, noc w noc. Zrobili jej to. On jej to zrobił, teraz jest tego pewna, chociaż zapomniała wszystko inne, czym kiedykolwiek była.

Coś zimnego i twardego w jej dłoni. To coś jest ostre. Ona nie ma pojęcia, skąd to coś się wzięło, gdzie jest ani kim jest. Wie jednak, po co tutaj przyszła i wie, co ma do zrobienia.

– Gdzie jest McReadie? W której celi?! – zawołał McLean. Wpadł jak burza do gabinetu dyżurnego sierżanta. Ten zerknął na niego znad kubka herbaty. Administrator zmiany odwrócił się, aby zobaczyć, co to za zamieszanie.

– McReadie? Wyszedł parę godzin temu.

– Co takiego?!

– Przykro mi, szefie, odwlekaliśmy, jak tylko się dało. W końcu jednak musieliśmy postawić mu zarzuty, a gdy tylko to zrobiliśmy, w jednej chwili pojawił się jego adwokat. Nie było powodu, żeby postawić sprzeciw wobec zwolnienia za kaucją.

– Niech to szlag! Muszę z nim porozmawiać.

– Nie może pan z tym poczekać do jutra, szefie? Jak teraz pan go dopadnie, zacznie się uskarżać na nękanie. A przecież nie chce pan, żeby wymigał się dzięki kruczkom prawnym, prawda?

McLean starał się nad sobą zapanować. Jasne, to może poczekać, powiedział sobie. Tamta dziewczyna nie stanie się ani trochę bardziej martwa.

– Masz słusność, Bill – stwierdził. – Wybaczcie, że narobiłem rabanu.

– Nie ma problemu, szefie. Natomiast skoro pan tu jest, czy mógłby pan zrobić coś z tymi formularzami nadgodzin, które czekają na pańskim biurku? Chodzi o to, że miesiąc się kończy i musimy rozliczyć harmonogram dyżurów.

– Załatwię to – obiecał McLean, wychodząc z dyżurki, ale nie poszedł do swojego gabinetu, tylko wrócił do pokoju dochodzeniowego, cały czas zaciskając w dłoni plastikową torebkę. Na miejscu zastał detektywa posterunkowego MacBride'a, grzebiącego w kartonie z innego śledztwa.

– Znalazłeś? Musi być gdzieś tutaj.

– Musi gdzieś tu być... O, właśnie ją mam!

Posterunkowy wyprostował się i podał inspektorowi foliową torebkę, również zawierającą ozdobną spinkę z rubinem. McLean porównał oba dowody. Nie ulegało wątpliwości, że stanowią komplet, chociaż ta spinka, którą znaleziono we wnęcie piwnicy była czystsza, mniej porysowana, tak jakby tę drugą ktoś przez dłuższy czas nosił, a w końcu jakimś sposobem wyładowała w kolekcji Fergusa McReadiego.

Spojrzał na zegarek. Za piętnaście ósma. Obaj już dawno powinni byli opuścić komisariat. Tyle że to frustrujące, być tak blisko i musieć czekać. Sierżant dyżurny miał rację, uznał McLean. Nie

można przesłuchiwać McReadiego natychmiast po uwolnieniu, bo to by wyglądało na celowe nękanie. Zwłaszcza że tak długo trwało, zanim usłyszał zarzuty. Nie, to musi zacząć do jutra.

– Jak twój kuzyn Mike radzi sobie z komputerem złodzieja? – spytał MacBride’a.

– Kiedy ostatnio z nim rozmawiałem, miał nadzieję, że do jutra go rozbroi.

– Dobra, Stuart. Zajmiemy się tym wszystkim jutro. Właściwie nie wiem, co ty tu robisz o tej porze.

Posterunkowy poczerwieniał pod blond grzywką i wymamrotał, że czeka na kogoś, kto kończy dyżur o dziewiątej.

– Okej, w takim razie mam dla ciebie smakowity kąsek. Wreszcie będziesz mógł się zająć prawdziwą policyjną robotą.

– Naprawdę?

Twarz MacBride’a rozjaśniła się, jakby Gwiazdka nadeszła przed czasem.

– Pewnie, pewnie. Idź do mojego gabinetu i zajmij się formularzami nadgodzin. Podpiszę je jutro rano.

Z tymi słowami McLean wyszedł, nie czekając na podziękowania posterunkowego.

Do Inverleith i Colonies mógł bez trudu dojść na piechotę, to był zaledwie krótki spacer. Słońce zniknęło za budynkami i chmurą smogu gdzieś na północnym zachodzie, jednak wciąż jeszcze było jasno. O tej porze roku można spodziewać się prawdziwych ciemności dopiero za parę godzin. Za to w zimie trzeba będzie słono za to zapłacić...

Nad Water of Leith im bliżej ogrodów botanicznych, tym mniej szeregowców, ustępują bowiem miejsca wolno stojącym domom, a właściwie rezydencjom. Gdy McLean odnalazł adres podany przez Carstairsa, ujrzał imponujących rozmiarów dwupiętrowy budynek, wznoszący się przy wąskiej bocznej uliczce, zagrodzonej z jednej strony, aby nie była dostępna dla ruchu tranzytowego. Przypominała mu tę, przy której stoi dom babci, tyle że po drugiej stronie miasta. W Edynburgu nie brak oaz spokoju, kryjących się w ciszy pomiędzy bardziej zgielkliwymi dzielnicami.

Po drodze McLean zauważył młodą kobietę, pijaną w sztok – zataczała się w pewnej odległości od niego – chociaż wieczór jeszcze na dobre się nie zaczął. W tym mieście, zwłaszcza podczas trwania festiwalu Fringe, nietrudno spotkać imprezowiczów o każdej porze dnia i nocy, więc kobieta nie wzbudziła w nim szczególnej ciekawości. Przed wjazdem do uliczki przejechała ogromna ciężarówka, co na chwilę odwróciło jego uwagę, a kiedy spojrzał znowu, dziewczyny nie było. Zapomniał więc o niej natychmiast, zresztą, znajdował się już przed szerokimi kamiennymi stopniami, prowadzącymi do drzwi frontowych domu Carstairsa, wszedł więc i sięgnął dłonią do dzwonka.

Wtedy zauważył, że drzwi są otwarte.

Gdzieś w oddali zegar wybił godzinę. McLean uznał, że skoro został zaproszony, może wejść do środka. Niewykluczone, że Carstairs właśnie dlatego zostawił otwarte drzwi. W małej sieni znajdował się stojak z trzema parasolami i kilkoma laskami. Na żelaznych hakach wisiały nie najnowsze płaszcze. Kolejne drzwi, też otwarte, prowadziły do głównego hallu domostwa.

– Carstairs?! – McLean podniósł głos do granicy krzyku.

Nie miał pojęcia, gdzie w tak dużym domu szukać gospodarza. Odpowiedziała mu cisza. Ruszył przed siebie po czarnych i białych płytach podłogi. W kolejnym pomieszczeniu było ciemniej, światło sączyło się przez wysokie okno, znajdujące się w połowie wysokości schodów, w znacznym stopniu zasłonięte przez wielkie drzewo rosnące z poblizu. – Carstairs?

Rozejrzał się, zwrócił uwagę na boazerię z ciemnego drewna i kominek – teraz pusty, lecz zimą na pewno cieszący się u gości uzasadnionym powodzeniem. Wielkie olejne portrety dżentelmenów o surowym wyglądzie częściowo zasłaniały ściany, pod wysokim sufitem wisiał duży rozmiarów mosiężny kandelabr. Coś dziwnie pachniało.

Niedawno miał do czynienia z tym zapachem i podczas gdy umysł McLeana próbował go zidentyfikować, on sam zdał sobie sprawę, że patrzy na szachownicę podłogi. Ciemne plamy prowadziły zygzakiem od drzwi sieni do innych drzwi, również uchylonych. Poszedł za tymi śladami, uważając, żeby ich nie rozdeptać.

– Carstairs? Jesteś tu? – odezwał się McLean, mimo że już znał odpowiedź.

Pchnął drzwi stopą. Uchyliły się bezgłośnie na dobrze naoliwionych zawiasach, uwalniając obezwładniający smród gorącego żelaza i fekaliiów. Musiał wyszarpnąć z kieszeni chusteczkę i zasłonić nos oraz usta, bo w przeciwnym wypadku by zwymiotował.

Przed oczami miał niewielki gabinet o ścianach zastawionych półkami na książki. Pośrodku stało eleganckie antyczne biurko, przy którym z głową odchyloną do tyłu siedział Jonas Carstairs. Błat biurka szczęśliwie zasłaniał dolną część jego ciała. Część górna była zalana krwią.

Kiedy pięć minut później zajechał pierwszy policyjny samochód, McLean siedział na schodach przed wejściem, oddychał głęboko świeżym powietrzem i starał się nie myśleć o tym, co przed chwilą zobaczył. Ustawił dwóch policjantów, żeby pilnowali domu od frontu – tylne wejście sprawdził, było zamknięte – po czym znowu usiadł i czekał na policyjnego doktora. Tymczasem na uliczkę zajechał z loskotem furgon służb technicznych i wyskoczyło z niego kilkoro funkcjonariuszy. Ku swojemu zdumieniu, McLean ucieszył się na widok Emmy Baird i jej uśmiechniętej twarzy; miała zawieszony na szyi aparat fotograficzny. W następnej chwili uświadomił sobie, co zaraz będzie fotografowała.

– Ma pan dla nas kolejnego trupa, inspektorze? To zaczyna wchodzić panu w nawyk, nie sądzi pan?

McLean zaśmiał się niewesoło. Przyglądał się, jak ludzie z ekipy technicznej naciągają na siebie białe fizeleinowe kombinezony, a potem wydobywają z tyłu wozu skrzynie i walizy.

– Czego pan dotykał? – spytał dowódca zespołu i podał kombinezon także McLeanowi.

– Drzwi frontowych, drzwi wewnętrznych, drzwi kuchennych. Poza tym musiałem użyć telefonu, żeby wezwać ludzi.

– To inspektorom już nie dają komórek?

– Bateria mi zdechła.

McLean wyciągnął z kieszeni nieszczęsne urządzenie, zamachał nim przed nosem funkcjonariusza i schował z powrotem, po czym zabrał się do naciągania kombinezonu. Po chwili przed dom zajechał rozklekotany volkswagen golf i zatrzymał się pośrodku ulicy. Z samochodu wydobył się potężnej postury mężczyzna w źle dopasowanym garniturze. Sięgnął na tylne siedzenie po lekarski kuferek i zbliżył się chwiejnym krokiem. Doktor Buckley był całkiem miłym facetem, o ile ktoś nie zadawał mu głupich pytań.

– Gdzie są zwłoki?

– Będzie pan musiał włożyć kombinezon – przypomniał mu McLean. Doskonale wiedział, że w odpowiedzi lekarz skrzywi się paskudnie – i rzeczywiście tak zrobił. Potrwało trochę, nim udało się znaleźć kombinezon odpowiednich rozmiarów, lecz w końcu mogli wejść do budynku. Skierowali się prosto do gabinetu. Smród stał się chyba jeszcze wstrętniejszy. Leniwe muchy brzęczały wokół zwłok.

– Nie żyje – stwierdził doktor Buckley, nie wchodząc do środka. Odwrócił się, żeby odejść.

– To wszystko? Nie zamierza pan go zbadać? – spytał McLean.

– To nie do mnie należy, a pan dobrze o tym wie, inspektorze. Przecież widzę stąd, że ma poderżnięte gardło. Śmierć musiała nastąpić praktycznie natychmiast. Doktor Cadwallader powie panu więcej, kiedy się tu zjawi. Zapozna pana ze szczegółami. Do widzenia.

Grubas wytoczył się z domu, a McLean zwrócił się do zespołu technicznych:

– W porządku, chyba możecie zacząć w tym pokoju, tylko nie dotykajcie ciała, dopóki nie przyjedzie patolog.

Poruszali się jak mały, lecz sprawny rój pracowitych pszczołek. Pstryknął flesz aparatu Emmy. McLean wszedł do gabinetu. Pierwszą rzeczą, którą zauważył, były ubrania, schludnie rozwieszane na oparciu stojącego w kącie skórzanego fotela. Koszula, marynarka, krawat. Zerknął na zwłoki obnażone od pasa w górę. Kiedy zajął się biurko, skrzywił się na widok płataniny wnętrzności, spływających na kolana prawnika. Krzesło było odsunięte od biurka, zamordowany siedział prosto, niemal jakby pozował. Ręce zwisały bezwładnie, po nagich ramionach spływała krew, kapłała z palców, tworząc dwie kałuże. Na blacie biurka leżał zakrwawiony japoński nóż kuchenny o krótkiej kłindze.

– Dobry Boże...Tony, co tu się dzieje, do jasnej cholery?!

McLean odwrócił się i ujrzał Angusa Cadwalladera. Miał na sobie jednorazowy kombinezon, doktor Sharp także – stała tuż za patologiem i rozglądała się nerwowo.

– Czy to ci czegoś nie przypomina? – McLean odsunął się na bok, żeby lekarz sądowy mógł przyjrzeć się dokładnie.

– Na pierwszy rzut oka, owszem. Wyraźne naśladownictwo zabójstw Smythe'a i Stewarta. – Cadwallader pochylał się, aby obejrzeć ciało z bliska. Dotknął okrytą rękawiczką dłonią rany na szyi Carstairsa. – Tutaj jednak nie potrafię określić, co nastąpiło najpierw, czy poderżnięcie gardła, czy otwarcie jamy brzusznej. Na razie trudno też stwierdzić, czy czegoś brakuje. Aha, ale co my tu mamy? – Wyprostował się, otworzył usta nieboszczyka. – Poproszę o torebkę, Tracy, i szczypcę. – Wziął od asystentki narzędzie i zaczął nim grzebać w jamie ustnej Carstairsa. – Kto by pomyślał, że się zmieści. A, nie. Przecięta na pół. To wszystko wyjaśnia.

– Co wyjaśnia? – McLean siłą woli powstrzymał odruch wymiotny. Rany, jaki to byłby wstyd, gdyby teraz się zrzygał. Nie jest przecież jakimś młodzikiem świeżo po szkole policyjnej. Tyle że przyszedł tutaj, by zjeść z Carstairsem kolację.

– My, lekarze, nazywamy to coś wątroba, drogi inspektorze. – Cadwallader uniósł trzymany szczypcami długi brązowy strzęp, po czym wrzucił go do podstawionej torby. – Twój zabójca wyciął pasek z wątroby i wepchnął go do ust ofiary. Nie potrafię w tej chwili stwierdzić, czy to jest jego wątroba, czy nie, ale po co w przeciwnym razie by go patroszył. – Wskazał ruchem dłoni zmasakrowany brzuch i klatkę piersiową Carstairsa. – Zabierzemy go do kostnicy i przekonamy się, jakie jeszcze sekrety przed nami krywa.

– Przykro mi, Tony, ale to dochodzenie przejmie nadinspektor Duguid.

McLean stał przed biurkiem pani komendant McIntyre, może nie na baczność, ale na pewno nie odprężony. Wezwała go na dywanik, gdy tylko przyszedł do komisariatu, świeży i rześki po śnie, w którym jednak nie zabrakło koszmarów. Zaciśnął zęby, powstrzymując cisnące mu się na usta słowa. Opanował się siłą woli. Robić szefowej awanturę to bardzo kiepski pomysł.

– Dlaczego? – spytał po krótkiej chwili.

– Bo masz zbyt bliskie powiązania z Carstairsem.

– Słucham? Prawie go nie znałem.

– Był wykonawcą testamentu twojej babci, a ty, o ile się nie mylę, jesteś jedynym spadkobiercą. Przyszedłeś do niego na kolację. Krótko mówiąc, był przyjacielem rodziny. Nie mogę pozwolić, aby to powiązanie utrudniło przebieg tak ważnego śledztwa. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, jak ważną postacią w tym mieście był Carstairs?

– Ja... No, nie.

– Otóż muszę ci powiedzieć, że różne bardzo ważne osoby dzwonią dziś już od piątej rano, żeby mnie o tym powiadomić. Naczelnik policji grał z nim w golfa, premier zapraszał go niejednokrotnie na rybackie wakacje, był jednym z głównych autorów projektu konstytucji dla nowego parlamentu.

– Ale dlaczego Duguid? Czy tej sprawy nie mógłby przejąć nadinspektor Powell? Albo ktoś inny z inspektorów?

– Charles jest wyjątkowo doświadczonym detektywem, Tony. Poza tym wszyscy są pod wrażeniem tego, jak poradził sobie ze sprawą Smythe'a.

Wszyscy oprócz mnie, pomyślał McLean. Głośno zaś stwierdził:

– Tyle że on zbyttnio upraszcza.

– A ty niepotrzebnie komplikujesz. Szkoda, że nie jesteście w stanie pracować razem. Znakomicie byście się uzupełniali.

– Cóż, skoro nie, to nie. Rozumiem, że nie wolno mi mieszać się do tego śledztwa?

– Niezupełnie. Chcę, żebyś w miarę możliwości pomagał, natomiast nie ty prowadzisz dochodzenie. Poza tym ma ono pewien bardzo istotny aspekt, którym mógłbyś się zająć. Byłeś też na miejscu zbrodni, jeżeli chodzi o sprawę Smythe'a, byłeś pierwszą osobą, która widziała Carstairsa po zabójstwie. Jak sądzisz, czy jest prawdopodobne, aby te wszystkie podobieństwa były zwykłym zbiegiem okoliczności?

– Przecież wiemy, że zabójca Smythe'a nie żyje. Popelnił samobójstwo niecałe dwadzieścia cztery godziny po dokonaniu przestępstwa.

– Otóż to. Nie wyjawiliśmy mediom szczegółów dotyczących tych zbrodni, była tylko mowa o brutalnym zabójstwie. Z tego wniosek, że ktokolwiek zamordował Carstairsa, miał dostęp do szczegółowych raportów z miejsca zbrodni. Takiego wycieku informacji nie mogę tolerować.

Wykryj jego źródło, Tony, bo musimy te wycieki powstrzymać.

– Hm, a czy to przypadkiem nie jest zadanie dla policji wewnętrznej?

McIntyre pełnym znużenia ruchem potarła skroń.

– Naprawdę chciałbyś, żeby zaczęli przewracać do góry nogami wszystko, co ty, Duguid i inni w naszym komisariacie robili przez ostatnie Bóg wie ile miesięcy? Być może i do tego dojdzie, Tony, ale na razie wolałabym, żeby tę sprawę zbadał ktoś, komu mogę zaufać.

*

Spogląda na zachodzące słońce, ten widok budzi w niej zachwyt. Wielka ognista kula mocy nad horyzontem przepelnia ją swoim żarem. Głosy wznoszą pieśń o wielkich czynach. Wie, że jest ich narzędziem zemsty. To dobrze, że wypełniła zadanie.

Patrzy na poplamione krwią dłonie. Czuje na nowo ciepło i wilgoć skóry tamtego mężczyzny, widzi czerwień pojawiającą się, gdy nóż rozciął ciało, by ukazać życie pulsujące pod nim. Trzymała je w swoich dłoniach, odcięła i zmusiła, by je zjadł. Jego ostatni ziemski posiłek, zanim wydarła z niego duszę, aby głosy mogły ją pożreć.

Ale jest zmęczona, tak bardzo zmęczona. A głód wciąż ściska jej żołądek. Nieustanny ból w nogach nadal ją dręczy, z każdym kolejnym krokiem czuje rwący ból w plecach. Głosy wciąż podtrzymują ją na duchu, nadal każą jej iść. Jest jeszcze więcej do zrobienia, to nie koniec zemsty. W końcu nie on jeden tak ją skrzywdził. Są jeszcze pozostali, którzy muszą również za to zapłacić.

Jednak to takie trudne, tak strasznie trudne, żeby za nimi podążyć. Gdyby tylko mogła sięgnąć słońca. Wziąć sobie choć cząsteczkę jego niezmierzonej mocy, zabrać ją dla siebie. Wtedy mogłaby spełnić wyznaczone przez głosy zadanie. Bardzo by tego pragnęła, niczego bardziej w całym świecie nie pragnie. Tak bardzo przez całe życie chciała być narzędziem zemsty.

Jakimś sposobem znalazła się na szczycie. Wokół niej świszczy wiatr, brzmi to, jakby jacyś ludzie krzyczeli. Nie zwraca na nich uwagi. Jest tylko ona, słońce i głosy, którym chce służyć.

Rozkłada ramiona i skacze prosto w niebo.

Na Waverley Station prawie zawsze panuje ożywiony ruch. Cóż, trwa festiwal Fringe – istny koszmar rojących się plecaków, trąbiących klaksonami taksówek oraz zdezorientowanych turystów. Dorzucmy jeszcze do tego ambulans, kilka wozów policyjnych, zatrzymajmy wszystkie pociągi, a wówczas osiągniemy chaos kompletny.

McLean widział to z pomostu łączącego schody przy Princes Street obok Balmoral Hotel z Market Street po drugiej stronie. Zanim wybudowano linię kolejową, znajdowało się tu cuchnące zgnilizną bajoro, do którego spływały ścieki ze starego miasta. McLean czasami wolałby, żeby zalano ten grajdół na nowo.

Tym razem doktor Buckley wyprzedził go, znalazł się na miejscu wcześniej. Właśnie schylał się nisko nad szynami, oglądał jakieś zmasakrowane szczątki. Kiedy McLean się zbliżył, rozpoznał w nich istotę ludzką, przypuszczalnie płci żeńskiej. Upadek z North Bridge przez dach ze wzmocnionego szkła oraz zderzenie z nocnym pociągiem sprawiły, że nie było to wcale oczywiste.

– Ona też nie żyje?

Na dźwięk jego słów doktor podniósł głowę.

– O, pan inspektor. Tak myślałem, że pan się zjawi. Owszem, nie żyje. Prawdopodobnie śmierć biedaczki nastąpiła w chwili, kiedy uderzyła o szkło.

McLean rozglądał się za mundurowym funkcjonariuszem, który panowałby nad sytuacją i od którego mógłby się czegoś dowiedzieć. Owszem, dwóch posterunkowych starało się nie dopuścić gapiów zbyt blisko, natomiast poza tym nikogo nie spostrzegł.

– Kto pana wezwał, doktorze? – spytał.

– Sierżant Houseman był tutaj jeszcze przed chwilą. Chyba pojawił się na miejscu jako pierwszy.

– A gdzie teraz się podziewa?

– Jestem lekarzem, a nie detektywem. Nie wiem, ale chyba poszedł porozmawiać z naczelnikiem stacji.

– Wybacz, doktorze. Miałem ciężki dzień.

– Coś o tym wiem. O, już jest.

Wielki Andy przeciskał się przez tłum, tuż za nim nadciągała Emma Baird z aparatem fotograficznym. Oboje zeskoczyli z peronu, ruszyli dalej po torach.

– Andy, może postawilibyśmy tutaj namiot albo coś w tym rodzaju – zaproponował McLean.

Wokół błyskały flesze telefonów komórkowych. – Nie podoba mi się ten tłum hien na peronie.

– Już się tym zająłem, szefie.

Dwaj pracownicy linii kolejowych ScotRail zmagali się z przenośną brezentową budą, jakiej używa się podczas napraw. Szło im to opornie, najwyraźniej nie mieli ochoty podchodzić zbyt blisko, więc McLean i sierżant sami musieli się tym zająć. Tymczasem Baird zaczęła fotografować zwłoki. W tym momencie McLeanowi przyszła do głowy pewna paskudna myśl. Któż inny jak nie oficjalna fotografka ekipy technicznej miała pełen dostęp do wszystkich zdjęć ze sprawy Barnaby'ego Smythe'a?

Cóż, w zasadzie poza nią wszyscy z około setki funkcjonariuszy, których Duguid wciągnął do tej sprawy, poza tym wszyscy pracownicy administracyjni, którzy z takiego czy innego powodu znaleźli się w pokoju śledczym podczas dochodzenia, mieli taką samą możliwość. Przegnął natrętną myśl.

– Jak do tego doszło? – spytał.

– Niewiele jest do opowiedzenia, szefie. To wydarzyło się mniej więcej pół godziny temu. Dwaj posterunkowi są na moście, spisują dane świadków, ale mało kto zechce przyznać, że się przyglądał. Chyba po prostu weszła na barierę i skoczyła. Pech chciał, że trafiła w sam środek szyby i przebiła ją na wylot, jeszcze gorszy pech, że akurat nadjeżdżał pociąg. Wszystko to mało prawdopodobne, a jednak się stało.

– Rzeczywiście, szczególny zbieg okoliczności. A mamy jakichś świadków?

– Cóż, na przykład maszynista, który prowadził pociąg. Było też trochę ludzi na peronie, ale teraz zapanował tam chaos. Jedni uciekli, żeby nie patrzeć, drudzy przybiegli, żeby się przyglądać.

– Jasne, wiadomo. Dobra, zrób co się da, okej? Sprawdź, czy znajdzie się tutaj jakieś pomieszczenie, w którym moglibyśmy przesłuchać świadków. Szczerze mówiąc, wątpię, żeby to coś dało, ale musimy postępować według procedur.

– Naczelnik stacji przygotowuje dla nas biuro, szefie. Natomiast przydałoby mi się trochę więcej ludzi, jeżeli nic nie stoi na przeszkodzie.

– Zadzwoń do komisariatu i sprowadź wszystkich, którzy są na tyle głupi, żeby tam jeszcze siedzieć. Powiedz, że masz na to moją zgodę i że podpiszę nadgodziny. Musimy ją stąd zabrać, zanim zakorkuje się całe miasto.

McLean przyklęknęła obok strzępu, który kiedyś był ludzką istotą. Miała na sobie strój przypominający biurowy: beżową bawełnianą spódnicę do kolan, bluzkę niegdyś białą, spod której wylaniał się brzeg koronkowego stanika, wcięty żakiet z mocno wypchanymi ramionami. Jedna z poduszek rozdarła się, wylazило z niej długie, sztuczne włosie. Miała gołe nogi, połamane i pokaleczone, ale niedawno ogolone. Na nogach sięgające do kostek buty na obcasach – czarne,

sukcynowe, w stylu modnym pod koniec lat osiemdziesiątych i najwyraźniej właśnie powracającym. Nie sposób było stwierdzić, jak mogła wyglądać jej twarz; siła uderzenia skręciła jej ciało w taki sposób, że kręgosłup musiał pęknąć, a głowę wgniotła w żwir między podkładami. Krew poplamiała matowe kasztanowe włosy, także dłonie były umazane krwią.

– Jezu, jak ja nie cierpię zajmować się takimi skoczkami.

McLean podniósł wzrok. Cadwallader przyklęknął obok niego. W głosie patologa słychać było zmęczenie. Badał zwłoki, dotykając ich dłońmi w rękawiczkach. Schylił się nisko, żeby zajrzeć pod wygięte plecy martwej dziewczyny.

– Można ją zabrać? – spytał McLean.

Cadwallader wstał, przeciągnął się, prostując plecy.

– Pewnie. Na razie mogę stwierdzić tylko tyle, że zmarła, nim odniosła większość tych obrażeń. To widać, bo rany za mało krwawią. Niektórzy umierają, jeszcze zanim uderzą o ziemię. – Spojrzał w górę. – W tym wypadku raczej o dach. Przy odrobinie szczęścia z nią tak było.

McLean obrócił się, skinął głową do czekającego kierowcy ambulansu. Ten zeskoczył z peronu, a wraz z nim asystent niosący nosze. Razem dźwignęli martwą dziewczynę. Ku swej uldze, McLean stwierdził, że szczęśliwie żaden kawałek ciała nie odpadł, kiedy pakowali ją do czarnej torby zamykanej na zamek błyskawiczny. Emma Baird zrobiła zbliżenie na ślady pozostałe w żwirze, flesz jej aparatu zalał na ułamek sekundy torowisko białym światłem. Patolog miał rację, nie było tam plam krwi, tylko jakiś olej. Pośrodku rósł chwast z jednym, jedynym żółtym kwiatkiem.

– Gdzie jest pociąg? – spytał McLean, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Ożywił się niewysoki człowiek o rzadziejących tłustych włosach zaczesanych na bok i wąsiku, któremu brakowało tylko milimetrów, by do złudzenia przypominać zarost Hitlera. Miał na sobie pomarańczową kamizelkę, w ręce trzymał krótkofalówkę.

– Bryan Alexander. – Podał McLeanowi pulchną dłoń. – Jestem zawiadowcą. Czy długo to jeszcze potrwa, panie inspektorze?

– Ta kobieta nie żyje, panie zawiadowco.

– Jasne, zdaję sobie z tego sprawę. – Facet miał przynajmniej tyle przyzwoitości, że udawał choć odrobinę zawstydzonego. – Chodzi o to, że mam tu dziesięć tysięcy żywych, którzy czekają na pociągi.

– No dobrze, proszę mi pokazać ten, który ją uderzył, dobrze?

– To niedaleko, panie inspektorze. – Alexander wskazał na tory w stronę Anglii. Jakies dwadzieścia metrów od nich stał smukły czerwony pociąg, pochyłał się z lekka na bok, podobnie jak większość wagonów na zakręcie. Z tego miejsca wyglądało to dziwnie, jakby złapał gumę. –

Musieliśmy go cofnąć. I tak dobrze, że prawie wyhamował. Pracuję na kolei od prawie trzydziestu lat i zapewniam pana, że kiedy kogoś uderzy pociąg jadący z pełną prędkością, w zasadzie nie bardzo jest co zbierać.

McLean podszedł do lokomotywy. Wcześniej nie zdawał sobie sprawy z tego, jaki to ogrom. Kiedy znalazł się też przy niej, poczuł się jak karzelek. Od lokomotywy biło gorąco, pachniała olejem napędowym. Cienka smuga krwi na przedniej szybie wskazywała miejsce, w które uderzyła spadająca kobieta. Najprawdopodobniej ciało odbiło się, potem spadło na tory i zostało przesunięte tam, gdzie znajdowało się obecnie. McLean odwrócił się i zawołał:

– Panno Baird!

Podbiegła do niego.

– Proszę zrobić zdjęcia. – Wskazał na przód lokomotywy. – Chodzi mi zwłaszcza o miejsce zderzenia z ciałem.

Policjantka zabrała się do pracy, tymczasem McLean zwrócił uwagę, że Alexander spogląda nerwowo na zegarek. Pojawił się też Cadwallader i przyjrzał się lokomotywie.

– Tutaj też niewiele krwi – stwierdził. Spojrzał w górę na szklany sufit i otwór w szklanym panelu. – Można tam wejść?

– Owszem, proszę za mną.

Zawiadowca zaprowadził ich do końca peronu, potem w stronę centralnego budynku. Emma Baird zrobiła jeszcze parę zdjęć, potem pobiegła za nimi. Dogoniła ich przy wejściu opatrzonym tabliczką: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Wspięli się po wąskich schodkach, u których szczytu znajdowały się kolejne drzwi. Były zamknięte, pan Alexander przez chwilę szukał właściwego klucza.

Dziwnie było chodzić po dachu dworca kolejowego. Rozciągał się stamtąd zupełnie nowy i nieznanany widok na miasto oraz na North Bridge i najniższe kondygnacje hotelu North British. Dla McLeana był to zawsze North British, natomiast Balmoral kojarzył się z zamkiem w Aberdeenshire.

Szli pomostem z żelaznymi poręczami, prowadzącym przez szklany dach. Przypominało to jakąś gigantyczną wiktoriańską cieplarnię, tyle że szkło było grube, wzmocnione i matowe. Rozbity panel znajdował się tuż przy pomoście – ku niemałej uldze McLeana. Nie miał ochoty spacerować po szkle, choćby i pancernym, które ponoć miało wytrzymać znacznie większy ciężar. Dopiero co nie wytrzymało i tego jednego razu było za wiele.

Cadwallader przyklęknął, żeby przyjrzeć się szklanej powierzchni. Zerknął w dół na tory.

– Tutaj wcale nie ma krwi – stwierdził w końcu.

Baird zrobiła kolejne zdjęcia, pracowała metodycznie, starannie. McLean wyjrzał za balustradę mostku, starając się ocenić wysokość.

– Czy to wszystko? – spytał Alexander.

McLean stwierdził w duchu, że stanowczo tego faceta nie lubi, natomiast jednocześnie był świadomy, że trzeba jak najszybciej przywrócić normalny ruch na dworcu. Już sobie wyobrażał, co usłyszy od pani McIntyre, jeżeli linie ScotRail wniosą skargę.

– Angus? – Spojrzał pytająco na patologa.

– Sadzę, że od tego właśnie uderzenia nastąpił zgon, tu prawdopodobnie doszło do złamania kręgosłupa. Pozostałe obrażenia przypuszczalnie nastąpiły w chwili zderzenia z pociągiem. W tym momencie prawdopodobnie już nie żyła, to by tłumaczyło, dlaczego jest tak mało krwi na ziemi.

– Czuję, że jest jakieś „ale” – wtrącił McLean.

– Cóż, skoro nie krwawiła obficie po zderzeniu z pociągiem, a tutaj praktycznie nie ma fragmentów skóry, skąd wzięła się krew na jej włosach i dlaczego ma pokryte krwią dłonie?

Gdy tylko pojawił się Bob Gburek, McLean powierzył mu pieczę nad dochodzeniem w sprawie samobójczynie znalezionej na Waverley Station. Przeszedł przez tłum pozostających w błogiej nieświadomości turystów i zakupowiczów, a potem piechotą udał się do komisariatu, rozmyślając nad prowadzonymi przez siebie dochodzeniami. Wszystkie były ważne, ale nic nie mógł poradzić na to, że najwięcej jego uwagi pochłaniała sprawa martwej dziewczyny znalezionej w piwnicy Farquhar House. Owszem, niby rozumiał, że nie ma to większego sensu, skoro wszystkie tropy dawno wystygły. Szanse na znalezienie kogoś, kto mógłby odpowiedzieć za jej śmierć, a sam jeszcze by żył, były nadzwyczaj nikle. A jednak poczucie, że uczyniona jej krzywda pozostawała tak długo bezkarna, nie dawało mu spokoju. Sprawę pogarszał jeszcze fakt, że wszystko to zdawało się nie obchodzić nikogo innego poza nim.

– Muszę przesłuchać McReadiego, dowiedzieć się, gdzie zwinął tę spinkę – oznajmił, wchodząc do pokoju operacyjnego. – Zorganizuj samochód, złożymy wizytę naszemu włamywaczowi.

Detektyw posterunkowy MacBride pracowicie stukał w klawiaturę lśniącego laptopa. Przerwał i zamknął teczkę z dokumentami, które przepisywał. Milczał przez chwilę, nim odpowiedział:

– Hm, to może nie być najlepszy pomysł, szefie.

– A czemuż to, posterunkowy?

– Dlatego, że adwokat McReadiego wniósł formalną skargę, w której stwierdził, że jego klient doznał nadmiernej przemocy podczas aresztowania, a następnie został bez istotnej przyczyny przetrzymany zbyt długo w areszcie bez postawienia zarzutów.

– Co takiego?! – McLeana ogarnęła złość. – Ten mały skurwysyn włamał się do domu mojej babci w dniu jej pogrzebu i myśli, że wykręci taki numer?

– Jasne, rozumiem. Łatwo się nie wyłga, ale może lepiej na razie trzymać się od niego z daleka.

– Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa, a on jest w posiadaniu informacji, która może mnie doprowadzić do zabójcy. – McLean zerknął na MacBride'a, którego twarz jasno wyrażała zakopotanie. – A tak przy okazji, kto ci o tym powiedział?

– Pani komendant McIntyre, szefie. Mam panu przekazać, żeby dla własnego dobra trzymał się pan na dystans od McReadiego. – Uniósł dłonie, jakby chcąc zaznaczyć, że nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. – To są jej słowa, szefie, nie moje.

– Świetnie, kurwa, świetnie. Masz tutaj te spinki?

MacBride zaszurał papierami, przelożył je na bok i podał mu dwie plastikowe torebki. McLean wsadził je do kieszeni marynarki i skierował się ku drzwiom.

– Chodźmy – powiedział.

– Ale przecież... McReadie...

– Bez obaw, posterunkowy. Nie jedziemy przesłuchać Fergusza McReadiego. W każdym razie nie dzisiaj. Są inne sposoby.

Douglas i Footes, jubilerzy Jej Królewskiej Mości, zajmowali niepozorny sklepik w zachodniej części George Street. Wyglądał, jakby powstał, zanim James Craig wykreślił plan zabudowy nowego miasta. Jedynym ustępstwem na rzecz wymagań współczesności były zamknięte drzwi mimo wiszącego na nich napisu: „Otwarte”; aby dostać się do środka, należało zadzwonić i zaczekać, aż w odpowiedzi rozlegnie się brzęczyk sygnalizujący, że można wejść. McLean pokazał służbową legitymację, po czym zaprowadzono ich do pokoju na tyłach, który na przełomie XIX i XX wieku mógł być spiżarnią dawnej wiejskiej rezydencji. Czekali w milczeniu przez kilka minut, po czym powitał ich podstarzały pan w równie podstarzałym prążkowanym garniturze i obcisłym skórzanym fartuchu zawiązanym w pasie.

– Miło pana widzieć, inspektorze McLean. Jest mi nadzwyczaj przykro z powodu pańskiej babci. Taka inteligentna dama, a przy tym prawdziwa koneserka, jeśli chodziło o piękne rzeczy.

– Dziękuję, panie Tedder. To bardzo uprzejme z pańskiej strony. – McLean uściśnął podaną mu dłoń. – Wiem, że lubiła tutaj przychodzić. Nieraz powtarzała, że usługi w naszym mieście to już nie to, co kiedyś, ale na zakład Douglasa i Footesa nadal można liczyć.

– Staramy się, jak możemy, panie inspektorze. Chyba jednak nie przyszedł pan, aby prawić nam grzeczności?

– Prawdę mówiąc, nie. Chciałem spytać, czy mógłby mi pan coś powiedzieć o tych przedmiotach.

McLean wyciągnął z kieszeni foliowe torebki, podał je jubilerowi. Pan Tedder przyjrzał się spinkom przez plastik, potem sięgnął do pobliskiego kontuaru i włączył mocną przegubową lampę stołową.

– Mogę je wyjąć?

– Jak najbardziej, tylko proszę ich nie pomylić.

– To mało prawdopodobne. Dostyc znacznie się od siebie różnią.

– To znaczy, że nie stanowią kompletu?

Pan Tedder wyjął z kieszeni lupkę, umieścił ją w oczodole i pochylił się nad pierwszą spinką. Obracał ją w palcach przez jakiś czas, potem wrzucił z powrotem do torebki i równie dokładnie obejrzał drugi egzemplarz.

– Owszem, stanowią część tego samego kompletu – orzekł w końcu. – Tylko jedna była

regularnie używana, a druga jest prawie jak nowa.

– Skąd więc wiadomo, że są od kompletu? – spytał detektyw posterunkowy MacBride.

– Mają te same oznaczenia. Tak się składa, że to nasze dzieło, z tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku. Pozwolę sobie stwierdzić, że to wysmienita robota. Wie pan, wykonane na zamówienie. Najprawdopodobniej należały do zestawu, jaki dawało się w prezencie młodemu dżentelmenowi, razem z kompletem spinek do kołnierzyka i być może sygnetem.

– A czy dałoby się stwierdzić, kto je otrzymał?

– Zaraz sprawdzimy. Rok tysiąc dziewięćset trzydziesty drugi...

Pan Tedder sięgnął na półkę zastawioną oprawnymi w skórę księgami, przesunął wzdłuż niej palcami, aż znalazł właściwy tom. Był dosyć cienki, przynajmniej w porównaniu z innymi.

– Na początku lat trzydziestych mało kto składał takie zamówienia. Wie pan, to czasy kryzysu.

Położył księgę na kontuarze, ostrożnie otworzył ją od tyłu, na indeksie zapisanym starannym kaligraficznym pismem; atrament zblakł nieco z biegiem czasu. Przesuwał palcem wzdłuż linijek szybciej, niż McLean był w stanie odczytać ściśnięte, kanciaste literki. Następnie pan Tedder zaczął przerzucać strony po jednej, aż znalazł to, czego szukał.

– No, tak. Proszę bardzo. Złoty sygnet. Para złotych spinek do mankietów, z rubinami szlifowanymi na gładko. Do tego zestaw spinek do kołnierzyka, także wysadzanych rubinami. Sprzedano je panu Menziesowi Farquharowi z Sighthill. Ach tak, oczywiście, Farquhar's Bank. Ci akurat nie ucierpieli z nadto w okresie międzywojennym. O ile mnie pamięć nie myli, zarobili sporo pieniędzy na finansowaniu dostaw dla armii.

– A więc należą do Menziesa Farquhara? – upewnił się McLean. Zgarnął torebki ze spinkami.

– To znaczy, że on je nabył. Natomiast tutaj widnieje uwaga, że na puzderku ma się znaleźć napis: „Dla Alberta Menziesa Farquhara w dniu osiągnięcia pełnoletniości, trzynastego sierpnia tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku”.

– Proszę na słówko, McLean.

Inspektor stanął jak wryty. Duguid wyszedł z gabinetu pani McIntyre akurat, gdy razem z posterunkowym MacBride'em przechodzili obok.

– Czy to coś bardzo pilnego? Właśnie trafiłem na ważny trop w sprawie rytualnego zabójstwa.

– Ktoś, kto nie żyje od sześćdziesięciu lat, może poczekać jeszcze dzień czy dwa.

Twarz Duguida była czerwona ze złości – jak zwykle zły znak.

– Owszem, ale zabójcy też nie stają się coraz młodszy. A ja chciałbym złapać przynajmniej jednego z nich, zanim umrze.

– Tak czy inaczej, to ważna sprawa.

– Oczywiście. Tak jest. – McLean zwrócił się do MacBride'a, podając mu torebki ze spinkami: – Zanieś je z powrotem do pokoju operacyjnego i sprawdź, co wiadomo na temat Alberta Farquhara. W aktach powinien być raport dotyczący jego śmierci.

MacBride wziął od niego foliowe torebki i odszedł pospiesznym krokiem. Inspektor jeszcze przez chwilę spoglądał za nim, żeby nie okazać nadmiernej gorliwości w okazywaniu posłuszeństwa Duguidowi, po czym wszedł do jego gabinetu. Był o wiele przestronniejszy od przydzielonej McLeanowi klitki, miejsca starczyło na dwa wygodne fotele i niski stolik. Duguid zamknął drzwi, oddzielając ich w ten sposób od pustego, cichego korytarza, ale nie usiadł.

– Chcę wiedzieć, jakie dokładnie stosunki łączyły cię z Jonasem Carstairssem – oznajmił.

– Co pan ma na myśli?

Pokój jakby skurczył się, kiedy McLean znieruchomiał, stojąc plecami do zamkniętych przed chwilą drzwi.

– Doskonale wiesz, o co mi chodzi! Byłeś pierwszy na miejscu zbrodni, ty znalazłeś ciało. Dlaczego Carstairs zaprosił cię do domu?

– A skąd pan wie, że mnie zaprosił?

Duguid sięgnął po kartkę leżącą na biurku.

– Stąd, że mam tutaj zapis przeprowadzonej przez was rozmowy telefonicznej. Należy dodać, że zapis sporządzony zaledwie kilka godzin przed jego śmiercią.

McLean już chciał zapytać Duguida, skąd wziął zapis, ale w porę przypomniał sobie, że rozmowę prowadził przez służbową krótkofalówkę i została ona przekierowana przez centralę komisariatu i oczywiście nagrana.

– Skoro zna pan treść rozmowy, to wie pan, że miałem się spotkać z Carstairssem, aby podpisać różne dokumenty związane ze spadkiem po mojej zmarłej babci. A zaprosił mnie na kolację, bo zdawał sobie sprawę, że trudno mi będzie znaleźć chwilę czasu w godzinach urzędowania.

– Czy to normalne zachowanie ze strony prawnika? Przecież mógł przysłać te papiery przez kuriera, żebyś je podpisał.

– A czy to normalne, żeby współwłaściciel prestiżowej kancelarii osobiście zajmował się formalnościami związanymi z wykonaniem ostatniej woli? Czy to normalne, że był na pogrzebie? Otóż Carstairs był przyjacielem mojej babci z dawnych lat. Prawdopodobnie uważał to za swój obowiązek. Chciał dopilnować, żeby wszystkie jej sprawy zostały należycie uporządkowane.

– A te wiadomości, które powierzyła mu twoja babcia? – przeczytał Duguid z kartki. – O co tu chodzi?

– Szeffie, czy to jest formalne przesłuchanie? Bo jeżeli tak, chyba powinniśmy je nagrywać.

Poza tym powinien być przy tym obecny jeszcze drugi oficer, prawda?

– Jasne, że to nie żadne cholerne przesłuchanie. Człowieku, nie jesteś o nic podejrzany. Po prostu chcę poznać okoliczności związane ze znalezieniem zwłok.

Duguid poczerwieniał jeszcze bardziej.

– Nie rozumiem, co ma z tym wszystkim wspólnego ostatnia wola i testament mojej babci.

– Naprawdę nie rozumiesz? To może potrafisz wyjaśnić, dlaczego Carstairs zaledwie kilka dni temu zmienił własny testament.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Spotkałem się z nim zaledwie tydzień temu. Prawie go nie znałem.

Duguid odłożył kartkę z zapisem rozmowy na blat biurka, sięgnął po następny dokument. Była to fotokopia pierwszej strony jakiegoś aktu prawnego, dodatkowo rozmazana przez faks. W nagłówku widniał numer faksu i nazwa nadawcy: Carstairs i Weddell, kancelaria prawna.

– W takim razie, jak myślisz, dlaczego zapisał ci cały osobisty majątek?

Bob Gburek jak zwykle czytał gazetę, opierając obute stopy o stół, na którym leżały torebki z dowodami. McLean wszedł do ich pokoiku dochodzeniowego, niemal slaniając się na nogach.

– Wszystko w porządku, szefie? Wyglądasz, jakbyś spotkał upiora na korytarzu.

– Co takiego? Ach, nie, nie. Nic mi nie jest. Doznałem tylko lekkiego szoku.

Opowiedział sierżantowi, co się zdarzyło.

– Nieźle. Zdecydowanie jesteś na fali. Słuchaj, może mógłbyś mi pożyczyć parę funciaków?

– To nie jest śmieszne, Bob. Zostawił mi wszystko oprócz firmowych aktywów. Dlaczego on to zrobił, do ciężkiej cholery?

– A skąd mam wiedzieć? Może nie miał komu ich zostawić. A może miał słabość do twojej babci i postanowił zostawić kasę tobie, zamiast przekazać ją na schroniska dla zwierząt.

„Słabość do twojej babci”. Słowa Boba przywołały wspomnienie zatarte przez nawal ostatnich wydarzeń. Te zdjęcia w pustej sypialni. Mężczyzna, który nie był jego dziadkiem, a mimo to był podobny do jego ojca jak dwie krople wody. Czyżby to był młody Carstairs? Czy to w ogóle możliwe? Nie. Babcia nigdy w życiu... A może?

– Zmienił testament dopiero w zeszłym tygodniu – stwierdził McLean, odpowiadając zarówno na własne pytanie, jak i na słowa Boba.

Próbował przypomnieć sobie te nieliczne rozmowy, jakie odbył ze starym prawnikiem, poczynszyszy od pierwszego telefonu w dniu śmierci babci. Z początku zachowywał się bardzo przyjaźnie, wręcz poufale. Natomiast na pogrzebie sprawiał wrażenie roztargnionego, jakby czekał na kogoś, kto jednak się nie pojawił. Potem ta dziwna rozmowa po południu, zanim został zamordowany. O co mu chodziło? Jakie wiadomości przeznaczone dla wnuka babcia mogła przekazać Carstairsowi? Może sam Carstairs chciał mu wyjawić jakieś sekrety? W każdym razie starszego pana coś trafiło, a teraz nikt się nie dowie, co to było.

– Nie wiem, na co narzekasz, szefie. Rzadko się zdarza, żeby prawnik dał komuś pieniądze.

McLean próbował się uśmiechnąć na ten żart, ale przyszło mu to z trudem.

– A gdzie posterunkowy MacBride?

– Wybrał się do redakcji „Scotsmana”. Miał coś wygrzebać z ich archiwum.

– Zgadza się, na temat Alberta Farquhara. Świetnie. A co w sprawie McReadiego?

Bob Gburek odłożył gazetę, zdjął nogi ze stołu i usiadł prosto.

– Wśród znalezionych u niego fantów były przedmioty z pięciu włamań, którymi się zajmujemy. Nie odzyskailiśmy wszystkiego, co zginęło, jednak wystarczająco dużo, żeby

posadzić faceta na dłuższy czas. Chłopaki z IT mniej więcej rozbroili jego komputer. Wątpię, żeby zdołał się z tego wykręcić, nawet jeżeli zafunduje sobie najlepszego prawnika.

– Doskonale. A co ze spinkami? Czy komputerowcy zdołali przypisać je do jakiegoś adresu?

Bob Gburek odsunął na bok torebki z trofeami, odszukał cienki plik papierów. Przerzucał je przez chwilę, aż znalazł to, czego szukał.

– Zgarnął je w Penicuik siedem lat temu. Od niejakiej Louisy Emmerson.

– Nie wiesz, czy zgłosiła kradzież?

– Zaraz sprawdzę, szefie. – Bob Gburek przysunął się do laptopa, stuknął w kilka klawiszy. – Nie, w bazie danych nie ma żadnego zapisu powiązanego z tym adresem ani nazwiskiem.

– Przypuszczałem, że nic nie będzie. Skombinuj samochód, Bob. Zrobimy sobie wycieczkę na wieś.

Penicuik to miejscowość położona w dolinie, szesnaście kilometrów na południe od miasta, przedzielona wijącą się meandrami rzeką Esk. McLean zachował niejasne, zatarte wspomnienia weekendowych wycieczek z rodzicami; zatrzymywali się wtedy u Giapettiego na lody, aby później wybrać się na zwiedzanie zabytków. Dziwne stare budowle nudziły go do łez, natomiast uwielbiał siedzieć na tylnej kanapie samochodu ojca i patrzeć na groźny, dziki krajobraz za oknem; usypiać w rytm szumu opon na asfalcie i warkotu silnika. Rzecz jasna, uwielbiał też lody. Od tamtego czasu miasteczko się rozrosło, rozprzestrzeniło na zbocza wzgórz oraz ku północy, w stronę koszar. Główną ulicę zmieniono na deptak, a lodziarnia Giapettiego dawno zniknęła, zaś na jej miejscu wykwitł pozbawiony jakiegokolwiek charakteru budynek supermarketu.

Dom, którego szukali, znajdował się w pewnej odległości od miasteczka, przy starej drodze do kościoła, w stronę wzgórz Pentland. Wznosił się w pewnej odległości od drogi, w rozległym ogrodzie, otaczały go stare drzewa. Zbudowano go z ciemnoczerwonego piaskowca, miał wysokie, wąskie okna i spiczasty dach; najprawdopodobniej była to rezydencja z czasów, kiedy od kapłanów oczekiwano, że będą mieli tuziny dzieci. Kiedy samochód zajechał po długim żwirowym podejździe i zatrzymał się przed masywnym kamiennym gankiem, przez drzwi wybiegł rój małych piesków, czemu towarzyszyło jazgotliwe, podekscytowane ujadanie.

– Nie boisz się, że cię pogryzą? – spytał Bob Gburek, gdy McLean sięgnął do uchwytu, aby otworzyć drzwi.

W otwartych drzwiach pojawiło się całe mnóstwo mokrych nosów, a nieustające poszczekiwanie wypełniło wnętrze wozu.

– Bać to się trzeba, kiedy nie szczekają – wyjaśnił koledze inspektor. – Pochylił się i wyciągnął rękę, aby pieski mogły ją obwąchać i dokładnie wylizać. Sierżant pozostał na swoim miejscu, nie rozpiął też pasów i nie kiwnął palcem, żeby otworzyć drzwi.

– Proszę się nie obawiać psów, gryzą tylko wtedy, kiedy są głodne.

McLean spojrział ponad morze psich łebków. Ujrzał zażywną kobietę w kaloszach i tweedowej spódnicy. Mogła mieć pod sześćdziesiątkę; w ręce trzymała sekator, a na ramię zarzuciła drewniany koszyk na kwiaty czy też owoce.

– Dandie Dinmont, tak się nazywa ta rasa, prawda? – Poklepał jednego z piesków po łebku.

– Owszem, zgadza się. Miło spotkać kogoś, kto posiada nieco wykształcenia. Czym mogę służyć?

– Jestem detektyw inspektor McLean z policji Lothian i Borders.

Pokazał kobiecie legitymację, potem odczekał cierpliwie, aż włoży zawieszane na szyi okulary, co zajęło dłuższą chwilę. Spojrzała najpierw na małe zdjęcie, potem na niego w taki sposób, że poczuł się nieco zakłopotany.

– Czy mieszka tu pani od dawna, pani...?

– Johnson. Emily Johnson. Nie dziwię się, że pan mnie nie poznał, inspektorze. Ile to już lat minęło? Ponad trzydzieści, prawda?

Niecałe trzydzieści trzy lata, a on miał wtedy mniej niż pięć lat. I było to na pogrzebie jego matki i ojca, w rogu cmentarza Mortonhall. Chryste, jaki ten świat jest mały.

– Myślałem, że po katastrofie wyprowadziła się pani do Londynu.

Tego dowiedział się dużo później. Jako nastolatek, przeszedł fazę obsesji związanej ze śmiercią rodziców, zbierał wtedy wszelkie najdrobniejsze informacje na ich temat, a także ludzi, którzy zginęli w samolocie razem z nimi.

– Zgadza się. Wyprowadziłam się. Dopiero jakieś siedem lat temu odziedziczyłam ten dom, a ponieważ Londyn zaczynał mnie męczyć, pomyślałam, że to idealny moment, żeby się przenieść.

– Nie wyszła pani za mąż po raz drugi? To znaczy po...

– Po tym, jak mój teść zabił mojego męża i twoich rodziców w tym swoim cholernym aeroplanie? Nie, nie miałam siły przechodzić przez to wszystko po raz drugi. – Twarz kobiety spochmurniała i pojawił się na niej grymas. – Przecież nie przyjechał pan tutaj, żeby wspominać dawne dramaty, inspektorze. Nawet nie spodziewał się pan mnie tu zastać. Cóż więc pana sprowadza?

– Włamanie, pani Johnson. Kradzież miała miejsce tuż po tym, jak w tym domu zmarła niejaka Louisa Emerson.

– Louisa była kuzynką Toby'ego i żoną Bertiego Farquhara. Stary Menzies kupił im ten dom w prezencie ślubnym. Wyobraża pan sobie? Po śmierci Bertiego wróciła do panieńskiego nazwiska. Mam wrażenie, że stało się to na początku lat sześćdziesiątych. Skądinąd paskudna historia. Zalał się w trupa i wjechał samochodem w przystanek autobusowy. Mieszkała tutaj sama aż do śmierci. Dopiero potem dowiedziałam się, że zostawiła mi ten dom w spadku.

Pewnie nie miała nikogo innego, komu mogłaby go przekazać.

– Czy to znaczy, że znajdowały się tutaj przedmioty należące do Alberta Farquhara?

– Ależ tak, oczywiście. Większość z nich ciągle tu jest. Farquharowie nigdy nie musieli się wyprzedawać, żeby opłacić rachunki za węgiel, o ile wie pan, co mam na myśli.

McLean spojrział na duży dom, potem na znajdujący się w pewnej odległości niższy budynek – przebudowaną stajnię. Z dużego garażu wyglądał nos nowiutkiego range rovera. Są tacy ludzie, do których wprost lgną pieniądze; niektórzy są tak bogaci, że nawet nie zauważą, gdy ktoś ich okradnie. Czy ze mną też tak będzie? – zastanowił się mimochodem. A może już tak jest?

– Czy pani wiedziała, że w tym domu doszło do włamania i kradzieży, pani Johnson?

– Skąd znowu, nie. Mówił pan, że kiedy to się stało?

– Siedem lat temu. Czternastego marca. W dniu pogrzebu pani Emmerson.

– Cóż, pierwsze słyszę. Dom znalazł się w moim posiadaniu dopiero pod koniec czerwca tamtego roku, przedtem trzeba było załatwić całą masę formalności. To właśnie spowodowało mnie z powrotem do Szkocji, a kiedy już się tu znalazłam, zdałam sobie w pełni sprawę, jak nie cierpię Londynu. – Pani Johnson przerwała, żeby zaczerpnąć tchu, potem zmrużyła oczy. – Skąd pan wie o tej kradzieży, panie inspektorze?

– Złapaliśmy włamywacza, kiedy próbował okraść inny dom. Prowadził szczegółowe zapiski i w dodatku zachowywał pamiątki po każdej kradzieży.

– Wyjątkowy głupek. A co stąd ukradł?

– Nieco drobnych przedmiotów, między innymi złotą spinkę, co do której możemy teraz stwierdzić z całą pewnością, że należała do Alberta Farquhara.

– To aż takie ważne?

– To może być trop, który doprowadzi nas do rozwiązania zagadki pewnego wyjątkowo bestialskiego morderstwa.

– Sprawialiście wrażenie starych znajomych. Dowiedziałeś się od niej czegoś, szefie?

McLean patrzył przed siebie na drogę, prowadząc służbowy wóz z powrotem do miasta. Podczas całej rozmowy Bob Gburek nie ruszył się z samochodu ani na chwilę.

– Pani Emily Johnson wyszła za Andrew Johnsona; jego ojciec, Tobias, pilotował samolot, który rozbił się o zbocze Ben Macdui w drodze z Inverness do Edynburga. W katastrofie zginął on sam, jego syn i moi rodzice. Było to w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku. Ostatni raz widziałem ją na ich pogrzebie. – Fakty to jedno, ale dlaczego te wydarzenia wciąż wracają, nie dają mi spokoju? – przemknęło mu przez myśl.

– O Jezu. Przecież to zupełnie nieprawdopodobne. Co za zbieg okoliczności!

– Nie tak bardzo, jak ci się zdaje – stwierdził McLean, a następnie wytłumaczył koledze, na czym polegają skomplikowane powiązania obecnej właścicielki domu z Bertiem Farquharem.

– A więc uważa pan, że Farquhar to nasz człowiek?

– Jeden z nich. Pytałem panią Johnson, czy coś jej mówi przydomek Toots, ale okazało się, że nic jej nie mówi. Obiecała natomiast, że przeszuka strych i rozejrzy się za starymi zdjęciami i innymi rzeczami. Poza tym dowiedziałem się od niej czegoś rzeczywiście ciekawego.

– No, wreszcie. Czego mianowicie?

– Farquhar i Tobias Johnson to byli starzy kumple. Służyli razem w wojsku podczas drugiej wojny światowej w jakimś oddziale sił specjalnych w Afryce Zachodniej.

Na tym rozmowa się urwała. McLean zjechał do Roslin, minęli tamtejszą tajemniczą kaplicę, potem przez Loanhead wraz z niebiesko-pudełkowatym magazynem IKEA oraz parkingiem, na którym roilo się od ogarniętych gorączką zakupów klientów, potem pod obwodnicą i przez Burdiehouse, a w końcu pod górę w stronę Mortonhall, Liberton Brae i do miasta. Kiedy mijali wjazd do krematorium, zahamował i z piskiem opon skręcił przy wtórze wściekłych klaksonów z tyłu. Bob Gburek chwycił się kurczowo deski rozdzielczej i zaparł się nogami.

– Rany boskie! Mogłeś ostrzec, no nie?

– Wybacz, Bob. – McLean wjechał na parking, wyłączył silnik i rzucił kluczyki sierżantowi. – Bądź tak dobry i odprowadź wóz do komisariatu. Ja mam tutaj coś do załatwienia.

McLean spoglądał przez chwilę w ślad za odjeżdżającym samochodem, po czym udał się na poszukiwanie zarządcy. Wkrótce potem wyszedł z budynku krematorium i ruszył ku otaczającemu je cmentarzowi; w dłoniach trzymał niewielką terakotową urnę. Nie minęło wiele czasu, nim znalazł się na miejscu. Trochę dokuczalo mu poczucie winy, bo nie był już tam od co najmniej trzech lat. Kamień przechylił się pewnie za sprawą korzeni drzewa. Wykuto na nim imię i nazwisko jego dziadka oraz daty, niżej pozostawiono sporo wolnego miejsca, zaś jeszcze niżej widniały epitafia poświęcone jego matce i ojcu. Daty ich urodzin dzieliły dwa lata, natomiast oboje zakończyli życie w tym samym dniu. Ba, w tej samej chwili, kiedy samolot uderzył o zbocze góry na południe od Inverness. Czasami wyobrażał sobie, że trzymali się wtedy za ręce, ale tak naprawdę wcale ich nie znał.

U podstawy kamienia ktoś wykopał równy dołek. Na ten widok McLean na chwilę poczuł oburzenie, że tak zbezczeszczone miejsce wiecznego spoczynku jego rodziców. Potem jednak przypomniał sobie, po co tu przyszedł i co miał do zrobienia. Spojrzał na urnę. Była zwyczajna, funkcjonalna i pozbawiona ozdób czy upiększeń. Trochę jak osoba, której prochy znajdowały się wewnątrz. Kusilo go, żeby otworzyć urnę, zdjąć pokrywkę i popatrzeć na ów popiół, który jeszcze nie tak dawno był jego babcią. Prochy, które przecież w pewnym sensie nadal nią były; kobiety, która wychowała go, karmiła, opiekowała się nim, kochała go. Wydawało mu się dotąd, że zdołał pogodzić się z jej śmiercią wtedy, gdy przyjął do wiadomości, iż babcia nie wybudzi się ze śpiączki po udarze. Jednak dopiero widząc rodzinny grobowiec, imiona na nagrobku i tę wolną przestrzeń czekającą na jej imię, w pełni pojął, że odeszła.

Ziemia pod drzewami była sucha, ukląkł więc i włożył urnę do zagłębienia. Wydobyta z niego ziemia piętrzyła się obok, ktoś przykrył ją płachtą zielonego brezentu zapewne na wypadek, gdyby widok ten miał obrażać uczucia kogoś pogrążonego w żałobie. Wiedział, że potem z pewnością ktoś przyjdzie i zakopie urnę, ale z jakiegoś powodu wydało mu się to niewłaściwe, jakby był to przejaw braku szacunku. McLean rozejrzał się za łopatą, ale ktoś, kto wykopał dołek, zabrał narzędzia ze sobą. Zdjął więc ostrożnie zieloną płachtę, a następnie, klęcząc na prochach rodziców, gołymi rękami zgarnął miękką suchą ziemię.

– Esther Morrison była wspaniałą kobietą.

McLean wstał, odwrócił się ruchem tak szybkim, że aż zabolął go kark. Za nim stał starszy pan ubrany w długi czarny płaszcz, mimo sierpniowego skwaru. W sękatej dłoni trzymał ciemny kapelusz o szerokim rondzie, opierał się ciężko o laskę. Głowę porastały mu bujne i gęste siwe

włosy. Szczególną uwagę McLeana zwróciła twarz. Jej ongiś dumne mocne rysy zostały zniekształcone w jakimś okropnym wypadku, teraz stanowiła połączenie źle zagojonej blizny i nie do końca udanych przeszczepów skóry. Była to twarz, której na pozór nie sposób byłoby zapomnieć zarówno przez to okaleczenie, jak i za sprawą przenikliwego spojrzenia. Chociaż oblicze to zdawało się McLeanowi skądś znajome, żadną miarą nie mógł przypisać do niego nazwiska.

– Czy pan ją znał, panie...? – spytał.

– Spenser. – Mężczyzna zdjął skórzaną rękawiczkę i podał mu dłoń. – Gavin Spenser. Tak, znałem Esther dawno temu. Nawet kiedyś jej się oświadczyłem, ale Bill mnie ubiegł.

– Nie sądzę, żebym kiedykolwiek słyszał, jak ktoś mówi o moim dziadku „Bill”. – McLean otarł wnętrze dłoni o marynarkę i uściśnął podaną dłoń. – Anthony McLean – dodał.

– Tak, policjant. Słyszałem o panu.

– Nie było pana na pogrzebie.

– Nie, niestety. Od lat mieszkam za granicą. Głównie w Ameryce. Dopiero przedwczoraj się dowiedziałem.

– A kiedy pan poznał moją babcię?

– Spotkaliśmy się na uniwersytecie – tak, to musiało być w trzydziestym trzecim roku. Esther była wyśmienitą studentką, a przy tym bardzo popularną osobą. Złamała mi serce, wybierając Billa zamiast mnie, ale to dawne dzieje.

– A jednak przyjechał pan z daleka, żeby złożyć ostatnie uszanowanie?

– No tak, oczywiście. Detektyw. – Spenser uśmiechnął się, jego okaleczona twarz skrzywiła się przy tym, tworząc zmarszczki w zupełnie nieprawidłowych kierunkach. – Tak naprawdę muszę uporządkować pewne sprawy. Wie pan, jak to jest, kiedy samemu się nie dopilnuje – trzeba spędzić dwa razy więcej czasu, żeby naprawić cudze błędy.

– Owszem, zdarzały mi się takie sytuacje, ale muszę stwierdzić, że na większości z moich współpracowników jednak mogę polegać.

– W takim razie szczęściarz z pana, inspektorze. Ostatnio sporo czasu poświęcam na sprzątanie bałaganu po innych. – Spenser zaśmiał się krótko. Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął z niej płaskie srebrne puzderko. W środku były wizytówki, wręczył jedną z nich McLeanowi. – To jest mój adres w Edynburgu. Będę tu jeszcze przez tydzień albo dwa. Niech pan kiedyś zajrzy, pogadamy o... pańskiej babci. Ha, kto by pomyślał.

– Z przyjemnością – odpowiedział McLean, ściskając podaną na pożegnanie dłoń.

– Cóż, muszę już iść – stwierdził Spenser i założył kapelusz na głowę. – Interesy, sprawy. Zresztą, na pewno chce pan zostać tutaj sam.

Odszedł krokiem zdumiewająco sprężystym jak na człowieka w jego wieku, wymachiwał przy

tym łaską w takt niezbyt melodyjnego pogwizdywania.

McLean wrócił do miasta samochodem służbowym, należącym do komisariatu w Howdenhall. Prowadzący wóz policjant zaproponował, że odwiezie go do centrum, McLean wiedział jednak, że nie czeka go tam nic lepszego niż kolejne formularze do wypełnienia. Ewentualnie ochran za zamknięcie dworca Waverley o poranku. Potrzebował czasu, żeby przemyśleć to i owo, nieco przestrzeni dla siebie, poprosił więc kierowcę, żeby wysadził go w Grange i resztę drogi do domu babci przeszedł piechotą. Dzięki temu, że jego komórka nadal odmawiała funkcjonowania dłużej niż pół godziny po odłączeniu od prądu, mógł liczyć na trochę spokoju. Rzecz jasna, potem przyjdzie mu za to zapłacić, ale przecież tak jest zawsze, czyż nie?

Gdy tylko otworzył drzwi kuchenne, od razu zorientował się, że coś jest nie tak, i poczuł, że włos jeży mu się na karku. W powietrzu unosił się zapach, którego nie potrafił określić, być może nawet tylko ślad zapachu jakichś kosmetyków albo po prostu zawirowanie w powietrzu, bo ktoś niedawno tędy przechodził. Tymczasem nie powinno tam być nikogo od chwili, kiedy ekipa zabrała McReadiego na komisariat. Zamknął wówczas wszystkie drzwi, a później już nie miał czasu, żeby zajrzeć do domu babci. Tym bardziej sprowadzić ślusarza, który by zmienił zamki. Tymczasem McReadie przebywał na wolności i bez wątpienia chował urazę. Niech to szlag! McLean stał bez ruchu, w milczeniu, nasłuchiwał. Ale nie, nie doszedł go nawet najłżejszy odgłos świadczący o czyjejs obecności.

Poszedł więc tak, jak prowadził go nos, wciągając ten niemal niewyczuwalny zapach. W hallu był mocniejszy, za to w bibliotece i jadalni niczego nie wyczuł. Wszedł na górę, chodził na palcach po pustym domu, zaglądał do pokoi, które niby nie zmieniły się od jego ostatniej wizyty w tym domu, a jednak były inne. Na przykład jego sypialnia, to miejsce, w którym dorastał, wyglądała dokładnie tak, jak ją pamiętał. Tyle że teraz łóżko wydawało się za wąskie, żeby można było w nim spać wygodnie, a wyblakłe plakaty wiszące w szklanych antyramach przyparowały go o zażenowanie. Solidne meble, komoda, szafa, duża wisząca półka... Wszystko to znajdowało się tam, gdzie powinno, tylko drewniane krzesło, które zawsze było wsunięte dokładnie pod biurko, teraz stało troszkę krzywo. Czyżbym tak je zostawił? – przemknęło mu przez myśl. A właściwie to kiedy ostatnio tu byłem?

Zapach najsilniejszy był w łazience, wciąż ledwo wyczuwalny, na tyle jednak obecny, że coś mu przypominał. Odruchowo przeszukał kieszenie marynarki, ale nie miał przy sobie lateksowych rękawiczek, które należało przecież włożyć, zanim czegokolwiek by dotknął. Posłużył się więc chusteczką, dotykał ostrożnie, żeby nie uszkodzić ewentualnych odcisków palców. Szafka w łazience zawierała wszystko, czego mógłby potrzebować, gdyby chciał zostać na noc, chociaż nie miał pewności, sprzed ilu lat pochodziła szczoteczka do zębów. Słoiczek ze środkami przeciwbólowymi zostawił parę lat wcześniej, kiedy mieszkał przez jakiś czas u babci,

dochodząc do siebie po ranie postrzałowej. Postrzałowi zawdzięczał awans na sierżanta. Poza tym w łazience nie znalazł niczego szczególnego. Tylko ten zapach.

Podniósł klapę sedesu, ale w misce ujrzał tylko wodę i smugi kamienia wskazujące początkowy jej poziom, nim wiele miesięcy przedtem zaczęła parować. Odruchowo sięgnął do przycisku spłuczki – i znieruchomiał. Teraz już był pewien. Na krawędzi wanny i na sedesie osiadła cienka warstwa kurzu, jednak pokrywa rezerwuaru była czysta i lśniąca. Cofnął się do sypialni, wydobyl z szuflady drugą chusteczkę. Woń drzewa cedrowego i naftaliny stłumiła teraz całkowicie tamten delikatny zapach. Ujął pokrywę przez chusteczki, podniósł ją ostrożnie i położył na podłodze. Zajrzał do środka.

Nic. Co mi strzeliło do głowy? – pomyślał. Naprawdę myślałem, że ktoś zadawałby sobie tyle trudu i podłożyłby coś kompromitującego w domu babci? Niby po co, żeby go w coś zrobić? Przemęczenie, przepracowanie i tyle. Paranoja wynikająca z nadmiaru stresu.

Dopiero kiedy pochylił się, żeby odwrócić porcelanową pokrywę, zwrócił uwagę, że nie leży ona płasko na podłodze.

Pod spodem ktoś bardzo starannie przykleił taśmą pakunek zawinięty w brązową folię.

– O rany, szefie. Niezła chata. A raczej pałac.

Detektyw posterunkowy MacBride stał w hallu, spoglądał w górę na szklaną kopułę znajdującą się dwa piętra wyżej. McLean pozwolił mu się przez chwilę gapić, po czym zwrócił się szeptem do Boba Gburka:

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł, żeby go w to mieszać?

– Myślisz, szefie, że nie możemy mu zaufać? Chłopak jest w porządku.

– Nie o to chodzi – odparł McLean, chociaż miał pewne zastrzeżenia.

Tak naprawdę powinien był powiadomić wydział narkotyków, panią komendant i wszystkich innych świętych. Rzecz w tym, że zanim stałoby się zadość wszelkim procedurom, zawieszono by go w obowiązkach i na dłuższy czas odsunięto od prowadzenia jakichkolwiek spraw, dopóki nie zostałyby oczyszczone z ewentualnych zarzutów. Jednak nawet i wtedy smród by się za nim ciągnął przez resztę jego kariery – inspektor, u którego znaleziono kilogram kokainy w rezerwarze! Krótko mówiąc, im mniej ludzi będzie o tym wiedzieć, tym lepiej, a w tym przypadku dochodzenie przeprowadzi sam – zwłaszcza że niemal miał pewność, kto za tym wszystkim stoi.

– Bardziej martwię się o jego przyszłość jako detektywa, jeżeli ktoś się dowie, że tu był – wyjaśnił.

– Aha, bo o moją przyszłość już się wcale nie kłopotujesz. – Bob Gburek udał święte oburzenie.

– Bez obaw. Da radę. Zresztą, zgłosił się na ochotnika.

McLean zerknął na młodego posterunkowego, zastanawiając się, czym sobie zasłużył na taką lojalność.

– Odwdzięczę mu się, jeżeli zdołam. Obu wam się odwdzięczę.

Bob Gburek zaśmiał się i szturchnął go pod żebra.

– Okej, szefie. Gdzie towar? Tracimy cenny czas, który należałoby poświęcić na chłanie.

– Na górze.

McLean ruszył przodem. Wszyscy przeszli przez jego sypialnię do łazienki. Pokrywa rezerwaru wraz z przymocowanym do niej podejrzany pakunkiem leżały nietknięte na podłodze.

– Udało ci się zorganizować zestaw do pobierania odcisków? – spytał McLean.

Bob Gburek podał mu lateksowe rękawiczki.

– Zaraz będzie – odparł.

Jak na zawołanie, w tej samej chwili odezwał się dźwięk dzwonka u drzwi.

– Kto?

– O, to na pewno Em – stwierdził Bob Gburek.

– Em? To znaczy Emma Baird? Powiedziałaś jej o tym?

– Jest wyszkoloną ekspertką od odcisków palców i ma bez problemu dostęp do wszystkiego, co potrzebne. Mało tego, jeżeli coś znajdzie, będzie mogła bez przeszkód sprawdzić w bazie danych. Poza tym jest nowa. Nie ma tu powiązań ani szczególnych zobowiązań wobec nikogo. W każdym razie póki co tak jest.

Dzwonek odezwał się znowu i chociaż był to ten sam dzwonek co przedtem, zdawało się, że tym razem ponagla, jakby stanowczo domagał się odpowiedzi. McLeanowi nie podobało się, że dziewczyna została wplątana w sprawę, jeszcze bardziej niż udział w niej MacBride'a, jednak ufał Gburkowi. Poza jedną oczywistą pomyłką, jaką popełnił w kwestii byłej małżonki, zazwyczaj dokonywał trafnych ocen. No i faktycznie, potrzebowali specja do spraw technicznych. Zszedł na dół, żeby otworzyć drzwi.

– Nie wiedziałam, że inspektorzy tak dobrze zarabiają. Mogę wejść? – Emma ubrana była po cywilnemu, w sprane dzinsy i luźną koszulkę. Przez ramię przewiesiła torbę z aparatem, która nie była jednak w stanie przeważać ciężkiej aluminiowej walizki z zestawem do pobierania odcisków.

– Dzięki, że przyszedłaś. Bardzo jestem wdzięczny, naprawdę. Pozwól, że to wezmę. – McLean odebrał jej walizkę i poprowadził przez hall w stronę schodów.

Kiedy szła za nim, jej kroki rozlegały się głośnym stukotem na kafelach podłogi. Odwrócił się, dopiero wtedy zauważył, że dziewczyna ma na sobie czarne skórzane kowbojki. Nietypowy strój jak na przedstawicielkę służb technicznych.

– Bob mówił, że to pilna sprawa. A może powinnam była się przebrać?

– Nie, do twarzy ci w tym stroju – odpowiedział McLean i zdał sobie sprawę, że nie powinien prawić komplementów koleżance z pracy. Zacerwienił się aż po czubki uszu. – Tędy.

Ruszył na górę po schodach.

– No proszę, prosto do sypialni. Oto facet, który zmierza bezpośrednio do celu – rzuciła Emma na widok łóżka. – Jak na mój gust trochę za wąskie.

Tymczasem Bob Gburek otworzył pakiet w łazience. Przyglądał mu się ze zmarszczonym czołem.

– Wygląda na kokainę, szefie. Bez testera nie mogę tego stwierdzić na pewno, jednak o ile nie masz zwyczaju trzymać talku w rezerwuuarze, to jest najbardziej prawdopodobne. To kupa forsy. Kilkadziesiąt tysięcy funtów. Kto by chciał wyrzucić tyle kasy, żeby cię zrobić?

– Nie żebym miał uprzedzenia, ale może ktoś, kogo stać na luksusowy loft w Leith.

– Faktycznie. Trzeba będzie namierzyć, skąd pochodzi, a w tym celu gdzieś będziemy musieli ją znaleźć.

– Niekoniecznie – wtrąciła Emma. – Powinnam zdołać przeprowadzić testy bez logowania się do systemu. Ten i ów w laboratorium jest mi winien przysługę, a wykonanie testu kalibracyjnego to przecież drobiazg.

– Zrobiłabyś to dla mnie?

McLean nie bardzo wiedział, dlaczego postanowiła mu pomóc, ale tak czy inaczej był jej wdzięczny.

– Pewnie, ale nie za darmo.

– Masz na myśli konkretną cenę? – Rzucił okiem na pakunek leżący na podłodze obok klozetu. Pewnych rzeczy nigdy by nie zrobił, nawet gdyby miało go to kosztować utratę pracy. Nawet gdyby przez to ryzykował więzieniem. Emma spojrzała w tę samą stronę i się roześmiała.

– Proponuję kolację.

McLean odczuł tak dużą ulgę, że nie chodzi jej o narkotyki, że dopiero po krótkiej chwili zorientował się, czego zażądała. Bob Gburek stłumił chichot, a detektyw posterunkowy MacBride sprawiał wrażenie zażenowanego. Prawdopodobnie nie tak wyobrażał sobie pracę detektywa.

– W porządku, ale niestety nie dzisiaj. Chyba że uznasz za kolację pizzę i browar w towarzystwie tych dwóch panów.

– Raczej nie to miałam na myśli.

– Tak przypuszczałem.

Skończyli przeszukiwać dom już po północy. Nieznany dobroczyńca nie zadowolili się ukryciem kokainy w rezerwarze, podrzucił jeszcze torbę z pieniędzmi do zbiornika z wodą znajdującego się na strychu. Było tam dobrych kilka tysięcy funtów w dwudziestkach i dziesiątkach, szczelnie opakowanych, żeby nie przemokły.

Emma znalazła kilka częściowo zatartych odcisków palców, głównie przy drzwiach kuchennych i w łazience. Szczególnie obiecująco prezentował się ślad na gładkiej białej futrynie drzwi prowadzących na strych, obok gwoździa, który mógł rozerwać gumową rękawiczkę. Sprawiało to takie wrażenie, jakby ktoś próbował go zetrzeć szorstką szmatą, co wyglądało podejrzanie. Poza tym w domu było pełno odcisków, ale głównie palców McLeana.

– Masz tu alarm, prawda? – spytała Emma, gdy zasiedli przy stole kuchennym, pożywali się pizzą i wypijali ostatnie butelki piwa znalezione w piwnicy. Podobnie jak większość rzeczy w tym domu były przeterminowane, ale nikomu to nie przeszkadzało.

– Owszem, ale obawiam się, że to żadna przeszkoda. Doszły mnie słuchy, że firma Penstemmin nieźle się głowi, usiłując dojść, jakim cudem McReadie poradził sobie z ich

systemem zabezpieczeń. Zaczynam żalować, że przymknąłem tego skurwysyna.

Bob Gburek odchylił się na krzesło, sapnął głośno.

– Naprawdę myślisz, że tak bardzo cię nienawidzi, szefie? Jasne, facet biedakiem nie jest, ale czyżby aż tak mu zależało, żeby cię zgębnić?

– A przychodzi ci na myśl ktoś inny?

Milczenie, które zapadło, wystarczyło za odpowiedź.

– Dobra, w takim razie sprawdzę jutro odciski, porównam z jego odciskami. – Emma spojrzała na zegarek. – To znaczy raczej dzisiaj. Muszę lecieć.

Odsunęła krzesło i wstała. McLean odprowadził ją do drzwi.

– Dzięki, Emmo. Wiem, że się narażasz, żeby mi pomóc.

– Niby tak, ale wiem cokolwiek o kokainistach. Nie jesteś w tym typie. A co do kasy, masz ten dom, na co by ci była potrzebna?

– Cóż, mam nadzieję, że nie będę musiał tego nikomu udowadniać. Zdajesz sobie sprawę, jakie miałbym kłopoty, gdyby to wszystko wyszło na jaw. Zresztą, wszyscy mielibyśmy kłopoty.

Uśmiechnęła się, mrużąc nieco oczy w kącikach.

– Spoko, milczę jak zakłęta. Pamiętaj jednak, że jesteś mi winny kolację, i to przy świecach!

Kiedy odjeżdżała, a McLean stał w drzwiach, dołączyli do niego obaj koledzy.

– Z tą lepiej uważaj – odezwał się Gburek. – Różnie o niej mówią.

McLean już miał przypomnieć, że przecież właśnie Bob ją sprowadził, ale zobaczył na jego twarzy uśmiešek, więc ugryzł się w język.

– Jazda, zmykajcie obaj. Do domu!

McLean poczekał, aż odjadą w noc, po czym wrócił do kuchni. Kokaina i pieniądze leżały na stole obok resztek pizzy. Uznał, że pozostałości z kolacji przydadzą się na śniadanie, natomiast narkotyki i trefna forsa stanowiły nie lada problem. McLean spojrział na kuchenny zegar. Zrobiło się późno, ale nie za późno. Przynajmniej nie na to. Poza tym, od czego ma się przyjaciół, jak nie można by wyrwać ich ze snu w środku nocy?

Phil odebrał po trzech sygnałach, lekko zdyszany. McLean nie zamierzał dochodzić, z czego to wynika, chociaż zdawał sobie sprawę z niechęci byłego współlokatora do ćwiczeń fizycznych.

– Phil, przepraszam, że tak późno dzwonię. Muszę cię o coś poprosić. – McLean zważył w dłoni kokainową cegłę. – Chciałem spytać, czy mógłbyś mi pożyczyć tę spalarkę z twojego laboratorium?

*

Spotkali się na tyłach instytutu. Philowi towarzyszyła Rachel, co zaskoczyło McLeana. Nic

dziwnego, że była u jego przyjaciela, ale przecież mogła zostać w mieszkaniu. Nad ranem, o tej godzinie, on wolałby leżeć w łóżku, choćby i samotnie.

– Wielkie dzięki, Phil.

McLean zarzucił sobie torbę na ramię. Nieprawdopodobne, jak wiele może ważyć kilogram kokainy i pięćdziesiąt tysięcy funtów w nieoznakowanych banknotach. Zwłaszcza gdy dźwiga się je przez miasto przed świtem. Zastanawiał się, czy by nie wziąć taksówki, uznał jednak, że lepiej mieć jak najmniej świadków.

– Właściwie nie wiem, o co chodzi – odezwał się Phil. – Bardzo nas zaciekawileś, Tony.

– Cieszę się. Możemy wejść?

Spojrzał na drzwi, pragnął już zejść z pola widzenia wszechobecnych kamer monitoringu.

– Ależ oczywiście.

Phil wstukał kod na klawiaturze przy drzwiach. Zamek natychmiast kliknął. Wewnątrz panował półmrok. Przeszli w milczeniu na drugie piętro przez pokój zastawiony drogą aparaturą, która buczała i mruczała, aż znaleźli się w gabinecie Phila. Dopiero wtedy McLean odetchnął. Rzucił torbę na biurko i opowiedział im całą historię. Zapadło niezręczne milczenie, które przerwała Rachel, pytając:

– Hm, czy nie należałoby zgłosić tego na policję?

– W najlepszym przypadku zostaną zawieszony na sześć miesięcy, a policja wewnętrzna będzie mnie prześwieślać na wszystkie sposoby. Nawet jeżeli niczego nie znajdą, do końca zawodowej kariery będę nosił łatkę gliniarza, u którego znaleziono kilogram koki i pięćdziesiąt tysięcy w gotówce.

– Aż tak źle? – zdziwił się Phil.

– Nie wiesz, jacy są gliniarze. Takie sprawy na zawsze pozostają w aktach, niezależnie od ostatecznej oceny. Nie mam do ukrycia żadnych wstydliwych tajemnic, nie znaczy to jednak, że podczas dochodzenia czegoś nie znajdą. Facet, który podłożył to w domu babci, mógł ukryć coś innego u mnie w mieszkaniu. Zawsze znajdą się kapusie, którzy chętnie doniosą, że robiłem mnóstwo złych rzeczy, byle tylko podliznąć się gliniarzom. W końcu może i wyjdzie, że to wszystko kłamstwa, tylko co z tego?

– Ale... dlaczego?

Rachel przestała opierać się o ścianę, podeszła do biurka i otworzyła torbę. Wyciągnęła z niej plik pieniędzy.

– Nie mam pojęcia. – McLean wzruszył ramionami, może nieco zbyt ostentacyjnie. – Obawiam się, że nastąpiłem komuś na odcisk.

– Chcesz je spalić? – upewnił się Phil. – Chcesz spalić pięćdziesiąt tysięcy funtów w nieoznaczonych banknotach, których nie da się namierzyć?

– Na pewno chcę zniszczyć narkotyki. Prawdę mówiąc, pieniędzy też wolałbym się pozbyć. Przecież mogły zostać skradzione. Owszem, nie są znaczone, ale poza tym nic o nich nie wiem.

– Szkoda by było. Zwłaszcza gdyby rzeczywiście nie dało się ich w żaden sposób namierzyć. Myślę, że ktoś, kto je podrzucił, strasznie się wkurzy, jeżeli nigdy nie zostaną znalezione i wykorzystane, żeby cię o coś oskarżyć.

McLean spojrział na trzymane przez Rachel pieniądze. Początkowo nosił się z zamiarem zniszczenia wszystkiego, pieniędzy przecież raczej mu nie brakowało. Z drugiej strony, skoro mogłyby zostać użyte w pozytywnym celu, to byłoby nawet zabawne, o ile on nie miałby z tego tytułu nieprzyjemności.

– Dobra. Daj mi tego trochę.

Banknoty były szczelnie opakowane, na folii zostały jeszcze ślady szarego pyłu, którego Emma używała, gdy szukała odcisków palców. Rozpakował je ostrożnie, wyciągnął pierwszy z brzegu plik opakowany banderolą.

– Rachel, mogłabyś spisać parę numerów?

Odczytywał je na głos; zajęło około dziesięciu minut, nim McLean uznał, że wystarczy. Następnie wyjął inny plik, żeby zbadać banknoty pod kątem fałszerstwa, potem resztę zapakował i podał Philowi. Rachel wręczyła mu kartkę z numerami.

– Jak tylko się da, sprawdzę, czy nie pochodzą z jakiegoś napadu – stwierdził. – Upewnię się też, czy nie są fałszywe. Do tego czasu nikomu nie wolno tknąć tych pieniędzy. Schowajcie je gdzieś tak, żeby nikt na nie przypadkiem nie trafił. Na pewno nie chcielibyście zostać przyłapani na posiadaniu pieniędzy z niepewnego źródła. Jeżeli okaże się, że są czyste, możecie wydać je na wesele.

– A ty ich nie chcesz? – spytał Phil.

– Nie, raczej nie. A poza tym, gratulacje.

– Słucham?

– Z powodu zaręczyn. Zauważyłem, że żadne z was nie zaprzeczyło, kiedy wspomniałem o weselu.

– Phil, to miała być tajemnica, dopóki nie zrobię doktoratu. – Rachel zaczerwieniła się jak burak, trzepnęła narzeczonego w ramię.

– Nic nie szkodzi, Rachel. Będę milczał jak grób, dopóki nie ogłosicie tego oficjalnie. – McLean uśmiechnął się po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin. Coś wprawiło go w dobry humor.

– A teraz będziemy jarać drągi, okej?

Niebo szarzało od pewnego czasu, kiedy McLean wreszcie dotarł do swojej kamienicy w Newington. Oczy piekły go z niewyspania, był zmęczony i rozdrażniony. Zniszczenie kilograma kokainy w spalarni przeznaczonej do bezpiecznego likwidowania odpadów organicznych trwało zaskakująco długo. Poza tym trzeba było znaleźć odpowiednie miejsce, żeby ukryć gotówkę. Miał nadzieję, że orzeźwi go spacer przez park, ale czuł się jeszcze bardziej zmęczony.

– Ten pana przyjaciel w końcu pana znalazł?

McLean drgnął na dźwięk głosu, odwrócił się i zobaczył panią McCutcheon stojącą w uchylonych drzwiach na parterze, u stóp schodów prowadzących do innych mieszkań. Naprawdę nie był w nastroju na pogawędkę z dozorczynią, marzył jedynie o prysznicu i godzinie drzemki, nim będzie musiał iść do pracy. Odruchowo uśmiechnął się do niej, skinął głową i nie bez poczucia winy ruszył w stronę schodów. Dopiero wtedy dotarło do niego znaczenie jej słów.

– Przyjaciel?

– Zaraz, kiedy to było? Aha, przedwczoraj w nocy. Dostyc późno, ale wiem, że wy, policjanci, nieraz przychodzicie i wychodzicie o różnych dziwnych godzinach.

Przedwczoraj wieczorem. Wtedy, kiedy ktoś podrzucił obciążające dowody w domu babci. Niedługo po wypuszczeniu za kaucją Fergus McReadingo. Trochę po tym, jak został zamordowany Jonas Carstairs.

– Czy pani z nim rozmawiała, pani McCutcheon? Powiedział, jak się nazywa?

– Oj, nie, kochaniutki. Siedziałam sobie i robiłam na drutach. Wie pan, jak to jest, kiedy się człowiek zestarzeje. Młodzi mają mocny sen, a ja całymi godzinami nie mogę zmrzyć oka. Nie wiem, która to była godzina, ale autobusy już przestały jeździć, więc na pewno sporo po północy. Wtedy przyszedł ten młodzieniec i zadzwonił domofonem.

– Ale skąd pani wie, że akurat do mnie?

– Oj, bo każdy dzwonek brzmi inaczej. Poza tym zaraz potem wszedł i ruszył schodami. Nawet się zdziwiłam, bo nie słyszałam, żeby pan otwierał. Potem sobie przypomniałam, że studenci nieraz zostawiają otwarte drzwi, idąc do pubu. Tyle że wtedy już wrócili i sprawdziłam drzwi. Były zamknięte. No, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Długo zabawił?

– Nie, nie. Jak był w połowie schodów, wyszedł jeden ze studentów i zaczął się na niego wydzierać. Wie pan, jacy oni są, kiedy sobie popiją, prawda?

McLean wiedział doskonale. Nie raz i nie dwa musiał przypominać niesfornym sąsiadom z dołu, że mieszka nad nimi policjant, który nie lubi, gdy ktoś zakłóca mu sen.

– Natychmiast zbiegł po schodach, jakby go kto gonił. Chyba mnie nie widział, strasznie mu się spieszyło. A ja akurat miałam wypuścić kota. Okropnie się wystraszyłam.

McLean patrzył na starszą panią. Mieszkała na parterze już wtedy, kiedy się wprowadził. Pewnie zajmowała ten lokal przez całe swoje życie. Nie miał okazji poznać pana McCutcheona, przypuszczał więc, że nie żyje od jakiegoś czasu. Tak naprawdę nie wiedział o niej zbyt wiele ponad to, że jest leciwa, lubi wiedzieć, co się dzieje w okolicy, i z biegiem lat starzeje się coraz bardziej.

– Proszę się tym wszystkim nie przejmować – odpowiedział, żeby ją uspokoić. – Najważniejsze, że ktoś tu był wczoraj nad ranem. Właśnie to chciała pani powiedzieć, prawda?

Dozorczyńni przytaknęła.

– Widziała go pani? Widziała pani jego twarz?

Znów przytaknęła.

– A może potrafiłaby go pani rozpoznać na zdjęciu?

Pani McCutcheon zastanowiła się, jej zwykle radosna i pozytywna osobowość ustąpiła miejsca zagubionej staruszce.

– Obawiam się, że nie mogę wyjść z domu na tak długo – odezwała się po chwili – bo koty...

McLean wiedział doskonale, że koty potrafią zajmować się same sobą, ale tego przecież nie mógł powiedzieć.

– Może uda się to tak załatwić, by zdjęcia przyjechały do pani. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby zechciała pani zidentyfikować tego człowieka.

– Nie mogę pozwolić, żebyś znowu przymknął McReadiego. Przynajmniej dopóki nie znajdziemy konkretnego zarzutu, który będziemy mogli mu przedstawić.

McLean stał tuż przy drzwiach w gabinecie pani Jayne McIntyre; nie ufał sobie na tyle, żeby wejść dalej. Kiedy tylko zjawił się w komisariacie, poprosił sierżanta dyżurnego, żeby ten sprowadził McReadiego na przesłuchanie. Pewnie, że niepotrzebnie krzyczał na Pete'a, kiedy ten odmówił, w końcu biedak wykonywał tylko rozkazy przełożonej.

– Ukraść spinkę Bertiego Farquhara. Muszę dowiedzieć się, co jeszcze stamtąd wziął.

– Nie, Tony, nie musisz. – Pani McIntyre siedziała za biurkiem, nie wstała. Tak spokojna i racjonalna, że nic, tylko się wściec. – Dobrze wiesz, skąd ją masz, a poza tym, o ile dobrze rozumiem, już udało ci się ustalić, do kogo należała. Dobra robota i dobry pomysł, żeby iść z tym do jubilera.

– Kręcił się koło mojego mieszkania.

– Tego nie wiesz na pewno. Masz na to tylko słowo zdeorientowanej staruszki i wiesz tyle,

że ktoś cię szukał, może to był McReadie, a może ktoś inny.

– Ale ja muszę...

Tak, musiał go spytać, czy to on zostawił w domu babci kilogram kokainy i co podrzucił w jego mieszkaniu, bo niczego nie udało mu się znaleźć.

– Musisz jedynie zostawić go w spokoju. – McIntyre zdjęła okulary do czytania i przetarła oczy. Pewnie też niewiele spała tej nocy. – Póki co, mamy go na widelcu. Przyłapany na gorącym uczynku podczas włamania i kradzieży, mnóstwo przedmiotów pochodzących z przestępstwa zgromadzone w mieszkaniu. Złożył oficjalną drogą zażalenie z powodu nieuzasadnionego użycia przemocy podczas zatrzymania, a jego prawnik wystąpił o nakaz przeszukania.

– Co... – umysł McLeana zdołał dogonić jego język – co takiego?!

– Jeżeli jeden albo drugi wniosek zostanie rozpatrzone pozytywnie, to kiepsko z nami. Prokurator może nawet ograniczyć się do zarzutu o paserstwo. A w przypadku takiego faceta jak McReadie, oznacza to wyrok w zawieszeniu.

– Nie wierzę, to niemożliwe. Ten mały skurwysyn włamał się do domu mojej babci.

– Wiem, Tony. Gdyby to ode mnie zależało, siedziałby w celi aż do procesu, ale on jest bogaty i stać go na najlepszego prawnika. Co gorsza, ma powiązania. Nie uwierzyłbyś, z jakich wyżyn napłynęły naciski w jego sprawie.

– Przecież to niemożliwe, żeby się wykręcił sianem. Chyba nie zgodzi się pani na ugodę?

McIntyre skrzywiła się.

– Za cholerę, nie ma żadnych szans. Nie lubię, kiedy ważniacy w garniturach próbują mi dyktować, co powinnam robić. Nie mogę jednak ci pozwolić, żebyś go nękał, i to tylko dlatego, że McReadie załatwił ci za skórę. Przecież on właśnie tego chce, a ja nie zamierzam dawać mu tej satysfakcji.

– Ale...

– Żadnych „ale”, Tony. To już nawet nie jest twoja sprawa. Na litość boską, przecież jesteś poszkodowany, więc nie możesz prowadzić śledztwa. Zajmij się innymi dochodzeniami, dobrze? Nawet jeszcze nie rozmawiałaś z tą ekspertką od okultyzmu, o której ci mówiłam.

Niech to szlag. Najgorsze, że miała rację. McLean doskonale zdawał sobie sprawę, że popełnił błąd, nie należało osobiście przesłuchiwać McReadiego, tylko trzeba było przekazać dochodzenie komuś niewmieszanemu bezpośrednio w tę sprawę.

– Tylko proszę, niech mi pani nie mówi, że tę sprawę dostanie Duguid. – Zabrzmiało to żałośnie, niemal płacziwie.

– Jeśli chodzi o ścisłość, uznałam, że Bob Laird będzie odpowiedniejszą osobą. – McIntyre z uśmiechem poprawiła okulary na nosie. – Sam możesz mu to powiedzieć.

McLean spotkał posterunkową Kydd w drodze do swojego pokoju operacyjnego. Dźwiagała

ciężkie pudła pełne teczek, a na jej twarzy malował się wyraz głębokiego przygnębienia. Zmierzała w kierunku sali śledczej poświęconej niedawno sprawie Barnaby'ego Smythe'a, a teraz pospiesznie przywrócić do łask, ponieważ pan nadinspektor Charles Duguid po raz kolejny chciał zadbać o to, żeby przy zaangażowaniu jak największych środków wszystko totalnie spieprzyć.

– Niech zgadnę. Dagwood przyłączył do swojego zespołu całą załogę komisariatu, tak?

Posterunkowa Kydd z ponurą miną skinęła głową.

– Były naciski z góry.

– Naciski z góry są niezmiennie.

Chociaż kiedy chodziło o kogoś takiego jak Carstairs, szczególnie dawało się to we znaki. Tak samo jak ze Smythe'em. Cóż, ważni ludzie mają ważnych przyjaciół. Szkoda tylko, że szary obywatel nie może liczyć na takie wsparcie. Tak jak ta biedna dziewczyna zmasakrowana w piwnicy pewnego wpływowego bogacza – w imię chorego rytuału.

– Jesteś po szkoleniu z identyfikacji, prawda? – spytał McLean, bo nagle mu się to przypomniało – reminiscencja po jakiejś dawnej i na wpół już zapomnianej rozmowie.

– No, tak. – Posterunkowa Kydd przyznała się do tego z wielką niechęcią.

– To może miałabyś ochotę zająć się dla odmiany prawdziwą pracą detektywistyczną? O ile pamiętam, przygotowujesz się do egzaminów.

W porządku. McIntyre nie pozwoli mu przesłuchać McReadiego bez istotnej przyczyny. Cóż, w takim razie wystarczy udowodnić, że facet weszyl w kamienicy McLeana zaledwie parę godzin po tym, jak został zwolniony za kaucją.

– Jestem ciut zajęta, szefie.

Kydd potrząsnęła pudłami z nieszczęśliwym wyrazem twarzy.

– Bez obaw. Pogadam z Dagwoodem. Dzisiaj rano mam do załatwienia kilka innych spraw, ale gdybyś mogła skombinować laptop z oprogramowaniem do identyfikacji fotograficznej i wybrać kilka dowolnych fotek facetów... Dorzuć do tego zdjęcia Fergusza McReadiego, te zrobione zaraz po aresztowaniu. Postaram się o samochód.

– Ja...

– Wiem, że pani komendant wydała rozkaz, żebym dał mu spokój. Nie obawiaj się, nawet nie zamierzam się do niego zbliżyć.

Chryste, czy pani komendant opowiedziała o tym wszystkim w całym komisariacie? Naprawdę uważa go za takiego furiata?

Napis na drzwiach głosił: CZYTANIE Z DŁONI, TAROT, PRZEPOWIADANIE PRZESZŁOŚCI. McLean od dawna przypuszczał, że pod tym szyldem kryje się coś zupełnie innego, na przykład prostytutka, jednak właśnie ten adres dostał od komendant McIntyre. Wypytał sąsiadów, wszyscy stwierdzili, że madame Rose jest czysta jak łąka, w każdym razie pod tym względem, że zajmuje się dokładnie tym, co reklamuje. Wszystko inne to kłamstwa, plotki rozgłaszane przez zawistników. W Edynburgu naciągacze tego rodzaju nie cieszą się szczególnie wielkim powodzeniem, jednak z drugiej strony, nie ulega wątpliwości, iż ktoś wystarczająco przedsiębiorczy może się całkiem nieźle z tego utrzymać.

– Po co tu przyszliśmy?

Posterunkowy MacBride miał pecha, bo przypadło mu w udziale towarzyszyć McLeanowi. Bob Gburek otrzymał jeszcze przyjemniejsze zadanie, miał bowiem dociec, kim była samobójczyni z Waverley Station, oraz przygotować dla prokuratora materiały w sprawie Fergusa McReadiego. Pozostawało jeszcze dochodzenie w kwestii ewentualnego wycieku informacji ze sceny zbrodni, czyli najprostszego wyjaśnienia, skąd wzięły się tak niepokojące analogie między zabójstwem Jonasa Carstairsa a mordem Barnaby'ego Smythe'a. No i zamordowana dziewczyna, rzecz jasna. Wszystko tego samego dnia.

– Jesteśmy tu, żeby czegoś się dowiedzieć o ofiarach z ludzi i demonicznych rytuałach. Podobno madame Rose jest kimś w rodzaju eksperta w dziedzinie wiedzy tajemnej. Cała ta czarna magia to tylko otoczka. Tak przynajmniej mi mówiono.

McLean pchnął drzwi, które otwały się na wąski korytarz zakończony schodami prowadzącymi na górę. Grubo tkany chodnik, raczej pokryty plamami niż wzorem, wydzieliał aromat tłuszczu od frytek oraz stęchlizny, co razem tworzyło dziwną mieszaninę, woń beznadziei. Na piętrze, za niegdyś lśniąca zasłoną z koralików, zmatowiała teraz od tłuszczu i brudu, znajdował się niewielki pokój, który zapewne desperacko pragnął być buduaem, lecz w istocie ledwie zasługiwał na miano poczekalni. Podłogę od ściany do ściany zaścierał taki sam chodnik jak na schodach, pokryty plamami rozprzestrzeniającego się kuliście grzyba. Miejscami grzyb zaczął kolonizować ściany, na których konkurował z brzydką tapetą i tanimi rycinami, przedstawiającymi orientalne i mistyczne sceny. McLean zerknął na sufit i wcale się nie zdziwił, widząc również tam ciemne plamy. Upał też robił swoje – kuchenny smród i odór stęchlizny sprawiały, że łatwiej było oddychać przez usta, ale tylko trochę łatwiej. Zdumiewające, pomyślał. Czy ktokolwiek przychodził tutaj z własnej nieprzymuszonej woli?

Pod jedynym oknem w pokoju na gości czekała sofa, ale to chyba nie był najlepszy pomysł, żeby na niej siadać. Przy niskim stoliku, zawalonym stosami starych egzemplarzy „Reader’s Digest” oraz „Tarot Monthly”, stały dwa rozklekotane drewniane krzesła. Naprzeciw schodów niezbyt utalentowany majsterkowicz skonstruował wąską ladę, za którą znajdowały się zamknięte drzwi. Na kartce przybitej zszywkami do ściany widniał spis oferowanych usług. Dziesięć funtów za podstawową wróżbę z ręki, dwadzieścia za postawienie kart. Ktoś całkiem szalony mógłby się szarpnąć za sto funtów na coś, co nazwano „Pełną diagnozą karmiczną”.

– Aha, tak mi się zdawało, że czuję coś w eterze. Wyśmienicie – rozległ się głęboki, chropowaty głos – zbyt wiele papierosów, za dużo whisky. – Słowa padły, zanim McLean spostrzegł, że ktoś otworzył drzwi. Przecisnęła się przez nie ogromnych rozmiarów kobieta, która wypełniła sobą niemal połowę poczekalni. Miała na sobie coś w rodzaju czerwonego welwetowego namiotu udrapowanego na niej niczym powijaki na grubej niegdyś mumii, która potem nieco schudła. Jej ręce przypomniały zmęczone, usiane złotem balony: tandetne, ozdobne pierścienie zaciskały się na tłustych palcach, paznokcie były pomalowane na czerwony kolor zbliżony nieco odcieniem do sukni.

– Koniecznie muszę zobaczyć pana dłonie.

Madame Rose chwyciła ręce McLeana z zadziwiającą szybkością, odwróciła jedną z nich i zaczęła przesuwając palcem po liniach. Próbował się wyrwać, ale palce kobiety trzymały go jak w żelaznym imadle.

– Och, tragiczne życie za panem. I ojej, tak wiele jeszcze pana czeka. Biedny, biedny chłopcze. A co to takiego? – Wypuściła go równie niespodziewanie, jak go schwyciła. Teatralnym ruchem postąpiła krok w tył, uniosła dłoń do obfitych piersi, rozpaczyła palce, aż sięgnęły do jej przywiedłej gardzieli. – Pańskie przeznaczenie to sprawy istotne. Sprawy wielkie. Sprawy straszne.

– Dostę tego przedstawienia. – McLean wyciągnął legitymację. – Nie interesują mnie szalbierstwa.

– Zapewniam pana, panie inspektorze, że nie zajmuję się szalbierstwami. Przecież wyczułam pańską aurę już w chwili, kiedy wkroczył pan przez drzwi frontowe.

– I pewnie wie pani, co nas tu sprowadza?

To pytanie zadał MacBride, ale tylko dlatego, że McLean nie zdążył go postawić.

– Oczywiście, oczywiście. Chcicie się dowiedzieć czegoś o rytualnych zabójstwach. Paskudna sprawa. To nigdy nie działa, przynajmniej o ile się orientuję, natomiast jest gorsze od alkoholu, jeżeli chodzi o wyzwalamie w ludziach złych instynktów. Myślę, że panowie się domyślają, o czym mówię.

MacBride rozdziawił usta ze zdziwienia.

– Ale skąd pani...? – Zawiesił głos.

Madame Rose parsknęła śmiechem zupełnie niegodnym damy.

– Rozmawiam ze światem duchów, panie sierżancie. A poza tym od czasu do czasu z Jayne McIntyre.

– Nie mam zbyt wiele czasu, a cierpliwości tym bardziej mi brakuje. – McLean wsadził legitymację do kieszeni. – Sugerowano mi, że wie pani coś na temat różnych okultystycznych praktyk. Jeżeli nie, nie zamierzam zajmować pani czasu.

– O, jaki nerwowy – zauważyła madame Rose i puściła oko do MacBride'a, który poczerwieniał na twarzy oraz po czubki uszu. Następnie odezwała się do McLeana: – Zapraszam do gabinetu. Dziś i tak mały ruch.

Gabinet okazał się sporym pomieszczeniem na tyłach budynku, z jednym wysokim oknem, wychodzącym na podwórze zawieszonym suszącym się na sznurkach praniem. Trudno było o większy kontrast w stosunku do poczekalni i pokoju, w którym zwykle madame Rose przyjmowała klientów, a przez który przeszli po drodze. Były zapuszczone i zagracone kiczowatymi bibelotami, jakie mogłaby zbierać cygańska wróżka, natomiast znajdujące się w gabinecie przedmioty wyglądały na prawdziwe i sprawiały niepokojące wrażenie.

Wzdłuż wszystkich ścian wznosiły się aż po sufit regały zastawione na pozór przypadkową zbieraniną starych i nowych książek. Na dwóch półkach po obu stronach wielkiego antycznego biurka stały szklane skrzynie, w jednej wypchany ryś, w drugiej sowa śnieżna. Oba drapieżniki dzięki sztuce taksydermisty zostały zręcznie przedstawione w chwili mordowania swoich ofiar. Na biurku znajdował się dziwny przedmiot, przypominał wysuszoną ludzką rękę umocowaną do drewnianej tarczy – służył za podpórkę na książki. W mrocznych cieniach pokoju czały się inne przedmioty. Złowrogie na pierwszy rzut oka, jednak gdy im się przyjrzeć, okazywały się zupełnie niewinne: wieszak z zawieszonym na nim płaszczem i melonikiem oraz parasolem, a nie skradający się zabójca. Etoła, rzucona niedbale na oparcie przeżartego przez mole fotela, nagle ożyła, okazała się lisem, ulubieńcem czarownicy, który spoglądał na policjanta nieprzychylnym okiem. McLean zamrugał, etola zamrugała również, potem prychnęła, ukazując zębiska, przeciągnęła się i zeskoczyła z fotela na podłogę. Nie lis, tylko kot, ale chudy jak szczapa, z puszystym ogonem zwijającym się w wielki znak zapytania, kiedy zwierzak podszedł bliżej, aby popatrzeć sobie na intruzów.

– A więc, panie inspektorze McLean, panie posterunkowy MacBride: przybyliście tutaj, żeby dowiedzieć się czegoś na temat ofiar z ludzi. Po co ktoś by to robił, czemu miałyoby to służyć, prawda? – Madame Rose sięgnęła w okolice dekoltu po wiszącą na łańcuszku pince-nez i umocowała je na nosie.

– Z grubsza tak. Dokładniej mówiąc: próbuję zrozumieć, o co chodzi w pewnym konkretnym

rytuale. Przypuszczamy, że w tę historię zamieszana jest więcej niż jedna osoba.

– To normalne, inspektorze. W przeciwnym razie to tylko czcze przechwałki.

– Chodziło mi o więcej niż jednego zabójcę. Sześciu, jak sądzię.

McLean opowiedział, co znaleźli w okrągłej piwnicy, starając się przy tym wyjawić jak najmniej szczegółów.

– Sześciu? – Siedząca na krześle madame Rose pochyliła się w ich stronę. – To niezwykle. Najczęściej zabójca jest samotnikiem. Sprawa zazwyczaj dotyczy dwóch osób, jeżeli liczyć ofiarę. Trzeba panom wiedzieć, że ktoś, kto gotów jest posunąć się do rytualnego zabójstwa, z reguły nie jest osobnikiem zanedo towarzyskim.

– Dlaczego to robią? – spytał MacBride.

McLean zapomniał uprzedzić posterunkowego, żeby się nie odzywał, a więc teraz starał się nie okazać irytacji.

– Dobre pytanie, młody człowieku – stwierdziła madame Rose. – Niektórzy utrzymują, że daje to mordercy poczucie doniosłości, którego brakuje mu w codziennym życiu. Inni sugerują, że przyczyną jest przemoc doznawana przez danego osobnika ze strony najbliższych członków rodziny oraz inne doświadczenia z dzieciństwa, za sprawą których taki człowiek nabywa wypaczonego pojęcia miłości, by następnie w taki sam sposób wymierzać miłość bliźnim. Wielu takich morderców odebrało surowe wychowanie religijne, przy czym nie szczędzono im różgi. Rytuał ma dla nich szczególną wagę, zresztą, tak samo jak jego naruszenie. Uważam, że większość z nich to po prostu zwyczajne świry.

– Rozumiem, że pani w takie rzeczy nie wierzy – wtrącił McLean.

– Ależ skąd, wierzę, i to jak najbardziej. Podobnie jak tych pańskich sześciu szaleńców. Inaczej nie zabiliby dziewczyny. Przynajmniej jeden z nich musiał wierzyć, a pozostali ślepo podążyli jego śladem.

– Według pani to możliwe? Ludzie byliby zdolni do morderstwa tylko dlatego, że ktoś im kazał je popełnić?

– Oczywiście. Wystarczy, że przywódca dysponuje odpowiednią charyzmą. Niech pan sobie przypomni Waco albo Jonestown. A na jakiej zasadzie działa Al-Kaida? Większość rzekomych fanatyków tak naprawdę nie wierzy w to, co się im wmawia. Oni tylko chcą, żeby im ktoś powiedział, co mają robić. W ten sposób łatwiej im żyć.

McLean nie całkiem tego się spodziewał i niezupełnie po to przyszedł.

– Zatem rytuał nie jest niczym szczególnym, wystarczy, że pojawi się wariat obdarzony odpowiednio silną osobowością.

– Tego nie powiedziałam, panie inspektorze. – Madame Rose sięgnęła po książkę, która sprawiała wrażenie, że dopiero co ktoś zdjął ją z półki i położył na biurku. Otworzyła tomik na

oznaczonej z góry stronie. – Sześć narządów, sześć przedmiotów, sześć imion. Ułożone w punktach kardynalnych wokół ciała. Proszę mi powiedzieć, czy były znaki na podłodze? Czy był może ochronny krąg?

Odwróciła książkę, żeby pokazać stronę McLeanowi. Widniał na niej toporny czarno-biały rysunek w średniowiecznym stylu, przedstawiający postać kobiecą o rozłożonych kończynach. Tors miała rozcięty, a w miejscu tego rozcięcia widniała jedynie czerń. Wokół niej zaplatały się jak dziwna winorośl linie, tworzące węzły na wysokości dłoni, stóp, głowy i obszaru między nogami. Pod ilustracją widniał podpis: Opus Diaboli. McLean przysunął książkę do siebie, ale madame Rose przytrzymała ją końcami palców.

– Pochodzi z siedemnastego wieku. Warta jest pewnie więcej niż ten młody posterunkowy zarabia przez rok.

– Skąd pani ją ma? – spytał McLean.

– Ciekawe pytanie, inspektorze. – Madame Rose delikatnie przyglądała stronicę palcem. – Kupiłam od pewnego antykwariusza na Royal Mile. Było to wiele, wiele lat temu. O ile się nie mylę, nabył ją wraz z różnymi innymi woluminami na wyprzedazy ruchomości po śmierci niejakiego Alberta Farquhara. Plotka głosi, że Bertie Farquhar był nie lada entuzjastą spraw tajemnych.

Jeszcze jeden kawałek układanki.

– A czemu ma służyć ten rytuał?

– I tutaj robi się naprawdę interesująco.

Madame Rose wsunęła palec pod stronę i przewróciła ją ostrożnie. McLean patrzył przez chwilę na wielki inicjał rozpoczynający następny rozdział; nie od razu zorientował się, że poprzedza go ślad po wydartej stronie. Rozdarcie nie było świeże.

– Jakby ktoś pytał, kiedy kupiłam książkę, tej strony już nie było. – Madame Rose zabrała tom, zamknęła go starannie i odłożyła na biurko, po czym poklepała dłonią okładkę jak ulubione zwierzątko. – Od dwudziestu lat szukam drugiego egzemplarza.

– Czyli nie mamy pojęcia, co to... – McLean machnął dłonią w stronę książki i skrywającej się między jej stronicami ponurej ilustracji – ...o co w tym wszystkim chodziło?

– Wiem tylko tyle, inspektorze, że Opus Diaboli to znaczny dzieło szatana.

Dopiero kiedy wyszli na ulicę, McLean zdał sobie sprawę, jaki chłód panował w siedzibie madame Rose. Zapewne dlatego, uznał, że pomieszczenia znajdowały się po zacienionej, północnej stronie budynku, ale odniósł wrażenie, że to nie jedyny powód. Raczej jakby to miejsce żyło we własnym wymiarze czasoprzestrzeni. Spojrzał za siebie, na drzwi. Nadal widniał tam szyld z napisem: CZYTANIE Z DŁONI, TAROT, PRZEPOWIADANIE PRZYSZŁOŚCI. Kamienna ściana wciąż była brudna, futryny okien rozsypywały się ze starości, wręcz dopraszały się, by

ktos zechcial je odmalowac. Potrzasnal glowa, przez cale jego ciało przeszedł zimny dreszcz. Dopiero w następnym momencie poczuł ogarniające go słoneczne ciepło.

– Dziwna z niej osoba – stwierdził niezbyt odkrywczo posterunkowy MacBride.

– No, raczej – przyznał McLean. Schował dłonie do kieszeni spodni. Ruszyli z powrotem w stronę komisariatu. – Myślę, że należałoby powiedzieć „z niego”.

– Z niego? – McBride przeszedł jeszcze trzy kroki. Może nawet i cztery. Dopiero wtedy odwrócił się do McLeana. – Chcesz pan powiedzieć, szefie, że ona to... No, że ona to on?

– Rzadko widuje się u kobiet tak wydatne jabłko Adama czy takie duże dłonie. Założę się, że ten obfity biust zawdzięcza swoje krągłe kształty raczej poduszkom niż naturze.

– Z tego wniosek, że madame Rose para się szarlatanerią, i to pod więcej niż jednym względem.

– Och, nie przejmowałbym się tym za bardzo. Co do wróżenia z kart, wcale mi to nie przeszkadza. Ktoś, kto jest na tyle głupi, żeby wydawać na takie rzeczy pieniądze, moim zdaniem, zasługuje na to, aby mu je odebrać. A poza tym otrzymaliśmy od niej... od niego... całkiem istotną informację.

MacBride dzierzył w obu rękach pakunek, bowiem madame Rose starannie zawinęła ceny wolumin, nim zgodziła się im go powierzyć. Uparła się, żeby otrzymać pokwitowanie, gdy McLean spytał, czy może wziąć książkę w charakterze materiału dowodowego. Pięcicyfrowa suma podana przez wróżkę jako wartość była najpewniej znacznie zawyżona, jednak posterunkowy nie zamierzał ryzykować.

– Przecież mamy tę spinkę – zauważył. – Po co nam jeszcze książka? Wiemy, że Bertie Farquhar jest winny.

– Zawsze miło mieć potwierdzenie.

Poza tym książka miała w sobie coś jeszcze. MacLean chciał przestudiować ją dokładnie, mimo że brakowało najważniejszej strony.

– Jedno mnie niepokoi, szefie.

– Tylko jedno?

– No, tak jakby. – McBride umilkł na chwilę; zbierał myśli, a może był niepewny siebie. – Chodzi o tę książkę. Tam, u pani Rose. Położyła ją czy położył, wszystko jedno, na biurku. Nawet z zakładką na właściwej stronie.

– Owszem, zauważyłem.

– Skąd wiedziała, czego szukamy?

– Ten trochę podobny, tylko jakby ciemniejszy, czy jak? Nie, raczej ten. A może ten?

McLean nigdy dotąd nie był gościem w pieleszach pani McCutcheon, chociaż od ponad piętnastu lat był lokatorem kamienicy. Mimo to widok wnętrza mieszkania nie zaskoczył go pod żadnym względem, spodziewał się czegoś takiego. Salon miał zbliżony kształt do tego, z którego korzystał we własnym lokum, jednak na tym podobieństwo się kończyło. Pani McCutcheon posiadała nieprawdopodobne ilości bibelotów, głównie w typie kiczowatych wiktoriańskich pudełek na czekoladki oraz narodowych lalczek z tartanu. Było tego tyle, że całkiem obszerny pokój wydawał się nazbyt ciasny. Poza tym naliczył dziesięć kotów, po czym dał sobie spokój, chociaż tak naprawdę nie był pewien, czy niektórych nie policzył jednak dwa razy. Spoglądały na niego z półek, z foteli, owijały się wokół nóg – tak że nie mógł się ruszyć, a nie było ani jednego wolnego miejsca do siedzenia.

– Nie wiem, kochaniutka. Co oni wszyscy tacy smutni? Nie ma pani takiego zdjęcia, żeby któryś się uśmiechał? Bo ten, którego tu widziałam, uśmiechał się od ucha do ucha.

Posterunkowa Kydd siedziała obok staruszki na sofie, która mogła być starsza od obojga policjantów razem wziętych. Oparcie mebla zasłaniał pokrowiec sporządzony z delikatnej koronki, tak samo zostały przyozdobione stanowiące komplet do sofy dwa fotele z wysokim oparciem, zajęte przez posiadaczy podejrzliwych ślepi i ruchliwych wąsów. Pomimo obecności kotów wszystko w tym zagraconym pokoju było schludne i czyste, jedynie wszystkiego było za dużo. Co dziwne, czuć było tam tylko pastę do podłóg i starość. Cóż, sądząc po smrodzie na klatce schodowej, pani McCutcheon tak wychowała swoje koty, by chodziły załatwiać się gdzie indziej.

– O, ten. Naprawdę, to może być on.

Starsza pani spoglądała przez połówkowe okulary na ekran laptopa przyniesionego przez posterunkową Kydd. W laptopie znajdowała się baza danych aresztantów oraz oprogramowanie służące do identyfikacji. Jak dotąd, wizyta sprowadzała się do przeglądania zdjęć, pośród których umiejscowiono strategicznie fotografię McReadiego. Poza tym trzeba było pamiętać, żeby nie pić herbaty. Kiedy tylko przyszli, McLean widział, jak gospodyni ją zaparza: torebka na osobę plus jedna na imbryk, jak wyraziła się pani McCutcheon. Szkoda tylko, że imbryk zawierał najwyżej z pół litra wody.

– Tak. Jestem tego pewna. Miał dziwne oczy, osadzone za blisko siebie. Przez to wyglądał trochę, czy ja wiem, jak głupek.

McLean uśmiechnął się na te słowa, pochylił się, żeby spojrzeć na ekran. Kydd odwróciła laptopa w jego stronę, na jej twarzy malował się wyraz satysfakcji.

– To on – stwierdziła, ale akurat McLeanowi nie musiała tego mówić. Owszem, z ekranu laptopa spoglądało na niego oblicze, które chciał zobaczyć: Fergus McReadiego.

– Szybko, wracamy do komisariatu. Trzeba jak najprędzej przymknąć McReadiego. Tym razem gnojek się nie wymiga.

Szli w stronę Pleasance, do centrum miasta. Uplynieło nieco czasu, nim zdołali się wydostać z mieszkania pani McCutcheon. Potrwało to o wiele dłużej, niż McLean by sobie tego życzył. Nie mógł opędzić się od myśli, że Fergus McReadie może w każdej chwili wskoczyć w swoją beemkę, a następnie zwać do jakiegoś ciepłego kraju, w którym panuje nieprzychylna atmosfera w kwestii ekstradycji znanych złoczyńców do Zjednoczonego Królestwa.

– Mam zadzwonić, szefie? – Posterunkowa Kydd próbowała sięgnąć po przytroczoną do paska krótkofalówkę, ale przeszkadzała jej w tym torba z laptopem zawieszona na ramieniu. McLean zatrzymał się i odwrócił się w jej stronę.

– Daj mi to. Nie, nie. Daj mi laptopa. Mam słabe pojęcie, jak obsługiwać to urządzenie.

Wziął od niej torbę i zawiesił na ramieniu. Kydd uruchomiła krótkofalówkę, naciskając kilka guzików, i uniosła ją do ucha.

– Halo, centrala? Tutaj dwa-trzy-dziewięć... Rany boskie, uwaga!

To wszystko zdarzyło się za prędko, szybciej, niż zdążyłby pomyśleć. Kydd upuściła krótkofalówkę i rzuciła się na McLeana. Uderzyła go ramieniem w brzuch, tak że stracił równowagę. Zatoczył się w tył, potknął o kamienne schodki, prowadzące do bramy jakiejś kamienicy. Kolana się pod nim ugięły się, ręce machały jak skrzydła wiatraka, gdy na próżno usiłował odzyskać równowagę. Uderzył o kamienie plecami z taką siłą, że dech zaparło mu w piersiach. Usta już układały się, by spytać „Co jest?”, ale odpowiedź pojawiła się, nim zdążył do końca pomyśleć te dwa słowa.

Chodnikiem pędził biały dostawczy transit. Po drodze uderzył w kosz na śmieci, który wzbil się w powietrze i wylądował na ulicy. Posterunkowa Kydd znalazła się na jego drodze niczym królik sparaliżowany w bezruchu, nocą oślepiiony reflektorami. Przez ułamek sekundy, który trwał całą wieczność, stała, na wpół zgięta, próbując odzyskać równowagę, z oczami szeroko rozwartymi bardziej ze zdumienia niż ze strachu. W następnej chwili furgon uderzył w nią i cisnął w powietrze jak szmacianą lalkę. Dopiero wtedy McLean dosłyszał wycie silnika pracującego na pełnych obrotach, potem głuchy łoskot ciała spadającego na ziemię, odgłos tłuczonego szkła, pisk hamulców.

Usiłując odzyskać oddech, zmusił się, żeby wstać, opierając się o bramę, która go ocaliła. Furgon popędził dalej ulicą, przepychał się pośród innych samochodów jak pijany bokser. McLean

nie zdołał dojrzeć numeru na tablicy rejestracyjnej, a już kilka sekund później transit zniknął za rogiem, odjeżdżając w kierunku Holyrood Park.

Posterunkowa Kydd leżała w nienaturalnej pozycji sześć metrów od bramy. McLean gorączkowo rozejrzał się za krótkofalówką, ale zostały z niej tylko rozsypane na chodniku szczątki. Jego własna komórka nie nadawała się do niczego. Dlaczego to kurewstwo ciągle się rozładowuje? Wyciągnął legitymację, zabiegł drogę najbliższemu samochodowi, załomotał dłońmi w przednią klapę.

– Masz telefon?

Ogłupiony z zaskoczenia kierowca pokazał na coś umieszczonego w pokrowcu przymocowanym na ssawki do przedniej szyby.

– Ja wcale nie gadałem przez telefon. Słowo.

– Nieważne, kurwa. Dawaj go!

McLean chwycił telefon, zanim kierowca zdążył wystawić aparat za okno. Wystukał numer komisariatu. Nie czekał, aż ktoś się odezwie.

– Pete? Tutaj McLean. Jestem naprzeciwko Pleasance. Był wypadek. Posterunkowa Kydd potrącona przez samochód. Potrzebna karetka, natychmiast. Ogłoś do wszystkich jednostek, że poszukiwany jest biały transit, numer nieznan. Będzie miał ogromne wgniecenie z przodu i ślady krwi. Chyba też rozbitą przednią szybę. Ostatnio widziano, jak jechał Canongate w stronę Holyrood.

Wciąż ściskając w dłoni telefon, McLean pobiegł do posterunkowej Kydd. Krew ciekła z jej ust i nosa, jasna, spieniona. Biodra nie powinny móc skręcić się w taki sposób, nawet nie chciał wiedzieć, co dzieje się z jej nogami. A jednak oczy wciąż miała otwarte, zamglone od wstrząsu.

– Zostań ze mną, Alison. Już jedzie karetka.

McLean chwycił jej dłoń, starając się przy tym uważać, żeby nie poruszyć ciała rannej. Co prawda, wątpił, czy dziewczyna jeszcze kiedykolwiek będzie chodzić. O ile przeżyje następne pięć minut.

Gdzieś w oddali rozległo się wycie syreny.

Tanie plastikowe krzesło było niewygodne, ale McLean nie zwracał uwagi na drętwienie nóg, gdy w pustej poczekalni niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w tablicę ogłoszeń i ulotki. Nawet teraz podróż przez miasto jawiła się w jego pamięci jako pomieszenie przypadkowych obrazów. Ratownik, który coś do niego mówi, ale on go nie słyszy. Łagodne, ale stanowcze dłonie, które rozprostowały jego palce ściskające rękę posterunkowej Kydd. Ratownicy dokonujący cudów; tych, które jeszcze im w tej sytuacji pozostały. Usztywniający szyję oraz kręgosłup, potem podnoszący skurczoną, drobną postać, wsuwający nosze do karetki. Potem jazda do szpitala, którego tak bardzo pragnął nigdy więcej w życiu nie zobaczyć. Poważne twarze i poważne słowa, takie jak operacja, chirurgia pourazowa, tetraplegia. A teraz to przedłużające się czekanie, choć nie ludził się, że usłyszy dobrą wiadomość.

Coś zaszeleściło, ktoś usiadł obok niego. McLean nie musiał się odwracać, żeby wiedzieć, kto. Ten zapach rozpoznałby wszędzie: mieszaninę woni papierzysk, troski i delikatne muśnięcie Coco Chanel.

– Co z nią? – W głosie komendant McIntyre słychać było zmęczenie.

McLean domyślił się, co czuje szefowa.

– Lekarze nie pojmują, jakim cudem dowieziono ją tutaj żywą. Jest na sali operacyjnej.

– Jak to się stało, Tony?

– Została potrącona przez samochód. Rozmyślnie, na chodniku. Wydaje mi się, że ja byłem celem. – Powiedział to. Ujął paranoję w słowa.

McIntyre odetchnęła głęboko, umilkła na chwilę, jakby zbierała siły do dalszej rozmowy.

– Jesteś tego pewien?

– Pewien? Nie. Niczego już nie jestem pewien. – McLean potarł suche oczy. Brakowało mu łez. Zresztą, jakby to wyglądało? – Ona pierwsza zobaczyła ten wóz. To znaczy, posterunkowa Kydd. Zepchnęła mnie na bok. Mogła uciec, ale w pierwszym odruchu uratowała mi życie.

– To dobra policjantka.

McLean zwrócił uwagę, że pani McIntyre nie dodała: „Zajdzie daleko”. I słusznie, bo niewielkie istniało prawdopodobieństwo, że Alison Kydd zajdzie jeszcze dokądkolwiek. Może dojedzie na wózku. Może.

– A skąd w ogóle tam się wzięliście?

No cóż, musiało paść to pytanie.

– Wracaliśmy do komisariatu. Posterunkowa Kydd pomagała w identyfikacji osobnika, który

pod moją nieobecność przyszedł do mojego mieszkania. Widziała go sąsiadka, zachowywał się podejrzanie.

Zabrzmiało to wyjątkowo żałośnie.

– McReadie? – W głosie komendant McIntyre zabrzmiało pytanie, ale nietrudno było się zorientować, że szefowa nie spodziewa się odpowiedzi.

Mimo to inspektor skinął głową.

– W takim razie dlaczego dochodzenia nie prowadził sierżant Laird? Przecież mówiłam ci, Tony, żebyś trzymał się z daleka od McReadiego. On próbuje tobą manipulować.

– On próbuje mnie zabić, jeżeli chodzi o ścisłość.

– Czy jesteś tego pewien? Nie wydaje ci się, że trochę przesadzasz?

Nie, najpierw skurwysyn podrzucił mi pięćdziesiąt tysięcy i kilogram kokainy, żeby mnie wrobić, a kiedy się nie zachowałem, jak tego oczekiwał, wziął się za mnie naprawdę na ostro, odparł w duchu McLean, a głośno powiedział:

– Gdybym nie żył, trochę trudno byłoby mi przeciwko niemu zeznawać przed sądem.

– Opuść sobie, Tony. Melodramat do ciebie nie pasuje. Co więcej, zgodnie z zeznaniem dyżurnego sierżanta, dziś o czwartej po południu, kiedy zadzwoniłeś i powiadomiłeś o wypadku, Fergus McReadie był przesłuchiwany w komisariacie. Nawiasem mówiąc, odbywało się to przy udziale adwokata tak ostrego, że pewnie sam się o siebie kaleczy, gdy się rano ubiera.

– Przecież nie zrobiłby czegoś takiego osobiście. Wynajął zabójcę. Założę się, że sam zgłosił się na przesłuchanie. W ten sposób zapewnił sobie doskonałe alibi.

McIntyre odetchnęła długo, głęboko, po czym oparła się ramionami o ścianę.

– Nie ułatwiasz mi życia, Tony.

– Ja? Czy ja coś zrobiłem?

Odwrócił się twarzą do szefowej, ale ta nie odwzajemniła jego spojrzenia. Mówiła, nie patrząc na niego, do pustej poczekalni.

– Idź do domu. Prześpij się. Tutaj na nic się nie przydasz.

– Ale ja muszę...

– ...iść do domu. Nawet jeżeli jeszcze nie jesteś w szoku, to prędzej czy później będziesz. Czy mam wydać ci rozkaz?

McLean skulił się na krześle. Nie znosił, kiedy komendant miała rację.

– Nie.

– To dobrze, bo to, co teraz powiem, to rozkaz. Nie pojawiaj się w pracy aż do przyszłego tygodnia.

– Co takiego? Przecież jest dopiero środa.

– Do następnego tygodnia, Tony. – McIntyre wreszcie na niego spojrzała. – Możesz napisać

dokładny raport dotyczący tego, co wydarzyło się dziś po południu. A potem nie chcę cię widzieć ani o tobie słyszeć do poniedziałku.

– Ale co z McReadiem?

– O niego się nie martw. Masz świadka, który mówi, że widział go w pobliżu twojego mieszkania, a to stanowi jawne pogwałcenie warunków zwolnienia za kaucją. – McIntyre wyciągnęła komórkę, ale jej nie użyła. – Przez jakiś czas nikomu nie będzie zaważał głowy.

– Dziękuję. – McLean oparł głowę o ścianę. – Jest pani pewna, że...

– Trzymaj się od tego z daleka. Jeżeli przypadkiem racja jest po twojej stronie i rzeczywiście ktoś chce cię załatwić, to nie możesz prowadzić dochodzenia. Tak samo, jak nie wolno ci bezustannie nękać McReadiego. Wszystko musi się odbywać według procedur, Tony. Zostaw to. Sama poprowadzę dochodzenie, więc będę wiedziała, kiedy zaczniesz wtykać nos w nie swoje sprawy.

– Ja...

– Do domu, inspektorze. Ani słowa więcej.

McIntyre wstała, odruchowo przyglądziła dłońmi mundur, po czym odwróciła się i wyszła. McLean spoglądał w jej stronę przez chwilę, a potem znów zaczął bezmyślnie gapić się na ścianę.

Posterunkowa Alison Kydd została przeniesiona z sali operacyjnej na oddział intensywnej terapii o godzinie pierwszej piętnaście nad ranem. Trwająca osiem godzin operacja może i ocaliła jej życie, ale na wszelki wypadek lekarze pozostawili ją w stanie śpiączki farmakologicznej. Wiedzieli na pewno, że nigdy nie będzie chodzić, chyba że ktoś wynajdzie sposób na odtworzenie przerwanej rdzenia kręgowego. Dopiero z czasem okaże się, czy dziewczyna będzie mogła posługiwać się rękami – ba, czy będzie w stanie panować nad pęcherzem. Poza tym istniała możliwość, że w ogóle nie wybudzi się ze śpiączki.

Lekarka, która powiadomiła o tym wszystkim McLeana, wyglądała bardzo młodo, tak jakby dopiero co skończyła studia medyczne, jednak sprawiała wrażenie kogoś znającego się na rzeczy. Wyrażała ostrożny optymizm, „szanse są większe niż pięćdziesiąt procent”, powiedziała ze znużonym uśmiechem, tak jakby to była jakaś dobra wiadomość. Te słowa prześladowały go przez całą drogę do domu w smaganej deszczem taksówce; słowa i ten uśmiech. Towarzyszyły mu, kiedy zaczął spisywać raport dla pani komendant i rozpijać butelkę whisky Single Malta. Świtało już, gdy skończył jedno oraz drugie i zdał sobie sprawę, że to drugie temu pierwszemu niezbyt sprzyja. Zalewanie się w trupa samotnie nie było w jego stylu, potrzebował do tego kilku dobranych przyjaciół. Poza tym przez cały czas powtarzał sobie, że to nie jego wina. Tak jakby mogło to coś zmienić, jakby był w stanie sam siebie o tym przekonać.

O szóstej zadzwonił do szpitala. Poinformowano go, że stan chorej jest bez zmian i raczej w najbliższej przyszłości żadnych nie należy się spodziewać. Pielęgniarka nie powiedziała tego,

natomiast McLean usłyszał to w jej głosie: jeżeli wkrótce znowu zatelefonuje, nie będzie taka uprzejma. Powinien być zmęczony, nie spał przecież od dwudziestu czterech godzin, ale poczucie winy i gniew nie pozwalały mu zasnąć. Wziął prysznic, przeczytał raport i wprowadził do niego kilka poprawek, po czym wysłał go mailem.

Nie mógł przewidzieć tego, co się zdarzyło, ale w pewnym sensie to była jego wina. McIntyre miała rację, wizytę u pani McCutcheon powinien złożyć Bob Gburek w towarzystwie posterunkowej Kydd. Wtedy płatny morderca McReadiego mógłby dorwać McLeana gdzieś indziej, gdzie nie byłoby nikogo, kto by się poświęcił, aby ocalić mu życie. Jezu, co to, kurwa, jest? Dlaczego ta głupia mała...?

Już miał uderzyć pięścią w szkło, kiedy zdał sobie sprawę, że ją w ogóle zacisnął. Powstrzymał cios, uderzył tylko płaską dłońią o parapet. Oczy piekły go od łez, ale nie miały one nic wspólnego z bólem. W każdym razie nie z fizycznym bólem, który po chwili ustąpił. Gdyby można było tak łatwo pozbyć się niedającej spokoju myśli...

Cholera! Bywał uparty jak durny osioł. Może gdyby czasem słuchał, co inni do niego mówią, komuś zaufał i spróbował uwierzyć, że ktoś inny także potrafi wykonać najprostsze służbowe czynności... Może wtedy by do tego nie doszło. A teraz tkwił jak kolek pośród czterech ścian mieszkania, uziemiony na większą część tygodnia, bezradny, i to tylko dlatego, że ktoś mu kazał siedzieć w domu. Chryste, ale burdel.

Tyle do zrobienia, tyle innych spraw, którymi trzeba się zająć. McIntyre chyba się nie spodziewała, że aż do poniedziałku nie będzie nic robił? Nic się nie stanie, byle tylko trzymać się z dala od komisariatu, nie mieć nic wspólnego z McReadiem i nie szukać furgonetki, która potrafiła Alison. Nadal jeszcze pozostawała sprawa martwej dziewczyny i obu samobójstw, nie wspominając o kwestii wycieków poufnych informacji.

Wymknął się z mieszkania, czując się trochę jak uczeń, który wykrada się za róg, aby po kryjomu wypalić papierosa, ale przecież musiał iść do sklepu, choćby po to, żeby kupić coś do jedzenia, nie? A poza wszystkim, podczas długiej przechadzki najlepiej się człowiekowi myśli.

– Inspektorze, cóż za miła niespodzianka.

McLean odwrócił się na dźwięk głosu. Ujrzał bardzo błyszczącego czarnego bentleya, który pełził wzdłuż chodnika. Jedno okno miał opuszczone, jakby jakiś nocny marek przygotowywał się w ten sposób do rozpoczęcia ulicznych negocjacji. Tyle że w tej okolicy dziewczyny nie pracowały na ulicy. Co innego te okazałe rezydencje. Niewykluczone, że w którejś z nich mógł znajdować się elegantszy przybytek, stworzony z myślą o zamożnej, wytwornej klienteli. Schylił się nieco, zobaczył dłoni w rękawiczce, ciemny płaszcz i poharataną twarz. Samochód zatrzymał się bezgłośnie. Drzwi otwarły się z lekko dosłyszalnym kliknięciem, na oścież, ukazując wybite miękką czerwoną skórą wnętrze, na którego widok Freud dostałby paroksyzmu. Wewnątrz

siedział Gavin Spenser. Kiwał na niego.

– Podwieźć pana dokądś?

McLean spojrzął przed siebie na pustą ulicę, potem za siebie w kierunku, z którego przyszedł. Pół godziny intensywnego marszu nie zdołało uwolnić go od poczucia winy, rozżalenia i frustracji.

– Nie wybieram się w żadne konkretne miejsce.

– W takim razie może zechce pan mi towarzyszyć, zapraszam na kawę. To niedaleko.

W sumie, czemu nie, do cholery? Tak naprawdę przecież nie miał nic innego do roboty.

McLean wsiadł do samochodu, skinął głową zwalistemu szoferowi wciśniętemu za kierownicę, po czym zapadł się w miękki fotel obok Spensera. Ruszyli, czemu towarzyszył prawie niedosłyszalny szept silnika, z ulic nie dobiegał nawet najlżejszy odgłos. Tak to niektórzy sobie żyją.

– Fajny wózek. – Żadnego mądrzejszego zagajenia McLean nie zdołał wymyślić.

– Już nie mogę prowadzić, więc przedkładałam wygodę nad moc silnika. – Spenser ruchem głowy wskazał ogoloną na lyso czaszkę szofera. – Chociaż podejrzewam, że od czasu do czasu, kiedy Jethro jeździ sam, niezłe daje tej maszynie popalić.

McLean zobaczył w lusterku, że usta szofera delikatnie poruszają się w najlżejszym z uśmiechów. Kierowcy od pasażerów nie dzieliła szyba, z czego można wnioskować, że Spenser ufa swojemu człowiekowi.

– Kiedy ostatni raz widziałem pańską babcie, jeździła okropnym włoskim autem. Co to było?

– Może alfa romeo? – McLean dawno zapomniał o istnieniu tego wozu. Niewykluczone, że nadal stał w garażu na tyłach domu, nieużywany, odkąd babcia w końcu uznała, że jest za stara i zbyt źle widzi, żeby prowadzić. Nie sprzedała go, ale nie pamiętał też, kiedy ostatni raz zaglądał do garażu. – To był samochód mojego ojca. Babcia wydała majątek, żeby utrzymać wóz na chodzie. Nowy silnik, lakier, wymiana błotników. Studnia bez dna.

– Ach, tak, sławetna oszczędność McLeanów. Cóż, Esther była zaradną kobietą. Proszę bardzo, jesteśmy na miejscu.

Bentley wjechał przez kamienną bramę, a potem po krótkim podjeździe pod jedną z tych zaskakująco wielkich rezydencji, na które można natknąć się w najmniej spodziewanych okolicach Edynburga. Otaczał ją teren, za który każdy deweloper sprzedałby duszę diabłu – dałoby się tam wybudować co najmniej dwadzieścia willi. Cały obszar zajmował wspaniale wypielęgnowany ogród pełen starych pięknych drzew. Domostwo pochodziło z czasów edwardiańskich, było ogromne, lecz proporcjonalne, przy tym wznosiło się na tyle wysoko, że rozpościerał się z niego oszałamiający widok na miasto, łącznie z zamkiem, tronem Artura oraz całym morzem wieżyczek i spadzistych dachów. Jethro rozpiął pas, wysiadł i otworzył drzwi po stronie Spensera, zanim McLean zdał sobie sprawę, że się zatrzymali. Starszy pan wysiadł

z wozu, okazując przy tym żwawość, jakiej McLean by się po nim nie spodziewał. Żadnego strzykania w stawach czy stęknienia, gdy się wyprostował. McLean poczuł, że niemal mu zazdrości, bo kiedy postawił stopy na głębokim żwirze, coś chrupnęło mu w kręgosłupie.

– Proszę – powtórzył Spenser. – Zapraszam na tył, tam mniej wieje.

Obeszli rezydencję. Spenser pokazywał mu po drodze i objaśniał co ciekawsze elementy elewacji. Na tyłach domostwa wznosiła się oranżeria otoczona podniesionym patio, które musiało być dodatkiem wywodzącym się z lat siedemdziesiątych XX wieku. Pomimo swojej kiczowatości kamienna posadzka, tworząca zwariowany wzór, była zachowana w idealnym stanie. Pośrodku czekał na gości stół otoczony krzesłami. Brakowało tylko basenu, ale nie – był i basen. Między kortem tenisowym a perfekcyjnie płaskim boiskiem do krokietu. Niewątpliwie utrzymanie tego miejsca musiało kosztować wiele wysiłku, z drugiej strony, Spenser bez wątpienia mógł sobie na to pozwolić.

Milczący lokaj przyniósł im kawę. McLean patrzył, jak służący nalewa, odmówił mleka i cukru, po czym upił pierwszy łyk najlepszego naparu, jakiego zdarzyło mu się próbować od bardzo długiego czasu. Zachwycił się rozkosznym aromatem doskonale palonych ziaren arabiki. Oto, jak niektórzy sobie żyją.

– A więc znał pan moją babcię, kiedy studiowała na uniwersytecie. Bez obrazy, ale to musiało być dosyć dawno temu.

– To był rok tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy, tak mi się zdaje. – Spenser zmarszczył się, próbując sobie przypomnieć, przy czym szramy przybrały barwę jaskrawoczerwoną i żółtawobiałą. – A może trzydziesty siódmy. Lata mijają, pamięć zawodzi.

McLeanowi jakoś nie chciało się w to uwierzyć. Spenser sprawiał wrażenie człowieka o żywej inteligencji, ostrej jak szpilki, na które można się niespodziewanie natknąć w nowej koszuli.

– Czy ona...? Czy pan...?

Dlaczego tak trudno zadać najprostsze pytanie?

– Chce pan zapytać, czy chodziliśmy ze sobą, jak to teraz chyba mówi młodzież? – Spenser zmarszczył czoło, na jego zmasakrowanej twarzy pojawił się całkiem nowy wzór zmarszczek. – Niestety nie. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Bliskimi przyjaciółmi. Tyle że Esther nie uczestniczyła w życiu towarzyskim, a poza tym musiała wkładać we wszystko dwa razy więcej wysiłku niż cała reszta.

– Naprawdę? Myślałem, że była zdolna.

– Owszem, była. Była zdecydowanie najinteligentniejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałem. Istniała jednak pewna istotna przeszkoda: Esther była kobietą.

– Przecież w latach trzydziestych były już kobiety lekarki.

– A owszem. Nieliczne dzielne istoty. Jednak niełatwo im szło, nie wystarczyło bowiem, że

były równie kompetentne, jak mężczyźni; musiały być lepsze od nich. Takie wyzwanie było w sam raz dla Esther, jednak przez to skupiała się tylko na jednym. Obawiam się, że pomimo wszelkich moich zalet po prostu nie miałem szans w tej konkurencji.

– W takim razie musiało to być dla pana bardzo irytujące, kiedy pojawił się mój dziadek.

– Bill? – Spenser wzruszył ramionami. – On się wcale nie pojawił, on zawsze się przy niej kręcił. Także studiował medycynę, więc mógł spędzać z Esther więcej czasu niż my, pozostali.

– My, to znaczy kto?

– Czy pan mnie przesłuchuje, inspektorze? – spytał z uśmiechem Spenser. – A może mogę zwracać się do pana po imieniu?

– Oczywiście. To znaczy przepraszam. Oczywiście, że może pan mi mówić po imieniu. Wcale nie zamierzałem pana przesłuchiwać. To po prostu przyzwyczajenie, obawiam się, że zawód detektywa wszedł mi w krew.

– Byłem zaskoczony, kiedy się o tym dowiedziałem. – Spenser dopił kawę i odstawił filiżankę na stół.

– Zaskoczyło pana, że zostałem detektywem? Dlaczego?

– Bo to nietypowy wybór. Twoja babcia była lekarką, Bill był lekarzem. Tato został prawnikiem. Zrobiłby karierę, gdyby los dał mu szansę. Dlaczego postanowiłeś wstąpić do policji?

– Cóż, po pierwsze, nie byłem dość zdolny, by iść na medycynę. – McLean doskonale pamiętał, z jakim zrezygnowanym rozczarowaniem babcia przyjmowała słabe stopnie, które otrzymywał z przedmiotów ścisłych. – Co do bycia prawnikiem, jakoś nigdy mnie ta perspektywa nie kusila. Nie można zresztą powiedzieć, żeby przykład ojca w jakiś sposób wpłynął na moje życie.

Na twarzy Spensera pojawił się cień smutku, chociaż trudno było to stwierdzić na masce utworzonej za sprawą licznych operacji plastycznych.

– Twój ojciec. No, tak. John to był bystry chłopak. Doskonale go pamiętam. Bardzo go lubilem.

– Wygląda na to, że wie pan o mojej rodzinie więcej niż ja, panie Spenser.

– Proszę, mów mi po imieniu. Dla ciebie jestem Gavin. Jedynie moi pracownicy mówią o mnie „pan Spenser”, a i to tylko wtedy, kiedy mogę ich usłyszeć.

Gavin? Jakoś mu to nie brzmiało. Tak jakby zaczął mówić do babci „Esther” albo do dziadka „Bill”. McLean zerknął na dno filiżanki i resztkę kawy, potem rzucił okiem w stronę dzbanka w nadziei na dolewkę. Nie wiedział do końca, czy dlatego, że kawa była taka dobra, czy potrzebował stymulacji, bo czuł się nieswojo. Właśnie, w tym problem. Dlaczego w obecności tego człowieka czuje się niezręcznie? Przecież poza okaleczeniem na twarzy – a z pewnością nie o to chodziło – Spenser jest doskonałym dżentelmenem w każdym calu. Mało tego, dawny przyjaciel rodziny stara się go podnieść na duchu w czasie żałoby. A więc czemu instynkt bezustannie podpowiadał McLeanowi, że coś tu nie gra?

– Prawdę mówiąc, to wyśmienity pretekst, żeby przejść do następnego tematu – rzucił Spenser. – Może zechciałbyś zostać jednym z nich? To znaczy może miałbyś ochotę pracować dla mnie?

McLean omal nie upuścił filiżanki.

– Słucham?

– Mówię poważnie. Marnujesz się w policji, a jeżeli pogłoski, które do mnie docierają, są prawdziwe, dużo wyżej w niej nie zajdziesz. Rozgrywki polityczne nie są twoją specjalnością, prawda?

McLean przytaknął, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Przeszło mu przez myśl, że nie tylko on bawi się tu w detektywa.

– Tymczasem ja o takie rzeczy za cholerę nie dbam. Interesują mnie kwalifikacje. Weźmy na przykład takiego Jethra. Większość ludzi tylko spjrzałaby na niego i już by nie chcieli mieć z nim do czynienia ze względu na to, jak wygląda i jak się wysławia. To prawda, że mówca z niego żaden. Natomiast jest o wiele inteligentniejszy, niż na to wygląda, i potrafi działać skutecznie. Ty także potrafisz działać skutecznie, Tony. Tak słyszałem. Przydałby mi się ktoś o twoich zdolnościach i nie ukrywam, również dysponujący takim wyszkoleniem jak twoje.

– Naprawdę nie wiem, co powiedzieć.

Może poza tym, że Bob Gburek urwałby mu głowę, gdyby opuścił szeregi policji. Dlaczego w ogóle miałby to brać pod uwagę? Uwielbiał tę pracę, zawsze mu się podobała. Tyle tylko że bycie inspektorem nie okazało aż się tak fajne, jak mu się wydawało, kiedy był sierżantem. Fakt, zdarzały się chwile, kiedy niekończący się potok gówna wykańczał człowieka. A gdyby dla odmiany zająć się czymś, co czasem pozwalałoby się zatrzymać i spojrzeć z satysfakcją na swoje dokonania? Jak dotąd, ledwo starczało czasu, żeby zaczerpnąć tchu przed daniem kolejnego nura w gówno.

– Chodziłoby głównie o rozwiązywanie różnych bieżących problemów, gaszenie pożarów. Nasza firma działa na całym świecie, przy czym tu i ówdzie czasem potrzebny jest ktoś z zewnątrz, kto potrafiłby rozwikłać problemy i wyprowadzić ludzi na prostą. Szczególnie gdy dochody zaczynają spadać.

– Cóż, to brzmi... interesująco.

– Po prostu zastanów się nad moją propozycją, dobrze? – Spenser znów się uśmiechnął, na zniekształconej twarzy pojawiło się coś dziwnie znajomego. Coś w tych ciemnych oczach, które zdawały się jeszcze głębsze za sprawą otaczającej je różowej i białej tkanki. Jaki to straszny wypadek przydarzył się temu mężczyźnie, co go tak potwornie oszpeciło? Jak by to było pracować dla człowieka, który od tak długiego czasu nosi podobne piętno? Cóż, przemyśleć sprawę zawsze można, nic w tym złego, uznał McLean. Co nie znaczyło, żeby chociaż przez

moment zamierzał przyjąć ofertę.

– Dobrze, Gavin, zastanowię się.

Samochód znajdował się na swoim miejscu, ukryty na tyłach domu w dawnej stajni przebudowanej na garaż. McLean przyszedł tu prosto z domu Gavina Spensera, po drodze zastanawiając się nad niecodzienną propozycją, jaką otrzymał od tego dziwnego starszego pana. Rozważał ją, rzecz jasna, wyłącznie jako kwestię filozoficzną. W ogóle nie brał pod uwagę wystąpienia z policji. Ciekawie jednak było sobie wyobrazić, jak jeździ po świecie, rozwiązuje najrozmaitsze problemy w odległych krańcach imperium zwanego Spenser Industries. Co prawda, nie miał najmniejszego pojęcia, czym owe Spenser Industries się zajmuje, jeżeli nie liczyć niejasnego wspomnienia logo przedsiębiorstwa na jakimś sprzęcie komputerowym oraz wyrwykowych strzępów informacji, przeczytanych w gazetach czy zaczerpniętych z telewizji, które z jakichś niewyjaśnionych powodów jego umysł postanowił zapamiętać.

McLean pokręcił głową. Należało skupić się na rozwiązaniu innej zagadki, czyli problemu, który pojawił się podczas rozmowy z Gavinem. Musiał odsunąć starą kosiarkę i przerzucić kilka pudeł, nim zdołał zbliżyć się na tyle, by ściągnąć szyty na miarę pokrowiec. Kiedy to zrobił, widok samochodu z miejsca uruchomił lawinę wspomnień.

Lakier miał ciemniejszy odcień czerwieni, niż McLean pamiętał; lśnił też jak nowy. Małe lusterka wsteczne, krata chłodnicy w kształcie serca i kołpaki na kołach połyskiwały chromem, choć sól zdzierana zimą z szos wżarła się nieco w metal. Pogłaskał samochód po karoserii i sięgnął do klamki. Był zamknięty, ale kluczyki znajdowały się na swoim miejscu, zawieszona na haczyku w przykręconej do ściany skrzynce – tuż koło drzwi prowadzących do pomieszczenia, służącego dawniej jako magazyn uprzęży i siodeł. W pierwszej chwili nieużywany zamek opierał się, po czym ustąpił ze zgrzytem, który zapowiadał konkretne koszty, wiążące się z doprowadzeniem samochodu do użytku. To z kolei sprawiło, że w jego głowie pojawiła się myśl: utrzyma ten samochód przy życiu, podobnie jak babcia. Bądź co bądź, była to ostatnia pamiątka po jego dawno zmarłym ojcu. Podczas wizyty w Penstemmin Alarms MacBride powiedział, że ludzie gadają, iż McLean nie ma nawet samochodu. Odtąd będzie go miał.

Pokryte czarną skórą fotele wydawały się niewiarygodnie małe i wąskie, zwłaszcza w porównaniu z wielkimi siedziskami pozbawionych jakiegokolwiek charakteru służbowych samochodów, do których zdążył się przyzwyczaić. Cienka kierownica była połączona z kolumną za pomocą chromowanych prętów, a zaprojektowano ją w czasach, kiedy nikomu nawet nie śniło się o poduszkach powietrznych, natomiast lista oczekujących na organy do przeszczepu była znacznie krótsza. Nawet pasy bezpieczeństwa występowały w tamtej epoce jako dodatek na

specjalne zamówienie. Teraz, po latach, przypomniał sobie, że powiedział mu to ojciec. Tak, to było podczas jednego z weekendów z czasów dzieciństwa, kiedy rodzice zabierali go na długie przejażdżki po Borders.

Odetchnął głęboko. Wewnątrz pachniało dokładnie tak, jak to zapamiętał. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Kliknęło i... nic. Cóż, nic dziwnego. Samochód nie był używany przez co najmniej dwa lata. Trzeba będzie odnaleźć numer tego serwisu w Loanhead, który zawsze zajmował się tym wozem. Niech przeprowadzą renowację czy jak nazywa się to, co robi się ze starymi samochodami. Niech sprawdzą hamulce, zmienią opony i tak dalej. McLeanowi szkoda było wysiadać z samochodu, ale w końcu się ruszył; wszystkie graty wróciły na swoje miejsce, a on zamknął garaż na klucz.

*

Teczka z dokumentami dotyczącymi samochodu znajdowała się pośród innych teczek dokładnie tam, gdzie być powinna. Ku swojemu zaskoczeniu, McLean stwierdził, że wóz w dniu, w którym jego babcia dostała udaru, był jeszcze ubezpieczony, wszystkie opłaty zostały wniesione. Mimowolnie zaciekawił się, czy prawnicy zajmujący się sprawami babci płacili nadal, ale potem uświadomił sobie, że najprawdopodobniej otrzymał w tej sprawie jakieś informacje, tylko odłożył je na bok, tak jak wszystkie inne papiery dotyczące spraw, które kiedyś trzeba będzie załatwić. Było ich niemało i wiedział, że prędzej czy później będzie trzeba się przez nie przekopać. Jakby nie dość mu było papierkowej roboty w pracy. Czy naprawdę muszę się z tym męczyć też w domu? Jasne, że muszę, odpowiedział sam sobie. Takie jest życie i tego obejść się nie da.

Na odgłos telefonu wzdrygnął się jak porażony prądem. Najpierw w garażu, a potem w domu panowała taka cisza... Poza tym, kto by go tutaj szukał? Zresztą, mało kto znał ten numer. Podniósł szybko słuchawkę i rzucił do mikrofonu głośniejsz, niż zamierzał:

– McLean, słucham!

– Nie jest to zbyt miłe powitanie, panie inspektorze.

Rozpoznał głos.

– Przepraszam cię, Emmo. Mam za sobą długi dzień.

– Akurat też coś o tym wiem. Są tacy, którzy przez cały dzień usiłowali dopasować do siebie próbki kokainy. Czy zdajesz sobie sprawę, ile różnych chemikaliów może się znajdować w zwykłej kresce?

Poprzedniego roku McLean uczestniczył w szkoleniu, podczas którego zespół wydziału do spraw narkotyków starał się uzmysłowić śledczym, o ile trudniejsza i ważniejsza jest ich praca. Przecież to wojna z narkotykami. McLean jak przez mgłę pamiętał z tamtego wykładu, jak

produkuje się kokainę oraz jakie to przeróżne gówna są do niej dodawane, nim dotrą z Kolumbii do użytkownika dzierżącego w dłoni zwinięty banknot dziesięciofuntowy.

– Ależ skąd, natomiast doceniam twój wysiłek. Udało ci się coś osiągnąć?

– Nic. No, może niezupełnie nic. Ta substancja nie pasuje do żadnego profilu znanego w Zjednoczonym Królestwie, ale z drugiej strony nic w tym dziwnego, ponieważ jest czysta.

– Bez domieszek?

– Bez jakichkolwiek domieszek. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałam. Szacowaną wartość podrzuconego towaru możesz spokojnie przemnożyć przez dwa. Nawiasem mówiąc, masz szczęście, że nie ciągnie cię do koki. Kilka kresk czegoś takiego i po człowieku. Trup.

Bardzo pocieszające.

– A co z odciskami palców? Czegoś się dowiedziałaś?

– Przykro mi, ale nic z tego. Są zbyt zatarte. Od razu porównałam je z odciskami McReadiego, ale za mało jest widocznych szczegółów, na materiał dowodowy się nie nadają. Owszem, można się domyślać i przypuszczać, że to jego odciski, ale w sądzie taki numer nie przejdzie.

McLean machinalnie przerzucał papiery wyjęte z teczki, leżącej przed nim na biurku. Nagle przypomniał sobie, że to papiery samochodu.

– Cóż, trudno. Próbowalaś. Dzięki. Jestem twoim dłużnikiem.

– W samej rzeczy, inspektorze. O ile pamiętam, jesteś mi winien kolację. A zdaje się, że nie masz w tej chwili za dużo do roboty. Zgadza się?

„Hej do przodu”. Tak Emmę kiedyś określił Bob Gburek. Należało przyznać, że ta analiza charakteru nie była pozbawiona pewnej trafności, a rozumowanie Emmy było całkiem logiczne. McLean zerknął na zegarek – była siódma. Nie wiadomo, jak i kiedy minął dzień.

– Gdzie jesteś? W kwaterze głównej?

– Nie, w komisariacie. Akurat miałam podrzucić trochę materiału dowodowego, więc przy okazji zajrzałam i do twojego pokoju operacyjnego, ale tam mi powiedzieli, że jesteś... No, wiesz.

Policja, czyli mistrzostwo świata w rozsiewaniu plotek. Jasne, że o jego chwilowym zawieszeniu w czynnościach wiedzieli już wszyscy w Lothian i Borders. Cholera, po prostu cudownie.

– Dobra. To może spotkamy się za godzinę?

Zaproponował położoną nieopodal restaurację, po czym się rozłączył. Przez chwilę gapił się na ścianę. Za nią, gdzieś w mieście, ludzie właśnie stroili się na kolejny wieczór festiwalu, tankowania i zabawy. Nie był pewien, czy jest w odpowiednim nastroju do konfrontacji z tłumem. Jego dotychczasowe życie, miłe, wygodne, nudne i bezpieczne, zaczynało odchodzić

w dał, a on nie był w stanie w żaden sposób temu zaradzić. Instynkt podpowiadał mu, żeby się kryć. Nie zamierzał jednak poddać się słabości. Należy przejąć kontrolę nad sytuacją, oto właściwa decyzja.

Otwarta teczka wciąż leżała przed nim na biurku. Nieważne, pomyślał. Przecież równie dobrze można to wszystko załatwić jutro. Wsadził dokumenty z powrotem do teczki i wtedy zauważył, że jest w niej fotografia. Musiała zostać zrobiona w czasach, kiedy samochód był jeszcze nowiutki, kolory na zdjęciu były przejawskrawione, nierealne, jak gdyby z biegiem lat znany mu świat wyblakł. Jego matka i ojciec stali przed alfą, zaparkowaną na podwórku przy garażu. I on też tam był, w krótkich spodenkach i w schludnej kurteczce. W jednej ręce miał misia, za drugą trzymała go matka. Odwrócił fotografię, ale nie było żadnego napisu, tylko znak wodny wytwórcy papieru. Znowu spojrzął na zdjęcie. Przywoływało niejasne wspomnienie, ale czy naprawdę przypominał sobie tamten dzień, tamtą godzinę i sekundę? Czy po prostu dobudowywał możliwy scenariusz do znalezionej fotografii?

Położył ją na samym wierzchu i zamknął teczkę. Nie znał tych ludzi, ich widok nie budził w nim żadnych emocji. Jednak kiedy wstał, odłożył teczkę na miejsce i zasunął szufladę, wciąż miał przed oczami twarz ojca, wciąż widział uśmiech w jego ciemnych oczach.

Umówili się w tajskiej restauracji, niedaleko komisariatu. McLean był tam kilka razy, zazwyczaj w towarzystwie licznych grup wygłodniałych policjantów.

– Co dobrego polecasz? Chyba jeszcze nie próbowałam żadnego tajskiego jedzenia.

Emma upiła łyk. McLean zauważył, że zamówiła całą pintę, nie małe piwo.

– To zależy. Lubisz na ostro czy raczej łagodne smaki?

– Na ostro. Zawsze. Im ostrzej, tym lepiej.

McLean uśmiechnął się, spodobało mu się to wyzwanie.

– Doskonale. W takim razie proponuję, żebyś na początek wzięła gung dong, a potem panang. Później zobaczymy, czy zdołasz zmieścić pudding z kremem kokosowym.

– Na wszystkim tak się znasz, inspektorze?

Emma uniosła brwi, odgarnęła krótkie czarne włosy z twarzy. McLean wiedział, że dziewczyna go podpuszcza, ale postanowił dać się złapać na tę przynętę.

– Słyszałem, że nawet inspektorzy czasem się mylą, ale osobiście w to nie wierzę. Do poniedziałku mam wolne i przypominam, że mam na imię Tony.

– A więc, Tony, czym zajmuje się inspektor po pracy?

Cóż, przez ostatnie osiemnaście miesięcy od chwili, kiedy znalazł babcię nieprzytomną w ulubionym hotelu, odwiedzał ją w szpitalu. Poza tym pracował, potem wracał do domu i kładł się spać. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był w kinie czy na jakimś koncercie. Zdarzało mu się brać urlop, ale nigdy na więcej niż kilka dni, a wtedy wyciągał stary rower górski, jechał w Pentland Hills i dziwił się, że za każdym razem ich zbocza są coraz bardziej strome.

– Głównie chodzę do pubu – odparł, wzruszając ramionami. – Albo do tajskich knajp.

– Mam nadzieję, że nie sam. – Emma się roześmiała. – To byłoby bardzo smutne.

McLean nie odpowiedział, śmiech Emmy ucił, zapadło niezręczne milczenie. Zdecydowanie upłynęło zbyt wiele czasu, odkąd ostatnio zdarzyło mu się coś takiego. Nie wiedział, co się mówi w podobnych sytuacjach.

– Kiedyś przeprowadziłem tu moją babcię – wydusił z siebie wreszcie. – Jeszcze zanim dostała udaru.

– Była dla ciebie kimś bardzo ważnym, prawda?

– Niewątpliwie tak. Moi rodzice zginęli w katastrofie lotniczej na południe od Inverness, gdy miałem cztery lata. Babcia wychowała mnie, jakbym był jej dzieckiem.

– Och, Tony. Tak mi przykro. Nie wiedziałam.

– Daj spokój. Pogodziłem się z tym dawno temu. Wiesz, kiedy ma się cztery lata, człowiek szybko przystosowuje się do zmian. Natomiast śmierć babci przeżyłem tak, jak pewnie przeżywa się śmierć rodziców. Poza tym strasznie długo była w śpiączce. To było coś okropnego patrzeć, jak powoli zanika, odchodzi.

– Mój tato zmarł kilka lat temu – powiedziała Emma. – Zachłął się na śmierć. Nie mogę powiedzieć, żebyśmy z mamą strasznie po nim płakały. Czy to źle?

– Nie wiem. Nie, chyba nie. Czy był agresywny?

– Nie, raczej miał wszystko gdzieś.

– Masz rodzeństwo, braci, siostry?

McLean dokonał próby zmiany tematu na bezpieczniejszy.

– Nie, jestem samiutka jak palec.

– A czym zajmuje się funkcjonariuszka policyjnych służb technicznych w wolnym czasie? O ile w ogóle zdarza się wolna chwila.

Emma znów się zaśmiała.

– Przypuszczam, że robi niewiele więcej niż inspektor. Ta praca bardzo wciąga, a ponieważ trzeba być gotowym na wezwanie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, życie towarzyskie bierze w łeb.

– Odnoszę wrażenie, że nie ominęły cię związane z tym traumatyczne przeżycia.

– Jak nas wszystkich, nie?

– Masz kogoś?

– Tony, jesteś detektywem. Jak myślisz, czy siedziałabym tutaj z tobą przy piwie i curry, gdybym kogoś miała?

– O, przepraszam. Głupie pytanie. W takim razie lepiej opowiedz mi o kokainie i tych wszystkich dziwnych substancjach, które dilerzy do niej dodają.

Może i było to trochę smutne, ale łatwiej przyszło im rozmawiać o pracy niż o czymkolwiek innym. Emma też była zadowolona ze zmiany tematu. Pewnie jej ojciec odznaczał się czymś więcej niż tylko brakiem zainteresowania wobec rodziny. Życie każdego z nas naznaczają niekończące się serie małych tragedii, pomyślał McLean.

Kiedy pojawiło się jedzenie, rozprawiali oboje w najlepsze na temat tego, że w laboratorium musi panować doskonała czystość. Podczas posiłku opowiadali sobie anegdotki o kolegach z pracy, aż w końcu McLean zapłacił i wyszli w sierpniową noc.

– Ten pudding był boski. Pamiętasz, jak on się nazywał? – Emma wsunęła dłoń pod jego ramię. Szli ulicą blisko siebie.

– Kanon bliak bun, przynajmniej jakoś tak to wymawiają.

McLean nie miał pojęcia, dokąd idą. Początkowo zakładał, że kolacja będzie przykrym

obowiązkiem do spełnienia w zamian za wyświadczoną przysługę. Tymczasem, ku swojemu zdziwieniu, stwierdził, że w obecności tej dziewczyny czuje się naprawdę dobrze, choć przecież niczego takiego nie planował. Zaczęło robić się chłodno, od morza powiała północno-wschodnia bryza. Czuł przy sobie ciepło kobiecego ciała. Całe lata wprawy w byciu samotnym ponaglały, żeby odepchnąć Emmę, trzymać się na dystans, jednak po raz pierwszy, odkąd pamiętał, zignorował ten rozpaczliwy zew swojej podświadomości.

– Wpadniemy jeszcze gdzieś na kielicha?

Najpierw wylądowali w Guildford Arms, bo tam było najbliżej i można było dostać znośne piwo. Potem Emma zaproponowała, żeby spróbowali załapać się na pokazy komediowe w ramach festiwalu, bo może nie wszystkie bilety są wyprzedane. McLean podejrzewał, że od początku wiedziała, do czego zmierza, ale cieszył się, że ktoś za niego podejmuje decyzje. Zdołali wcisnąć się do pewnego baru, w którym był straszny tłok, pełno spoconych ludzi. Odbywała się w nim impreza pod hasłem: „Mikrofon dla każdego”, co polegało na tym, że kolejni domorośli kabareciarze produkowali się przed nieprzyjaźnie nastawioną i mocno nietrzeźwą publicznością, w ten sposób przeżywając swoich kilka minut sławy. Niektórzy nawet byli całkiem niezli, inni zaś tak beznadziejni, że przez to właśnie wzbudzali śmiech widzów. Gdy skończył się ostatni pokaz, a bar opustoszał, była już druga nad ranem, na ulicy zaś brakowało taksówek. McLean pogrzał w kieszeni i wydobyl komórkę, wystarczyło jednak tylko zerknąć na martwy ekran.

– Cholerna bateria znowu zdechła. Jakies fatum czy co?

– Powinieneś o tym pogadać z Malkym Wattem z naszego wydziału. Facet ma swoją teorię na temat aury roztrząsanej przez każdego człowieka i głosi, że niektórzy za jej pomocą wysysają życie z urządzeń elektrycznych. Zwłaszcza jeżeli ktoś obdarzony dużą mocą psychiczną snuje na twój temat negatywne myśli.

– Krótko mówiąc: świr?

– Dokładnie. To chyba najtrafniejsze określenie.

– Poważnie, przedtem nigdy nic takiego się nie działo. Dopiero od miesiąca czy jakoś tak. Zmieniałem telefony, kupowałem nowe baterie. Próbowałem wszystkiego. Przeklęte urządzenie działa tylko wtedy, gdy jest podłączone do kontaktu w ścianie, przez co poniekąd przestaje być sprzętem mobilnym.

– Rozumiem. – Emma rzuciła okiem na niedający jakiegokolwiek znaku życia wyświetlacz jego komórki. – Nie przejmuj się. Mieszkam pięć minut stąd, będziesz mógł sobie wezwać taksówkę ode mnie.

– Ależ nie o to mi chodziło. Chciałem wezwać taksówkę dla ciebie, nie dla siebie. Ja mogę iść stąd do Newington na piechotę, żaden problem. Nawet lubię nocą spacerować po mieście.

Przypomina mi to dobre dawne czasy, kiedy chodziłem na patrole. Dobra, w takim razie odprowadzę cię do domu.

McLean podał jej ramię, Emma znowu wsunęła pod nie dłoń.

Mieszkała w szeregowcach opodal Warriston, za nimi płynęła Water of Leith. Kiedy tam dotarli, McLean wzdrygnął się mimo woli.

– Zimno, inspektorze?

Emma objęła go za ramiona i przyciągnęła do siebie. Najeżył się.

– Nie jest mi zimno. To coś innego. Wołałbym o tym nie rozmawiać.

Popatrzyła na niego dziwnie.

– W porządku.

Szli dalej, wciąż obok siebie, ale magiczna chwila ulotniła się bezpowrotnie. Zresztą, on i tak nie mógł się powstrzymać, żeby nie spoglądać do tyłu, w stronę mostu, gdzie tak wiele, wiele lat temu znalazł ciało zamordowanej Kirsty.

Jeszcze kilkaset metrów i znaleźli się pod jej drzwiami. Emma wyjęła z torebki pęk kluczy.

– Chcesz wpaść na kawę?

Jasne, że miał ochotę. Biło od niej ciepło, pachniała beztroską młodością, zabawą, przyjaźnią. Przez cały ten wieczór McLeanowi udało się trzymać upiory na uwieczni, ale teraz powróciły. Co prawda, gdyby mieszkała na jakiegokolwiek innej ulicy, może by się zgodził.

– Nie mogę. – Ostentacyjnie spojrział na zegarek. – Muszę wracać. Mam za sobą długi dzień i wszystko wskazuje na to, że jutro będzie jeszcze gorzej.

– Kłamczuchu, przecież podobno jesteś na urlopie. Możesz spać tak długo, jak tylko zechcesz. Nie masz pojęcia, jak ci zazdroszczę. – Szturchnęła go żartobliwie pięścią w ramię. – Ale dobrze się składa, bo jutro idę do roboty na ósmą. W każdym razie było fajnie.

– Owszem, było fajnie. Musimy to kiedyś powtórzyć.

– Czy to zaproszenie na randkę, inspektorze McLean?

– Nie wiem. Gdyby to miała być randka, musiałbym chyba coś dla ciebie ugotować.

– Dobra. To ja przyniosę wino. – Emma podeszła do niego, zbliżyła się jeszcze trochę i leciutko pocałowała go w usta, a potem wycofała się i wbiegła po schodach, nim zdążył w jakikolwiek sposób zareagować. – Dobranoc, Tony! – zawołała przez otwarte drzwi, po czym zniknęła wewnątrz.

Dopiero gdzieś w połowie drogi do Princes Street McLean uświadomił sobie, że przez cały wieczór ani przez chwilę nie myślał o posterunkowej Kydd.

Ostry dźwięk brzęczyka przesączył się przez krawędzie sennych marzeń, przywołał go z powrotem do krainy żywych. Otworzył oczy, zerknął na budzik. Szósta rano. Czuł się śmiertelnie zmęczony, co było raczej niesprawiedliwe, wzięwszy pod uwagę, jak miły wieczór spędził. A poza tym już sobie wymarzył, że cały ranek będzie się wylegiwał.

Sięgnął i walnął w przycisk budzika. Odgłos jednak nie umilkł, dopiero teraz zdał sobie sprawę, że dochodzi on z komody po drugiej stronie pokoju. Wygramolił się sennie z łóżka, miał już w ręce wygniecioną kurtkę, kiedy dzwonek umilkł. Pod kurtką podłączony do ładowarki telefon błyskał światelkiem, sygnalizując, że przyszła wiadomość: ma się skontaktować z komisariatem. Już miał oddzwonić, kiedy w korytarzu rozległ się sygnał stacjonarnego telefonu.

Łomocąc bosymi stopami o posadzkę, McLean dobiegł, sięgnął po słuchawkę, ale sekundę wcześniej dzwonek ucichł. Ciągle jeszcze nie włożył nowej kasety do sekretarki. Może warto wybrać się i kupić nowy aparat, cyfrowe urządzenie, które nie będzie przechowywać głosów umarłych. Spojrzał na ekran komórki, nacisnął przycisk szybkiego wybierania. Dziesięć minut po tym, jak uzyskał połączenie z komisariatem, był już po prysznicu i całkowicie ubrany wychodził z domu. Śniadanie będzie musiało zaczekać.

W wąskiej uliczce hulał chłodny poranny wiatr, za sprawą wznoszących się po obu stronach wysokich budynków bardziej porywisty niż gdzie indziej. Babcia McLeana powiedziała, że to leniwy wiatr, bo przewiewa człowieka na wskroś, zamiast pofatygować się odrobinę i go ominąć. Drżał z zimna w cienkim letnim garniturze, był bez śniadania, spał za krótko, a przed chwilą spotkało go nader niemiłe i brutalne przebudzenie – dowiedział się o czymś, o czym zdecydowanie wolałby nie wiedzieć. Bywały takie dni, kiedy życie pracownika biurowego wydawało mu się nad wyraz atrakcyjne. Fajrant i po robocie. Człowiek wraca do domu, mając błogą pewność, że nikt go nie obudzi w środku nocy z żądaniem, żeby zjawił się natychmiast, bo trzeba przygotować jeszcze kilka sprawozdań, czy co tam pracownicy biurowi robią na co dzień.

U wejścia do kostnicy miejskiej czekał detektyw posterunkowy MacBride. Przechadzał się nerwowo po ulicy jak świeżo upieczony student, który nie może się zebrać na odwagę, żeby wejść do któregoś z bardziej osławionych pubów w Cowgate. Wyglądał, jakby zmarł jeszcze bardziej niż McLean – o ile to było możliwe.

– Co się stało? – Inspektor zwrócił się do mundurowego, który starannie rozwijał czarno-żółtą

taśmę, by zagrozić nią wjazd. Machnął mu przed nosem swoją kartą.

– Chodzi o tę dziewczynę, sir, co to znaleźli ją w starym domu w Sighthill. Ktoś... Zresztą, najlepiej niech pan porozmawia bezpośrednio z doktor Sharp. – Młody policjant najwyraźniej miał ochotę wykręcić się od odpowiedzi.

Wewnątrz budynku panował niezwykły jak na to miejsce zamęt. Ekipa techniczna zbierała odciski palców, posypując wszystko proszkiem, szukali też jakichkolwiek innych śladów. Przyglądała się temu zdenerwowana asystentka patologa.

– Co się dzieje, Tracy? – spytał McLean i spostrzegł, że odetchnęła z ulgą na widok pierwszej znajomej twarzy w tym chaosie.

– Ktoś tu się włamał i ukradł jedno ze zwłok, tę okaleczoną dziewczynę. Zakonserwowane organy też zostały zabrane.

– Zginęło coś jeszcze?

– Nie, ale włamywacz dobrał się do komputerów. Wprowadzcie są założone hasła, ale kiedy przyszłam, mój komputer był włączony. Dałabym głowę, że wczoraj wieczorem go wyłączyłam. Nie przejęłam się tym, dopóki nie okazało się, że zniknęły zwłoki. O ile mogę stwierdzić, niczego nie skasowano, natomiast złodziej mógł zrobić kopie każdego pliku, jaki mam na twardym dysku.

– A co z innymi ciałami, które są tu przechowywane?

Inspektor zajrzał przez szybę oddzielającą biuro od sali sekcyjnej. Kręciła się po niej Emma z aparatem; widząc McLeana, pomachała mu wesoło ręką.

– Wygląda na to, że nawet ich nie tknął. Ktokolwiek to zrobił, doskonale wiedział, czego szuka.

– W takim razie szanse, by techniczni coś znaleźli, są małe. Wygląda na to, że akcja została precyzyjnie zaplanowana. Jesteś pewna, że to zdarzyło się właśnie dzisiaj w nocy?

– Nie w stu procentach. Przecież nie sprawdzamy każdego dnia, czy mamy na stanie wszystkie zwłoki. Natomiast spreparowane organy przechowywaliśmy w zabezpieczonym pomieszczeniu, o tam. – Doktor Sharp wskazała na ciężkie drewniane drzwi z małym okienkiem ze wzmocnionego szkła, umieszczonym na wysokości głowy. – Były tam jeszcze wczoraj, kiedy odkładałam na miejsce ubranie samobójczyni, a dzisiaj rano, gdy poszłam do tego pokoju po słoiki na preparaty, już ich nie było. Jak tylko to zauważyłam, sprawdziłam szuflady w trupiarni, no i jej tam nie było.

– O której wyszłaś wczoraj z pracy?

– Chyba około ósmej, ale przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ktoś tu jest. W końcu nigdy nie wiadomo, kiedy przywiozą nowe zwłoki.

– Zakładam, że nie da się wejść tak po prostu, z ulicy.

McLean od dawna znał obowiązujące w tym miejscu zabezpieczenia. Nie były doskonałe, ale jak dotąd wydawały się wystarczające. Wcześniej nie zdarzyło się, żeby do budynku wtargnęły osoby niepowołane.

– Zastanów się, w jaki sposób można stąd wywieźć ciało. Raczej nie można zarzucić go sobie na ramię i wyjść na ulicę, prawda?

– Zwłoki dostarczane są albo przez karetki, albo przez przedsiębiorców pogrzebowych. Może wywieźli ją właśnie w ten sposób?

– To chyba ma sens. Ile ciał przybyło zeszłej nocy?

– Zaraz sprawdzę. – Doktor Sharp sięgnęła do komputera, ale w porę się powstrzymała. – Czy już można?

McLean zaczął przechodzącego funkcjonariusza służb technicznych, żeby zadać mu to samo pytanie.

– Zdjęliśmy odciski, ale mało prawdopodobne, żeby coś z tego wynikło. Na klawiaturze niczego nie było, na drzwiach chłodni też nie. Myślę, że sprawcy działali w rękawiczkach.

– To znaczy, że możesz – wyjaśnił McLean.

Tracy stuknęła w kilka klawiszy.

– O wpół do drugiej zameldowaliśmy twoją samobójczynię. O ósmej przywieźli faceta, który najprawdopodobniej zmarł na zawał. Pamiętam, bo jeszcze byłam w pracy. A potem już nic. Noc była spokojna.

– Możesz to potwierdzić w recepcji?

– Zaraz.

Tracy wzięła do ręki telefon, już nie pytając o zgodę technicznych. Rozmawiała krótko, zapisała numer, po czym rozłączyła się i go wystukała. Przez dłuższą chwilę czekała, po czym powiedziała:

– Pete? Cześć, tu Tracy. Tak, bardzo mi przykro, wiem, że miałeś nocny dyżur. Chodzi o to, że doszło do włamania. Wszędzie kręci się policja. Nie, nie żartuję. Na pewno będą chcieli z tobą porozmawiać. Powiedz mi, czy rejestrowałeś jakieś zwłoki po tym, jak przywieźli wczoraj wieczorem pana Lentina – spytała i czekała na odpowiedź. – Co takiego? Jesteś pewien? Dobrze, dziękuję. – Odłożyła słuchawkę. – O drugiej nad ranem zajechała karetka. Pete przysięga, że ją zarejestrował, ale w systemie nie ma po tym ani śladu.

– Zapewne mówimy o tym samym systemie, który był uruchomiony, kiedy przyszłaś do pracy.

McLean nie bez podziwu musiał przyznać, że cała robota została przeprowadzona profesjonalnie od początku do końca. Tylko po co ktokolwiek miałby kraść zwłoki sprzed sześćdziesięciu lat, i to dziewczyny, której wciąż jeszcze nie zdołano zidentyfikować?

– Wiesz, miałeś rację.

– Naprawdę? Pod jakim względem?

Stał w progu gabinetu komendant McIntyre. Drzwi były otwarte, zresztą, z zasady nie były zamknięte, natomiast McLean nie mógł się odważyć, żeby wejść do środka. Znużone, zrezygnowane westchnienie, które pani komendant wydała na jego widok, wystarczyło, by zorientował się, że igra z ogniem.

– W sprawie McReadiego. Miał być przesłuchany dopiero następnego dnia, ale zadzwonił jego prawnik i przekonał Charlesa, żeby go przesunął na wcześniej. Dokładnie w tym samym czasie posterunkowa Kydd została potrącona przez samochód. Niewiele mu z tego przyjdzie. W tej chwili jest w drodze do Saughton.

Cholera, marna z tego pociecha dla nieszczęsnej Alison.

– Dzwoniłem do szpitala.

– Ja też dzwoniłam, Tony. Niestety, bez zmian. Twarda z niej sztuka, ale tylko cudem przeżyła na stole operacyjnym. Nie muszę ci mówić, jak nikłe są szanse...

Nie musiała też mówić, jak marne życie czeka Alison, jeżeli przypadkiem zdoła przeżyć. Komendant McIntyre potarła dłonią zmęczoną twarz. McLean czekał, nie zamierzał jej ponaglać. Wiedział, że prędzej czy później przejdzie do rzeczy.

– A teraz powiedz mi, co ty tu robisz? Miałeś wziąć urlop.

Opowiedział jej o kradzieży zwłok i dodał:

– Już wiemy, że jednym z morderców był Bertie Farquhar, myślę natomiast, że przynajmniej jeszcze jeden z nich wciąż żyje.

– Myślisz, że to on wykradł zwłoki?

– Nie, ale zlecił kradzież. Gdyby nie wypadek samochodowy, Farquhar miałby teraz koło dziewięćdziesiątki. Przypuszczam, że jego współnicy byłiby mniej więcej w tym samym wieku. Czyli w wieku nie do końca odpowiednim, aby włamywać się nocą do miejskiej kostnicy.

– Raczej, żeby wjechać do niej na wózku. – McIntyre próbowała zdobyć się na uśmiech, ale nie za bardzo jej się to udało.

– Jeszcze nie wiem, kto to taki, ale na pewno ktoś dysponujący sporymi wpływami albo pieniędzmi. A właściwie to jednym i drugim. Wieści na temat zwłok nie rozgłaszaliśmy, lecz najwyraźniej ktoś dowiedział się, że je znaleźliśmy i gdzie są przechowywane. Przypuszczam, że mordercy starają się zatrzeć ślady.

– Przecież ci polecałam: do poniedziałku. Nie powinno cię tutaj być.

– Oczywiście. Nie mogę jednak zostawić tego dochodzenia sierżantowi Lairdowi. Ma za dużo innych spraw na głowie. Poza tym zwariowałbym, gdybym musiał siedzieć w domu ze świadomością, że morderca bezkarnie zaciera ostatnie strzępki dowodów, jakie udało się zebrać.

Przez dłuższą chwilę pani komendant nie odzywała się ani słowem, tylko siedziała w milczeniu i patrzyła na McLeana. Tym razem nie zamierzał jej ponaglać, postanowił dać jej tyle czasu, ile będzie potrzebowała.

– Co chcesz zrobić? – spytała w końcu.

– Wytropić przyjaciół Bertiego Farquhara. Posterunkowy MacBride właśnie przekopuje archiwa, zwróciliśmy się do władz wojskowych o zapis przebiegu służby Bertiego. Zamierzam też odwiedzić Emily Johnson, by sprawdzić, czy nie znalazła czegoś jeszcze. Obiecała, że pogrzenie na strychu w poszukiwaniu starych albumów fotograficznych Farquhara oraz temu podobnych pamiątek.

– Ciekawe, skąd wiem, że i tak dzisiaj odwiedziłbyś panią Johnson? – Komendant McIntyre machnęła ręką, kiedy McLean próbował zaprotestować. – W takim razie do roboty, Tony. Znajdź te biedne zaginione zwłoki i dorwij starca-mordercę. Natomiast trzymaj się z dala od McReadiego. Kiedy się dowiem, że znowu się go czepiasz, wsadzę ci na kark inspekcję wewnętrzną. Zrozumiano?

Gdy Bob Gburek siedział na skraju pokrytej psimi kłakami starej sofy w salonie Emily Johnson, stanowił uosobienie doskonałego szczęścia. Pieski rasy Dandie Dinmont zostały zamknięte w kuchni, dostał herbatę i ciasteczka. McLean wiedział, że o tej porze dnia niewiele więcej mu trzeba.

Emily Johnson powitała ich, po czym oznajmiła, że spędziła sporo czasu na strychu, grzebiąc w starych skrzyniach pełnych rozmaitych kłopotów. Właśnie przeglądali setki czarno-białych fotografii.

– Zastanawiam się, czy nie powinnam sprowadzić zawodowego rzeczoznawcy, żeby to wycenił – stwierdziła pani Johnson. – Tutaj porastają kurzem, a mogłabym dać je na jakąś aukcję dobroczynną. Na przykład na chore dzieci. Pieniądzy mi nie brakuje, a te rzeczy nie mają dla mnie żadnej wartości sentymentalnej.

McLean pomyślał przelotnie o tym, że niespodziewanie i jemu przypadła w udziale rodzinna scheda, na której specjalnie mu nie zależało i której wcale nie pragnął zatrzymać dla siebie. Może mógłby postąpić jak Emily – sprzedać spadek na aukcji, po czym utworzyć fundusz dobroczynny.

– Bylbym wdzięczny, gdyby pozwoliła nam pani przejrzeć rzeczy zostawione przez Alberta, nim zacznie się pani ich pozbywać, pani Johnson.

Głupio byłoby w drodze wyprzedzaży na aukcji stracić cenne dowody, uznał.

– Proszę się nie obawiać, inspektorze. Miną lata, zanim zorganizuję cokolwiek. A właśnie, przy okazji. Znalazłam coś takiego.

Pani Johnson wstała i z chińskiego wazonu, stojącego na gzymsie kominka, wyjęła nieduży przedmiot, który podała McLeanowi. Przyjrzał się puzderku na biżuterię obciążniętemu skórą, wytartą nieco na krawędziach. Na denku widniał napis wytłoczony spłowiałymi złotymi literami: „Douglas and Footes, jubilerzy”. Otworzył je, było wyłożone ciemnozielonym pluszem, a na wieczku widniał tłoczony napis: „Dla Alberta Menziesa Farquhara w dniu osiągnięcia pełnoletności, 13 sierpnia 1932 roku”. Przeznaczone sobie zagłębienia w aksamicie zajmowały cztery niewielkie spinki do kołnierzyka, każda z nich z maleńkim rubinem połyskującym niczym kropelka krwi. Dwie pozostałe spinki gdzieś przepadły. Było tam też miejsce na sygnet, ale puste.

– Znaleźliście spinki do mankietów należące do kompletu?

– Owszem, a puzderko i jego zawartość potwierdza nasze podejrzenia. – McLean zatrzasnął

puzderko i oddał je pani Johnson. – Przypuszczam, że z prawnego punktu widzenia skradzione spinki są pani własnością. Bob, zanotuj, że musimy je zwrócić pani Johnson, kiedy śledztwo zostanie zamknięte.

– Proszę tego nie robić, inspektorze. Na co mi to paskudztwo? Nie cierpiałam Bertiego. Wcale mnie nie zdziwiło, że mógł kogoś zabić. W końcu wjechał w ten przystanek, prawda?

– Dobrze go pani знаła?

– Dzięki Bogu, niezbyt dobrze. Był w wieku Toby'ego, jak mi się zdaje, a poza tym przyjaźnił się z moim mężem, Johnem. Ciarki przechodziły mnie na sam jego widok; gapił się na mnie tymi swoimi zapadniętymi oczami. Czułam się zbrukana przez sam fakt, że znajdowaliśmy się w tym samym pokoju.

– A co może nam pani powiedzieć o domu w Sighthill? Czy bywała tam pani?

– O mój Boże, koszmar cesarza Minga. Tak określiliśmy to gmaszysko. Nie powiem, może w swoim czasie można je było nazwać okazałą budowlą. Wyglądało jednak śmiesznie pośród tych wszystkich małych domków. W dodatku stało blisko więzienia. Nie wiem, dlaczego stary Farquhar nie kazał tego zburzyć i wybudować w tym miejscu zwyczajnego domu. Stać go było na to.

– Mamy powody przypuszczać, że dzięki temu coś miało pozostać w ukryciu.

McLean wziął do ręki jeden z oprawnych w skórę albumów z fotografiami, które pani Johnson rozłożyła na niskim stoliku. Siedzący naprzeciwko Bob Gburek poczęstował się kolejnym ciasteczkiem i dalej przeglądał album, którego oględziny zaczął wcześniej.

– Wiedział, czego dopuścił się jego syn, i próbował go kryć. Nawet po jego śmierci Farquhar's Bank zachował w posiadaniu ten pusty dom. Resztę nieruchomości wyprzedali, dlaczego więc zostawili akurat tę siedzibę? Cóż, taka stara firma z tradycjami uszanowała ostatnią wolę swojego założyciela, ale kiedy bank został wykupiony przez Mid-Eastern Finance, sprawa wyszła na jaw.

– Znaleźliście trupa w tym domu? – Pani Johnson gwałtownym ruchem uniosła dłoń do ust, a potem nagle znieruchomiała.

– Przepraszam, nie poinformowałam pani wcześniej. Owszem, znaleźliśmy ciało młodej dziewczyny ukryte w piwnicy. Przypuszczamy, że została zamordowana tuż po zakończeniu wojny.

– Mój Boże. Tyle razy byłam tam na tych wszystkich okropnych przyjęciach, a o niczym nie wiedziałam. Jak zginęła?

– Powiedzmy, że została zamordowana, i zostawmy ten temat, pani Johnson. Obecnie bardziej mnie interesuje, kto mógł być współnikiem Alberta Farquhara i czy może jeszcze żyć ktoś zamieszany w tę zbrodnię.

– Oczywiście. Rzecz jasna, miał przyjaciół. Na przykład przyjaźnił się z Tobym... Chyba pan nie sądzi, że Toby też mógł mieć z tym coś wspólnego?

– W tej chwili niczego nie sądzę i niczego nie wykluczam. Wiem tylko, że Farquhar był winny. Pani teść zginął dawno temu, a zmarli znajdują się poza jurysdykcją wymiaru sprawiedliwości. Chodzi o to, że jest ktoś jeszcze, kto nadal żyje i jest powiązany z tą sprawą, a ja nie spocznę, dopóki nie stanie on przed sądem.

– Zobacz, co znalazłem – oznajmił triumfalnym tonem Bob Gburek, przerywając ich rozmowę.

Położył otwarty album na szczycie stosu innych albumów i go przekreślił. McLean pochylił się, żeby przyjrzeć się lepiej. Na czarno-białej fotografii ujrzał pięciu mężczyzn w jasnych flanelowych spodniach i wełnianych blezerach. Byli młodzi – około dwudziestki. Mieli fryzury, jakie były modne tuż przed wojną. Czterech stało ramię w ramię, trzymając drewnianą tarczę. Piąty leżał na ziemi u ich stóp, a za nimi widać było smukłą wiosłową łódź i rzekę. Pod zdjęciem ktoś starannie wykaligrafował podpis: „Czwórka ze sternikiem reprezentująca Uniwersytet Edynburski. Regaty Henleya, czerwiec 1938”. Dużo ciekawsze były podpisy widniejące na zdjęciu.

„Tobias Johnson,
Albert Farquhar,
Barnaby Smythe,
Buchan Stewart,
Jonas Carstairs”

– Ma pan chwilę, sir?

McLean stał w drzwiach największego pokoju dochodzeniowego w budynku. Wyglądał zupełnie tak samo jak podczas śledztwa w sprawie Barnaby'ego Smythe'a, tylko zamiast zdjęcia bankiera do ściany przyspilono fotografię Jonasa Carstairsa. Tym razem także Duguid zdołał zmusić, zastraszyć, skłonić pochlebstwem lub rozkazem do udziału w tym dochodzeniu większość funkcjonariuszy i podobnie jak poprzednio, wszystko wskazywało na to, że jego metoda sprowadza się do przesłuchiwania w kółko wszystkich możliwych świadków, aż trafi się jakaś poszlaka. Wsparty pod bok nadinspektor stał kilka kroków od McLeana i z wyraźną satysfakcją przyglądał się krzątającym policjantom, jakby samo krzątanie się wskazywało, że śledztwo postępuje we właściwym kierunku. Zresztą, najprawdopodobniej tak mu się wydawało. Byłby perfekcyjnym urzędnikiem, pomyślał McLean.

– Słyszałem, że do poniedziałku jesteś na przymusowym urlopie.

Nadinspektor nie za bardzo ucieszył się na widok McLeana.

– Wyszła pewna sprawa. Załatwiłem wszystko z panią komendant.

– Wiedziałem, że tak będzie.

McLean zignorował sarkastyczny ton przełożonego. To, co miał do powiedzenia, było zbyt ważne.

– Ciekaw jestem, czy doszedł pan do czegoś w sprawie Carstairsa?

– A co? Przyszedłeś tu, żeby mnie pouczać?

Na skroni Duguída napęczniała żyła, jego policzki poczerwieniały.

– Nic podobnego, sir. Chodzi mi o to, że jego nazwisko pojawiło się w jednym z moich dochodzeń. Pamięta pan, chodzi o mord rytualny.

– Ach, tak. Ta stara sprawa. Jayne przydzieliła ci ją, bo myślała, że przy czymś tak prostym nie narobisz zamieszania. Założę się, że teraz gorzko tego żałuje.

– Tak się składa, że jednego z morderców udało nam się zidentyfikować.

– I co, przymknąłeś go?

– Tak się składa, że facet nie żyje od prawie pięćdziesięciu lat.

– Aha, czyli gówno ci się udało.

– Niezupełnie, sir. – McLean walczył z przemożną chęcią, żeby walnąć nadinspektora w szczękę, ale za chwilę satysfakcji musiałby potem słono zapłacić. Nie była tego warta. Ciągnął więc spokojnym tonem: – Tak się składa, że nowe dowody, które zdobyłem, wskazują na jego

powiązania z Jonasem Carstairsem, Barnabym Smythe'em oraz pańskim wujkiem.

No cóż, być może pograł trochę zbyt ostro i nierozsądnie, ale Dagwood sam się o to prosił. McLean odruchowo cofnął się o krok, kiedy zobaczył, jak nadinspektor zaciska pięści.

– Ani mi się waż tutaj o tym mówić. – W głosie Duguida słychać było wyraźną pogroźkę. – Zaraz będziesz mi wmawiał, że jest podejrzany. Śmieszne, kurwa.

– Akurat to chciałem powiedzieć. Jest podejrzany, podobnie jak Carstairs, Smythe i jeszcze dwóch innych. Moim zdaniem, w sprawę zamieszana jest jeszcze szósta osoba. Właśnie ona nadal żyje i robi wszystko, co w jej mocy, żebyśmy jej nie znaleźli.

– Łącznie z tym, że wykańcza dawnych współników? – Duguid roześmiał się, przez co jego gniew nieco zelżał. – Przecież doskonale wiemy, kto zabił Smythe'a i Buchana Stewarta. A prędzej czy później znajdziemy też pojeba, który wykończył twojego przyjaciela prawnika.

Rany boskie! Jak ten człowiek mógł zostać nadinspektorem?

– Aha, to znaczy, że zbliża się pan do celu? Ma pan jakiegoś konkretnego podejrzanego?

– Prawdę mówiąc, chciałem zadać ci kilka pytań dotyczących twoich stosunków z Carstairsem.

– Chyba już o tym rozmawialiśmy? Prawie go nie znałem.

– A jednak od osiemnastu miesięcy miałeś do czynienia z jego firmą.

McLean miał ochotę westchnąć ciężko, ale powstrzymał się. Ile razy musi powtórzyć to samo, nim fakt przeniknie do tego tępego lysego łba?

– Był przyjacielem mojej babci. Jego firma od lat zajmowała się jej sprawami. Kiedy dostała udaru, dalej prowadzili jej interesy, a ja się nie wtrącałem, bo tak było najprościej. Przez cały ten czas Carstairsa w ogóle nie znałem, miałem do czynienia jedynie z facetem o nazwisku Stephenson.

– I co, przez całe osiemnaście miesięcy ani razu nie widziałeś Carstairsa? Nigdy nie rozmawiałeś z facetem, który był starym przyjacielem rodziny i któremu twoja babcia ufała do tego stopnia, że powierzyła mu całkiem pokaźny majątek? Nigdy nie gadałeś z facetem, który tak cię polubił, że zapisał ci w spadku całą forszę?

– Nie. O tym akurat dowiedziałem się od pana tego samego dnia, kiedy został zamordowany.

– McLean miał świadomość, że na tym powinien skończyć. Odpowiedzieć na pytanie, nic ponadto. Tyle że Duguid działał na niego jak płachta na byka, po prostu nie mógł się powstrzymać. – Nie wiem, czy pan jeszcze pamięta, sir, ale praca inspektora zajmuje niekiedy dużo czasu. Naprawdę cieszyłem się, że kiedy moja babcia dostała udaru, ktoś prowadzi jej sprawy. Dzięki temu ja nie musiałem się nimi zajmować, a papierkowej roboty u nas w firmie nie brakuje. Dzięki temu mogłem czasami zająć się ściganiem przestępców oraz innymi takimi drobiazgami.

– Nie podoba mi się twój ton, McLean.

– A mnie to mało obchodzi, sir. Przyszedłem dowiedzieć się, czy ma pan jakieś wyniki w sprawie Carstairsa, ale widzę, że tylko tracę czas, bo niczego pan nie uzyskał. W takim razie nie będę pana zatrzymywał.

McLean już miał się odwrócić, nie zostawiając Duguidowi czasu na reakcję, ale pomyślał sobie, że równie dobrze może pójść na całość, skoro bardziej i tak nie może sobie zaszkodzić.

– W każdym razie powiem jedno: powinien pan wrócić do spraw Smythe'a i Stewarta, sir. Trzeba na nowo przyrzeć się wynikom oględzin miejsca zbrodni i sekcji zwłok, sprawdzić jeszcze raz zeznania świadków i tak dalej.

– Nie będziesz mi, do cholery, mówił, jak mam prowadzić śledztwo! – Duguid sięgnął, by chwycić McLeana za ramię, ale inspektor w porę się odsunął.

– Oni dobrze się znali. Carstairs, Smythe i pański cholerny wujek też. Wspólnie studiowali, razem służyli w wojsku. Najprawdopodobniej wszyscy zgwałcili, a następnie bestialsko zamordowali młodą kobietę. A teraz zostali zamordowani w taki sam sposób. Naprawdę uważa pan, że nie warto się tym choć odrobinę zainteresować?

Nie czekał na odpowiedź. Odszedł, zostawiając Duguida samemu sobie. Wiedział, że nadinspektor albo nawrzeszczy na kogoś, żeby się tym zajął, albo poleci z ozorem na skargę do pani komendant. Ani jednym, ani drugim McLean nie zamierzał się przejmować. Wszedł przyspieszonym krokiem do własnego pokoju dochodzeniowego. Niepokoiło go coś zupełnie innego, mianowicie narastające przekonanie, że ma rację, że ci trzej wzięli udział w rytualnym mordzie, a ich śmierć się z tym wiąże. Na każdego z morderców przypadał fragment ciała dziewczyny, każdemu z tych facetów wycięto jakąś część i wepchnięto do ust. Spiętrzyło się za dużo zbiegów okoliczności. I chyba niewiele trzeba, żeby wszystko się wreszcie zważyło.

– Jaki z tego wniosek?

Zdumione twarze zwróciły się ku wchodzącemu do pokoju dochodzeniowego McLeanowi. Bob Gburek wyjątkowo nie czytał gazety, leżała obok, ale obute stopy opierał o blat biurka, więc może drzemał. MacBride siedział zgarbiony nad laptopem, wpatrywał się w małe obrazki zajmujące cały ekran, wyglądało to jak miniaturowa internetowa galeria. Kiedy spojrział w stronę McLeana, inspektor ze zdziwieniem zauważył, że młody detektyw jest błądy i ma zaczerwienione oczy, jakby nie spał od kilku nocy. Jego wygnieciony garnitur nie przedstawiał się najlepiej, włosy były zmierzwiłone.

– Jaki wniosek z tego, że szósty jeszcze żyje? Ten, którego tu nie ma. – McLean pokazał palcem przyklejoną pineskami do ściany fotografię, przedstawiającą młodych wiosłarzy. – A jeżeli on nadal żyje, wie o tym, że znaleźliśmy ciało dziewczyny, i próbuje zatrzeć za sobą ślady?

Bob Gburek dalej gapił się na McLeana jak ktoś dopiero co wyrwany ze snu.

– Słuchajcie, ciało zniknęło, razem z nim spreparowane organy w słoikach. Jedyne, co nam zostało, to pozostawione we wnękach przedmioty. Wiemy, że nie ma na nich żadnych odcisków ani śladów DNA, więc na niewiele nam się zdadzą. Co prawda, znamy nazwiska, ale poza tym brakuje nam jakiegokolwiek dowodu pozwalającego przypisać im winę. Fakt, że ktoś kumpłował się z Bertiem Farquharem, o niczym nie świadczy. Do diabła, nawet moja babcia знаła co najmniej trzech z tych mężczyzn, a nie sądzę, żeby była zamieszana w tę sprawę. Wiemy tylko jedno: jeszcze miesiąc temu trzech z tych pięciu mężczyzn wciąż żyło.

MacBride pierwszy podjął wątek.

– Ale przecież Barnaby’ego Smythe’a zabił Jonathan Okolo, a Buchan Stewart został zamordowany przez zazdrosnego kochanka.

– Jesteś tego pewien? Bo ja nie. Uważam, że tę sprawę zamknięto zbyt pośpiesznie, a to mianowicie po to, aby oszczędzić kompromitacji pewnemu nadinspektorowi. To samo w sprawie Smythe’a: wszelkie dochodzenie dotyczące morderstwa ustało, gdy tylko trafił się Okolo. Poza tym Duguid nie ma pojęcia, kto mógł zabić Jonasa Carstairsa. My natomiast wiemy, że oni wszyscy wzięli udział w rytualnym mordzie, po czym ktoś powycinał ich organy wewnętrzne. Trzy morderstwa, zdecydowanie zbyt podobne do siebie, by mógł to być czysty zbieg okoliczności.

– Hm, prawdę mówiąc, właśnie znalazłem coś, co może stanowić wytłumaczenie tych zbieżności. – MacBride odwrócił laptop, tak żeby pokazać ekran. – Szukałem tropów w sprawie wycieku informacji. To znaczy próbowałem ustalić, w jaki sposób naśladowca mógł poznać tak wiele szczegółów dotyczących morderstwa Smythe’a, skoro prasa o niczym nie wiedziała. Pomyślałem sobie, że już od dłuższego czasu ekipa techniczna robi zdjęcia cyfrowe, nie analogowe. Dzięki temu niezwykle łatwo je skopiować. Na karcie wielkości znaczka można zmagazynować tysiące fotografii. Nie mogłem jednak tak po prostu pójść sobie do ich biura i spytać ani wpaść na to, po co komu kopie tych zdjęć, skoro nie sprzedawał ich gazetom.

– W Brazylii można za coś takiego dostać całkiem sporo kasy.

– Słucham?

– Tak, śmierć stanowi istotną część ich kultury. W Brazylii wychodzą gazety specjalizujące się w publikowaniu zdjęć, przedstawiających śmiertelne wypadki. Czasami fotografowie pojawiają się na miejscu przed policją i służbami ratunkowymi. Takie gazety można kupić od sprzedawców na każdym rogu ulicy. A więc w Brazylii takie zdjęcia cieszyłyby się sporym powodzeniem.

MacBride wzdrygnął się.

– Rany. Skąd pan wie takie rzeczy, szefie?

– To korzyści płynące z wszechstronnego wykształcenia. Wiem to i owo na wiele różnych tematów. A poza tym, oczywiście, oglądam Discovery Channel. Nieważne, zacząłeś coś mówić

o Smythe'ie i jego zdjęciach.

– Ja? Ach, tak, właśnie. Otóż pomyślałem, że jeżeli ktoś je sprzedaje, to z pewnością przez internet. Zacząłem więc szukać podejrzanych obrazków.

– Korzystając ze służbowego komputera? Gratuluję odwagi.

– Nie, nie ma obawy, szefie. Mike dał mi swój laptop, który nie jest objęty systemem kontroli. W przeciwnym razie musiałbym poprosić Dagwooda, żeby mi podpisał zgodę na zdjęcie blokady, a sam pan wie, jaki on jest.

– Do rzeczy, co ze zdjęciami? – McLean wskazał palcem ekran.

– Tak jest. Otóż znalazłem ich całe mnóstwo. Zdjęć z różnych miejsc zbrodni, z wypadków samochodowych. Pewnie to właśnie brazylijskie strony, ale nie kojarzę języka, w którym to jest napisane. Niby jak hiszpański, ale jakiś inny.

– To dlatego, że w Brazylii mówi się po portugalsku.

– Aha. Po portugalsku. W porządku. Otóż natrafiłem na to, co nas interesuje. Zdjęcia ze sprawy Barnaby'ego Smythe'a, Buchana Stewarta, Jonasa Carstairsa i nawet obu naszych samobójców. Poza tym jest tu cała masa innych paskudztw, w każdym razie te fotografie, o które nam chodzi, zostały opublikowane na stronie przez kogoś podpisującego się inicjałami MB – wszystkie, bez wyjątku.

McLean kliknął stronę z miniaturkami. Przesunął suwakiem do samego dołu; było tam ponad sto fotografii, a podobnych stron dziesiątki.

– Czyli ktoś musiał mieć dostęp do zdjęć, które kiedykolwiek zostały przez nas wykonane – stwierdził. – Ilu fotografów pracuje w służbach technicznych?

– W fotografii specjalizuje się chyba dwanaście osób, ale szkolenie fotograficzne przechodzą wszyscy. Przypuszczam, że personel pomocniczy też ma dostęp do zdjęć, a także inni techniczni. Tyle że równie dobrze mógłby to być ktoś z wydziału śledczego. Do tych zdjęć wszyscy mamy dostęp.

– A nie da się namierzyć tego MB w sieci?

– Wątpię, sir. Mike ma jutro spróbować, ale to wszystko idzie przez anonimowe serwery ulokowane gdzieś za granicą. Mnie w każdym razie to przerasta. Natomiast mielibyśmy w ten sposób wyjaśnienie, skąd ktoś może znać szczegóły dotyczące zamordowania Smythe'a. Pewnie tak jest, że jeżeli kogoś kręci oglądanie takich obrazków, jest tylko kwestią czasu, żeby przeszedł do konkretnego.

Cholera. A taki był pewien. W dodatku ta pewność wcale go nie opuściła. Jednak takiej informacji nie wolno zignorować.

– Dobra robota, Stuart. Dzięki. Spisz raport na ten temat, zrób to jak najprędzej. Postaram się, żeby pani komendant dowiedziała się, czyja to zasługa. Tymczasem nadal chcę pracować nad

teorią, zgodnie z którą istnieje szósty morderca. Wciąż działa i bardzo się stara, żebyśmy go nie znaleźli.

– Ktoś tu mówił o mnie?

McLean obejrzał się i zobaczył Jayne McIntyre stojącą w drzwiach. MacBride zerwał się na równe nogi, jakby go prąd kopnął. Bob Gburek skinął głową i zdjął nogi z biurka.

– Prosiłem posterunkowego MacBride'a, żeby zajął się przeciekami materiału dowodowego. Mam wrażenie, że znalazł coś ważnego – powiedział McLean.

Zrelacjonował pokrótce odkrycie MacBride'a. Odniósł jednak wrażenie, że pani komendant słucha go niezbyt uważnie. Przypominała małą dziewczynkę, która chce coś powiedzieć, ale nie ma odwagi przerywać.

– Świetna robota, posterunkowy – pochwaliła, kiedy inspektor skończył. – Boże jedyny, wreszcie jakaś dobra wiadomość.

McLean już wiedział, co za chwilę usłyszy. To coś było wypisane na jej twarzy.

– Czy mam...? – Wskazał otwarte drzwi.

– Nie, Tony, nie trzeba. To mój obowiązek i to ja muszę wam o tym powiedzieć. – McIntyre poprawiła mundurową bluzę, nie wiedząc, jak zakomunikować wiadomość. – Chodzi o posterunkową Kydd. Sytuacja pogorszyła się. Lekarze dawali z siebie wszystko, ale obrażenia były zbyt ciężkie. Odeszła godzinę temu.

Nie miał zbyt wielu miejsc, do których mógłby się udać, kiedy znajdzie się w naprawdę gównianej sytuacji. Rzecz jasna, mógł zgłosić się do Phila, tyle że uniwersalne lekarstwo jego przyjaciela na wszystkie bolączki płynęło z nalewaka lub z butelki. Tymczasem McLean nie miał ochoty się upić. Zazwyczaj mógł liczyć na Boba Gburka, który pomagał mu nie popaść w zbytne przygnębienie, jednak okazało się, że sierżant wyjątkowo polubił posterunkową Kydd, bo przyjął wiadomość o jej śmierci w zupełnie nietypowy dla siebie sposób – popłakał się. McIntyre zwolniła go na resztę dnia, po czym oznajmiła tym swoim belferskim tonem, że przez następne dwadzieścia cztery godziny nie życzy sobie żadnego z nich widzieć. Miała dosyć swoich spraw na głowie, więc nie było sensu obciążać jej własnym poczuciem winy. Kiedyś miał babcię i nawet wtedy, gdy leżała w śpiączce, mógł jej się zwierzać, ale teraz nawet ona go opuściła. Z tej przyczyny niecałą godzinę po usłyszeniu żałobnej wiadomości, wciąż nieco oszołomiony, McLean znalazł się w kostnicy. Oto jak przedstawiało się jego życie towarzyskie...

– Jest na to odpowiednie określenie, Tony. Zespół stresu pourazowego. Poczucie winy tych, którzy ocalili. – Angus Cadwallader wciąż miał na sobie roboczy kombinezon, pozostałość po ostatniej sekcji tego dnia.

– Wiem, stary. Nie zapominaj, że na uniwerku zawsze byłem dobry z psychologii. Problem polega na tym, że wiedza niewiele mi w tej chwili pomaga. Ta dziewczyna zepchnęła mnie z drogi pędzącego samochodu. Pomyśl, młoda osoba oddała życie po to, żebym ja mógł żyć. Ja, stary zgreb. Gdzie tu sens?

– Pojęcia sensu używamy głównie wtedy, kiedy chcemy zmusić dzieci, żeby siedziały cicho.

– Cóż. Nie powiem, żebyś mi bardzo pomógł.

– Staram się, jak mogę.

Cadwallader ściągnął długie gumowe rękawiczki, wrzucił je do pojemnika na odpady medyczne. McLean rozejrzał się po kostnicy, zdał sobie sprawę, że nie widać już nikogo, kto zbierałby odciski palców i szukał innych tropów.

– Techniczni nie zabawili tu zbyt długo – stwierdził. – Zazwyczaj szukają śladów przez dobrych kilka dni.

– Prawdziwe szczęście, że szybko się z tym uporali. I tak cały dzień miałem w plecy. Ludzie nie przestają umierać. Dzięki uprzejmości złodzieja trupów będę musiał nadrabiać stracony czas przez kilka tygodni.

– A kogo tu masz? – McLean wskazał ruchem głowy zakryte płachtą ciało.

Cadwallader szukał czegoś w szufladach.

– To twoja ofiara samobójstwa – odpowiedział. – Kobieta z Waverley Station. Nadal nie wiemy, jak biedaczka się nazywała. Kroiliśmy ją dzisiaj rano. Tracy musi jeszcze ją wymyć, a potem ciało będzie czekać na identyfikację. Jedno jest dziwne. Pamiętasz, że dłonie i włosy miała pokryte krwią i że nie wiadomo było, skąd ta krew się wzięła?

McLean przytaknął, chociaż odkąd został wezwany do samobójstwa, zdarzyło się tak wiele, że zupełnie o nim zapomniał.

– Otóż to nie była jej krew.

Kiedy wychodził z budynku kostnicy, Emma Baird niemal na niego wpadła. Zmagala się ze sporą skrzynką, której zawartości McLean wolał się nie domyślać. Napała na drzwi plecami właśnie w tym momencie, kiedy McLean je otwierał. W każdych innych okolicznościach ubawiłby go fakt, że wpadła mu prosto w ramiona.

– Ostrożnie.

– Debilu, kurwa... Co jest?! – Emma szarpnęła się, odwróciła i wtedy go rozpoznała. – O rany, Tony. To znaczy panie inspektorze. Przepraszam.

McLean przytrzymał ją jeszcze przez chwilę, nim odzyskała równowagę, starając się powstrzymać śmiech, na który mu się zebrało. Była taka wkurzona, zmieszana i pełna życia. Zdawał sobie sprawę, że jeżeli pozwoli sobie na śmiech, nie będzie mógł go pohamować.

– Wybacz, Em. Nie widziałem, że wchodzisz. Poza tym nie jestem dla ciebie żadnym inspektorem, nawet w takim momencie.

Nie musiał dodawać, że nie był to najszcześniejszy moment.

– Tak, słyszałam. Strasznie mi przykro. Fajna z niej była dziewczyna.

„Fajna dziewczyna”. Zwięzłe epitafium. Przy tym faktycznie, to była po prostu dziewczyna. Właściwie jeszcze dzieciak. Dopiero co po szkole policyjnej, marzyła o jak najszybszym awansie. Bystra, pełna energii, życzliwa. A teraz martwa.

– Wchodzisz czy wychodzisz? – Pytanie zadane przez Emmę przerwało niezręczne milczenie.

– Co takiego? A, tak. Wychodzę.

McLean spojrzał na zegarek. Późno jak na to, żeby kończyć o tej porze pracę. Nawet jeżeli nadinspektor nie puścił jeszcze swoich ludzi do domu.

– A co z tym pudłem? Przyszłaś po coś czy coś przyniosłaś?

– To? Nie, muszę tylko oddać pojemnik. Doktor Sharp pożyczyła go w zeszłym tygodniu, bo naszych zabrakło. Mam tu po drodze do domu, więc obiecałam, że podrzucę.

– Daj, pomogę ci. – McLean sięgnął po skrzynię.

– Nie, poradzę sobie. – Emma przytuliła pudło, jakby to była jakaś bezcenna pamiątka. – Natomiast nie pogardzę towarzystwem.

Uporała się z tym szybko, po chwili była z powrotem. McLean nawet nie musiał nic mówić, Emma gadała za dwoje.

– To znaczy, że masz wolny wieczór? – spytała, kiedy przytrzymał jej drzwi.

– Pewnie powinienem wrócić do komisariatu. Na moim biurku piętrzą się stopy papierzysek, a sierżant dyżurny z każdym dniem wygłasza coraz subtelniejsze pogrożki. – Kiedy McLean to mówił, sama myśl przepełniła go poczuciem zmęczenia i rezygnacji.

Tak, zakradnie się tam tylnym wejściem, żeby nikt go nie zobaczył, siądzie i przekopie się przez te wszystkie szpargały, aż skończy z nimi albo też one go wykończą. Zresztą, nawet jak się z nimi upora, zaraz pojawią się następne. W takich chwilach zastanawiał się, co go skłoniło do wyboru tej paskudnej roboty. Nie lepiej zatrudnić się u Gavina Spensera i mieszkać sobie w wielkim domu z basenem?

– Tak ciekawie o tym opowiadasz, że nabieram ochoty, żeby zająć się papierkową robotą. Tylko muszę znaleźć sobie coś rzeczywiście ekstra.

– Cóż, jeżeli proponujesz...

– Wiesz co? Najpierw chodźmy się napić. Potem zobaczymy, czy jeszcze będzie ci się chciało.

Emma ruszyła z kopyta w górę Cowgate, kierując się w stronę Grassmarket, jeszcze zanim McLean zdążył cokolwiek odpowiedzieć. Musiał podbiec, żeby ją dogonić. Chwycił ją za ramię.

– Emmo...

– Słowo daję, inspektorze, nikt ci nie mówił, że nudziarz z ciebie?

– Nie, ostatnio nikt. Chciałem tylko powiedzieć, że chyba nie znasz najlepiej Edynburga, co? – Pokazał w przeciwnym kierunku. – Jedyny porządny pub w okolicy znajduje się tam.

Jedno piwo, potem drugie, później rajd po co lepszych pubach w centrum miasta, kolacja w hinduskiej knajpie. Było przyjemnie i zabawnie prawie na tyle, że mógł zapomnieć o śmierci Alison Kydd. Prawie, ale niezupełnie. McLean starannie unikał miejsc najchętniej uczęszczanych przez policjantów, bo wiedział, że będzie w nich pełno gliniarzy, którzy wpadli na jednego, by uczcić pamięć poległej koleżanki. Nie zdzierżyłby wyrazów współczucia z ich strony, a tym bardziej nie miał ochoty na nieuniknioną konfrontację z tymi nielicznymi, którzy skłonni byłiby winić raczej jego niż kierowcę mordercę. Miał wrażenie, że Emma też to wyczuła. Paplała bez przerwy, ale głównie o własnej pracy i o tym, jak fajnie było przeprowadzić się z Aberdeen do Edynburga. Pożegnali się zwyczajnym: „Fajnie było, trzeba to powtórzyć”. Jeszcze tylko lekkie muśnięcie jego ramienia i już jej nie było, zniknęła w mrocznej uliczce, zaułku dręczących go koszmarów. Otrząsnął się z nich, wetknął ręce do kieszeni i ruszył piechotą do domu.

Edynburg to miasto, które nie śpi nigdy, a szczególnie podczas festiwalu. Zwykłą czeredkę pracowników drugiej zmiany oraz nocnych marków zasiliły rzesze pijanych studentów, niedosłyszanych aktorów, śmieciarzy i zamiataczy ulic. W porównaniu z dniem panował względny

spokój, jednak było jeszcze dosyć wcześnie, więc nadal ulicą pędził nieprzerwany strumień aut, zmierzających do nieznanych celów. Dostawcze furgonetki krążyły niczym pracowite pszczołki, wędrujące od jednego punktu zrzutu do drugiego. Maszerując w stronę domu, McLean starał się nie dopuścić do siebie poczucia winy, skupić się na rytmie kroków, szukać odpowiedzi na wszystkie kołaczące mu się w głowie pytania. Coś wciąż mu umykało, wciąż nie pasowało do całości. Właściwie nie coś, tylko wiele różnych kwestii. Wcale nie najbardziej bląhą była groteskowa i upiorna powtarzalność śmierci trzech starszych panów, którzy znali się od niepamiętnych czasów, przyjaźnili i najprawdopodobniej wspólnie dopuścili się ohydnej, okrutnej zbrodni. Ktoś obdarzony nazbyt wybujałą wyobraźnią mógłby przypuszczać, że nieczysta siła dokonuje dzieła pomsty. Opus Diaboli. Otóż to właśnie, przyłożyli ręki do diabelskiego dzieła, a teraz szatan wrócił, by dopomnieć się o swoje. Jednak w rzeczywistości sprawa przedstawiała się znacznie banalniej. Barnaby Smythe został wypatroszony przez nielegalnego imigranta, który miał do niego zastarzały żal. Buchan Stewart padł ofiarą zazdrosnego kochanka. A Jonas Carstairs? Cóż, zapewne prędzej czy później Duguid znajdzie kogoś, komu zdoła przypisać to morderstwo.

Klak, klak, klak, klak. Podeszwy jego butów w równym rytmie bębniły o płyty chodnika, nie nazbyt spiesznym, wyznaczającym tempo rozmyślań. Wiedział, że Okolo naprawdę zabił Smythe'a, co do tego nie żywił wątpliwości. Założyłby się jednak o wszystko, że Timothy Garner nie uśmiercił Buchana Stewarta, z czego wniosek, że zabójca wciąż przebywa na wolności. Czyżby ktoś natrafił w internecie na owo brazylijskie archiwum odkryte przez MacBride'a i stało się ono inspiracją dla zbrodniarza? Czy ktoś szukał tych zdjęć i je znalazł, czy trafił na nie przypadkiem? Dobrze, ale w takim razie, na jakiej zasadzie ten ktoś wybierał ofiary? Czy to możliwe, żeby ten tajemniczy osobnik wiedział o rytualnym zabójstwie sprzed lat i zdołał wytropić morderców?

A może to ten szósty zaciera ślady, morduje dawnych współników, może to on wykradł ciało, stanowiące jedyny realny dowód zbrodni, a ściślej mówiąc, opłacił kogoś do tej roboty, aby storpedować policyjne dochodzenie? Taki scenariusz zdawał mu się najspójniejszy ze wszystkich, ale nie był zbyt optymistyczny. McLean nagle stanął jak wryty, bo zdał sobie sprawę, że jest na ulicy całkiem sam. Rozejrzał się nerwowo, spodziewając się zobaczyć pędzącą w jego stronę białą furgonetkę, usłyszeć silnik wyjący na wysokich obrotach. Może to nie przypadek, że stopy same go zanosły do Pleasance. Przyczepiony do słupa plakat z nagłówkiem OGŁOSZENIE POLICJI rzucił mu w twarz swoje żądania. „W tym miejscu doszło do wypadku... Ktokolwiek widział... Prosimy skontaktować się...” Stał dokładnie w tym miejscu, w którym samochód uderzył Alison, tam, gdzie poświęciła się, żeby on mógł żyć. Chryste, jaka bezsensowna śmierć. Zacisnął pięści i przysięgł sobie, że dorwie winnego. Nie poczuł się po tym ani trochę lepiej.

Do domu nie było daleko. I dobrze, uznał. Poczucie winy i wściekłość zmagające się ze sobą sprawiły, że trudno mu było podjąć wątki wcześniejszych rozmyślań. W drzwiach znowu tkwiły kamienie. Pewnie ci cholerni studenci, którzy ciągle gubią klucze i skąpią kasy na nowe, pomyślał. Dobrze i to, że o tej porze pani McCutcheon śpi. Przynajmniej nie będzie musiał zmuszać się do uśmiechu w odpowiedzi na jej troskliwe biadolenia, jaką to ciężką pracę ma pan inspektor i jak późno wraca. Wspiął się po schodach, czując, że oczy mu się kleją ze zmęczenia. Łóżko wabiło go ku sobie, a on był więcej niż gotów, by bezzwłocznie usłuchać tego wezwania.

Jednak pod drzwiami ktoś na niego czekał.

Siedziała skulona, z podkurczonymi nogami, otulona cienką kurteczką, za cienką jak na nocny chłód. Pomyślał, że pewnie śpi, ale kiedy podszedł bliżej, podniosła głowę i rozpoznał jej twarz.

– Jenny? Co ty tu robisz?

Jenny Spiers patrzyła na niego spod opuchniętych powiek, oczami poczerwieniałymi od płaczu. Była biała jak ściana, potargane włosy zwisały w nieładzie. Czubek nosa lśnił, jak gdyby od wielu dni cierpiała na ciężkie przeziębienie.

– Chloe... zniknęła – wyjąkała i się rozplakała.

McLean w mgnieniu oka znalazł się przy Jenny. Przykucnął, wziął ją za rękę.

– Już dobrze, dobrze. Znajdziemy ją – obiecał, po czym zreflektował się, bo przecież nie wiedział, kto zginął. – Kto to jest Chloe?

Chyba zadał niewłaściwe pytanie, bo Jenny rozbeczała się jeszcze bardziej.

– Hej, Jen. Spróbuj się pozbierać. – Pociągnął ją do góry, pomógł wstać, potem przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi. Zaprowadził ją do kuchni, usadził na krześle. Zapomniał już, że zaledwie przed chwilą marzył o łóżku i śnie. Nalał wody, włączył czajnik, wyciągnął z szafki dwa kubki i kawę instant. Powiedz, co się stało. Dlaczego tu jesteś?

Podał Jenny rolkę papierowych ręczników, bo chusteczka, którą ścierała w dłoni, była całkiem mokra.

– Chloe zniknęła, a miała być w domu o jedenastej. Nigdy się nie spóźnia. Zresztą, nawet kiedy ma się spóźnić, dzwoni.

– Spokojnie, Jen. Niestety, ale musisz mi przypomnieć, kto to jest Chloe?

Jenny spojrzała na niego z niedowierzaniem w oczach.

– Moja córka. Przecież widziałeś ją w sklepie.

Dopiero wtedy zaskoczyło. Jasne. Pamiętał ją. Była ubrana w stylu lat dwudziestych, ostrzyżona na pазia. Obsługiwała klientów, kiedy Jenny była na zapleczu.

– Przepraszam, dopiero teraz to do mnie dotarło. Nie przedstawiłaś nas sobie. Prawdę mówiąc, nawet nie wiedziałem, że jesteś mężatką.

– Nie jestem. Chloe to... Powiedzmy, że jej ojciec to błąd młodości. Dostał, czego chciał, i tyle go widziałam. Chloe to dobra dziewczyna, Tony. Nie włóczy się po nocach, a gdyby nawet coś ją zatrzymało, to by zatelefonowała.

McLean starał się przyjąć do wiadomości wyrzucane przez Jenny informacje. Skupić się na problemie.

– O której wyszła z domu?

– Około wpół do ósmej. Miała bilety na występ Billa Baileya w Assembly Rooms. Z trudem zdobyte, więc strasznie się cieszyła.

– Mówisz, że miała wrócić o jedenastej.

– Zgadza się. Dałam jej pieniądze na taksówkę. Nie chciałam, żeby chodziła po ulicach o tej porze.

– Poszła sama na to przedstawienie?

– Nie, z dwiema przyjaciółkami ze szkoły. One mieszkają na drugim końcu miasta.

– I jak rozumiem, wróciły do domu?

– Tak, dzwoniłam, żeby sprawdzić. Obie były w domu za piętnaście dwunasta.

– Ile lat ma Chloe?

McLean próbował przypomnieć sobie dziewczynę ze sklepu, ale była tak dziwacznie ubrana, że nie potrafił określić jej wieku.

– Prawie szesnaście lat.

Czyli dość dorosła, żeby poruszać się samodzielnie. Wiek, w którym przekracza się bariery, próbuje się, co człowiekowi wolno, a co mu nie ujdzie na sucho.

– Zawiadomiłaś policję?

Jenny skinęła głową.

– Tak. Przyjechali do domu, wypisali formularze. Dałam im zdjęcie. Nawet przeszukali sklep, bo myśleli, że może tam się schowała.

– To dobrze. To znaczy, że postępują zgodnie z procedurą. – McLean nalał wrzątku do kubków, dodał mleka. – Musisz jednak zdać sobie sprawę, że może to tylko zwykły młodzieńczy bunt. Może gdzieś zabalowała. A może chce ci zrobić na złość.

– Ona nie wykręca takich numerów. – Jenny poczerwieniała na twarzy, zacisnęła dłonie w pięści. – Nigdy nie zrobiłaby mi czegoś takiego.

– Dobrze, wierzę ci. Zadzwoń do komisariatu i sprawdź, czy czegoś już nie mają. Powinnaś być w domu, Jen. Nie tutaj. Co będzie, kiedy Chloe wróci i cię nie zastanie?

W oczach Jenny pojawił się błysk niepewności, jak u zaszczutego zwierzątka.

– Zostawiłam kartkę. Na stole w kuchni. Nie zjawiała się do pierwszej, więc musiałam coś zrobić.

McLean uświadomił sobie, że nawet nie wie, gdzie Jenny Spiers mieszka, nie mówiąc o tym, że ma córkę. Wiedział o niej właściwie tylko tyle, że jej siostra jest dziewczyną jego najlepszego przyjaciela. Zresztą, Rachel znał powierzchownie. Dawno przestał silić się na to, żeby pamiętać wszystkie zaprzyjaźnione studentki byłego współlokatora. Jedynym, czym się wyróżniała, było to, że udało jej się go zdobyć „na poważnie”, co nie powiodło się wielu poprzedniczkom. Nie miał

pojęcia, dlaczego Jenny przysłała z tym akurat do niego.

– Mieszkasz nad sklepem?

Jenny znów przytaknęła ruchem głowy, potem pociągnęła nosem i go otarła. McLean poszedł do przedpokoju i wystukał numer komisariatu. Czekał dość długo, nim dyżurny sierżant odebrał telefon.

– Tutaj inspektor McLean. Dostaliście zawiadomienie o zaginięciu dziewczyny, niejakiej Chloe Spiers?

– Zgadza się, chyba tak. Moment. – McLean słyszał szelest papieru, sierżant przeglądał raporty z tej nocy. – Kim ona jest dla pana?

– Jej matka jest u mnie w kuchni i pije kawę.

– Szczęściarz z pana, inspektorze. O ile mnie pamięć nie myli, jest na czym oko zawiesić. O, już mam. Zaginięcie zgłoszono o dwudziestej trzeciej pięćdziesiąt osiem. Znajdujący się najbliżej patrol przybył na miejsce dziewięć po dwudziestej czwartej. Rysopis został wysłany do wszystkich komisariatów, szczególnie w komputerze. Jeżeli nie znajdzie się do rana, sprawdzimy szpitale.

– Czy możesz mi wyświadczyć przysługę, Tom? Wyślij zawiadomienie jeszcze raz, a jak znajdziesz chwilę, już teraz podzwonił po szpitalach.

– Dobra, szefie. W tej chwili mamy tu spokój, więc zobaczę, co da się zrobić.

– Dzięki, Tom. Jestem twoim dłużnikiem.

– Będzie za to kolacja?

McLean zamarł.

– Słucham?!

– Słyszałem, że to zwykła stawka za przysługi. Chyba że panna Baird to specjalny przypadek?

– Ale... Kto ci powiedział...? – syknął McLean, na co sierżant roześmiał się głośno. – Dobrze. Kto jeszcze o tym wie?

– Chyba wszyscy, a może poza tym ktoś jeszcze. Bądź co bądź, spotkał się pan z nią przy głównym wejściu. A potem zabrał ją pan do Red Dragon. Przecież tam zawsze siedzi ktoś od nas po dyżurze, a przynajmniej nasi tam zaglądają i biorą żarcie na wynos.

McLean jeszcze się złościł, kiedy odkładał słuchawkę. Cholerni gliniarze, gorsi od przekupek, jeżeli chodzi o plotki. Co prawda, nie była to wiadomość, która mogłaby zaszkodzić jego reputacji.

– I co? Znaleźli ją? – Troska brzmiąca w głosie Jenny sprowadziła go na ziemię, do pilniejszych spraw.

– Nie. Przykro mi. W każdym razie cała machina została puszczona w ruch. – McLean poinformował ją, co sierżant obiecał zrobić. Na wzmiankę o szpitalach pobladła niczym ściana.

– Myślisz, że coś jej się stało?

– Nie przypuszczam, Jen. Gdyby coś takiego się wydarzyło, już by się z tobą skontaktowali. Znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że imprezuje z przyjaciółmi. Wróci nad ranem ze strasznym kacem, a ty będziesz mogła urządzić jej piekło.

Jednak w głębi duszy wiedział, że mówi to wszystko po to, żeby ją pocieszyć.

Nie wie, od jak dawna stoi w tym ogrodzie, gapi się na ten pogrążony w mroku dom. Przez jakiś czas było ciemno, a teraz chyba się trochę rozjaśnia. Przez ile dni tak z nim było? Jego umysł już dawno temu przestał działać we właściwy sposób, teraz może tylko spełniać rozkazy. Wydają je głosy, które nawet nie przemawiają do niego, lecz kierują jego działaniem. Ma tyle kontroli nad własnym ciałem co marionetka. A cierpi tym dotkliwiej, im bardziej jest bezsilny.

Wyznaczona ofiara jest tam, w środku. Czuje jej zapach, chociaż właściwie nie wie, jaki zapach czuje. Owszem, butwiejące liście, sucha ziemia, odległe wyziewy z rur wydechowych i jeszcze lepka, słodowa woń piwa. Jego żołądek jest beczką kwasu, który wżera się w trzewia, przyprowadzając o nieznośny ból, ale on tylko stoi, czeka i patrzy.

Coś szeleści w krzakach, przedziera się przez nie z bułgotliwym warkotem. Patrzy w tamtą stronę, widzi psa, dobermana z przyciętymi na ostro uszami. Pies pokazuje zęby, wydaje groźny pomruk. W tym momencie głosy rozwierają jego wargi i wydają syk dobywający się gdzieś z tyłu gardła. Przerażony pies skomle, podkula krótki ogonek. Coś tryska na ziemię, rozchodzi się ciepły odór szczyny.

Jeszcze jeden ostry syk i pies daje za wygraną, znika w krzakach, z których przybył, już nawet nie skomle, tylko chce uciec jak najdalej. To dziwne, zawsze bał się psów. Tyle że teraz to już nie on, a głosy. Głowa mu pęka, jak gdyby zebrały się w niej wszystkie migreny świata. Całe ciało ma opuchnięte i zwiotczałe, jak u tych wygłodzonych dzieci w Afryce, które pokazywali w telewizorze. Wszystkie stawy palą go żywym ogniem, zamiast chrząstek ma papier ścierny. A jednak wciąż stoi i czeka. I patrzy.

Znowu jakiś hałas. Coś większego przedziera się w półmroku, zmierza w stronę jego kryjówki. Odwraca się powoli, by stawić czoło temu człowiekowi, a wszystko w nim krzyczy z bólu za każdym najmniejszym poruszeniem. Głosy nie pozwalają, by choć pisał.

– Czego tu? – pyta mężczyzna. Jego słowa dochodzą z odległości setek kilometrów. Głosy krzyczą, by atakował, a on musi być im posłuszny. Rzuca się więc, ale jego ciało osłabło z wygłodzenia i tysiąca nieopisanych bóleczek. Ma nóż w ręce, nie pamięta, skąd się ten nóż wziął i nie pamięta, żeby go kiedyś nie miał. Nieważne, nieważne. Teraz tylko atak. I ból.

Coś trzasnęło, to jego ramię. Ten mężczyzna jest wielki, o wiele większy od niego i zbudowany jak ci faceci, na których starał się nie gapić, kiedy chodził na siłownię. Głosy mówią, że musi go atakować, więc to właśnie robi, sięga do jego oczu, zakrzywia palce jak szpony.

– Ty gnoju jebany! Ja cię, kurwa, zapierdołę!

Tamten jest wściekły, a głosy nie posiadają się z radości. Uderza znowu, od jego ciosu z nosa tamtego cieknie krew. Czuje jeszcze przez krótki moment triumf poprzez ból własnego umęczonego ciała.

Po chwili to on dostaje w twarz. Dłoń jak imadło chwyta go za gardło, wyciska z niego życie. Podnosi go do góry, po czym rzuca. On uderza o ziemię z łoskotem i wszystko ogarnia czern. Wszędzie jest ból, który go pochłania. Mokry smak pieniącego się żelaza wypełnia mu gardło i usta. Nie może oddychać, nie widzi, nie czuje. Jeszcze tylko słyszy triumfalny rechot głosów, które porzucają go, aby umarł.

Mandy Cowie sprawiała wrażenie dziewczyny, której w poranku nie do twarzy. McLean nie miał zbyt wielkiego doświadczenia w postępowaniu z nastolatkami, zwłaszcza jeżeli nie były to małolaty, które przesiadują na przystankach, piją wino marki Buckfast i lżą każdego, kto się do nich nieopatrznie za bardzo zbliży. Mandy nie zaliczała się do tych pyskatek, agresywnych dziewczuch, zamieszkujących blokowiska w Trinity i Craigmillar, ale spoglądała na niego spode łba tak samo jak one. Siedziała po drugiej stronie kuchennego stołu nad miską przemiękłych płatków kukurydzianych.

– Nic ci nie grozi, Mandy. Wręcz przeciwnie. – Przeszło mu przez myśl, że to pewnie jakaś genetycznie zaprogramowana niezdolność do współpracy z policją. – Nie przyszedłem tu nawet w charakterze policjanta. Jestem tu jako przyjaciel mamy Chloe. Ona się zamartwia, bo Chloe nie wróciła na noc. Wiesz może, gdzie należy jej szukać?

Dziewczyna poruszyła się niespokojnie. Gdyby znajdowali się w komisariacie, McLean uznałby to za sygnał, że ona coś wie, ale nie chce powiedzieć. Tutaj, w kuchni, mógł się tylko domyślić.

– Czy ma chłopaka? Może się z nim spotkała?

Po tym pytaniu nastąpiła cisza. Ku niemałej irytacji McLeana, matka Mandy uznała to za właściwy moment, żeby się wtrącić:

– Powiedz panu inspektorowi. Nic ci nie będzie. Nie zamknie cię do pudła.

– Pani Cowie, czy mógłbym zamienić z pani córką kilka słów sam na sam?

Popatrzyła na niego jak na debila. Pochwyciła jednak kubek z kawą, rozlewając przy tym nieco brązowego płynu na blat kuchennego stołu.

– Ale tylko chwilę, jasne? Ma robotę do zrobienia.

Poczłapała na zewnątrz w tych swoich różowych papuciach z króliczymi uszkami. McLean odczekał, aż drzwi się zamknęły i zaskrzypiały schody. Spojrzenie dziewczyny wystrzeliło ku sufitowi, potem wbiła wzrok w miseczkę niezjedzonych płatków.

– Posłuchaj mnie, Mandy. Będę z tobą szczerzy. Jeżeli wiesz cokolwiek, co mogłoby pomóc nam znaleźć Chloe, powinnaś mi to wyjawić. Obiecuję, że nie przekażę tego twoim rodzicom. Tutaj nie chodzi o ciebie, tylko o Chloe. Musimy ją znaleźć. Im dłużej to trwa, tym mniejsze mamy szanse.

Zapadło ciężkie, przytłaczające milczenie. Z góry dobiegał odgłos kroków pani Cowie, chyba z łazienki. McLean próbował pochwytać spojrzenie Mandy, ale ta wpatrywała się z ponurą fascynacją w miskę płatków. Już miał zrezygnować, gdy wreszcie się odezwała:

– Nie powie pan mamie?

– Nie, Mandy. Daję ci słowo. Mamie Chloe też nie.

– Był taki jeden. Poznała go przez internet.

Jezu Chryste, zaczyna się.

– On był... nie wiem... raczej w porządku. Miał zajawkę na tę komedię. Mega się podjarał, jak Chloe mu powiedziała o tych biletach na Billa Baileya. Obiecał, że będzie na przedstawieniu, ale nie przyszedł.

– Jak mieli się spotkać? – McLean wysilił pamięć, żeby przypomnieć sobie imię drugiej dziewczyny. Tej, którą zamierzał przesłuchiwać zaraz potem. – Czy wiedział, że ty i Karen też tam będziecie?

– Nie wiem, co Chloe mu powiedziała. Telefonu to mu raczej nie dała, taka głupia nie jest, ale włożyła na siebie te szalone ciuchy ze sklepu swojej mamy. Może mu powiedziała, żeby się rozglądał za laską w stylu lat dwudziestych. Raczej rzucała się w oczy, łatwo mógł ją rozpoznać.

I po przedstawieniu bez trudu wypatrzyć na ulicy, dodał w myślach McLean. Zapewne wracała na piechotę, skoro do domu nie miała tak znowu daleko, a pieniądze na taksówkę wolała przeznaczyć na coś dużo ciekawszego.

– Ten chłopak jakoś się nazywa?

– Tak, mówił, że ma na imię Fergie, lecz nie mam pojęcia, czy tak naprawdę się nazywa.

– Od jak dawna był... To znaczy od jak dawna Chloe utrzymuje z nim kontakt?

McLean nie bardzo wiedział, jak działają internetowe czaty.

– Niezbyt długo. Parę dni, może tydzień.

Krótko, ale dość, żeby zaufać obcemu. Czy on sam w tym wieku też był takim głupcem? McLean musiał przyznać, że chyba tak, jednak wówczas było w tym znacznie więcej niewinności. Z braku internetu trzeba było zdobyć się na odwagę, żeby podejść i porozmawiać z dziewczyną, która się człowiekowi podobała. Dzisiaj młodzi mają do dyspozycji czaty i portale społecznościowe, ale są tak samo naiwni, jak byli kiedyś. Fergie... Kiedy usłyszał to imię, natychmiast przyszedł mu do głowy McReadie, chociaż w mieście z pewnością mieszkają tysiące młodych mężczyzn imieniem Fergus albo Ferguson. Myśl logicznie, napomniął samego siebie, bez pochopnych konkluzji opartych na bezrozumnych spekulacjach.

– Muszę wiedzieć dokładnie, o której godzinie rozstałyście się wczoraj wieczorem z Chloe. – McLean wyjął notes. – Odtwórzmy wszystkie wydarzenia po kolei, od zakończenia pokazu.

*

Karen Beckwith opowiedziała mniej więcej tę samą historię, chociaż wyciągnięcie z niej opowieści nie kosztowało aż tyle wysiłku. McLean porównał w myśli oba zeznania, stojąc przed

Assembly Rooms na George Street. Przyglądał się ruchowi na ulicy i próbował sobie wyobrazić, jak mogła wyglądać poprzedniego wieczoru o jedenastej. O tej mniej więcej porze siedział z Emmą w Guildford Arms, zaledwie pięć minut drogi stąd. Karen i Mandy wzięły taksówkę, wrócili do domów, a przedtem poszły z Chloe na postój taksówek, na Castle Street. Przeszedł tę samą krótką drogę, rozglądał się na boki, zwracając uwagę na umiejscowienie kamer monitoringu. W centrum miasta po prostu nie da się niczego zrobić tak, żeby nie zarejestrowała tego któraś z nich.

Z postoju taksówek do domu Chloe prowadziła tylko jedna rozsądna droga: najpierw przez Princes Street, potem North Bridge i South Bridge, później przez Clerk Street. Spacer na pół godziny, nie więcej, wszędzie po drodze pełno kamer. Wiedział, kiedy ostatnio widziano Chloe, jak była ubrana. Należało więc przejrzeć nagrania z monitoringu, co mogło zająć sporo czasu, biorąc pod uwagę ich liczbę.

– Mam coś, szefie. Spójrzy pan?

McLean odwrócił się od ekranów pełnych rozmazanych postaci, poruszających się w przyspieszonym tempie po oświetlonych na pomarańczowo ulicach. Detektyw MacBride siedział przy konsolce obok, przy czym, jak ku swemu zażenowaniu stwierdził McLean, radził sobie z obsługą urządzeń znacznie lepiej niż on.

– Pokaż, co znalazłeś.

Przyjechał na fotelu na kółkach w jego stronę, tak żeby widzieć drugi ekran. MacBride przekręcił galkę kontrolki w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, przewinął nagranie do jedenastej piętnaście.

– Tutaj mamy postój taksówek przy Castle Street, szefie.

Uruchomił zapis w normalnym tempie, wskazał palcem na ekran. Pełnia lata i festiwal sprawiły, że na ulicach nocą panował ruch chyba jeszcze większy niż za dnia.

– To nasze trzy dziewczyny.

Zatrzymał nagranie, pokazał McLeanowi trzy postacie idące pod ramię. Ta pośrodku miała na sobie prosto skrojoną pledową spódnicę, top bez rękawów i kloszowy kapelus. Szyję owinęła boa z piór. Towarzyszące jej Karen i Mandy prezentowały się raczej niepozornie w dżinsach i koszulkach.

– To ona – stwierdził McLean. – Czy widać, dokąd idzie?

MacBride przesunął taśmę do przodu; ujrzeni, jak dziewczyny stanęły w kolejce na postój. Chloe odczekała, aż tamte dwie odjechały, po czym ruszyła w dół ku Princes Street.

– Tutaj musimy zmienić kamerę.

MacBride posłużył się w tym celu przyciskami umieszczonymi na konsolce, o dziwo, nie pomylił się przy tym ani razu. Na ekranie pojawił się obraz uchwycony pod innym kątem. Chloe

szła ulicą sama, pewnym krokiem. Śledzili ją jeszcze przez dwie kolejne kamery, aż stanęła, gdy obok niej zatrzymał się czarny samochód.

Gdyby McLean nie wiedział, o co tu chodzi, stwierdziłby, że to klasyczny przypadek: facet w samochodzie zaczepia nieletnią prostytutkę. Chloe nachyliła się do okna, najwyraźniej rozmawiała z kierowcą. Sądząc po jej zachowaniu, nie sprawiała wrażenia wystraszonej czy zdenerwowanej. Po chwili otworzyła drzwiczki i sama, z własnej woli, wsiadła do wozu. Samochód ruszył w stronę North British Hotel.

– Możemy to powiększyć? Zobaczyć numer rejestracyjny? – spytał McLean.

– Tylko w telewizji. To nie są kamery o wysokiej rozdzielczości, a oświetlenie jest fatalne. Z drugiej kamery byłby lepszy widok, ale akurat wczoraj się zepsuła.

– Może uda nam się go namierzyć. Czarne albo granatowe bmw trójka. A na innych kamerach go nie widać?

MacBride postukał w przyciski, zobaczyli jeszcze, jak samochód skręca z Princes Street w Mound. Wóz pokazał się przez krótką chwilę na innej kamerze, a potem już nic.

– Poza ścisłym centrum pokrycie kamer jest słabsze. Będziemy próbować; trzeba tylko wyliczyć, z jakim opóźnieniem może się pojawić w polu widzenia innych kamer. Zobaczymy, może się uda.

– Jak długo to potrwa?

– Nie wiem, szefie. Może nam się poszczęści, a może potrwa to cały dzień.

– Dobra. W takim razie zaczynaj. Spróbuj odczytać numer rejestracyjny. Choćby częściowo. Wyślij to Emmie, jest niezła, jeżeli chodzi o analizę zdjęć... – McLean urwał. Tak, niezła, przecież poradziła sobie z fotografiami zrobionymi w Sighthill, tak że ukazały się te dziwne wzory na podłodze. Przed tym na monitorze jej komputera widział coś innego. Całą serię miniatur. Szukała czegoś w archiwum, przygotowywała zdjęcia do archiwizacji czy odbywało się tam coś paskudnego? MB. Em. B. Emma Baird.

– Co panu jest, szefie? Wygląda pan, jakby zobaczył upiora.

Spoglądała na niego krągła, blada w półmroku i światło monitora twarz MacBride'a.

– Nie wiem, chyba domyślam się, kto mógł wrzucić te zdjęcia do sieci.

Miał jednak nadzieję, że się myli. Na litość boską!

– Telefon jak zwykle nie działa?

Dyżurujący sierżant, Pete Murray, powitał McLeana krzywym uśmiechem, kiedy w poniedziałek rano wpadł on pospieszonym krokiem do komisariatu. Inspektor obmacał się po kieszeniach, znalazł komórkę, ale nawet nie pamiętał, czy chciało mu się poprzedniego wieczoru podłączyć ją do ładowarki. Miał głowę tak zaprzątniętą rozlicznymi problemami, że pewnie o tym zapomniał. Tak czy inaczej, aparat nie reagował.

– Co pan im robi? Rzuca pan na nie klątwę? – Pete pchnął w jego stronę piętrzący się stos papierzysk, a potem ruchem głowy wskazał przeciwległy kraniec hallu recepcyjnego. – Tutaj ma pan sprawy do załatwienia, a tamten facet chciał się z panem widzieć. Mówi, że jest z firmy Hoggett Scotia Asset Management. Wygląda mi na jakiegoś bankiera.

Zaintrygowany McLean rozejrzał się, coś mu ta nazwa mówiła, ale nie mógł sobie przypomnieć co. Kiedy zobaczył mężczyznę, siedzącego na jednej z obskurnych plastikowych ławeczek, niewiele to zmieniło. Wyglądał jak tysiące innych biznesmenów: czterdzieści parę lat, siewiące włosy, zarysowujący się pod marynarką brzuszek, na który nie wystarczają już dwie partie squasha tygodniowo, droga skórzana walizeczka z pewnością pełna elektronicznych gadżetów. Żona i dzieci, domek na przedmieściu. Kochanka w mieszkaniu na Starym Mieście.

– Inspektor McLean? Dziękuję, że zechce pan poświęcić mi nieco czasu. Jestem Jonathan Masters z Hoggett Scotia. – Mężczyzna wstał pospiesznie, zanim McLean zdołał pokonać połowę dzielącej ich odległości. Dopiero wtedy w pamięci inspektora coś zaskoczyło.

– A, pan Masters. Był pan jednym ze świadków w sprawie samobójstwa Petera Andrews – stwierdził.

Jonathan Masters skrzywił się na dźwięk imienia byłego kolegi.

– Mieliśmy ciężki tydzień, panie inspektorze. Peter był jednym z naszych czołowych analityków. Będzie nam go brakowało.

„Czołowy analityk”. Żaden tam „wspaniały człowiek” czy choćby „dusza towarzystwa”. Analityk, ale nie przyjaciel.

– Rozmawiałem z jego ojcem, panie Masters. Odniosłem wrażenie, że to był człowiek, który miał wszelkie powody, żeby chcieć żyć, dopóki nie dowiedział się, że jest śmiertelnie chory.

– To było zupełne zaskoczenie. Nikomu z nas nie powiedział. Może gdyby się komuś zwierzył... – Masters umilkł w pół zdania.

– Domyślam się jednak, że nie przyszedł pan tutaj, żeby rozmawiać o sprawie Petera

Andrewsa, prawda?

– Tak, oczywiście. Przepraszam, panie inspektorze. Mam za sobą trudny tydzień. Rzecz w tym, że zaginęła nasza sekretarka. Sally Dent.

– Dent. Ona też była świadkiem?

– Tak, była wtedy w recepcji. Daliśmy jej wówczas wolne na resztę dnia. To było oczywiste, nie mogliśmy jej przecież zmuszać, żeby po czymś takim została w pracy. Nawet nie zauważyliśmy, że następnego dnia też nie przyszła, potem mieliśmy weekend, ale dzisiaj rano także się nie pojawiła. Nikt z nas jej nie widział, odkąd... odkąd Peter... wie pan.

– Rozumiem, że próbowaliście państwo się z nią skontaktować?

McLean miał paskudne uczucie *déjà vu*, zakradające się z tyłu jego umysłu, jakby to był cień pająka.

– Ależ oczywiście. Dzwoniliśmy do niej do domu, jej matka była przekonana, że Sally wyjechała w podróż za granicę. Głupia sprawa, bo rzeczywiście miała towarzyszyć jednemu z naszych menadżerów w Tokio, ale ten wyjazd został odwołany po...

– Czyli państwo myśleliście, że sekretarka jest w domu, jej matka, że jest za granicą, tymczasem tak naprawdę nikt nie wie, co się z nią działo od dnia, kiedy zabił się Peter Andrews.

– Tak to mniej więcej wygląda, panie inspektorze.

– Panie Masters, proszę mi opowiedzieć coś więcej o Sally Dent. Jak ona wygląda?

– Myślę, że mogę służyć panu czymś lepszym. – Master położył neser na plastikowej ławce, otworzył oba zatrzaśki. McLean ujrzał małego laptopa, tablet, nawigację GPS oraz płaski telefon komórkowy; wszystko to spoczywało w miękkim skórzanym wnętrzu. W następnej chwili Masters wyciągnął kartkę formatu A4, po czym zamknął neser.

– Proszę, to jej akta personalne.

McLean wziął od niego wydruk, przechylił kartkę do światła, żeby lepiej się przyjrzeć spoglądającej na niego fotografii. Nawet nie to go zaskoczyło, że ją rozpoznał, lecz to, że spodziewał się zobaczyć jej twarz. Na wydrukowanym zdjęciu była ładniejsza, uśmiechała się, była pełna życia, nadziei. Tymczasem on ostatnio widział ją na stalowym stole operacyjnym w prosektorium prowadzonym przez Angusa Cadwalladera, a poprzednio przyglądał się jej powykręcany dziwnie kończyńom i włosom pokrytym krwią na torowisku dworca kolejowego Waverley.

– Stęskniłeś się, co? Rzecz jasna, zawsze miło cię widzieć, ale właściwie mógłbyś przejść szkolenie na asystenta patologa, i wreszcie moglibyśmy skończyć z tym udawaniem.

Angus Cadwallader powitał McLeana krzywym uśmiechem, siedząc na krześle w swoim gabinecie. Inspektor zostawił Mastersa w recepcji – niecierpliwącego się i spoglądającego co chwila na zegarek. Jednak im szybciej sprawę się załatwi, tym lepiej.

– To kuszące, mój drogi, ale przecież wiem, że poza Tracy świata nie widzisz.

Po tych słowach uśmiech patologa trochę zbladł. Czyżby Angus się najeżył? Ciekawostka, stwierdził w duchu McLean.

– Tak, cóż. Czym w takim razie mogę służyć?

– Chodzi o kobietę, która skoczyła z Waverley Bridge w zeszłym tygodniu. Przypuszczam, że może to być niejaka Sally Dent. Możemy ją przygotować do identyfikacji? Jej szef czeka na górze.

– Nie ma problemu. Zaraz ją wyciągnę i gwizdnę na ciebie, kiedy będzie gotowa.

Patolog różnym krokiem skierował się do sali operacyjnej, a następnie ku szufladom. Po drodze zgarnął stalowe nosze na kółkach. McLean podążał jego śladem.

– Wysłałeś już raport w jej sprawie?

– Co? A, tak. Chyba tak. Tracy zazwyczaj wysyła je mailem, kiedy tylko zostaną spisane. A co?

– Nic. Jeszcze go nie widziałem.

– A, to nie wiesz o dziurach, jakie priony wyżerały jej w mózgu.

– O czym? – McLean poczuł zimny dreszcz. Komplikacje. Znowu komplikacje. Zawsze komplikacje.

– No, Creutzfeldt-Jakob. Dość zaawansowane stadium. Podejrzewam, że nim skoczyła, miała bardzo silne halucynacje. Pewnie dlatego to zrobiła. – Cadwallader otworzył szufladę, ukazało się wymyte blade ciało Sally Dent. Rany na jej twarzy zostały schludnie zaszyte, ale i tak wyglądała potwornie. Doktor zsunął zwłoki na nosze i przykrył je białą płachtą. Razem popychając wózek, zawieźli ciało dziewczyny do pokoju identyfikacyjnego, gdzie czekał Jonathan Masters. Siedział jak na szpilkach i drgnął nerwowo na ich widok.

– Przykro mi, że musiał pan czekać, panie Masters. Muszę pana ostrzec, że przed śmiercią ofiara odniosła rozległe obrażenia.

Masters z bladego zrobił się zielonkawy. Skinął głową w milczeniu, spoglądając na otuloną całunem postać. Cadwallader odchylił płachtę, żeby ukazać twarz. Tylko twarz. Bankier popatrzył na nią, a McLean dostrzegł na jego obliczu dobrze znany wyraz zgrozy, nieomyłnej oznaki rozpoznania. Widział go wiele razy, zbyt wiele.

– Co jej się stało?

Głos Mastersa zabrzmiał piskliwie i ochryple zarazem, trzeba jednak było przyznać, że nie zemdłał, co zdarzało się niejednemu.

– Skoczyła z North Bridge.

– Samobójstwo? Słyszałem o tym, ale Sally... Nie... Ona by tego nie zrobiła...

– Cierpiała na poważne schorzenie neurologiczne, była w ciężkim stanie. – Cadwallader zakrył pokiereszowaną twarz. – Istnieje szansa, że w ogóle nie wiedziała, co robi. Nie zdawała sobie

sprawy.

– A co z jej matką? – Masters zwrócił ku McLeanowi błagalne spojrzenie. – Kto jej to wytłumaczy?

– Proszę się tym nie przejmować, panie Masters. Porozmawiam z panią Dent. – McLean wziął biznesmena pod ramię, żeby wyprowadzić go z pomieszczenia. – Jak pan się czuje? Może chce pan, żeby ktoś pana odwiózł do biura?

Masters szybko doszedł do siebie. Wyprostował się i znowu spojrzał na zegarek.

– Nie, dziękuję, panie inspektorze. Nic mi nie jest. Rzeczywiście, muszę już wracać do firmy. O, Boże. Sally... – Pokręcił głową.

– Może pan to uznać za głupie pytanie, panie Masters, ale czy między panną Dent a panem Andrewsem coś było?

Masters popatrzył na McLeana z takim wyrazem twarzy, że równie dobrze mógłby mu oznajmić, iż postradał zmysły.

– Znaczy co?

– Chodzi mi o to, czy nie łączyła ich jakaś relacja poza ściśle zawodową. Dwa samobójstwa w tak krótkim odstępie jedno po drugim...

– Peter Andrews był gejem, panie inspektorze. Nie wiedział pan?

McLean wyprowadził Jonathana Mastersa z budynku, a kiedy wrócił do sali sekcyjnej, nie zastał Cadwalladera. Okazało się, że zdążył schować zwłoki do chłodni i czekał na niego w swoim gabinecie. Nagle McLean uprzytomnił sobie, że przez cały czas nie było z nimi doktor Sharp.

– Gdzie podziałeś Tracy? – spytał.

– Ręce precz od mojej asystentki, Tony.

McLean uniósł posłusznie ręce, jakby się poddawał.

– Angus, ona nie jest w moim typie.

– Wiem, słyszałem, że wolisz dziewczyny z ekipy technicznej. Cóż, nikt nie jest doskonały. – Cadwallader się zaśmiał. – Tracy pojechała z próbkami do laboratorium. Czasami wypuszczam ją na wolność. Rzecz jasna, o ile ty nie zapychasz mi chłodni swoimi trupami.

– Och, bardzo mi przykro. – McLean wzruszył ramionami. – Powiedz mi coś więcej o Sally Dent. O ile pamiętam, coś było nie tak z jej krwią.

– Coś było, ale nie z jej krwią. Miała na sobie cudzą krew.

– Udało ci się ustalić czyją?

– Określiliśmy grupę krwi, ale jest dość powszechnie spotykana. Zero Rh plus. Wysłałem próbkę do analizy DNA. O ile nie podsuniesz mi kogoś, kto ostatnio stracił sporo krwi, ustalenie, czyja to była krew, może zająć sporo czasu.

Ktoś, kto ostatnio stracił dużo krwi? McLeanowi natychmiast przyszedł do głowy nieprawdopodobny pomysł.

– Co powiesz na Jonasa Carstairsa?

– Co takiego? Myślisz, że taka drobna kobieta... – Cadwallader urwał i spojrzał w stronę chłodni, po czym dodał: – Sądzisz, że zdołała obezwładnić i wypatroszyć silnego, zdrowego mężczyznę?

– Był stary, nie mógł być bardzo silny.

McLean przypomniał sobie, że raportu z autopsji Carstairsa też nie otrzymał.

– Był zdrowy jak rydz. Na pewno odżywił się dietetycznie i uprawiał jogę, jak to teraz w modzie. – Patolog zajął się komputerem, stuknął w kilka klawiszy, żeby wyświetlić właściwy protokół, przesunął stronę w dół. – Proszę bardzo, jest. Analiza próbek krwi znalezionej na włosach i dłoniach Sally Dent – kliknął, otworzył drugie okno. – Próbką krwi Jonasa Carstairsa... Dobry Boże!

McLean zajrzał przez ramię Cadwalladera, chociaż z góry wiedział, że nie zrozumie tego, co zobaczy. Patolog odwrócił się powoli na krześle.

– Są identyczne.

– Tej samej grupy?

– Nie, ta sama krew, a w każdym razie bardzo, bardzo podobna. Dla pewności zrobimy test DNA, ale markery są identyczne.

– Zrób jednak ten test, proszę cię.

McLean oparł się plecami o kontuar. Próbował pozbierać w myślach wszystkie sprzeczne informacje, zastanowić się, dokąd go prowadzi. Opus Diaboli. Dzieło szatana. Nie wyglądało to najlepiej.

– Masz tu jeszcze Petera Andrewsa? – spytał.

Cadwallader skinął głową.

– Tak, cholera. W zeszłym tygodniu mieli go przewieźć do Londynu, ale z powodu włamania posypały się wszystkie plany. Krótko mówiąc, nadal czekamy, żeby się wreszcie po niego zgłosili i go zabrali.

– A co z krwią na jego ciele?

– Poderżnęła sobie gardło, Tony. Był nią zalany od stóp do głów.

– Dobrze, ale czy to była wyłącznie jego krew?

– Tak sądzę. Umyliśmy go. To znaczy Tracy go umyła. Nie mówiła nic o tym, żeby pod spodem była druga warstwa. Do czego zmierzasz, Tony?

– Nie jestem pewien i chyba wolałbym nie być pewien. Angus, czy wyświadczyłbyś mi pewną przysługę?

– To zależy, czego ode mnie oczekujesz. Jeżeli miałbym cię zastępować podczas wieczorków organizowanych przez panią komendant, to raczej nie, dziękuję bardzo.

– Nie, o to bym cię nie poprosił. Chciałbym natomiast, żebyś jeszcze raz zbadał Petera Andrews.

– Zbadałem go raczej dość dokładnie.

Patolog sprawiał wrażenie lekko urażonego, ale McLean wiedział, że jego przyjaciel tylko się zgrywa.

– Jasne, Angus, ale wtedy badałeś samobójcę. Chciałbym cię prosić, żebyś teraz przyjrzał mu się tak, jakby był ofiarą morderstwa.

Nadinspektor Duguid czekał w pokoju dochodzeniowym, przydzielonym McLeanowi; siedział w fotelu Boba Gburka i przyglądał się zdjęciom przyszpilonym do ściany. W pierwszym odruchu McLean chciał się cofnąć. Są jednak sytuacje, którym trzeba od razu stawić czoło.

– Czy mogę w czymś pomóc, szefie?

– Zdawało mi się, że masz wolne.

– A mnie się zdawało, że pożytecznie spędzę czas, tropiąc przestępców. Pamięta pan jeszcze, jak to jest tropić przestępców?

– Nie podoba mi się twój ton, McLean.

– Ja też nie jestem zachwycony tym, że ktoś próbuje mnie zabić, ale każdy z nas musi dźwigać swój krzyż. Przejdźmy do rzeczy: dlaczego pan chciał się ze mną widzieć?

Duguid pociemniał na twarzy.

– Nawet nie wiedziałem, że jesteś w komisariacie. Szukałem tego twojego młodego pracownika, posterunkowego MacCoś. Podobno macie jakiś trop w sprawie wycieków. Jakąś stronę internetową.

– Tak. I co?

– O co ci chodzi, McLean? Jak mam prowadzić dochodzenie w sprawie zamordowania Carstairsa, jeżeli nie robisz tego, co do ciebie należy? Wyciek to ważny trop w naszym śledztwie.

Nawet jedyny trop, skoro pofatygowaleś się aż tutaj, żeby zawracać głowę moim ludziom, pomyślał McLean. Nie miał odwagi powiedzieć temu facetowi, że morderca, a raczej jego trup, leży w kostnicy. Najpierw niech Cadwallader zrobi wszystkie testy DNA, upewni się i przekaże te wyniki. McLean nie chciał tego brać na siebie, bo to by znaczyło, że Duguid znienawidziłby go jeszcze bardziej. Wcześniej zdarzało się, że McLean popełniał ten błąd, rozwiązując sprawy za nadinspektora.

– Owszem, detektyw posterunkowy MacBride znalazł płatną stronę internetową, na którą ludzie wrzucają fotorelacje z różnych krwawych wydarzeń, między innymi policyjne zdjęcia ze sceny zbrodni. Wygląda na to, że w cyberprzestrzeni grasuje mnóstwo obłąkańców. Znaleźliśmy tam fotografie, wykonane przez naszych specjalistów na miejscu zbrodni po zamordowaniu Barnaby'ego Smythe'a.

– Aha, to znaczy, że zabójca Carstairsa mógł tam być regularnym gościem. I co dalej? Jasne, ten ktoś postanowił wprowadzić w życie swoje fantazje. Rany, przecież tylko tego nam brakuje.

– Duguid potarł palcami czoło. – Tylko kto to jest? Kto umieszcza w internecie zdjęcia i zachęca

w ten sposób psychol do naśladownictwa?

– Tego nie wiem, szefie.

– Ale domyślasz się, no nie, McLean? Dobrze wiem, jak działa twój umysł.

– Najpierw muszę sprawdzić to i owo, zanim...

– Pierdolenie, inspektorze. Podejrzewasz kogoś, więc powiedz, o kogo chodzi. Nie ma czasu, żeby się cackać. Po mieście krąży morderca i pewnie już upatrzył sobie następną ofiarę. – Nie krąży, zaoponował w duchu McLean, w każdym razie nie upatruje następnej ofiary. Wszyscy już nie żyją. Wypatroszył wszystkich współwinnych zbrodni sprzed lat, choć Bóg jedyny wie, jak zdołał tego dokonać. A strona internetowa to zupełnie uboczna sprawa.

– Wydaje mi się, panie nadinspektorze, że nie należy działać zbyt pochopnie.

McLean starannie dobierał słowa. Jeżeli przecucie go nie myliło i Emma rzeczywiście była winna, czyli wrzuciła zdjęcia na stronę internetową, to chciał zyskać pewność w tej kwestii. Nie wiedział, co robi, jeżeli podejrzenia się potwierdzą. Po prostu nie wiedział i już.

– Oho, osławiamy winnego, co? Masz nadzieję, że sam go przyłapiesz i cała chwała tobie przypadnie?

Duguid wstał z krzesła Boba Gburka, przeszedł obok McLeana, niemal się o niego ocierając, a w drzwiach dorzucił:

– A może są całkiem inne powody, co?

McLean przez chwilę patrzył w ślad za Duguidem, potem sięgnął do kieszeni po komórkę, potrząsnął nią i nacisnął przycisk. Próbował wystukać numer, ale nic z tego. Telefon padł. Niech to szlag! Skoro o kolacji z Emmą wiedział Cadwallader, z pewnością dowiedział się Dagwood. Nie potrwa długo, zanim nadinspektor doda dwa do dwóch, bądź co bądź to detektyw, chociaż czasem trudno w to uwierzyć. Spojrzał jeszcze raz na telefon. Zaraz, czy naprawdę powinien ją ostrzec, skoro ciąży na niej podejrzenie? Owszem, powinien. Jeżeli jest winna, to będą próbowali przypisać jej współudział w zbrodni. Media zszargają jej nazwisko nawet wtedy, gdy się wybroni. Jeśli miał być szczerzy wobec samego siebie, nie chciał być w to zamieszany, podobnie jak nie życzył tego przyjaciółce.

Mrucząc przekleństwa pod nosem, wyszedł z pokoju, aby rozejrzeć się za działającym telefonem, po czym niemal natychmiast zderzył się na korytarzu z biegnącym MacBride'em.

– Jasna cholera! Co ci odbiło?

– Znaleźli, szefie! Znaleźli! – Twarz MacBride'a poczerwieniała od emocji.

– Co takiego?

– Furgonetkę, szefie. Tę, która zabiła Alison.

Ostatnimi laty przez Edynburg przeszła fala zmian, zmywając z powierzchni sfatygowane stare kamienice, baraki i magazyny, targowiska i podwórka studnie; zamiast nich stanęły nowe

inwestycje deweloperów, ośrodki rozrywki, luksusowe apartamentowce oraz galerie handlowe. Wciąż jednak pozostały miejsca, które opierają się gentryfikacji z całym wdziękiem wyprostowanego środkowego palca. Leith czy Trinity padły na placu boju, lecz New Haven nadal broni się przed naporem nowoczesności.

Chłostany wichrem południowy brzeg Firth of Forth, niegościnna i przemysłowa okolica, wrogo spoglądała na intruzów. McLean siedział w fotelu pasażera, wóz prowadził MacBride. Wjechali przez otwartą bramę na ogrodzony drucianą siatką, najwyraźniej od dawna opuszczony teren. Stały tam dwa policyjne samochody zaparkowane obok furgonetki wydziału technicznego. Nagle McLean poczuł przypływ nadziei, że zastanie Emmę. Gdyby tylko mógł przez chwilę porozmawiać z nią na osobności, prawie na pewno zdołałby się zorientować, jak naprawdę jest z tymi zdjęciami, a może i ostrzec ją, gdyby miało się to okazać konieczne. A tak przy okazji, po prostu chciał ją zobaczyć z czysto osobistych powodów, i ta myśl go zaskoczyła. Nie pamiętał już, kiedy myślał o kimkolwiek w ten sposób.

Na działce wznosił się stary magazyn, pewnie dawno temu składowano w nim cenne towary, teraz jednak nie miał dachu, a w żelaznych dźwigarach gnieździły się gołębie i rdza. Nawet w środku lata, po tyłu dniach suszy i upału, na betonowej podłodze połyskiwały kałuże brudnej wody. Zimą, kiedy lodowaty wiatr wieje od Morza Północnego, musi to być doprawdy przemile miejsce, uznał. Cuchnęło padliną i dymem, a do tego ptasim nawozem i słoną morską wodą. Pośrodku stał osmalony transit, a wokół niego niczym mrówki wokół martwego ptaka roili się funkcjonariusze wydziału technicznego.

Wszystkie te furgonetki są takie same, powiedział sobie w duchu McLean, podchodząc bliżej, jednak coś mówiło mu, że właśnie ten pojazd zniknął mu z oczu na rogu Pleasance, gdy z piskiem opon skręcał w stronę Holyrood. Nie miał tablic rejestracyjnych, ale wtedy też ich brakowało. Prawdopodobnie numer podwozia będzie zatarty. Pozostał natomiast z pewnością charakterystyczny znak: wgniecenie na przepalanej masce wozu w tym miejscu, gdzie uderzyła ona w ciało młodej kobiety, przerywając nić jej życia. Obszedł furgonetkę, trzymając się z daleka, żeby nie zatrzeć ewentualnych śladów. Przykucnięty funkcjonariusz w białym kombinezonie zdejmował pęsetą próbki lakieru, na którym pod wpływem żaru pojawiły się spęknięcia i pęcherze. Z tyłu błysnął flesz, McLean odwrócił się, myśląc, że zobaczy Emmę. Tym razem po drugiej stronie obiektywu znajdował się ktoś inny. Malky, przypomniał sobie jego imię McLean, fotograf, który robił zdjęcia w Farquhar House. Ten, który pachniał mydłem i twierdził, że negatywne myśli mogą wysssać energię z baterii telefonu komórkowego. Cóż, w przewrotny sposób miało to może sens. Wyjaśnienie tak samo dobre jak każde inne.

– Jest tu może Emma Baird?

– Nie, zajmuje się inną sprawą.

Akcent z Glasgow, ale jakby bardziej kulturalny, nie taki podmiejski jak u Fergususa McReadiego.

– Jesteś Malky, prawda? – McLean zapytał i od razu zorientował się, że popełnił nietakt.

Twarz fotografa przerodziła się w maskę, wobec której oblicze nadinspektora Duguida stanowiło kwintesencję dobroduszości i jowialności.

– Raczej Malcolm. Malcolm Buchanan Watt.

– Wybacz mi, Malcolm. Po prostu...

– Wiem, że koledzy tak mnie nazywają, panie inspektorze. Wykazują przy tym taką samą niedbałość co do szczegółów, jak i w trakcie pełnienia obowiązków zawodowych. Warto, żeby pan o tym pamiętał, kiedy następnym razem będzie pan współpracował z osobami takimi jak panna Baird.

– Daj spokój, Malcolm. Emma jest profesjonalistką, jak ty.

Fotograf nie raczył na to nic odpowiedzieć, schował się za aparatem i zajął robieniem zdjęć. McLean pokręcił głową. Czemu ci ludzie są tacy drażliwi? Zamierzał przejść na drugą stronę furgonetki, żeby zajrzeć przez otwarte w stronę morza rozsuwane drzwi, ale zatrzymał go dźwięk znajomego głosu:

– Rany, dzięki Bogu. Wreszcie ktoś starszy stopniem. – Wielki Andy szczyrzył do niego zęby w uśmiechu. – Fajnie, że pan dostał tę sprawę, szefie. Wszystkim nam zależy, żeby dorwać skurwysyna.

– Jeśli chodzi o ścisłość, to mnie tutaj w ogóle nie ma, Andy. Nawet mnie nie widziałeś, dobrze?

– Co takiego? Niech mi pan nie mówi, że Dagwood prowadzi dochodzenie.

– Należę do poszkodowanych, Andy. Niestety, nie mogę się mieszać. – McLean rozłożył ręce, szczerze podziеляjąc frustrację sierżanta. – O co chodzi z tym wszystkim?

– Facet chodził sobie z pieskiem przy brzegu i zobaczył spalony wóz, więc pomyślał, że na wszelki wypadek to zgłosi. Kilku posterunkowych wypytuje teraz ludzi w okolicy, ale jak znam życie, nikt niczego nie widział. Nawet jeżeli ktoś coś widział.

– A co z wozem? Udało się go zidentyfikować?

– Pracujemy nad tym, szefie. Jednak wygląda to na robotę profesjonalisty. Wyczyszczony. Nie ma tablic, nie ma numerów.

– Skąd wiemy, że ten właśnie transit potrafił Alison?

– Nie wiemy. To znaczy nie jesteśmy pewni. Jednak prawdopodobieństwo jest spore. Maskę z przodu wygląda dokładnie tak, jakby wóz w kogoś uderzył. Pan jest tutaj najważniejszym świadkiem, stąd wiemy, że to był transit. Techniczni jeszcze nad tym pracują, natomiast ja gotów jestem założyć się o całą pensję, że to ten wóz.

– Jest jakaś szansa na odciski? Ustalenie, kto siedział za kierownicą?

– E tam, mamy coś lepszego niż odciski – zwłoki. Tędy, panie inspektorze.

Wielki Andy zaprowadził McLeana na drugą stronę furgonetki. Znajoma postać patologa pochylała się nad czymś czarnym i wypalonym, najwyraźniej epicentrum pożaru. Angus Cadwallader wstał i wyprostował się. Zachrzęściło mu w stawach, kiedy się przeciągnął.

– Tony, spotykamy się tak często, że chyba powinienem cię przedstawić mojej mamie.

– Kiedyś już to zrobiłeś. Na tej imprezie w Holywood. Nie pamiętasz? Co udało ci się ustalić?

Cadwallader odwrócił się w stronę przedmiotu swoich dociekań, dłonią w rękawiczce wskazał na coś, co wyglądało jak na wpół spalony, zwinięty dywan z jaśniejszymi plamkami. Na białym lateksie widniały ślady tłustego popiołu. Nie musiał nic więcej mówić, nawet gdyby Wielki Andy nie poinformował McLeana o szczegółach, wystarczyłby smród.

– Nie „co”, tylko „kogo” – całkiem niepotrzebnie sprecyzował patolog.

Cadwallader obiecał, że gdy tylko ciało znajdzie się w kostnicy, przeprowadzi wstępną sekcję. To zapewnienie wraz z informacją, że nadinspektor Duguid już jedzie obejrzeć transita, skłoniły McLeana do pospiesznego opuszczenia miejsca zbrodni. Nie miał wyboru. W drodze powrotnej też prowadził MacBride, a inspektor spoglądał przez okno na miasto, gdy przedzierali się przez korki do komisariatu.

– Stuart, wierzysz w duchy? – spytał, kiedy ugrzęźli na kolejnym czerwonym świetle.

– W duchy? Jak to babsko w telewizji? Biega z jakąś dziwną kamerą, w której wszystko robi się zielone? Nie. Raczej nie. Natomiast mój wujek przysięga, że kiedyś widział ducha.

– A co z demonami? Z szatanem?

– E tam. To tylko bajki wymyślone przez klechów, żeby wierni byli grzeczni. A co? Myśli pan, że w tych opowiadaniach jest coś z prawdy?

– Rany boskie, nie! Życie jest i tak wystarczająco skomplikowane i dosyć mamy kłopotów ze zwyczajnymi zbrodniarzami. Nie obawiaj się, nie zamierzam cię namawiać do tego, żebyś aresztował przybyszów z piekła. Natomiast Bertie Farquhar i jego kumple wierzyli w coś takiego na tyle mocno, że zabili tę dziewczynę. Skąd wzięli tę pewność i po co w ogóle to zrobili? Czy liczyli, że coś przez to osiągną?

– Cóż... Bogactwo? Nieśmiertelność? Ludzie zazwyczaj właśnie tego pragną, no nie?

– W takim razie nie za bardzo im wyszło.

Chociaż... Jak najbardziej do pewnego momentu. Wszyscy byli bajecznie bogaci, odnosili sukcesy na każdym kroku i żaden z nich nie umarł ze starości. Jak to powiedział Angus o Smythe'ie? Coś o tym, że takich płuc mógłby mu pozazdrościć nastolatek. Carstairs był zdrow jak ryba – to też opinia patologa. Czy to możliwe, żeby sam efekt placebo zadziałał tak skutecznie, że wyglądało to na ingerencję nieczystych sił?

Wlekli się koło za kołem, utknęli w zatorze, spowodowanym robotami drogowymi. Budowa linii tramwajowej, w której powstanie wszyscy mieszkańcy miasta przestali już wierzyć. Za szybko z wolna przesuwały się zapyziałe, brudne budynki biedniejszej części miasta. Wszystkie sklepy w tej dzielnicy wyglądały jak lombardy. W knajpach spożycie posiłku groziło ciężkim rozstrojem żołądka, o ile ktoś nie był przystosowany, to znaczy nie wywodził się z tej okolicy. Wzrok McLeana padł na znane mu drzwi pomalowane luszczącą się farbą i szyld: CZYTANIE Z DŁONI, TAROT, PRZEPOWIADANIE PRZYSZŁOŚCI.

– Zjedź na bok i znajdź jakieś miejsce do parkowania.

Ku irytacji kierowców jadących za nimi, MacBride wykonał polecenie.

– Dokąd idziemy? – spytał, kiedy wysiedli. – McLean pokazał mu palcem budynek po drugiej stronie ulicy.

– Chcę, żeby ktoś przepowiedział mi przyszłość.

Madame Rose właśnie skończyła seans z klientką, kobietą posuniętą w latach, o zastraszonym wyglądzie, w chustce na głowie, mocno ściskającą pod pachą torebkę, z której niewątpliwie właśnie przed chwilą ubyłoby parę banknotów. Madame Rose zaprowadziła ich do gabinetu na tyłach budynku; McLean uniósł brwi, ale się nie odezwał.

– Pani Brown odwiedza mnie od czasu śmierci męża, chyba ze trzy lata. Przychodzi tu co parę miesięcy. – Madame Rose zgoniła koty z dwóch foteli, zaprosiła gości, by zajęli miejsca, po czym sama rozsiadła się wygodnie. – Niewiele mogę dla niej zrobić. Po pierwsze, rozmowy z umarłymi nie należą do moich specjalności, a po drugie, odnoszę wrażenie, że ten jej Donald nie za bardzo chce z nią nawiązać kontakt. Przecież nie powiem jej prosto w oczy, żeby przestała mi płacić, no nie?

McLean uśmiechnął się pod nosem, tak jak uśmiechnąłby się każdy w podobnej sytuacji.

– A ja myślałem, że to tylko przesady i zabobon.

– Och, nic podobnego. – Madame Rose przycisnęła upierścienioną dłoń do obfitego, choć sztucznego biustu. – Kto jak kto, ale pan, inspektorze, chyba powinien to rozumieć. Biorąc pod uwagę pana przeszłość...

Uśmiech zniknął bez śladu.

– Trochę nie rozumiem, co pani ma na myśli.

– A jednak pan do mnie przyszedł. Przyszedł pan po radę w sprawie demonów. Znowu.

Cholera, może i niepotrzebnie tu przyszedłem, zreflektował się McLean. Wiedział, że to wszystko szarlataneria, ale jednocześnie musiał przyznać, że madame Rose doskonale odgrywa swoją rolę. Rzecz jasna, wydarzenia z jego przeszłości znane były dość powszechnie – czy chciał tego, czy nie. Na tym polegała profesja madame Rose, żeby wiedzieć jak najwięcej o kliencie, a przynajmniej na tyle, aby przyprawić go o dyskomfort, odwrócić jego uwagę. W ten sposób trudniej mu było trzymać się własnego wzorca postępowania.

– Odnoszę wrażenie, że spodziewała się pani naszej wizyty.

– Spodziewałam się pańskiej wizyty, inspektorze. – Madame Rose skinęła głową w jego stronę. – Przyznaję natomiast, że kiedy ostatnio czytałam z kart, nie dostrzegłam w nich odwiedzin pana młodego towarzysza.

Faktycznie, pewnie łatwiej byłoby ją o to spytać, gdyby rozmowie nie przysłuchiwał się MacBride. McLean poczuł się przez chwilę jak uczeń, który chce poprosić o coś panią nauczycielkę, ale brak mu odwagi.

– Chce pan wiedzieć, czy one naprawdę istnieją. One, to znaczy demony – ciągnęła madame Rose, nim inspektor zdołał się odezwać i szybko dodała: – Proszę za mną. Coś panu pokażę.

Wstała, koty zerknęły na nią ciekawie. McLean także się podniósł, jednak kiedy MacBride się poruszył, madame Rose machnęła na niego ręką.

– Ty nie, kochanie. To coś przeznaczonego tylko dla oczu pana inspektora. Ty tu zostań i miej oko na moje kociaczki.

Niczym na rozkaz najbliższy kot dał susa i umościł się na kolanach posterunkowego. MacBride wyciągnął dłoń, żeby go odepchnąć, ale kocisko otarło się o nią głową i zaczęło głośno mrużać.

– Proszę tu zostać, posterunkowy. Mam wrażenie, że to nie potrwa długo – rzucił McLean.

Ruszył za madame Rose. Wyszli z gabinetu innymi drzwiami i znaleźli się nie w poczekalni, lecz jakby w bibliotece. W każdym razie było tam mnóstwo książek ustawionych na półkach, ciągnących się wzdłuż ścian i w poprzek pomieszczenia, tak że zostawało tylko wąskie przejście, w którym ledwo mieściła się jasnowidzka, a cóż dopiero ich dwoje. Znaleźli się w krępującej dla inspektora bliskości, a unoszący się w powietrzu suchy zapach starego papieru i skóry tym bardziej wprawiał go w zakłopotanie. Nie przepadał za antykwariatami, tymczasem znalazł się w miejscu będącym antykwariatem do kwadratu.

– Wiem, panie inspektorze, że trudno się panu z tym pogodzić. – Głos madame Rose stracił mistyczną afektację przeznaczoną dla klientów; psikliwie przemawiał do niego transwestyta. – Przecież pan osobiście zetknął się z demonem.

– Posłuchaj, Stan, czy też madame Rose, jeżeli wolisz, żeby tak cię nazywać. Nie przyszedłem tutaj po to, żebyś czytała mi z ręki.

McLean chciał wyjść z biblioteki, ale wysokie stopy książek więziły go, odcięły mu odwrót. Madame Rose stała tak blisko, że widział pory w jej skórze. W jego skórze, cholera. Przecież to był facet, który robił go w konia. Po co, kurwa, zawracać sobie nim głowę?

– Nie. Przyszedłeś tutaj, żeby dowiedzieć się czegoś o demonach. A ja cię tu sprowadziłam, bo doskonale rozumiem, że nie chcesz mówić o tym, co cię trapi w obecności tego młodego chłopaka.

– Dobra, dobra. Demony nie istnieją.

– Ejże, chyba i ty wiesz, i ja wiem, że to nieprawda. Istnieją, a w dodatku przybierają różne kształty. – Madame Rose zdjęła z półki wielkie tomisko; trzymała je w ramionach jak dziecko, przerzucając szeleszczące stronicę. – Nie wszystkie demony są złem wcielonym, inspektorze, w dodatku niektóre istnieją tylko w naszych umysłach. Są też jednak inne, rzadziej spotykane, które poruszają się pośród nas, wywierają na nas wpływ i owszem, skłaniają nas do popełniania rzeczy strasznych. Co oczywiście nie znaczy, że nie popełniamy strasznych rzeczy bez ich pomocy. Proszę. – Odwróciła książkę i pokazała mu stronę.

Myślał, że będzie to jakiś inkunabuł napisany łacińską kursywą z eleganckimi iluminacjami. Tymczasem ujrzał coś przypominającego rocznik szkolny, tyle że widniały w nim zdjęcia mężczyzn raczej w średnim wieku. Szczególnie jedno zwróciło jego uwagę, chociaż sportretowany był na nim młodszy niż wtedy, kiedy McLean go widział. Zatrzasnął księgę, oddał ją madame Rose i odwrócił się, żeby odejść. Ciężka dłoń przytrzymała go za ramię.

– Wiem, co się panu przydarzyło, inspektorze. W tym mieście nasza społeczność jest nieliczna, niewiele tu wróżek i jasnowidzów, ale wszyscy znamy pańską historię.

– To było dawno temu. – McLean próbował się uwolnić, ale madame Rose trzymała go mocno.

– Wtedy właśnie dotknął pana demon.

– Donald Anderson nie jest żadnym demonem. To chory pojeb, który powinien gnść w pierdłu do końca życia.

– On był człowiekiem, inspektorze. Pod wieloma względami podobnym do mnie. Bardziej niż cokolwiek innego interesowały go stare książki. Jednak wszedł w kontakt z demonem i doznał przemiany.

– Donald Anderson był gwałcicielem i mordercą, i na tym koniec. – McLean wyrwał się wreszcie z uścisku madame Rose. Zaczęła w nim wzbierać złość. Nie dość, że dzień w dzień musi się użerać z takimi gnojkami jak Dagwood, to jeszcze ktoś mu wciska podobne bzdury. Po co on tu w ogóle przyszedł?

– Może i tak. Tyle że z demonami nigdy nic nie wiadomo.

– Dostyc tego. Nie przyszedłem tutaj po to, żeby rozmawiać o Donaldzie Andersonie, niech go szlag trafi. Poza tym głównie mnie obchodzi, czy demony istnieją, czy nie. Chcę tylko wiedzieć, co ci ludzie zamierzali osiągnąć. Jaką korzyść chcieli odnieść z zamordowania młodej dziewczyny?

– Młodej dziewczyny? – Madame Rose uniosła brwi. – Bez wątpienia była dziewczęcą. Co mogli uzyskać? A czego nie mogli? To już tylko kwestia ich wyobraźni.

– Tak, tak. Bogactwo, nieśmiertelność, takie tam... – McLean powtórzył niemal słowo w słowo to, co sugerował MacBride.

– Owszem, na to by wyglądało. Ale, jak mówię, jedynym ograniczeniem jest ich wyobraźnia.

– A co się dzieje, kiedy coś idzie nie tak? Co się zazwyczaj dzieje w takich razach?

– W takich razach nie ma żadnego „zazwyczaj”, inspektorze. Mówimy tu o demonach – powiedziała madame Rose, po czym poprawiła się: – A w każdym razie o ludziach, którzy są szczerze przekonani, iż zadają się z demonami. Klasyczny rytuał wygląda tak, że osoba przyzywająca demona staje wewnątrz ochronnego kręgu, a następnie wyraża swoje żądania. Potem demona należy przegonić dokądkolwiek, skąd przybył, opuścić krąg i powrócić do normalnego świata. Problemy najczęściej pojawiają się, kiedy inny debil przyzywa tego samego demona jakiś czas później. One mają dobrą pamięć, inspektorze, i bardzo nie lubią, kiedy się im

rozkazuje.

– Wewnątrz kręgu było ciało – wtrącił McLean.

– W takim razie próbowali przykuć demona do dziewczyny. Wszystko gra, dopóki ktoś nie przerwie kręgu.

McLean przypomniał sobie piwniczną scenerię. Ściana rozbita przez robotników, gruz na podłodze.

– A gdyby ktoś przerwał krąg?

– Cóż, wtedy mamy do czynienia z demonem, który jest nie tylko wściekły z tej racji, że do czegoś go zmuszono, lecz dodatkowo jeszcze został uwięziony na całe lata, dziesięciolecia.

Trudno się dziwić, jeżeli będzie miał za złe.

W kostnicy zawsze panowała cisza i nic dziwnego, spoczywający tam zmarli nie byli zbyt rozmowni. Jednak tego popołudnia McLean odczuł to szczególnie wyraźnie, jak gdyby ktoś mu nakładł waty do uszu. Nawet odgłosy własnych kroków na twardym linoleum wydawały się stłumione, dalekie. A zresztą, może to tylko wrażenie, jakie zostało mu po rozmowie z madame Rose? McLean zajrzał do gabinetu Cadwalladera, zastał w nim jednak tylko jego asystentkę – stukała w klawisze komputera, miała słuchawki na uszach.

– Cześć, Tracy.

McLean może trochę za mocno zapukał we framugę otwartych drzwi, ale nie chciał przestraszyć dziewczyny nagłym pojawieniem się. Ale i tak drgnęła nerwowo.

– O, inspektor. Cóż za niespodzianka.

McLean mimo woli uśmiechnął się, słysząc sarkazm w jej głosie.

– Zastałem doktora?

– W tej chwili bierze prysznic.

Jakaś nuta w głosie Tracy dała McLeanowi do zrozumienia, że asystentka miałaby ochotę znaleźć się pod prysznicem razem z przełożonym. Dziwne, bo jeśli brać pod uwagę różnicę wieku, Cadwallader mógł spokojnie być jej ojcem. McLean przegnał z umysłu wyobrażenie tych dwojga razem.

– Co tam słyhać? To był długi dzień, co?

– Paskudna sekcja. Spalone zwłoki nigdy nie są fajne.

– To znaczy, że już skończył?

McLean w duchu odetchnął z ulgą na myśl, że nie będzie musiał przyglądać się autopsji.

– Owszem. Dlatego poszedł pod prysznic. Ja tymczasem spisuję raport. Nieprzyjemna sprawa. Bardzo nieprzyjemna.

– Aż tak?

– Spłonął żywcem, więc przypuszczam, że nie było to zbyt miłe. Trzeci stopień na osiemdziesięciu procentach powierzchni ciała, nie mówiąc o poparzeniach wewnątrz płuc, kiedy wdychał płomień. Jedyna pociecha, że był potężnie nawalony, więc może nie cierpiał aż tak bardzo. Przynajmniej taką mam nadzieję.

– Mówisz, że był pijany?

– Jeden przecinek osiem promila we krwi. Blisko utraty przytomności.

– Czas zgonu?

– Jeszcze trudno stwierdzić, ale na pewno dni, nie godziny.

McLean obliczył w pamięci, kiedy ostatnio widział furgonetkę. Faktycznie, minęło trochę czasu. To by się zgadzało.

– A jakieś cechy pozwalające na identyfikację? Znaki szczególnie i tym podobne?

– O wy, ludzie małej wiary. – Tracy wstała i podeszła do kontuaru, biegnącego wzdłuż ściany.

Na stalowej tacy piętrzył się stosik przedmiotów, wszystkie były poczerniałe od ognia, każdy z nich zapakowany osobno w foliową torebkę. Podniosła jedną z nich.

– Ten portfel znaleźliśmy w jego kieszeni. Z zewnątrz zwęglony, ale porządna bydlęca skóra nie płonie tak łatwo. Wewnątrz znaleźliśmy prawo jazdy i karty kredytowe na nazwisko Donalda R. Murdo.

– Pan McAllister jest na spotkaniu, panie inspektorze. Nie może pan teraz wejść.

McLean nie był w nastroju sprzyjającym przesiadywaniu w poczekalni. Odepchnął na bok sekretarkę i szarpnięciem otworzył drzwi gabinetu. McAllister siedział za biurkiem, pogrążony w rozmowie z biznesmenem w popielatym garniturze, czyli z facetem, który wydawał się tam zupełnie nie na miejscu, jak mniszka w burdelu. Obaj panowie spojrzeli w stronę McLeana; biznesmen z miną uczniaka przyłapanego na paleniu papierosów za schowkiem na rowery, McAllister z nieskrywaną wściekłością.

– Cóż za niespodzianka, inspektor McLean...

– Przepraszam, panie McAllister, próbowałam go zatrzymać...

– Spokojnie, Janette. Moje drzwi zawsze stoją otworem przed najwybitniejszymi przedstawicielami tutejszej policji – stwierdził McAllister i zwrócił się do biznesmena, który teraz, gdy zrozumiał, kim jest intruz, sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zaniepokojonego. – Panie Roberts, chyba już wszystko w porządku, nie uważa pan?

Roberts skinął głową w milczeniu, jakby nagle odjęło mu mowę. Pospieszenie zebrał papiery z biurka, schował je do skórzanej teczki. Zerkał przy tym na McLeana, unikając jednak jego wzroku. Zdawało się, że upłynęły minuty, choć pewnie trwało to zaledwie kilkanaście sekund, nim skinął szybko głową McAllisterowi i wyszedł z niezamkniętą teczką pod pachą.

– Czemuż to zawdzięczam tę miłą niespodziankę, inspektorze? Zapewne przybywa pan, aby oznajmić mi w trybie pilnym, że mogę już rozpocząć prace w Sighthill? Niestety, poniewczasie. Właśnie sprzedałem tamtą nieruchomości obecnemu tu przed chwilą panu Robertowski. Mówiąc ścisłej, firmie, której jest przedstawicielem. A i zarobiłem przy tym co nieco.

– Mimo że miała tam miejsce brutalna zbrodnia?

– Och, inspektorze, najprawdopodobniej właśnie dzięki temu. Nabywca koniecznie chciał poznać wszystkie szczegóły, jakie tylko byłem w stanie mu podać.

McLean zdawał sobie sprawę, że McAllister chce go podpuścić – tylko czeka, aż zapyta, kto

jest owym nabywcą. Wtedy zasłonił się tajemnicą handlową i odmówił odpowiedzi. Prymitywne, doprawdy, zwłaszcza że McLean widział logo na kilku dokumentach chowanych przez Roberta do teczek. Nietrudno będzie je naszkicować i puścić w obieg, prędzej czy później ktoś tę firmę rozpozna.

– Znaleźliśmy coś, co do pana należy – oznajmił.

– Och, doprawdy? – McAllister rozsiadł się wygodnie w fotelu. Nie poprosił McLeana, żeby zajął zwolnione miejsce.

– Białą furgonetkę, transita. W zasadzie kiedyś była biała, teraz jest głównie czarna.

– Transita? Wątpię. Nie używam ich, inspektorze. Mój brat prowadzi przedstawicielstwo firmy Fiat, dzięki czemu mam pod dostatkiem ducato na korzystnych warunkach. Nie wiedziałem, że jeden z nich zaginął.

– Kierowca tego samochodu rozmyślnie potrącił człowieka, po czym zbiegł z miejsca wypadku. A konkretnie wjechał na chodnik i uderzył policjantkę. Zmarła po dwóch dniach. Pamięta pan posterunkową Kydd, panie McAllister?

– Zaraz, niech zgadnę. Ta zgrabna dziewczyna, z którą pan był u mnie ostatnio? Ogromna szkoda, inspektorze. – Obluda McAllistera zawstydziliby niejednego polityka. W następnej chwili jego rysy stwardniały. – Czy oskarża mnie pan o to, że miałem z tym coś wspólnego, inspektorze?

– Gdzie jest Murdo? – spytał McLean.

– Donnie? Nie mam pojęcia. Wyrzuciłem go na pysk zaraz po pańskiej wizycie. Posprzecaliśmy się nieco o tę budowę w Sighthill.

McLean poczuł nagle, że traci grunt pod nogami. Był przekonany, że ma rację, a teraz zaczęło go ogarniać paskudne wrażenie, że zrobił z siebie kompletnego idiotę.

– Wyrzucił go pan? Dlaczego?

– Skoro pan taki ciekawski... Otóż dlatego, że zatrudniał nielegalnych imigrantów jako tanią siłę roboczą. Pieniążki z ręki do ręki, żadnych pytań. – Oczy McAllistera błysnęły groźnie, znów ogarnął go gniew. – Ja w ten sposób interesów nie prowadzę. Nigdy tego nie robiłem i nie zamierzam. Zbyt sobie cenię swoją reputację. Gdyby pan popytał na mieście, każdy by to panu powiedział. Natomiast ze strony policji, odkąd powiadomiłem o znalezieniu zwłok, spotykają mnie same szykany, a teraz pan tu wpada ze swoimi bezpodstawnymi pomówieniami. Ma pan jakieś dowody? Jasne, że pan nie ma, bo inaczej pan by mnie aresztował. Gównu pan na mnie ma, tylko jakieś z dupy wzięte teorie, którymi ma pan czelność zawracać mi głowę. Nie omieszkać złożyć oficjalnej skargi na pana z powodu tych oszczerstw. A teraz, jeśli pan pozwoli, jestem zajęty.

McLean wszedł do komisariatu tylnymi drzwiami. Wokół panował spokój. Odpowiadało to jego ponuremu nastrojowi. Nie ma nic gorszego, niż wyjść na debila, bo wtedy człowiek jest wściekły na wszystkich i na wszystko. Jedna z pracownic administracyjnych umknęła przed nim w popłochu, zdążyła jednak go powiadomić, że Duguid zwołał zebranie. Najwyraźniej pojawiły się nowe dowody, które mogą istotnie zmienić bieg dochodzenia, czy coś w tym rodzaju. McLean był pod wrażeniem, znaczyło to bowiem, że wiadomość o krwi dotarła wyjątkowo szybko – zapewne raczej dzięki Tracy niż Cadwalladowi. Ruszył chyłkiem w stronę swojego pokoju dochodzeniowego, mając nadzieję, że nikt go nie zauważy, lecz nie na wiele się to zdało, bo pani komendant McIntyre już tam na niego czekała.

– Coś mi mówiło, że przędzej tu się zjawisz, niż pójdziesz do domu.

– Tak, pani komendant?

– Nie żadna „pani komendant”, Tony. Właśnie rozmawiałam z bardzo poirytowanym dżentelmenem nazwiskiem McAllister. Podobno jeden z moich oficerów wtargnął do jego biura i nękał go werbalnie.

– Ja...

– Powiedziałaś, żebyś trzymał się z daleka od tej sprawy. Czy to tak trudno zrozumieć i wykonać?

McLean uznał, że najlepiej będzie udobruchać Jayne McIntyre, zanim ta całkiem straci cierpliwość. Najlepiej od razu wziąć byka za rogi.

– Pani komendant, ja...

– Jeszcze nie skończyłam. Co w ogóle robiłeś u tego McAllistera? Co on ma wspólnego z zaginioną nastolatką?

– On...

– Nie ma nic wspólnego. Nic a nic. Mało tego, że wbrew wyraźnym poleceniom poszedłeś do niego, to jeszcze węszyłeś w New Haven przy spalonym samochodzie i dopytywałeś Angusa Cadwalladera o tożsamość kierowcy.

– Przepraszam, pani komendant, ale to była furgonetka, która uderzyła posterunkową Kydd. Musiałem to sprawdzić.

– W tym przestępstwie jesteś poszkodowanym, Tony. Nie wolno ci się kręcić w pobliżu śledztwa. Zdajesz sobie sprawę, że nawet byle jaki prawnik rozłożyłby naszą sprawę na łopatki, gdyby się o tym dowiedział. Rany boskie, jakby nie dość było, że uwziąłeś się na McReadiego.

McIntyre oparła się ciężko o stół, westchnęła i potarła oko wnętrzem dłoni. Sprawiała wrażenie zmęczonej. McLean nagle uświadomił sobie, jaka odpowiedzialność na niej ciąży. On narzekał na papierkową robotę, chociaż miał pod sobą tylko dwuosobowy zespół, tymczasem ona musi użerać się z całym komisariatem. Właśnie zginęła jedna z podległych jej policjantek, ktoś umieszcza w internecie zdjęcia z miejsc zbrodni, ona zarządza Bóg wie iloma dochodzeniami, a w dodatku on utrudnia jej życie.

– Przepraszam. Nie chciałem przysparzać pani kłopotów.

– Władza niesie ze sobą odpowiedzialność, Tony. Rekomendowałam cię na stanowisko inspektora, bo uważałam, że jesteś wystarczająco odpowiedzialny. Nie chciałam dojść do wniosku, że się pomyliłam.

– Oczywiście, rozumiem. Osobiście przeproszę pana McAllistera. Popelnilem błąd w ocenie. W dodatku pozwoliłem, żeby emocje wzięły górę nad rozsądkiem.

– Odsuść sobie na kilka dni, co? Wracaj do domu.

– A co z Chloe? – McLean pożałował tych słów, gdy tylko je wypowiedział, ale było za późno.

McIntyre popatrzyła na niego z mieszaniną niedowierzania i zdesperowania.

– Wyobraź sobie, że nie tylko ty jej szukasz. Sprawdzamy notowanych w podobnych sprawach, pracujemy nad materiałami z monitoringu, próbujemy zidentyfikować samochód. Znajdziemy ją. Poza tym to jest sprawa Boba Gburka. Niech on się tym zajmuje.

– Czuję się bezużyteczny.

– W takim razie porozmawiaj z jej matką. Jesteś z nią zaprzyjaźniony. Może zdołasz ją przekonać, że robimy wszystko, co w naszej mocy.

Sklep był zamknięty mimo trwającego festiwalu, pełni sezonu i pory jak najbardziej handlowej. McLean zajrzał przez witrynę, próbując się zorientować, czy jest ktoś w środku, jednak nikogo nie dostrzegł. Obok sklepu znajdowały się drzwi klatki schodowej, przy jednym z przycisków widniało nazwisko „Spiers”. Nacisnął go i po kilku chwilach odezwał się nikiły głos:

– Halo.

– Jenny? Tutaj Tony McLean. Mogę wejść?

Szczęknął zamek, inspektor pchnął drzwi. W odróżnieniu od klatki schodowej jego kamienicy, nie śmierdziało kocimi sikami. Podłoga była zamieciona, ktoś na parapetach ustawił doniczki z roślinami, a okna wychodziły na schludny ogródek na tyłach domu.

Jenny stała w otwartych drzwiach mieszkania, niespokojna, załkwniona. Miała na sobie szlafrok, pod nim długą koszulę nocną, była boso. Potargana, o podkrążonych zaczerwienionych oczach.

– Znaleźliście ją?

W tym szepcie była nadzieja i strach jednocześnie.

– Nie, jeszcze nie. Mogę wejść?

Jenny odsunęła się, wpuściła McLeana do małego przedpokoju. Odruchowo rozejrzął się i zauważył panujący tam bałagan. Tak to bywa, chaos w życiu przekłada się na chaos w mieszkaniu. Odwrócił się, zobaczył, że Jenny dalej wygląda przez drzwi na klatkę schodową, jakby chciała wyczarować córkę wbiegającą po schodach.

– Znajdziemy ją, Jenny.

– Naprawdę ją znajdziecie? Czy tylko tak mówisz, żeby mnie pocieszyć? – podniosła nieco głos, zabrzmiał w nim gniew.

Zatrzasnęła drzwi, przeszła obok niego do ciasnej kuchni, a McLean podążył jej śladem.

– Mamy nagrania z monitoringu, widać na nich, jak idzie ulicą po przedstawieniu.

Jenny zaczęła parzyć kawę, ale przerwała w pół ruchu i odwróciła się do McLeana.

– Przecież miała jechać taksówką.

– Daj spokój, to młoda dziewczyna. Założę się, że oszczędza na taksówkach już od jakiegoś czasu.

– Co się stało? Dokąd poszła?

– Jakiś samochód zwolnił i zatrzymał się przy niej. Rozmawiała z kierowcą, potem wsiadła. Przypuszczamy, że kontaktowała się z nim wcześniej, przez internet.

Dłonie Jenny powędrowały ku jej twarzy, palce wpiły się mocno w policzki, pozostawiając na skórze białe ślady.

– O mój Boże. Porwał ją jakiś pedofil. Porwał moją dziewczynkę.

– Mam nie tylko złe wiadomości. Udało nam się częściowo odczytać numer rejestracyjny samochodu, wiemy, jaka to marka i jaki model. W tej chwili trwają intensywne poszukiwania.

– Ale, moja dziewczynka... Ona... On...

– Posłuchaj mnie, Jenny. Wiem, nie jest dobrze. Nie zamierzam cię okłamywać. Z drugiej strony, mamy sporo informacji, na podstawie których możemy podejmować działania. A poza tym akcja została zaplanowana, to nie wydarzyło się przypadkiem. I to jest właśnie dobra wiadomość.

– Dobra? A co w tym dobrego?

McLean też zdawał sobie z tego sprawę; w takiej sytuacji mogło mieć rację bytu najwyżej pojęcie mniejszego zła.

– Bo z tego wynika, że ktokolwiek to zrobił, zamierza utrzymać Chloe przy życiu.

Przynajmniej do czasu, dodał w myślach.

Telefon zaczął dzwonić, kiedy wkładał klucz do zamka drzwi frontowych. Z początku McLean zamierzał pozwolić, żeby ten, kto dzwoni, nagrał się na sekretarkę, bo godzina spędzona u Jenny Spiers zupełnie go wyczerpała. Przypomniał sobie jednak, że kasetka nadal znajduje się

w szufladzie biurka. Pospieszył się więc i zdążył złapać słuchawkę, nim aparat umilkł.

– McLean.

– O, dobrze, że pana zastałem, szefie. Mówi posterunkowy MacBride.

– Co tam słychać?

– Chodzi o to, że Dag... To znaczy, nadinspektor Duguid...

McLeanowi przemknęło przez myśl, że MacBride to jednak służbista, skoro nie odważył się użyć w rozmowie z nim powszechnie używanego przezwiska, jakim obdarzono Duguida.

– No? Co tym razem nabroił?

– Uzyskał nakaz aresztowania i pojechał do działu technicznego. Wziął ze sobą wszystkich naszych komputerowców. Zamierza przytknąć Emmę Baird.

Pojawił się za późno, żeby cokolwiek wskórać, mógł tylko pojechać za Duguidem, który w licznej asyście udał się do kwatery głównej. Przypuszczalnie zamierzał pokazać przełożonym, jak bardzo przykłada się do pracy. Z pewnością nawet na myśl mu nie przyszło, że wszyscy ci ludzie mogliby się przydać do poszukiwań Chloe Spiers.

Wejścia do budynku pilnowali nieumundurowani policjanci; kiedy inspektor się zbliżył, Duguid właśnie wyprowadzał w towarzystwie dwóch sierżantów skutą kajdankami Emmę Baird. Była spłoszona, rozglądała się na wszystkie strony, szukając przyjaznej twarzy.

– A co ty tu robisz, cholera jasna? – Duguid od razu dostrzegł McLeana.

– Próbuję powstrzymać pana przed popełnieniem poważnego błędu. Ona nie jest osobą, której szukamy.

– Tony, co tu się dzieje? – spytała Emma.

Na dźwięk jej głosu Duguid odwrócił się i rzucił rozkaz obu sierżantom:

– Zabrać ją do komisariatu. Przeprowadzić w trybie pilnym wszystkie procedury.

– Naprawdę jest pan przekonany, że to dobry pomysł, panie nadinspektorze? – McLean położył nacisk na przedrostek „nad”.

– Proszę, proszę. Rycerz bez skazy przybył na ratunek damie swojego serca. Nie pouczaj mnie, jak mam prowadzić śledztwo, McLean.

– Ona jest jedną z nas, panie nadinspektorze, a pan ją traktuje, jakby była jakąś ćpunką.

Duguid podszedł do McLeana. Dźgał go palcem w pierś, mówiąc:

– Ona jest winna współudziału w morderstwie Jonasa Carstairsa. Jestem pewien, że wie, kto go zabił, i zamierzam uzyskać od niej tę informację, zanim jeszcze ktoś zginie.

Gówno. Najwyraźniej wyniki badań krwi jednak nie dotarły do Duguida. Znowu szczekał na niewłaściwe drzewo.

– Jaki tam współudział, panie nadinspektorze. To Sally Dent zabiła Jonasa Carstairsa.

– Co ty bredzisz? Sam naprowadziłeś mnie na jej ślad. Nie próbuj się teraz z tego wykręcać.

– Czy to prawda? – Emma popatrzyła McLeanowi prosto w oczy. Wciąż była oszołomiona, ale już na granicy furii.

– Co ta kobieta jeszcze tu robi? – spytał Duguid.

Zanim inspektor zdążył cokolwiek powiedzieć, sierżanci zaciągnęli Emmę do czekającego samochodu.

– Niepotrzebnie pan się w to mieszał, panie nadinspektorze. Trzeba było zostawić to mnie.

McLean nie potrafił powiedzieć tego inaczej niż przez zaciśnięte zęby. Tymczasem zaczęło się wynoszenie komputerów z budynku, policjanci ładowali je do furgonetki.

– Co? Miałbym pozwolić, żebyś ostrzegł swoją dupę, by mogła pozacierać za sobą ślady? Nic z tego, McLean.

– Nie jest żadną moją „dupą”, panie nadinspektorze, a przyjaciółką. Gdyby pan pozwolił mi działać, dzięki jej przyjaźni mógłbym się dowiedzieć, co się dzieje. Bez całego tego zamieszania.

– McLean ruchem głowy wskazał tłumek policjantów i zdezorientowanych funkcjonariuszy technicznych. – Właśnie tym jednym posunięciem sparaliżował pan wszelkie możliwe poczynania działu technicznego, tracąc przy tym jakiegokolwiek widoki na chęć współpracy z ich strony. Tymczasem to oni wykonują lwią część pracy dochodzeniowej na miejscu przestępstwa. Bardzo zręcznie, doprawdy. Gratuluję, panie nadinspektorze.

Obrócił się na pięcie i odszedł, zostawiając za sobą Duguida z otwartą gębą. Dopiero wtedy zauważył, że Emma przez cały czas była całkiem blisko i wszystko słyszała przez otwarte okno samochodu. Ich spojrzenia spotkały się przez chwilę, lecz zbyt krótką, aby zdołał odczytać jej myśli z wyrazu twarzy, bo natychmiast się od niego odwróciła.

McLean marzył tylko o tym, żeby iść do domu i usnąć, ewentualnie przedtem wypić flaszkę whisky i zalać się w trupa. Wszystko się zawałilo. W jego głowie szalały demony, minęły prawie dwadzieścia cztery godziny, odkąd zaginęła Chloe Spiers, poza tym nie pamiętał, kiedy ostatnio leżał we własnym łóżku. Aresztowanie Emmy było ostatnią kroplą, która przelała kielich goryczy, a przy okazji najbardziej spektakularną głupotą, jak dotąd popełnioną przez Duguida. McLean już nie potrafił jasno myśleć, musiał się jednak jeszcze czegoś dowiedzieć. Dlatego zamiast złapać taksówkę i wrócić do domu, dał się podwieźć jednym z policyjnych wozów z powrotem do komisariatu. Choć było późno, w piwnicy wrzała praca, komputerowcy przetrzepywali w pośpiechu kilkanaście komputerów zgarniętych od pracowników technicznych, zajmujących się fotografią. Kiedy McLean wszedł do pomieszczenia informatyków, Mike Simpson spojrzał na niego znad płataniny kabli i skrzywił się wyraźnie.

– Czego pan chce?

Zadał to pytanie gniewnym, oskarżycielskim tonem. McLean uniósł dłonie w geście poddania.

– Chwilę, spokojnie, Mike. Co ja ci zrobiłem?

– Jak to co? A kto wystawił Emmę? I zrobił nas w całe to gówno? – Mike popatrzył po kolegach; wpatrywali się pustym wzrokiem w migające monitory lub wykonywali dziwne czynności, podłączając za pomocą krokodyłków jakieś przewody do wnętrza komputerów.

– Nikogo nie wystawiłem, a zwłaszcza Emmy. Nawet usiłowałem ją chronić.

– Dagwood mówi co innego.

– A odkąd to wierzysz jemu, a nie mnie? Myślałem, że jesteś trochę bardziej kumaty.

Mike już tak bardzo się nie krzywił.

– No, może i tak. Przecież pan ją podejrzewał.

– Jestem detektywem, Mike. Podejrzewam wszystkich. Przyznaj: ktoś, kto ma stały dostęp do zdjęć operacyjnych, a w dodatku posługuje się inicjałami MB? Jasne, że zamierzałem to sprawdzić. Pomyślałem, że lepiej będzie porozmawiać z nią w cztery oczy. Obeszłoby się bez tego wszystkiego.

– Tak czy inaczej, siedzimy przez pana po uszy w gównie.

– Dobra, przepraszam, jeżeli to moja wina. Stawiam piwo na przeprosiny.

Zadziwiająco, ale to natychmiast wprawiło Mike'a w lepszy humor. Może nigdy dotąd nie zetknął się z podobną propozycją ze strony przełożonego.

– W porządku, szefie. A teraz, jeżeli pan pozwoli, chciałbym się z tym uporać przed północą. Chodzi o to, żeby jutro rano wydział techniczny mógł znowu pracować.

– Ale widzisz, mam jedną sprawę...

Informatyk teatralnym gestem zwiesił głowę.

– No, co?

– Fergus McReadie. Masz jeszcze jego peceta?

– To nie pecet, tylko mac, ale owszem, mamy go tutaj. A co?

– Wiemy o Penstemmin Security, ale w jakich innych systemach robił sobie furtki? Dla kogo jeszcze robił analizy zabezpieczeń?

– Jak daleko mam szukać? – Technik był wyraźnie zmęczony i spieszyło mu się, żeby zająć się inną robotą. – Facet działał w tej branży od ponad dziesięciu lat.

– Nie wiem. Może wystarczy ostatni rok albo na początek sprawdzimy, dla kogo ostatnio pracował. Może najpierw rzucimy okiem na jego pocztę?

Mike wstał od swojego biurka i podszedł do innego komputera podłączonego w odległym kącie pomieszczenia. McLean podążył za nim. Przyglądał się, jak informatyk wyświetla kolejne okna z informacjami. Wreszcie pojawiła się alfabetyczna lista.

– Proszę bardzo. Maile wysłane i odebrane w ciągu tygodnia przed tym, jak dostaliśmy komputer pana McReadiego. Wygląda na to, że miał sporo klientów.

Tylko jeden z nich zwrócił uwagę McLeana. Otóż Fergus McReadie wymienił co najmniej dwadzieścia kilka wiadomości z niejakim Christopherem Robertsem z firmy Carstairs i Weddell.

Pokój przesłuchań numer 4, czyli ciasna i ciemna klitka, której okienko częściowo zasłaniała bieżąca na zewnątrz budynku rura. Klimatyzator co prawda postukiwał i bulgotał, ale wydawało się, że wcale nie chłodzi powietrza wtłaczanego do pokoju. Przynajmniej jednak nie było tak bardzo gorąco, do apogeum skwaru pozostawało jeszcze kilka godzin.

Christopher Roberts sprawiał wrażenie, jakby nie zmrużył oka, odkąd McLean widział go poprzedniego dnia w gabinecie McAllistera. Miał twarz zmęczoną i poszarzałą, a na sobie ten sam garnitur. Patrol policyjny przywiózł go z Bridge Motel w Queensferry, a więc dosyć dziwnego miejsca jak na kogoś, kto mieszka w Cramond. Numer rejestracyjny jego ciemnoczerwonego bmw zgadzał się z częścią numeru, którą posterunkowy MacBride zdołał odczytać z zapisu monitoringu. Mógł to być samochód, do którego wsiadła Chloe Spiers, lecz równie dobrze mogło chodzić o zbieg okoliczności, bo nie brakowało ciemnych bmw z tym numerem rocznym i takimi samymi dwiema pierwszymi literami. Ostatnimi czasy McLean miał do czynienia ze zbyt wieloma zbiegami okoliczności, by w nie uwierzyć.

– Dlaczego nie wrócił pan na noc do domu, panie Roberts? – spytał McLean, kiedy formalnościom dotyczącym przesłuchania stało się zadość.

Roberts nie odpowiedział, patrzył na dłonie i czyścił paznokcie.

– No, dobrze. Zaczniemy od prostego pytania. Dla kogo pan pracuje?

– Jestem zatrudniony przez kancelarię Carstairs i Weddell jako wspólnik w dziale prawa rzeczowego.

– Tyle to i ja wiem. Proszę mi powiedzieć, co pana wczoraj sprowadziło do biura Tommy'ego McAllistera. To znaczy wiem, że zajmował się pan sprzedażą Farquhar House w Sighthill, ale kim jest nabywca?

Twarz Roberta pobladła, na jego czole pojawiły się kropelki potu.

– Nie mogę tego wyjawić. To tajemnica handlowa.

McLean się skrzywił. Nie będzie łatwo, uznał.

– No, dobrze. W takim razie proszę mi powiedzieć, dokąd zawiózł pan Chloe Spiers po tym, jak zabrał ją pan do swojego samochodu o jedenastej trzydzieści przedwczoraj wieczorem z Princes Street.

– Ja... Ja nie wiem, o czym pan mówi.

– Panie Roberts, mamy zapis z monitoringu, na którym widać wyraźnie, jak panna Spiers wsiada do pańskiego samochodu. Obecnie dział techniczny zajmuje się tym wozem i pozostaje

jedynie kwestią czasu, kiedy znajdą dowody na to, że w nim przebywała. A więc, dokąd ją pan zawiózł?

To był błąd. Samochód rzeczywiście znajdował się w policyjnym garażu, ale nikt nie potrafiłby odgadnąć, kiedy uda się przekonać pracowników działu technicznego, żeby zechcieli go zbadać.

– Nie mogę powiedzieć.

– Ale dokądś ją pan zawiózł, tak?

– Proszę, niech pan mnie nie zmusza, żebym to mówił. Zabiją mnie, jeżeli cokolwiek powiem.

Zabiją moją żonę.

McLean zwrócił się do Boba Gburka, który stał oparty o ścianę:

– Poślij patrol do domu pana Roberta, niech zapewnią ochronę jego małżonce.

Sierżant bez słowa skinął głową i wyszedł. Inspektor znów zajął się Robertsem.

– Skoro ktoś panu groził, panie Roberts, to najlepiej pan zrobi, jeżeli wyjawi tożsamość tej osoby lub tych osób. Jesteśmy w stanie zapewnić ochronę panu i pańskiej żonie. Natomiast jeśli nadal będzie pan milczał, a Chloe Spiers stanie się coś złego, wówczas powędruje pan na długie lata do więzienia.

Umilkł, pozwalając Robertsonowi przemyśleć tę kwestię. Zapanowało milczenie; aż do powrotu Boba Gburka, czyli przez dobrych parę minut, Roberts nie odezwał się ani słowem.

– Proszę mi powiedzieć, jak pan namówił Chloe, żeby z panem pojechała – odezwał się po jakimś czasie McLean. – To przecież niegłupia dziewczyna. Nie wskoczyłaby do samochodu obcego faceta.

Roberts siedział cicho, tylko jego oczy rozszerzyły się ze strachu.

– To nie było przypadkowe spotkanie, przecież pan jej szukał, prawda?

– To... To nie miałem być ja. Zmusili mnie do tego. Powiedzieli, że skrzywdzą Irene.

– A kto to miał być, panie Roberts? Czy przypadkiem nie Fergie? Czy właśnie jego miał pan udawać?

Roberts nie odpowiedział, ale jego głowa ledwie dostrzegalnie i zapewne nieświadomie wykonała potakujący ruch.

– A kim jest Fergie? I dlaczego nie mógł stawić się osobiście?

Roberts trzymał głowę na kłódkę, chociaż wykręcał dłonie jak ktoś, kogo dręczą wyrzuty sumienia. Może nawet nie sumienie, tylko przerażenie. Jakim sposobem zdołali go aż tak nastraszyć? McLean wiedział, że nic z tego nie będzie. Facet nic nie powie, przynajmniej dopóki nie będzie pewien, że jego żona jest bezpieczna. A i wtedy pewnie też nie. Zarazem jednak odniósł wrażenie, iż wie, dlaczego Fergie nie stawiał się na umówione spotkanie z Chloe Spiers. Teraz tylko należało to udowodnić.

Więzienie Jej Królewskiej mości w Saughton nie należy do miejsc, które miałyby się ochotę

odwiedzać często. McLean nienawidził tego przybytku, i to wcale nie z powodu pensjonariuszy, którzy za jego sprawą znaleźli się pośród tych bezdusznych murów. Więzienie to bowiem wysysało z człowieka całą radość, całą chęć życia. Inspektor odwiedził już niejeden ośrodek penitencjarny, każdy z nich w jakimś stopniu te cechy przejawiał, jednak Saughton było najgorsze.

McLeana i Boba wprowadzono do pozbawionego klimatyzacji małego pomieszczenia z umieszczonym wysoko okienkiem. Był wciąż jeszcze ranek, ale na tyle gorąco, że w dusznej klitce ciężko było wytrzymać. Adwokat McReadiego już czekał. Pociągnęła twarz, haczykowaty nos i długie siwe włosy sprawiały, że wyglądał jak sęp. Niewątpliwie wybrał profesję odpowiednią do swojej aparycji.

– Zdaje pan sobie sprawę, inspektorze, że jest to nękanie mojego klienta.

Nie wyciągnął do niego ręki na powitanie, nie skinął głową, nawet nie rzucił lekceważącego „witam”.

– Pański klient jest podejrzany o uprowadzenie dziecka. Jeżeli sprawa ta przerodzi się w dochodzenie dotyczące zabójstwa, to już ja panu pokażę nękanie.

McLean spiorunował wzrokiem adwokata, który nawet nie drgnął i nie raczył odpowiedzieć. Bob Gburek zaszył się w kącie, oparty o ścianę. Po kilku minutach pojawił się strażnik, który prowadził przed sobą Fergusa McReadiego. Pchnął więźnia na krzesło, wskazał kciukiem drzwi, dając w ten sposób do zrozumienia, że czeka za nimi i w razie potrzeby jest do dyspozycji, po czym się wycofał. Zostali we czwórce.

McReadie wyglądał na zmęczonego, tak jakby nie sypiał najlepiej, odkąd wylądował w areszcie śledczym. Skończyły się luksusy i apartamenty oraz sąsiedztwo gwiazd. Pochylił się w stronę pełnomocnika, który wyszeptał mu coś do ucha, po czym wyprostował się, skrzywił i potrząsnął głową.

– Więzienie dobrze ci robi, Fergus – stwierdził McLean. Odchylił się w krzesło.

– Fatalnie. Nie zamierzałem zostać tu dłużej.

McReadie wyraźnie czuł się niezręcznie, nie dość, że miał kajdanki na nadgarstkach, to nie przywykł do więziennego uniformu – raczej do modnych ciuchów.

– Pewnie myślisz, że nic ci nie będzie. Trochę hakerstwa, kradzieże z włamaniem na stosunkowo niewielką skalę. Kartotekę masz w zasadzie czystą, więc sędzia wymierzy łagodną karę, nawet jeżeli poproszę kogo trzeba, żeby szepnął mu słówko. Trudno orzec, ale może dzięki dobremu adwokatowi wykręcisz się wyrokiem rzędu pięć lat, a po osiemnastu miesiącach wyjdiesz warunkowo za dobre sprawowanie. Poza tym otwarte więzienie, bo nie stosowałeś przemocy. Nie jest to jakaś straszna kara za okradanie trupów.

McReadie nie odzywał się, spoglądał tylko wyzywająco. McLean nachylił się ku niemu

z uśmiechem.

– Jednak jeżeli rozejdziesz się tutaj wiadomość, że dobierałeś się do piętnastoletniej dziewczynki... Wiesz, kryminaliści to dziwne środowisko, kierują się swoistym kodeksem etycznym. Co więcej, potrafią zadbać o to, aby kara była odpowiednia do przewinienia, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli.

W pomieszczeniu zapadło milczenie, ale inspektor zauważył, że jego słowa odniosły pożądany skutek. McReadie przestał patrzeć wyzywająco, wyraźnie się zaniepokoił. Zerknął w stronę drzwi, potem znów na McLeana, który odchylił się w krzesle i czekał, nic nie mówiąc.

– Niczego na mnie nie macie. To nieprawda. – McReadie odezwał się pierwszy.

– Panie McReadie, radzę panu nic nie mówić – wtrącił się natychmiast adwokat.

McReadie rzucił mu gniewne spojrzenie. McLean zauważył to i postanowił wykorzystać.

– Mamy twoje maile i maile wysyłane przez Chloe, tak więc całkiem sporo, Fergie. Swoją drogą, co to za pomysł, żeby posługiwać się własnym, prawdziwym imieniem?

– To... To nie było tak.

– A jak? Miłość od pierwszego wejrzenia?

– Nie mogę tego powiedzieć. On mnie zabije.

– Panie McReadie, jako pański obrońca, muszę...

– Kto miałby cię zabić?

McReadie nie odpowiedział. McLean widział lęk w jego oczach – lęk, który niełatwo byłoby przezwyciężyć. Zastraszyć Robertsa nie było trudno, to rozumiał, ale McReadie to przecież twardego charakteru. Co trzeba zrobić, żeby napędzić stracha takiemu gościowi?

– Zgarnęliśmy Christophera Robertsa, Fergus. Miał to i owo do powiedzenia na twój temat. O tym, jak wabiłeś tę małą. Co cię właściwie w niej pociągało? Przecież jest prawie pełnoletnia. Myślałem, że tacy jak ty wolą młodsze mięsko.

– Co to ma znaczyć, „tacy jak ty”? Nie jestem żadnym pierdolonym pedofilem.

W oczach McReadiego błysnął gniew. McLean trafił w czuły punkt.

– Aha, to zaglądasz na czaty dla nastolatek przez zwykłą, bezinteresowną ciekawość?

– Ja jej nie wybrałem. Podali mi imię. Ja tylko zrobiłem to, co mi kazano.

– Ale kto podał ci jej imię? Kto kazał ci ją poderwać?

McReadie nie odzywał się, a McLean spostrzegł, że facet nie tylko się czegoś boi, ale w dodatku jeszcze niepokoi, czy aby już nie powiedział za dużo. Postanowił więc zmienić taktykę.

– A dlaczego chciałeś mnie zrobić, Fergus? Za to, że cię złapałem?

McReadie zaśmiał się – nerwowe, ciche rżęzenie.

– Miałbym wyrzucić w błoto tyle forsy? Bez żartów. To ja popełniłem głupi błąd i dałem się

złapać. Nie mam o to pretensji do nikogo.

– Ryzyko zawodowe, co? W takim razie, dlaczego jednak to zrobiłeś? Chcesz mi dać do zrozumienia, że ktoś cię nakłonił? Narkotyki też ci dali?

Twarz McReadiego wyrażała sprzeczne emocje. Owszem, bał się. Ktoś naprawdę porządnie go nastraszył. Jednocześnie pojawiła się szansa, żeby wyrwać się z tej przeklętej dziury.

– Dobra, a co ja z tego będę miał? Niech pan mnie stąd wyciągnie i załatwi ochronę dla świadków, to może powiem.

– Chciałbym porozmawiać przez chwilę z moim klientem na osobności – wtrącił się adwokat. Jego sępie oblicze sprawiało wrażenie, jakby żuł cytrynę, oczy zaś otwierały się coraz szerzej i szerzej, w miarę jak McReadie się obciążał.

– To chyba całkiem dobry pomysł. Niech pan spróbuje przemówić mu do rozsądku, póki czas. Jeżeli dziewczynie coś się stanie, to nie będzie mowy o żadnej ugodzie.

Wstał. Bob Gburek zastukał w drzwi, żeby przywołać strażnika. Na korytarzu zaczepił ich inny umundurowany pracownik zakładu penitencjarnego.

– Inspektor McLean?

– Tak?

– Telefon do pana.

McLean poszedł za nim, przez korytarz do biura, gdzie na blacie stołu leżała słuchawka. Wziął ją do ręki.

– McLean.

– Tu MacBride, szefie. Pomyślałem, że może będzie pan chciał podjechać. Na tyłach domu pańskiej babci znaleziono zwłoki.

McLean pamiętał, jak będąc dzieckiem, bawił się w tym zaułku. Za dawnych czasów było tam pełno spacerowiczów – skręcało się z ulicy w usłaną liśćmi ścieżkę, prowadzącą wąską dolinką do rzeki. Przez ostatnie lata z braku odpowiedniego oświetlenia miejskiego zaułek stał się mniej popularny, w związku z czym zarósł tak, że stał się niemal niedostępny. Puszki po coli i piwie oraz zużyte prezerwatywy wskazywały wyraźnie, kto teraz tu bywał.

Samochody policyjne całkowicie zatarasowały uliczkę, musieli więc zaparkować w pewnej odległości. McLean i Bob Gburek przeszli po nierównym chodniku w cieniu wielkich starych jaworów, zbliżając się do grupki umundurowanych funkcjonariuszy.

– To tam, szefie! – zawołał MacBride i wskazał na gęste zarośla, w których kłęzczało kilka postaci odzianych w białe kombinezony.

– Kto znalazł zwłoki? – spytał inspektor.

– Starsza pani, która wyszła na spacer z pieskiem, szefie. Wołała go, nie przychodził, więc zapuściła się aż tam, żeby sprawdzić, co go tak zainteresowało.

– Gdzie jest teraz?

– Zabrali ją do szpitala. Przeżyła szok.

Na dźwięk głosu posterunkowego jedna z ubranych na białą postaci, zwrócona dotąd od nich tyłem, wstała i się odwróciła.

– Muszę przyznać, że zapewniasz mi nadzwyczaj interesujących pacjentów, Tony – odezwał się Angus Cadwallader. – Wygląda na to, że ten został ciężko pobity pięściami. Widziałem podobne obrażenia powstałe podczas walk na gołe pięści. Jedyny problem jest taki, że na oko te urazy są niewystarczające, żeby nastąpił zgon.

McLean podszedł bliżej, żeby obejrzeć ciało. Był to niski, grubawy mężczyzna, chociaż może to z powodu wzdęcia pośmiertnego jego brzuch bardziej wydymał jasnoniebieską koszulę niż za życia. Leżał na plecach z ramionami rozłożonymi tak, jakby właśnie się wyciągnął do drzemki. Głowę miał odwróconą na bok, twarz pokiereszowaną, złamany nos. Ubranie było wygniecione i brudne. Na granatowej marynarce widniał mały, czerwony znaczek z napisem „Virgin Rail”.

– Miał jakieś dokumenty?

Posterunkowy McBride podał mu cienki skórzany portfel.

– W środku jest prawo jazdy, twarz pasuje do zdjęcia.

– David Brown, South Queensferry. Coś mi to mówi.

Bob Gburek także podszedł, przyklęknął i przyjrzał się nieboszczykowi.

– Wiem, kto to jest – oznajmił półgłosem. – Przesłuchiwałem go zaledwie kilka dni temu. To był maszynista z pociągu, o który uderzyła Sally Dent. Co on tu robi, na litość boską?

Autopsja Davida Browna miała się odbyć tego samego dnia po południu. McLean zapełnił ten czas papierkową robotą, czyli przekopywaniem się przez stosy dokumentów, piętrzące się na jego biurku. Co z tego, że polecono mu wziąć tydzień wolnego, skoro rozpiski nadgodzin, zamówienia do działu finansowego oraz tysiące innych bezużytecznych szpargałów i świstków wciąż napływały. Co by się stało, gdyby zniknął na miesiąc? Czy wówczas jego gabinet wypełniły się papierami aż po sufit? A może jednak ktoś inny zakasałby rękawy i zabrał się do roboty?

Przerwało mu pukanie. W otwartych drzwiach stanął posterunkowy MacBride, spoglądając ze zdumieniem na panujący w gabinecie chaos.

– Proszę, wejdz, o ile uda ci się wcisnąć.

– Nie, szefie, dziękuję. Pomyślałem, że powinien pan wiedzieć: dziś po południu Emma ma usłyszeć zarzuty.

– Jakie zarzuty?

McLean bezsilnie zacisnął dłonie w pięści, ogarnął go gniew na samego siebie, bo w zamieszaniu dotyczącym Browna sprawa Emmy wyleciała mu z głowy.

– Dagwood chciał pójść na całość, sugerował współudział w zbrodni, jednak wygląda na to, że pani komendant wyperswadowała mu to i przekonała, żeby zadowolił się zakłócaniem biegu śledztwa.

– Niech to szlag! Jak sądzisz, Stuart, czy ona to zrobiła?

– A pan uważa, że tak?

– Nie, ale jeżeli postawili ją w stan oskarżenia, to coś na nią muszą mieć.

– E, tam. Wiadomo, jak funkcjonuje ich laboratorium. Wszyscy używają wszystkich komputerów, każdy zna wszystkie hasła. Zabezpieczenia to fikcja.

Tymczasem McLean wpadł na pewien pomysł.

– Słuchaj, ta strona, na której znalazłeś zdjęcia, nadal działa?

MacBride przytaknął.

– Tak, postawili ją na zagranicznym serwerze. Może potrwać miesiące, zanim uda się ją zdjąć.

– Aha. Miejsca zbrodni nie zostały opisane, prawda? Są tylko zdjęcia.

– Zdjęcia i daty, szefie. O miejscu żadnej wzmianki. Tylko podpisy w typie „zmiażdżony tors” czy „poderżnięte gardło”.

– Ślicznie. A czy udało się określić, skąd pochodzą inne zdjęcia wklejone przez MB, kimkolwiek

ona lub on jest?

– Zdaje mi się, że nikt tego nie próbował. Wystarczyły zdjęcia Smythe'a i Stewarta. Emma robiła zdjęcia w jednej i w drugiej sprawie.

– Tak, tyle że do jej komputera każdy miał dostęp. Zresztą, my też rozwieszamy te fotki w naszych pokojach dochodzeniowych jak dekoracje na Boże Narodzenie. Wyświadc mi przysługę, Stuart. Zanim Emma przyłączyła się do nas, pracowała w Aberdeen. Ściągnij trochę wcześniejszych zdjęć i wyślij je na Queen Street. Chodzi o to, czy ktoś je rozpozna, czy pochodzą z którejsz z prowadzonych przez nich spraw. A poza tym dowiedz się, kto jeszcze niedawno przeniósł się do naszego działu technicznego i zrób to samo, to znaczy sprawdź w poprzednim miejscu pracy.

– Już się robi, szefie! – Oczy MacBride'a zabłyśły entuzjazmem, ruszył pospiesznym krokiem do swojego komputera.

McLean pozazdrościł mu zapału, bo praca papierkowa posuwała się wyjątkowo niemrawo. Sięgnął po kolejną teczkę pełną pozbawionych znaczenia liczb. Potracił przy tym niechcący cały stos i zwałił go na podłogę.

– No żeż kurwa...

Z trudem wy dostał się zza biurka i pochylił, żeby pozbierać szpargały. Były tam również te czki poszczególnych spraw, jedna z nich się otwarła. Martwe oblicze Jonathana Okolo spoglądało na niego z dołu oskarżycielsko. Podniósł zdjęcie, żeby włożyć je z powrotem do te czki, kiedy zauważył leżącą obok teczkę sprawy samobójstwa Petera Andrewsa. Otworzył ją i zobaczył kolejną martwą twarz. Takie samo pełne wyrzutu spojrzenie, jakby obaj mu wypominali, że nie dość się postarał. Dobrze, tylko co ci dwaj mieli ze sobą wspólnego, jeżeli nie liczyć tego, że nie żyją?

– Jak to co? Obaj poderżnęli sobie gardła w miejscach publicznych.

McLean ledwo rozpoznał własny głos. To był zupełnie obłąkańczy pomysł, ale z drugiej strony, rzecz bardzo łatwa do sprawdzenia. Schował zdjęcia do kieszeni marynarki i wyszedł.

Popołudniami w pubie The Feasting Fox panował względny spokój, siedziało tam tylko kilku zapóźnionych lunchowych pijaków, przepłukujących gardła. W powietrzu unosił się swąd przypalonego kiepskiego tłuszczu, który nie był w stanie zagłuszyć przemożnego zapachu kawy, wydobywającego się ze stojącej za barem sfatygowanej maszyny do espresso. Zajętych było tylko kilka stolików, a barman pucował szklanki, zamyślony, z nieobecny m wyrazem twarzy.

– Jednego deucharsa – zajął McLean, bo zauważył kran z emblematem tego gatunku.

– Deuchars nam się skończył. – Barman odwrócił tabliczkę, tak żeby od strony sali nie było jej widać.

– Dobra, nieważne. – McLean sięgnął do kieszeni, wydobył zdjęcia. Wyłożył na kontuar jedno

z nich. – Ten facet tu przychodził?

– A kto pyta?

Inspektor westchnął i sięgnął do kieszeni po legitymację.

– Ja pytam. Prowadzę dochodzenie w sprawie morderstwa, więc oczekuję od pana pełnej współpracy – to dobra rada z mojej strony.

Barman przyglądał się zdjęciu przez dwie sekundy, po czym stwierdził:

– Owszem, przychodzi tu prawie codziennie. Pracuje gdzieś niedaleko. Jednak ostatnio go nie widziałem.

– A czy pamięta pan, żeby kiedyś rozmawiał z tym facetem? – McLean położył obok fotografii zdjęcie Jonathana Okolo.

Barman uniósł wysoko brwi.

– Ależ to jest... No, wie pan przecież.

– Jasne, że wiem – powiedział McLean. – Chodzi o to, czy zauważył pan kiedyś, żeby ci dwaj rozmawiali ze sobą?

– Chyba nie, nie wydaje mi się. Nie wiem, czy tego widziałem, zanim tu przyszedł wtedy.

– A co dokładnie pan widział?

– Mówiłem pana kolegom. Stałem tutaj, za barem. Ruch był jak nie wiem co, rozumie pan, festiwal, sezon, i w ogóle. Spozrzegłem, jak ten koleś wszedł, bo od razu widać było, że śmierdzi i czubek, tyle że zanim go dorwałem, ruszył prosto do kibla. No więc ja za nim, bo my tu takich nie chcemy. Potem widziałem go w kałuży krwi na posadzce. Jezu, ale jatka.

– Czy wtedy w toalecie był jeszcze oprócz pana ktoś inny?

– Czy ja wiem? Chyba nie. – Barman podrapał się po szczecinie killkudniowego zarostu. – Chociaż stop, nie. Nieprawda. Jak ja wchodziłem, ktoś właśnie wychodził. Może nawet i ten koleś, którego mi pan pokazał na zdjęciu. – Wskazał Petera Andrewsa.

– Pewnie nie macie tu monitoringu?

– W kiblu? Nie, to byłoby przegięcie.

– A co z resztą lokalu?

– Owszem, jest parę kamer, jedna przy drzwiach wejściowych, druga na tyłach.

– Jak długo przechowujecie nagrania?

– Tydzień, może dziesięć dni. To zależy.

– A czy ma pan taśmy z tej nocy, kiedy byli tu ci dwaj? – McLean ponownie wskazał zdjęcia.

– Nie, przykro mi. Wasi ludzie je zabrali i jeszcze nie zwrócili.

– Cofnij trochę. Doskonale. Jest.

Jakość nagrania była jeszcze gorsza niż z monitoringu na Princes Street. Kamery nagrywały z prędkością jednej klatki na dwie sekundy, przez co ludzie na filmie skakali jak opętani i znikali

nie wiadomo gdzie. Sprawę utrudniały też mała rozdzielczość i fakt, że zdjęcia powstały w półmroku, ale przynajmniej kamera obejmująca polem widzenia tylne wejście do pubu miała w zasięgu też wejście do męskiej toalety.

Nielatwo im przyszło uzyskać nagranie od Duguida. McLean wiedział, że ze strony tego człowieka nie ma co oczekiwać dobrej woli, bo to przecież zwykły dupek i tyle. Jednak od czasu do czasu nadinspektor mógłby okazać chociaż minimum życzliwości, a nie zawsze stawać okoniem. W końcu jednak dostał zapis z knajpy, dzięki czemu teraz w pokoju przesłuchań numer 4, służącym w wolnych chwilach do pokazów wideo (wystarczyło zaciągnąć rolety), mogli oglądać goście tankujących niemal dwa tygodnie wcześniej w Feasting Fox.

– Ci od narkotyków byliby zachwyceni – stwierdził MacBride, wskazując palcem grupkę klientów, zgromadzoną przy wąskim korytarzyku, przebiegającym obok męskiej toalety do tylnego wejścia.

Po zapisie z drugiej kamery można było się zorientować, co posterunkowy ma na myśli, bo poza tym wszyscy goście tłoczyli się przy barze. Potem otwarły się drzwi i do środka wszedł Jonathan Okolo.

Nawet na tak kiepskim filmie widać było, że jest straszliwie zapuszczony. Kiedy przechodził w podskokach wynikłych z częstotliwości zapisu przez obszar widzenia kamery, inni goście schodzili mu z drogi, rozstępowali się przed nim niczym Morze Czerwone przez Mojżeszem. McLean wcześniej czytał zeznania świadków i zastanawiał się, jak to się stało, że nikt tego człowieka za bardzo nie pamiętał. Teraz tym bardziej się dziwił, bo skoro natychmiast odsuwali się, to znaczy, że potwornie śmierdział..

Kilka sekund po tym, jak Okolo zniknął z pierwszej kamery, pojawił się w drugiej. Szedł do męskiej toalety, tłum rozchodził się na boki. Kilka sekund przerwy, a potem drzwi otworzyły się znowu.

– Zatrzymaj! – polecił McLean.

McBride nacisnął pauzę. Tak. Stopklatka zrobiona pod dziwnym kątem, bo spod sufitu, poza tym zniekształcenia spowodowane przez szerokokątny obiektyw, ale z jakiegoś przedziwnego powodu wychodzący z męskiej toalety mężczyzna podniósł głowę i popatrzył prosto w kamerę, jakby wiedział, że to jego ostatnia ekranowa szansa.

Człowiekiem tym był bez wątpienia Peter Andrews.

– Spóźniłeś się, Tony. To nie w twoim stylu.

– Wybacz, Angus. Coś mi wypadło. Zaczęliście zabawę beze mnie?

McLean rozejrzał się po prosektorium z nietęgą miną. Nie było to jego ulubione miejsce na świecie, a ostatnio spędził w nim nazbyt wiele czasu.

– Aha, zaczęliśmy – przytaknął Cadwallader. Pochylił się nad nagimi zwłokami i przyjrzał dłoniom nieboszczyka. – Zrobiłaś prześwietlenia? – spytał.

– Tak, doktorze – odpowiedziała Tracy. – Są na przeglądardce.

Cadwallader podszedł do ściany, gdzie na podświetlaczu umieszczono całą serię rentgenowskich klisz. McLean stanął obok niego, zadowolony, że nie musi gapić się na trupa.

– Widzisz? – Doktor wskazał palcem kilka jasnych i ciemnych punktów na prześwietleniach. – Wielokrotne złamania kości palców. Patrząc na te zdjęcia, należałoby oczekiwać, że dłonie tego człowieka będą krwawą miazgą. Tak jakby przejechał po nich walec drogowy albo coś w tym rodzaju. A tu nic, ma tylko zadrapania. Owszem, wyglądają paskudnie, ale nie wiążą się z zagrożeniem życia. Na tym nie koniec. – Zdjął zawieszono klisze i umieścił na podświetlaczu następne. – Obie kości udowe popękane w wielu miejscach. Kości strzałkowe i piszczelowe również. Został zaatakowany, lecz nie miał najmniejszych szans, żeby się bronić. Zaawansowana osteoporoza. Jego kości są jak z porcelany – kruszą się przy najlżejszym dotknięciu. Niewiele potrzeba, żeby go zabić. Jak przypuszczam, ułamek żebra przebił mu płuca, facet utopił się we własnej krwi.

McLean spojrział w stronę nieboszczyka.

– Przecież on był maszynistą, prowadził pociągi. Jak mógł wykonywać pracę, mając kości w takim stanie?

– Przypuszczam, że musiał bardzo uważać – stwierdził Cadwallader. – Chociaż wątpię, żeby zdołał utrzymać to w tajemnicy przez dłuższy czas.

Patolog znowu pochylił się nad ciałem zmarłego, a McLean zajął swoje bynajmniej nie ulubione miejsce świadka przeprowadzanej autopsji. Tracy zdołała zdjąć z szyi denata fragmentaryczne odciski palców, po czym wspólnie z Cadwalladerem otworzyli ciało.

– Tak jak przypuszczałem – odezwał się doktor po ciągnących się w nieskończoność minutach, podczas których rozlegał się nieprzyjemny chrzęst. – Czwarte żebro... Oho, piąte też. Oba z prawej strony i prosto w płuco. A po lewej stronie... Tylko piąte. Serce też nie najlepiej się prezentuje. Kto wie, mogło zaprzestać funkcjonowania, zanim zdążył utonąć.

Kiedy było już po wszystkim, a Tracy zajęła się zaszywaniem Davida Browna, McLean wraz z Cadwalladerem przeszedł do gabinetu.

– Zatem jaki werdykt?

– Został ciężko pobity, prawdopodobnie przez osobnika potężnej budowy, ślady palców wskazują na to, że były to palce grube. W normalnej sytuacji mężczyzna w jego wieku i o jego wadze przeżyłby, natomiast ze względu na stan kośćca oraz serca zgon mógł nastąpić w każdej chwili. Mówiłeś, że był maszynistą, tak?

McLean potwierdził.

– W takim razie całe szczęście, że nie zdarzyło się to, kiedy siedział za sterami lokomotywy.

– Pewnie, że szczęście, ale nie dla niego.

– No, nie – przyznał Cadwallader. Milczał przez krótką chwilę, potem dodał, jakby coś sobie przypomniał: – A tak przy okazji, miałaś rację.

– Miałem rację? Miło mi, a w jakiej sprawie?

– W sprawie tego samobójcy, Andrews. Dokonałem powtórnych oględzin ciała, pod jego paznokciami znalazłem mikroskopijne ślady krwi oraz naskórka, chociaż niezwykle starannie wyszorował dłonie, aż powstały podrażnienia. Nawiasem mówiąc, jego ojciec mówił mi, że syn zawsze miał obsesję na punkcie czystości. Co z kolei zastanawia, jeżeli wziąć pod uwagę, jak niechlujny sposób popełnienia samobójstwa sobie wybrał.

– Jakies dane co do tego, czyja to była krew i naskórek?

– Było tego tak mało, że ledwo starczyło na podstawowe badanie, jednak prawie na pewno nie była to jego własna krew. Mogę wysłać tę próbkę do laboratorium, jeżeli chcesz, zrobią testy DNA. Przypuszczam jednak, że ty i tak się domyślasz, czyja to krew.

McLean przytaknął, chociaż akurat w tym względzie wolałby się mylić.

Kiedy wracał do komisariatu, zapadał zmrok. Minął kolejny dzień w biegu, pełen wydarzeń wprowadzających zamęt w jego głowie, który nie zbliżył go ani o krok do odnalezienia Chloe czy wytropienia zabójcy Alison. Czy też tajemniczego „szóstego”. Dobrze, że przynajmniej McReadie siedzi pod kluczem, pomyślał, to już jest coś.

– O, panie inspektorze, szefowa prosi na słówko.

Bill, sierżant dyżurny, uruchomił brzęczyk, otwierając wejście.

– Mówiła, o co chodzi?

– Nie, tyle że to pilne.

McLean przebieł pospieszным krokiem kręte korytarze, zachodząc w głowę, co znowu takiego mogło się zdarzyć. Nie bez obaw zapukał w futrynę drzwi do gabinetu pani komendant. McIntyre spojrzała w jego stronę znad jakichś papierów, skinęła dłonią, żeby wszedł.

– Właśnie rozmawiałam przez telefon z Jamiesonem, naczelnikiem policji w okręgu Glasgow

Central i West Division. Okazuje się, że twój młody protegowany, posterunkowy MacBride, wysłał mu bardzo ciekawe zdjęcia i Jamieson usilnie chciał się dowiedzieć, skąd się wzięły.

Aha, a więc Glasgow, nie Aberdeen. McLean odetchnął z ulgą.

– Zapewne je rozpoznał.

– A i owszem. To były zdjęcia ze spraw z ostatnich trzech lat. Pewnie czytałeś w gazetach o ostatniej fazie wojny lodziarzy.

Rzecz jasna, McLean pamiętał doskonale, przy czym lody w wydaniu twardzieli z Glasgow oznaczały pewną zupełnie inną substancję.

– Ile miejsc zbrodni rozpoznał?

– Tego nie powiedział, natomiast możemy stwierdzić z całą pewnością, że ten, kto umieścił fotografie w internecie, w tamtym czasie miał swobodny dostęp do zasobów komputerowych policyjnego wydziału technicznego w Glasgow. Niejaka Emma Baird odbywała wówczas szkolenie w Aberdeen, więc nadinspektor Duguid musiał ją wypuścić, a nawet przeprosić, co też uczynił, choć z wielką niechęcią.

Cholera. Znowu to zrobił. Po raz kolejny wtrącił się do sprawy Duguida i rozwiązał ją za niego.

– Jedyne częściową pociechą dla nadinspektora jest fakt, że prawdziwy winowajca siedzi teraz w celi, którą dopiero co zwolniła panna Baird.

– Przykro mi, pani komendant. Panna Baird zasługiwała na to, żeby rzetelnie rozpatrzyć jej sprawę.

– Aha. Zwłaszcza po tym, jak zaprosiłeś ją na kolację, co? – spytała McIntyre, unosząc brwi. – Nie chciałabym, żebyś źle mnie zrozumiał, Tony, bo uważam cię za bardzo dobrego detektywa, ale jeżeli nadal będziesz nadeptywał ludziom na odciski, zostaniesz inspektorem do końca swojej kariery.

Cóż, ludziom zdarzają się gorsze rzeczy. Zupełnie nie interesowało go wspinanie się na szczyty po szczeblach hierarchii zawodowej – a właściwie wspinanie się po cudzych plecach i głowach. Zamierzał zajmować się jedynie chwytnymi przestępców.

– Będę o tym pamiętał, pani komendant.

– Pamiętaj, Tony, pamiętaj. Dobrze na tym wyjdiesz. Przez dzień czy dwa nie wchodź w drogę Charlesowi Duguidowi, bo facet wściekł się jak rzadko kiedy.

McLean niemal biegiem przemknął przez korytarze komisariatu do swojego gabinetu w nadziei, że uda mu się nikogo nie spotkać i nikt nie będzie go rozpraszał. Koniecznie należało przenieść najnowsze wnioski ze swojej głowy na papier, zanim o nich zapomni i przepadną. Chodziło o nieokreślone powiązania między Jonathanem Okolo, Andrewsem, Sally Dent i Brownem. Każde z nich było świadkiem śmierci tego poprzedniego. McLean nie miał ochoty

myśleć o tym, jak wiązało się to ze słowami wypowiedzianymi przez madame Rose. Musiało istnieć racjonalne wyjaśnienie, ale nie przychodziło mu do głowy nic lepszego niż hipoteza, że ktoś tymi ludźmi manipulował – najpierw skłonił ich do zabójstwa, a potem do samobójstwa. Tylko czy to możliwe? Jeżeli nawet mogło tak być, to kto zabił Browna, porzucił jego zwłoki w zaułku i gdzie szukać zabójcy? A poza tym, skoro ktoś miałby w ten sposób sterować działaniami tych ludzi, kogo uprzednio zamordował Brown?

W gabinecie czekał na niego list, leżał na szczycie najnowszego stosu dokumentów do przejrzania. Zaadresowany był ręcznie, na kopercie widniało logo firmy prawniczej Carstairs i Weddell. Koperta zawierała jedną, gęsto zapisaną kartkę, najwyraźniej skreśloną w pośpiechu, pismem trudnym do odczytania. Odwrócił ją, zobaczył podpis i wydrukowane pod nim imię oraz nazwisko: Jonas Carstairs. Wcisnął się za biurko, przysunął lampę, żeby przeczytać w lepszym świetle.

Drogi Anthony!

Jeżeli czytasz ten list, to znaczy, że nie żyję, przyszło mi bowiem odpokutować za grzechy młodości. Nie ma usprawiedliwienia dla tego, co uczyniłem, dopuściłem się wstrętnej zbrodni, za którą bez wątplenia będę smażył się w piekle. Spróbuję jednak wytłumaczyć. Może zdołam jednak coś naprawić?

Dobrze znałem Barnaby'ego Smythe'a. Chodziliśmy razem do szkoły, obaj w tym samym czasie przenieśliśmy się do Edynburga. Tam też poznałem Buchana Stewarta, Bertiego Farquhara i Toby'ego Johnsona. Kiedy zaczęła się wojna, wszyscy razem wstąpiliśmy do wojska i wylądowaliśmy w Afryce Zachodniej. Służyliśmy w wywiadzie, naszym zadaniem było uniemożliwienie Hitlerowi dostępu do informacji, które mogłyby mu się przydać. Całkiem nieźle się pod tym względem sprawiliśmy. Jednak wojna zmienia ludzi, a w Afryce widzieliśmy takie rzeczy, jakich żadna ludzka istota oglądać nie powinna.

Zukam dla siebie usprawiedliwień, a tymczasem nie ma usprawiedliwienia dla tego, co zrobiliśmy w 1945 roku, po powrocie do ojczyzny. Ta nieszczęsna dziewczyna umierała tak długo, wciąż jeszcze nocami słyszę jej krzyki. A teraz gdy jej szczątki odnaleziono, biedny Barny został zamordowany, Buchan także. Bestia także przyjdzie po mnie. Czuję już, jak się zbliża. Kiedy mnie zabraknie, pozostanie już tylko jeden z nas – ten, który to wszystko zapoczątkował.

Nie mogę go wskazać, zламаłbym bowiem w ten sposób przysięgę, która wiąże mnie silniej niż honor. Ty go znasz, Tony, a on zna Ciebie; jest to człowiek, który dla nas wszystkich był wzorem, podczas wojny nie raz i nie dwa uratował nam życie, a następnie zwiódł nas i sprawił, że dokonaliśmy zbrodni. On na nowo zgromadzi wokół siebie młodych głupców i zechce powtórzyć ten szalony rytuał. Tylko w ten sposób może się bronić. Obawiam się, że zginie z tego powodu kolejna niewinna istota. Jednak jeśli mu się nie powiedzie, uwięziony przez nas stwór

wydstanie się na wolność, aby zabijać. Istota niezająca niczego prócz przemocy i okrucieństwa.

Tvoja babcia prosila mnie o przekazanie różnych wiadomości. Chodziło o pewne sprawy, o których nie chciała ci opowiadać za swojego życia. Sprawy krępujące, bolesne, chociaż w rzeczywistości nie można jej niczego zarzucić. Ten list to nie jest odpowiednie miejsce, by o nich opowiadać. Przekażę ci te wiadomości osobiście albo zabiorę je ze sobą do grobu. Kiedyś wydawały się ważne, ale tak naprawdę mają niewielkie znaczenie. Najwyraźniej nie stałeś się kimś, kim obawiała się, że mógłbyś się stać, więc może najlepiej, jeśli na tym poprzestanę.

Dzisiaj zmieniłem moją ostatnią wolę, przekazałem Ci cały mój osobisty majątek. Proszę, nie sądz, bym próbował w ten sposób oczyścić swoje sumienie. Jestem potępiony i dobrze o tym wiem. Ty jednak możesz cofnąć to, co ja, Barny i pozostali uczyniliśmy, a ja nic więcej nie mogę zrobić, żeby Ci w tym dopomóc.

Z poważaniem, skruszony
Jonas Carstairs

McLean przez długie minuty przyglądał się nakreślonym literom, od czasu do czasu odwracał kartkę na drugą stronę, tak jakby potrzebna mu informacja tam właśnie miała się znajdować. Carstairs nie wyjawiał tego, co najważniejsze, nie wymienił z nazwiska ich prowodyra. I co właściwie miał znaczyć ten fragment o jego babci? Jak przystało na rasowego prawnika, Carstairs pilnował się do końca, żeby niczego konkretnego nie powiedzieć. Tylko jakieś zawołane aluzje. Właściwie było to niemal bardziej frustrujące, niż gdyby tego listu w ogóle nie było. Dowiedział się jedynie tego, czego i tak się domyślał – jeśli nie liczyć zapowiedzi kolejnego brutalnego morderstwa.

Potem wreszcie skojarzył. Kolejne morderstwo. Powtórne odprawienie rytuału. Młoda dziewczyna, u progu kobiecości. Teraz już wiedział, po co została porwana Chloe Spiers. Było to tak oczywiste, że miał ochotę sam sobie wymierzyć kopniaka za to, że wcześniej na to nie wpadł. Sięgnął po telefon, który w tej samej chwili zadzwonił w jego ręce.

– McLean – warknął niecierpliwie, chciał jak najszybciej skończyć rozmowę. Czas umykał, a on musiał uzyskać odpowiedzi na pytania i tym razem żaden adwokat o sępiej twarzy nie stanie mu na drodze.

– Tu mówi MacBride, szefie. Właśnie dzwonili z Saughton.

– Poważnie? Właśnie miałem do nich zatelefonować. Musimy natychmiast porozmawiać z McReadiem. On wie, kto porwał Chloe Spiers, a ja wiem, co chcę jej zrobić.

– Tak, szefie, ale to może być trudne.

McLean poczuł, że coś ściska go za gardło.

– Co się stało?

- McReadie powiesił się dziś wieczorem w swojej celi. Nie żyje.

McLean siedział w zaciemnionym pomieszczeniu nadzoru wideo więzienia Saughton. Na ekranie widział, jak do pokoju odwiedzin wszedł rostry mężczyzna, usiadł przy jedynym stole. Ubrany był zwyczajnie: ciemna skórzana kurtka i spłowiałe dżinsy, koszulka z logo, którego nie dało się odczytać. W tym kontekście McLean nie potrafił go umiejscowić, natomiast niewątpliwie gdzieś już tego faceta widział.

– Znam tego człowieka. Jak się nazywa?

Oficer służby więziennej, który mu towarzyszył, zajrzał do spisu.

– Wpisał się jako Callum. J. Callum. Adres w Joppa.

– Ktoś to sprawdził?

Odpowiedź była jasna: wzruszenie ramionami. McLean zapisał nazwisko i adres i znowu spojrzal na ekran. Po chwili do pomieszczenia strażnik wprowadził McReadiego. Włamywacz na widok osiłka nie zareagował przerażeniem, jak mógłby się tego spodziewać inspektor. Widać tylko było, że ma się na baczności.

– Mamy zapis audio? – spytał McLean.

Strażnik potrząsnął głową.

– A skąd. Dobrych parę lat temu był straszny rwetes o prawa człowieka i takie tam inne. Dziwię się, że jeszcze możemy trzymać ich pod kluczem.

McLean pokiwał głową w niemym porozumieniu ze strażnikiem co do szaleństwa ogarniającego świat. Odwrócił się, żeby obserwować akcję na ekranie. Obaj mężczyźni rozmawiali ze sobą przez kilka minut. McReadie ożywił się coraz bardziej, gestykulował, po czym nagle znieruchomiał, ręce mu opadły, patrzył na gościa jak zahipnotyzowany. Minęło jeszcze pół minuty, osilek wstał i wyszedł. Pojawił się strażnik, który odprowadził bardzo potulnego McReadiego, potem nagranie się skończyło.

– Około pół godziny później robiliśmy rutynowy obchód po celach i znaleźliśmy go martwego. Podarł koszulę na pasy i z tego skręcił sznur, na którym się powiesił.

– Dziwne. Nie był typem samobójcy.

– Właśnie. Nie został umieszczony w monitorowanej celi pod szczególną obserwacją ani nic takiego.

Strażnik sprawiał wrażenie niespokojnego. Pewnie bał się, że czekają go kłopoty. Z punktu widzenia inspektora McReadie wyrządził światu niemalą przysługę. Jednak przysługa ta byłaby większa, gdyby przedtem zdradził im, gdzie znajduje się Chloe i kto jest jego tajemniczym

zleceńodawcą. Cóż, oznaczało to, że pozostała tylko jedna osoba, z którą można było porozmawiać.

– Ja wiem, co oni jej zrobią, panie Roberts. A pan?

Minęła kolejna godzina, kolejne sześćdziesiąt minut dzielące od chwili, gdy będzie za późno. O ile już nie było za późno. McLean znowu znalazł się w komisariacie, usiłując wydusić coś od kompletnie spanikowanego i przerażonego Christophera Roberta.

– Otóż przybiją gwoździami jej dłonie i stopy do podłogi. Potem ją zgwałcą. Potem rozetną jej brzuch. Będzie ciągle żyła, a oni zaczną wydobywać po kolei jej wewnętrzne organy. Na żywca. Będzie ich sześcioro, każdy dostanie swoją część wnętrza. Miał pan być jednym z tych sześciu mężczyzn, panie Roberts? Czy Fergus McReadie też miał do nich należeć? Problem w tym, że obaj nie załapiecie się na nieśmiertelność czy cokolwiek tam wyobrażaliście sobie, pojeby, że będziecie z tego mieć. Pan siedzi tutaj, a Fergus nie żyje.

Na tę wieść Roberts jęknął cicho, ale nie powiedział nic więcej.

– Mamy rezultaty oględzin wozu. Wiemy, że Chloe w nim była – skłamał McLean.

Wydział techniczny nadal pracował powoli, choć Emma została oczyszczona z zarzutów. Było jasne, że minie sporo czasu, nim Dagwooda da się nakłonić, żeby przeprosił technicznych – zwłaszcza że wyciek nastąpił i to właśnie stamtąd. Tym więcej czasu upłynie, nim ktoś zechce poświęcić nieco uwagi bmv Roberta.

– Dokąd pan ją zawiózł? Do kogo? Czy do Calluma?

To nazwisko wywołało pewną reakcję; Roberts nerwowo zamrugnął oczami.

– Jak on umarł? – spytał cichym, drżącym głosem.

– Co takiego?

– Fergus. Jak on umarł?

McLean oparł się łokciami o stół, zbliżając swoją twarz do twarzy Roberta.

– Podarł koszulę na pasy, zrobił z nich pętlę, którą zawiązał sobie wokół szyi, drugi koniec przymocował do pryczy w celi i posłużył się własnym ciężarem, żeby się udusić.

Przerwało im ciche pukanie do drzwi. McLean odsunął się od stołu.

– Wejść.

Przez otwarte drzwi wsunął głowę posterunkowy MacBride.

– Mamy wyniki badań, które mogą pana zainteresować, szefie.

– A co to takiego, Stuart?

– Odciski palców z szyi Davida Browna, szefie. Zgadzą się całkiem nieźle z odciskami tego pańskiego Calluma. Facet jest notowany, zadawał się z gangiem ulicznym w Trinity. Potem zniknął, to było jakieś dziesięć lat temu. Od tego czasu nikt go nie widział.

– A teraz wrócił. Dziękuję ci, Stuart.

McLean odwrócił się z powrotem w stronę Roberta. Nadszedł czas, by spróbować innej taktyki.

– Niech pan posłucha, panie Roberts. Wiemy, że działał pan pod naciskiem. Jest pan prawnikiem, nie mordercą. Możemy zapewnić panu ochronę, tak jak zapewniliśmy ją pańskiej żonie. Jednak musi nam pan pomóc. Jeżeli nie znajdziemy Chloe, to wkrótce będzie za późno.

Roberts siedział na niewygodnym plastikowym krześle i wpatrywał się w ścianę naprzeciwko. Uniikał spojrzenia McLeana, jego twarz przybrała trupio błądy odcień.

– Dopadli Fergusa. To na pewno oni. Nie mogę nic powiedzieć. Dowiedzą się i mnie zabiją.

– Przekaż wszystkim patrolom rysopis Calluma.

McLean siedział w swoim ciasnym pokoiku dochodzeniowym razem z posterunkowym MacBride'em i Bobem Gburkiem. Walczył z poczuciem beznadziei, ogarniającym go po nieudanym przesłuchaniu Roberta. Poza tym nie dawało mu spokoju, że nie może przypomnieć sobie, skąd zna tego wysokiego mężczyznę. Nazwisko też brzmiało znajomo, ale na nagraniu z więziennego monitoringu nie było dobrze widać jego twarzy.

– Aha, sprawdź też, czy mamy w kartotekach jego zdjęcie, dobrze?

Zdawał sobie sprawę, że nie powinien się zajmować zaginięciem Chloe, ponieważ to dochodzenie podlega Bobowi Gburkowi, ale stary sierżant najwyraźniej chętnie mu je odstąpił. MacBride sięgnął po krótkofalówkę i zaczął wywoływać patrole. Tymczasem McLean spoglądał na przypięte do ściany fotografie. Wykradzione ciało, zakonserwowane wnętrzności. Po co ktoś miałby je kraść? Do czego im to potrzebne?

– Jezuu, ale ze mnie debil! – McLean zerwał się na równe nogi.

– Co się stało?

Bob Gburek popatrzył na niego, zaniepokojony. Posterunkowy MacBride opuścił krótkofalówkę.

– Jasna cholera, to oczywiste. Mogłem od razu na to wpaść.

– Na co wpaść?

– Dokąd zabrali zwłoki – odpowiedział McLean, pokazując im zdjęcia na ścianie – i gdzie zamierzają zabić Chloe.

Wieczorne niebo płonęło gniewną czerwienią, gdy przejeżdżali przez bramę wiodącą do Farquhar House. Tommy McAllister nie tracił czasu, najwyraźniej zdążył zabrać z placu budowy wszystkie maszyny i urządzenia. Okna domu wciąż były zabite dyktą, a porwana biało-niebieska taśma policyjna trzepotała na wietrze. Okna na parterze sprawiały wrażenie, jakby nikt ich nie dotykał, odkąd ostatnio tam byli, drzwi zamknięto na solidny rygiel i kłódkę.

– Łom. Tak myślę. Nie będziemy tracić czasu i szukać kluczy.

McLean posłał posterunkowego MacBride'a do samochodu po odpowiednie narzędzie, gdy tymczasem on i Bob rozejrzeli się, żeby sprawdzić, czy nie znajdują jakichś śladów. Ziemia na placu budowy została tak zryta, że nie sposób było cokolwiek stwierdzić.

Tymczasem wrócił posterunkowy z długą łyżką do opon. Po kilku chwilach zawziętego zmagania się z rygłem udało się go oderwać od drewnianych drzwi, czemu towarzyszył głośny trzask. Wewnątrz budynku pachniało wilgocią i pustką, ciemno było jak w grobie. McLean włączył latarkę, przeszedł pusty przestronny hall, kierując się ku schodom prowadzącym na dół. Drzwi były zamknięte na klucz. Kopnął je z całej siły, przeżarte przez korniki drewno ustąpiło. Wzniesił przy tym tuman pyłu, aż wszyscy trzej zaczęli kaszleć, nie zatrzymał się jednak, zbiegł po schodach w poczuciu, że nie ma ani chwili do stracenia.

W piwnicy nie było już lamp, ale w ścianie wciąż ziała mroczna dziura. McLean poświecił przez nią latarką i zamarł. Pośrodku ukrytego pomieszczenia leżała dziewczyna z rozpostartymi ramionami, jej dłonie i stopy przybito do drewnianej podłogi nowiutkimi lśniącymi gwoździemi. Głowa odgięła się do tyłu w nieskończonym krzyku cierpienia, brzuch rozcięto, w blasku latarki połyskiwały żebra. Poświecił na ścianę, w sześciu wnękach stało sześć słoików.

Potem usłyszał stłumiony szloch. Rozejrzał się, skierował światło latarki na drugą postać, skuloną pod ścianą, o nadgarstkach i kostkach zakutych w łańcuchy przymocowane do białego w tynk połyskującego nowego haka. Wciąż jeszcze miała na sobie strój w stylu lat dwudziestych, chociaż gdzieś po drodze zgubiła kłoszowy kapelusz. Strugi łez spłykały czarny tusz, zostawiając smugi na policzkach, nadgarstki miała starte do krwi od szarpania się z okowami, ale żyła. Chloe Spiers była żywa.

McLean wszedł do środka i natychmiast poczuł, że temperatura spadła, jakby znalazł się w lodówce. Poświecił latarką na własną twarz, żeby Chloe zobaczyła, kim jest, potem pochylił się, by odkleić z jej ust kneblującą taśmę.

– Już dobrze, Chloe. Jestem policjantem. Zabierzemy cię do domu.

Podkulila kolana, nie mówiła nic, podczas gdy on zdejmował z niej kajdany. Niespokojnie rozglądała się po ciemnym pomieszczeniu, jej wzrok kierował się w stronę ciemnego kształtu majaczącego pośrodku. Ile czasu tam spędziła, sam na sam ze zwłokami? Co zdążyła zobaczyć, zanim zgasili światło i odeszli?

– No, już.

Pomógł jej wstać, właściwie podniósł ją i wziął na ręce. Ruszył ku pozostałym, którzy czekali na zewnątrz.

– On chciał mi wypruć wnętrzności. Tak jak jej, przed laty. Ona mi to powiedziała. W ciemności.

Głos Chloe brzmiał podobnie jak głos jej matki, mówiła cicho, drżąc, wtulona w pierś inspektora.

– Już dobrze, Chloe. Teraz już nic ci nie grozi. Jesteś bezpieczna. – McLean próbował mówić kojące słowa, ale nagle zrozumiał, co mu właśnie powiedziała. – Kto chciał cię skrzywdzić?

– Człowiek z pokiereszowaną twarzą. On ją zabił. On chce mnie zabić.

Nagle wszystko nabrało sensu. O ile szaleństwo może mieć jakikolwiek sens.

Wsparcie nadciągnęło, kiedy wychodzili z Farquhar House. McLean niósł Chloe, która przywarła do niego tak, jakby od tego zależało jej życie. Trochę trwało, nim namówił ją, żeby odjechała z ratownikami; zgodziła się dopiero wtedy, gdy powiedział, że jedzie po tego „z pokiereszowaną twarzą”. Na miejscu zostawili Boba Gburka, żeby dopełnił wszystkich formalności i czekał na panią komendant, która z pewnością się pojawi – bądź co bądź, to było jego śledztwo. Posterunkowy MacBride prowadził, ale nie od razu zdołali wyjechać z podjazdu, bo wciąż nadjeżdżały kolejne policyjne samochody.

– Dokąd teraz, szefie? – spytał, kiedy wreszcie udało im się wjechać na Dalry Road.

McLean podał mu adres rezydencji, znajdującej się całkiem blisko domu jego babci. Rezydencji, do której został zawieszony samochodem prowadzonym przez ubranego w garnitur Jethra Calluma. W tej okolicy znaleziono ciało Davida Browna. Zaraz, czy ta zapomniana alejka nie przylega przypadkiem do tamtej posiadłości? – zastanowił się inspektor.

– Jedź w kierunku Grange i włącz koguta.

Wyjaśnił MacBride’owi, jak dojechać, a potem rozparł się wygodnie w fotelu pasażera. Patrzył, jak samochody rozstępują się przed ich wozem.

– Jak pan na to wpadł, szefie? To znaczy, że ona tam będzie?

– Dostałem list od Jonasa Carstairsa. Pośmiertny. Przyznał się w nim do morderstwa i wymienił pozostałych, których podejrzewaliśmy. Napisał, że był też szósty osobnik, tak jak sądziliśmy. Niestety, nie wyjawił jego tożsamości, czyli za bardzo nam nie pomógł. Dodał jednak, że ten człowiek wrócił do Edynburga i zechce powtórzyć ten sam rytuał. Gdzie indziej miałby to zrobić?

– Nieźle pan to wykombinował, szefie.

– Cóż, nie powiedziałbym. Powiniennem skojarzyć to wszystko dużo wcześniej. Przynajmniej wówczas, gdy zorientowaliśmy się, że Roberts zabrał Chloe do samochodu. Działał jako przedstawiciel kogoś, kto chciał nabyć ten stary dom i gotów był wykupić tę posiadłość od dewelopera, a więc sporo przepłacić. Nie wiedziałem tylko, kto to taki. Skupiłem się na tej kwestii, a powiniennem zapytać, dlaczego chciał kupić.

– A teraz już pan wie?

– Człowiek z pokiereszowaną twarzą, powiedziała Chloe. Spotkałem takiego mężczyznę kilka dni temu, był dawnym przyjacielem mojej babci. Nawet wspomniał, że przyjechał do miasta, żeby zakończyć pewną niezłałatwioną sprawę. Jezu! Czasami jestem taki tępy! To Gavin

Spenser. Jethro Callum jest jego szoferem, a pewnie także kimś więcej. Natomiast Roberts działał z pełnomocnictwa Spenser Industries. Widziałem ich logo na papierach u McAllistera, ale skojarzyłem dopiero teraz.

Resztę drogi spędzili w pełnym napięcia milczeniu. Gdy znaleźli się w pobliżu budynku, MacBride wyłączył błyskające światło, żeby niepotrzebnie nie płoszyć delikwenta. McLean prowadził go ulicami, które przemierzał od zarania swojego życia; mijali domy znane sobie od zawsze. Teraz wydawały się obce i groźne.

– Zaparkuj tutaj. – Wskazał otwartą bramę.

Światło padające z okien na parterze połyskiwało na lśniącej karoserii smukłego bentleya, stojącego przy ganku. Zbliżając się do budynku, McLean poczuł, że ogarnia go lęk, co nie zdarzało mu się często. W następnej chwili spostrzegł, że drzwi frontowe są otwarte. Wszedł do środka, chciał działać jak najszybciej, ale przecież przez całe lata szkolono go, by przede wszystkim zachowywał rozwagę. W hallu najpierw ujrzał majestatyczne dębowe schody. Ozdobne panelowe drzwi prowadziły do pomieszczeń po obu stronach, otwarte były tylko jedne.

– Może powinniśmy... – zaczął MacBride.

McLean uciszył go, podnosząc rękę. Pokazał mu w stronę tyłu domu, żeby tam sprawdził, a sam przeszedł na palcach przez hall w stronę otwartych drzwi, bo zdawało mu się, że dociera zza nich ledwo dosłyszalny odgłos. Nieprzyjemny, mlaskający odgłos. Zacerpnął tchu, pchnął drzwi i wszedł.

Był to zaskakująco nowocześnie urządzone gabinet. Pewnie za niewielkim biurkiem pracowała sekretarka, ale teraz jej krzesło było wolne. Za nim ciągnęła się otwarta przestrzeń z kilkoma wygodnymi kanapami i niskim stolikiem między nimi. Dalej stało duże biurko, za którym siedział Gavin Spenser.

Był nagi do pasa, jego ubranie, schludnie poskładane, leżało obok na niskiej szafce. Leniwe muchy pełzały po białym cieple, brzęczały, krążąc wokół zgęstniałej krwi spływającej po jego palcach. Pokryta bliznami twarz była blada jak tynk, ślepe oczy spoglądały w zastygłym wyrazie przerażenia. Klatka piersiowa została rozcięta. Nie żył od dłuższego czasu. Gdyby McLean miał zgadywać, powiedziałby, że ktoś wydobyl z niej serce.

Wyczuł jakiś cień, ruch, i momentalnie zadziałał instynkt. Odwrócił się na ugiętych nogach i w tej samej chwili rzucił się na niego potężny mężczyzna. Jethro Callum trzymał w dłoni myśliwski nóż, a poruszał się z płynną gracją, całkiem niepasującą do ociężałej na pozór postaci. Nigdy nie zakładaj, że ciężki przeciwnik porusza się powoli, tego nauczyli inspektora na zajęciach z samoobrony. Wykonał unik, przygotował się do zablokowania spodziewanego ciosu. Tymczasem Callum, zamiast podjąć walkę, cofnął się i podniósł nóż do szyi.

– Nie! – wrzasnął McLean i rzucił się w jego stronę, wytrącając mu nóż z dłoni.

Obaj runęli na podłogę. Inspektor miał tę przewagę, że znalazł się na wierzchu, jednak jego przeciwnik był o dobre trzydzieści centymetrów wyższy i przy tym prawdopodobnie ze dwa razy cięższy. Muskulary pod skórzaną kurtką były twarde jak kamień, napięte i sprężyste. Nie tyle zepchnął z siebie McLeana, co odrzucił go ruchem ciała, po czym przetoczył się na bok i sięgnął po nóż.

McLean wyszarpanął z kieszeni kajdanki, otworzył je, skacząc jednocześnie do przodu. Poślizgnął się na czymś mokrym, stracił równowagę i upadł na plecy Calluma. Obaj znów zwalili się na podłogę, ale McLeanowi udało się zatrzaskać jedną z bransoletek. Callum sięgał po nóż, tłuste paluchy desperacko wczepiły się w dywan. Posługując się kajdankami, McLean wykręcił mu rękę mocno do tyłu i do góry, tak że dłoń Calluma znalazła się między jego łopatkami, jednocześnie docisnął jego kark kolanem, wgniatając twarz przeciwnika w dywan. Mimo to wielkolud wciąż kopał nogami, wyciągał łapę po nóż, szarpał się i wyrywał, próbując zrzucić ze swojego grzbietu dławiący go ciężar.

McLean wiedział, że nie zdołałby przejąć kontroli nad drugą ręką Calluma ani pierwszy sięgnąć po nóż. Gorączkowo rozejrzał się za czym innym, czego mógłby użyć w charakterze broni. Jego wzrok spoczął na porcelanowym wazonie, stojącym na specjalnie dla tego celu przeznaczonym dębowym stoliku. Akurat w zasięgu ręki. Pochwycił naczynie, przez ułamek sekundy pożałował, bo rozpoznał bardzo cenny okaz Clarice Cliff, ale momentalnie roztrzaskał wazon o czerep Calluma. Osilek stęknął, stalowe mięśnie zwiotczały – stracił przytomność. W hallu rozległ się tupot stóp, a gdy McLean spojrział w stronę drzwi, ujrzał w nich MacBride'a.

– Dzięki za pomoc – wysapał.

– Dziesięć lat temu Spenser zatrudnił go jako swojego goryla i zabrał ze sobą do Ameryki. Dlatego straciliśmy typka z oczu. Nigdy byś nie zgadł, kto w dawnych czasach należał do tego samego gangu co on.

– Donnie Murdo?

– Właśnie on. Przypuszczam, że Murdo na polecenie Spensera potrafił Alison. Pewnie chciał odwrócić w ten sposób naszą uwagę od śledztwa w sprawie Chloe. Chryste, co za wstrętny, głupi powód, żeby kogoś zabić.

Bob Gburek kopnął niczemu niewinny kosz na papiery, posyłając go w przeciwległy kąt pokoju, przy czym cała zawartość rozsypała się na podłogę.

– A domyślasz się, dlaczego nagle postanowił zamordować swojego szefa i dobroczyńcę?

McLean spojrział przez weneckie lustro na potężną postać Jethra Calluma. Niestety, chyba odgadł ten powód, ale bardzo mu się to nie podobało.

– Najlepiej jego o to zapytać – odpowiedział.

– Dobra, Bob. Miejmy to za sobą.

Skrzywił się, wstając. Miał złamane trzy żebra i zyskał podczas starcia z olbrzymem siniaka w kształcie Polski. Mniej więcej mógł sobie wyobrazić, co David Brown musiał czuć przed śmiercią.

Callum nie poruszył się, kiedy otworzyli drzwi, nawet nie zwrócił uwagi na ich obecność. McLean stęknął cicho, siadając na krześle naprzeciwko niego. Bob Gburek rozpakował dwie taśmy i włożył je do magnetofonu, po czym nastawił urządzenie, a szofer-wielkolud cały czas milczał. McLean odmówił obowiązkową formułkę, oparł się łokciami o stół.

– Panie Callum, dlaczego zabił pan Gavina Spensera?

Ochroniarz powoli uniósł głowę. Najwyraźniej z trudem przychodziło mu skupienie wzroku, jego twarz wyrażała przerażone zdumienie, jak gdyby dopiero teraz zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje.

– Kim ty jesteś? – spytał.

– Już to przerabialiśmy, panie Callum. Jestem detektyw inspektor McLean, a to mój kolega, detektyw sierżant Laird.

– Gdzie ja jestem? – Callum szarpnął kajdankami. – Dlaczego tu się znalazłem?

– Naprawdę mam uwierzyć, że pan tego nie wie, panie Callum?

McLean przyglądał się twarzy ochroniarza. Tylko rodzona matka mogłaby kochać kogoś

o obliczu noszącym ślady niezliczonych bójek, o spłaszczonym i krzywym nosie, oczach położonych zbyt blisko siebie, by pozostawić choćby cień nadziei na przebłysk zwyczajnej ludzkiej inteligencji. Jednak coś za tą twarzą się kryło i McLean to wyczuł. Jednocześnie poczuł, że to coś wyczuło jego obecność. Callum przestał się szarpać, rozluźnił się, pochylił do przodu.

– Znam cię. Czuję już twój zapach. Otoczyłeś się kręgiem, ale on cię przede mną nie ocali. Łączy nas przeznaczenie, ciebie i mnie. Masz to we krwi. W jego krwi.

O ile wcześniejsze słowa Calluma były bełkotliwe i niepewne, to teraz mówił wyraźnie, stanowczo. Głosem całkiem innej osoby, kogoś, kto dysponuje mocą i przywykł do posłuszeństwa.

– Dlaczego zabiłeś Gavina Spensera? – McLean powtórzył pytanie.

– Był ich prowodyrem. On był ostatni. Zabiłem go, aby odzyskać wolność.

– Ostatni? To znaczy, że tamtych też zabiłeś?

– Wiesz dobrze, kogo zabiłem, inspektorze, i dobrze wiesz, że wszyscy na to zasłużyli.

– Niczego podobnego nie wiem. Kogo zabiłeś? Jak oni się nazywali? Dlaczego zasłużyli na śmierć?

Callum patrzył mu prosto w oczy, jego twarz była jak z kamienia. Nagle jego rysy zmiękły, zupełnie jakby niespodziewanie przypomniał sobie coś budzącego w nim silne uczucie. Oczy rozwarł szeroko, rozdziawił usta. Popatrzył na lewo i na prawo, rozejrzał się gorączkowo po ciasnym pokoju przesłuchań. Ponownie szarpnął za kajdanki i znowu, potem zdał sobie sprawę, że nie da rady. Skulił ramiona. Łzy napłynęły mu do oczu, zaczęły spływać po policzkach. Z ust dobył się bełkot przerażonego dziecka:

– Obożeobozęobozęobozęobozę...

McLean obserwował, jak potężny olbrzym kołysze się na krześle. Z pewnością gdyby nie kajdanki, Callum zwinąłby się w kłębek w kącie pokoju. Przez krótką chwilę coś tam było, lecz cokolwiek pchnęło tego człowieka do popełnienia tak okrutnego morderstwa, odeszło. Pozostała mu tylko świadomość tego, co uczynił.

– Przesłuchanie zawieszono do dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt dwa. – McLean wstał, stęknął znowu, poczuwszy swoje żebra. Wyłączył magnetofon. – Niech go odprowadzą do celi. Rano spróbujemy znowu.

Bob otworzył drzwi pokoju przesłuchań i przywołał dwóch nieumundurowanych posterunkowych. Wzięli Calluma między siebie, potem jeden z nich wsadził kluczyk do zamka kajdanek.

Wydarzyło się to w jednej krótkiej chwili. Callum wydał wściekły ryk, puścił pięści w ruch. Obaj policjanci uderzyli o ścianę niemal jednocześnie. McLean usłyszał, jak Bob Gburek z tyłu za nim poruszył się, żeby zablokować drzwi, ale Callum nawet nie spojrział w tamtą stronę; odwrócił się do wielkiego weneckiego lustra, za którym znajdowało się pomieszczenie obserwacyjne. Sprząył

się w sobie i dał susa głową naprzód, uderzając o nie z całej siły. Pękło w kilku miejscach, ale się nie rozpadło. Rozwścieczony Callum cofnął głowę i trzasnął nią jeszcze raz w splekane szkło. Tym razem lustro ustąpiło, rozsypując się na długie odłamki śmiertelnie ostrego szkła. Jeden z nich, długi na dobre trzydzieści centymetrów, sterczał z dołu; na jego czubku jak na ostrzu igły czerwieniła się kropelka krwi Calluma. Ochroniarz odwrócił się, zmierzył McLeana władcym spojrzeniem. Nie było w nim strachu ani szaleństwa. Wiedział. Nie był tu ofiarą, lecz drapieżnikiem.

– Wkrótce zrozumiesz – powiedział głosem, który nie był jego głosem.

Odwrócił się, wygiął plecy i zadarł głowę, aby nadziać ją na szklane ostrze. Jednak w tej samej chwili obaj policjanci schwytali go za ręce, wykręcając do tyłu. Nagle w pomieszczeniu zaroilo się od ciał, wszystkie niczym mrówki obległy Calluma. Potężny ochroniarz wił się i wrzeszczał, ale w końcu zdołano go obezwładnić, powalić na ziemię i na nowo zakuć w kajdanki. Kiedy potem dźwignięto go na nogi, McLean ujrzał jego twarz; dostrzegł paskudne skaleczenia na czole i na nosie. Szklana drzazga przebiła lewe oko, z którego po policzku spływała wodnista ciecz – jak parodia łez.

– Jezu Chryste! – rzucił. – Do szpitala z nim, szybko. Nie rozkuwajcie go pod żadnym pozorem. Nie wolno nam dopuścić, żeby zrobił to po raz drugi, bo wtedy już może mu się udać.

McLean stał na korytarzu i opierał się o ścianę, próbując opanować ogarniające go roztrzęsienie. Bob Gburek towarzyszył mu, milcząc.

– Próbował uciekać, tak? – odezwał się wreszcie sierżant.

– Nie. Próbował się zabić. Tak samo jak tamci.

– Tamci? O kim mówisz?

McLean zerknął na starego kumpla.

– Nieważne, zapomnij. Bob, muszę się napić.

– Dobry pomysł. Chętnie się przyłączę. Zwłaszcza że minęły całe godziny od zakończenia mojego dyżuru, a poza tym mamy przynajmniej jeden sukces do obłania.

– A gdzie MacBride? – spytał McLean. – Dobrze mu zrobi jeden głębszy.

– Pewnie siedzi w dochodzeniowym i gorączkowo wstukuje raport. Wiesz, jaki on jest. Nadgorliwiec.

– Odczep się od niego, Bob.

– Ależ ja wcale się go nie czepiam. – Sierżant wykrzywił się w uśmiechu, widać było, że ochłonął nieco po dramatycznych wydarzeniach sprzed kilku minut. – Skoro chce wykonywać robotę za dwóch, nie mam absolutnie nic przeciwko temu. Chętnie będę tym drugim.

Ruszyli ramię w ramię ku drzwiom komisariatu, zatrzymywani po drodze wielokrotnie, bo wszyscy chcieli im pogratulować. Wiadomość o odnalezieniu Chloe rozeszła się szybko, na

szczęście nowsze wieści jeszcze nie. Kiedy dotarli do celu, ujrzeni, że drzwi do ich pokoju dochodzeniowego zostały zablokowane metalowym krzesłem, żeby zapewnić jaki taki przepływ powietrza. Ze środka dochodził cichy szmer rozmowy. McLean wszedł, zobaczył MacBride'a siedzącego przy swoim biurku, za laptopem. Koło niego stała kobieta. Odwróciła się, kiedy zobaczyła, że młody policjant chce wstać na powitanie inspektora. Była to Emma Baird. Podeszła do McLeana, po czym wymierzyła mu siarczysty policzek.

– Za to, że chociaż przez chwilę podejrzewałeś mnie o takie świństwo jak wrzucanie zdjęć operacyjnych do internetu.

Inspektor odruchowo uniósł dłoń, żeby rozmasować policzek, równie odruchowo uznawszy, że pewnie na to zasłużył. Jednak nim zdążył to zrobić, chwyciła go za rękę, przyciągnęła do siebie i wycisnęła na jego ustach długi, wilgotny pocałunek.

– A to, bo wymyśliłeś, jak udowodnić, że jestem niewinna – dodała, gdy wreszcie uwolniła go ze swoich objęć.

McLean czuł, że jak uszy mu poczerwieniały. Spojrzał na posterunkowego MacBride'a, ale ten jeszcze bardziej niż zwykle zainteresował się sporządzanym raportem. Bob Gburek spoglądał w korytarz, jakby wypatrywał czegoś lub kogoś.

– Ech, chrzanić to, Stuart. Raport możesz wstukać jutro – stwierdził McLean. – Chodźmy do pubu.

Ciche brzęczenie budzika wdarło się poprzez ból do głowy McLeana, uświadamiając mu z niemiłe widzianym i nadmiernym entuzjazmem, że jest już szósta rano, czyli pora wstawania. McLean stęknął glucho, odwrócił się na bok, żeby wyciszyć urządzenie jeszcze na dziesięć minut. Może kac minie, w końcu dziesięć minut to mnóstwo czasu. Zawsze warto spróbować. Natknął się jednak na coś leżącego obok niego i za żadne skarby nie potrafiłby stwierdzić, co to takiego. Tymczasem to coś mruknęło, poruszyło się, a McLean nagle obudził się zupełnie przytomny.

Usiadł na łóżku, przetarł oczy i ujrzał uśpioną Emmę Baird. Poczł dziwną mieszaninę gniewu i lęku. Od dawna spał w tym łóżku sam, pilnował, aby jego relacje w pracy zachowały ściśle zawodowy charakter, z zasady trzymał się z wszystkimi na dystans. Terapeuta czy psycholog pewnie by orzekł, że to obawa przed zaangażowaniem się, i przypuszczalnie miałby słuszość. Po tym, co zdarzyło się z Kirsty, sama myśl o zbliżeniu z kimkolwiek zdawała się zbyt bolesna. A teraz, po jednej kolacji i po jednej przechlanej nocy w towarzystwie połowy komisariatu, Emma spała w jego łóżku.

Próbował przypomnieć sobie, co zdarzyło się zeszłej nocy. Oboje celebrowali odnalezienie Chloe całej i zdrowej, jednak on nie upijał się tak bardzo, żeby stracić kontrolę. Nie nawalił się do tego stopnia, żeby nie pamiętać, co robił.

Aha, Emma była na niego zła. Słyszała, co powiedział Duguidowi przed kwaterą główną, przy wejściu do działu technicznego, jak to niby zamierzał wykorzystać tę przyjaźń i przeprowadzić dochodzenie w sprawie zdjęć wrzuconych do internetu. Tłumaczył się, jak mógł, próbował jej wyjaśnić, że miał całkiem co innego na myśli, a ona opacznie zrozumiała jego zamiary. W jej mniemaniu i z jej punktu widzenia była to paskudna manipulacja. Odpuściła dopiero wtedy, kiedy pokajał się i poprosił, żeby zechciała mu wybaczyć. Cóż, takie są kobiety, prawda?

Potem obsługa pubu ich wyprosiła, bo chcieli już sprzątać i zamykać. Bóg wie, o której nad ranem. Nijednego będzie bolała głowa na porannej zmianie w komisariacie. Aha, później on zaproponował, żeby wpaść do jego mieszkania, bo ma sporo whisky. Może Gburek wpadł na ten pomysł? Tutaj wspomnienia nieco się zacierały, z pewnością natomiast pamiętał przemożne odczucie, że jakiegokolwiek towarzystwo będzie lepsze niż samotny powrót do cichego i pustego mieszkania. A więc poszli do niego, po czym z pewnością wychleptali całą whisky, co z kolei tłumaczyłoby głuche dudnienie w jego głowie.

Powstrzymując jęk, McLean przewrócił się na bok i wstał. Miał na sobie bokserki, co było dobrym znakiem. Starannie poskładany garnitur leżał na krześle, a koszula i skarpetki

wylądowały w koszu na bieliznę. Efekt automatycznych czynności, wykonywanych bezmyślnie, rutynowo. Choć z drugiej strony, nie zachowywałby się rutynowo, gdyby poprzedniego dnia przegiął z alkoholem albo gdyby ogarnęło go z dawna zapomniane pożądanie. Tak, im bardziej się nad tym zastanawiał, tym lepiej pamiętał, że kładł się do łóżka sam. Jasne, Bob Gburek został, nie poszedł do domu, to normalne. MacBride usnął na podłodze, a Emma? Tak, zasnęła w fotelu. Wtedy wyciągnął z szafy koc i okrył nim dziewczynę, po czym poszedł do łóżka. Musiała obudzić się w nocy i przyszła do niego, pod koldrę. Dość znamienne i znaczące.

Prysznic sprawił, że rozjaśniło mu się w głowie, wciąż jednak poruszał się jak na zwolnionym filmie, kiedy się wycierał. Zabolaly go popękane żebra; geograficzny siniak na torsie przybrał żółty odcień na brzegach. Owinąwszy się w pasie ręcznikiem, nalał wody do czajnika i go nastawił. Następnie wziął głębszy wdech i zajrzał do sypialni. Emma wciąż spała, ale przewróciła się na bok, zrzuciwszy z siebie koldrę. Krótkie czarne włosy zasłaniały jej twarz, natomiast cała reszta była dobrze widoczna. Drogę do jego łóżka znaczył szlak jej ubrań, a pośród nich bielizna. Czegoś takiego nie widział od dobrych paru lat. W każdym razie nie po tej stronie barykady, jeżeli chodzi o policyjną pracę. Najciszej, jak mógł, zdjął z krzesła garnitur, wyjął z szafy czystą koszulę i świeżą bieliznę, po czym wyszedł, żeby się ubrać.

Poszedł w tym celu do gabinetu, gdzie na biurku spostrzegł leżący dyktafon – oskarżenie o to, że uchybił pamięci umarłych. Postarał się zignorować tę myśl, bo wiedział, że to swoisty przejaw samolubstwa, zamykanie się w poczuciu winy. Wiedział, że nigdy tej kasety nie wyrzuci, tak samo jak nigdy nie zapomni o Kirsty. Może jednak po tych wszystkich latach powinien posłuchać rad przyjaciół i spróbować żyć dalej normalnie, zwyczajnie. Życie to gówno i syf, ale jednak czasami coś się udaje. Na przykład zdołał odnaleźć Chloe Spiers całą i żywą.

Ubrany, McLean przeszedł do kuchni, po czym zaparzył kawę. Karton mleka znajdujący się w lodówce jeszcze nie eksplodował, ale najwyraźniej mało mu do tego brakowało. Zajrzał do dużego pokoju i do drugiej sypialni, co pozwoliło mu stwierdzić obecność jednego posterunkowego i jednego sierżanta, obu chrapiących. Niewątpliwie będą potrzebować kawy i śniadania z bekonem. Zgarnął ze stolika klucze, po czym udał się do sklepu za rogiem.

Kiedy wrócił, drzwi do łazienki były zamknięte, a zza nich dochodził odgłos prysznicza. Bob Gburek siedział w kuchni. Wszystko wskazywało na to, że spał w spodniach i marynarce. McLean zabrał się do przygotowywania kanapek, po chwili pojawił się MacBride, trochę nieswój.

– Witamy, posterunkowy – rzucił inspektor.

Zauważył, że McBride skrzywił się – pewnie powiedział to za głośno. Cóż, nic dziwnego. Młody wychłał najwięcej. Nic mu nie będzie. Ma młodą wątrobę. Przeżyje.

– Co ja wczoraj płem? – spytał MacBride.

– W pubie czy tutaj? – spytał Bob Gburek i podrapał się po nieogolonej brodzie. Był

przygotowany na takie sytuacje, w swojej szafce, w komisariacie, trzymał elektryczną golarzkę.

Na twarzy MacBride'a odmalowało się niejake zmieszanie, jednak zanim zdążył odpowiedzieć, ktoś leciutko zapukał do drzwi.

– Zajmij się kanapkami, Bob. W szafce jest ketchup.

McLean przeszedł przez korytarz i otworzył drzwi. Za nimi stała Jenny Spiers.

– Tony, ja...

– Jenny, cześć...

Odezwali się jednocześnie, po czym oboje urwali, żeby pozwolić mówić temu drugiemu. Inspektor odsunął się od drzwi.

– Proszę, wejdź. Przygotowałem kanapki na śniadanie.

Jenny objęła go mocno.

– Dziękuję, że znalazłeś moją dziewczynkę – wykrztusiła i wybuchła histerycznym szlochem.

Właśnie tę chwilę wybrała Emma, żeby wyjść z łazienki. Miała na sobie w charakterze szlafroka krótki płaszcz kąpielowy McLeana – zdecydowanie zbyt krótki. Włosy sterczały jej na wszystkie strony, bił od niej silny zapach szamponu z olejku drzewa herbacianego. Temperatura w korytarzu jakby opadła, gdy kobiety popatrzyły na siebie w milczeniu. McLean poczuł, że Jenny spięła się, ale nie wypuściła go z objęć.

– Hm, Jenny, to jest Emma. Emma, Jenny.

Napięcie nie zelżało. W następnej chwili rozległ się okrzyk: „Muszę do łazienki!” i z kuchni wypadł jak bomba detektyw posterunkowy MacBride. Wbiegł do łazienki, drzwi zatrasnęły się, po czym dobiegł z za nich odgłos towarzyszący zazwyczaj wymiotom.

– Trochę wczoraj zabalowaliśmy – wyjaśnił McLean, próbując delikatnie wyzwoić się z uścisku Jenny, która nadal mocno trzymała go w objęciach. – Wygląda na to, że nasz kolega MacBride przesadził z whisky marki Bowmore leżakowaną w beczkach.

– Raczej to sprawka koktajli z tequilą – stwierdziła rzeczowo Emma i poczłapała w kierunku sypialni McLeana.

– Jak tam Chloe? – spytał inspektor, mając nadzieję, że Jenny przestanie spoglądać z jawnym niedowierzaniem za Emmą i że on zdoła odwrócić jej uwagę.

Udało się, znów spojrziała na niego, a na jej twarzy pojawił się uśmiech.

– Lekarze mówią, że nic jej nie będzie, w każdym razie fizycznie nic się nie stało. Co prawda, kiedy ją znalazłeś, była mocno odwodniona. Dzięki Bogu, że ją uratowałeś. Naprawdę nie wiem, jak mam ci dziękować.

– Na tym polega moja praca, Jenny.

McLean zaprowadził ją do kuchni, gdzie Bob Gburek stał przy opiekaczu. Z tej okazji włożył na ubranie zabawny fartuch z nadrukowanym bikini.

– Nie wiem tylko, jak sobie poradzi psychicznie. Sam wiesz, tyle czasu spędziła razem ze zwłokami zakuta w łańcuchy w piwnicy.

McLean nie był pewien, na ile dokładnie Jenny została poinformowana.

– Opowiedziała ci o tym? – spytał, a Jenny skinęła głową i wzięła od niego kubek z kawą. – To znaczy, że sprawy idą w dobrym kierunku, poradzi sobie z tym. Myślę, że twarda z niej sztuka. Pewnie ma to po mamie.

Jenny sączyła kawę, siedziała przy stole w kuchni i milczała. Bob Gburek również się nie odzywał, sprawnie przyrządzając śniadanie dla całej armii. Gdzieś w tle rozległ się odgłos spuszczonej wody. Jenny odstawiła kubek i popatrzyła McLeanowi w oczy.

– Powiedziała, że wybrali ją z twojego powodu. Chcieli dobrać się do ciebie za moim pośrednictwem. Dlaczego? Przecież prawie się nie znamy.

– Pewnie dlatego, że przysłaś na pogrzeb mojej babci. – McLean nie potrafił wymyślić lepszego wyjaśnienia. – Z pewnością już wtedy Spenser mnie obserwował. Od samego początku stał za wszystkimi poczynaniami, próbował mnie zdyskredytować, wynajął McReadiego, żeby mnie skompromitować, potem zabił Alison... Chciał odwrócić uwagę od śledztwa w sprawie zamordowanej dziewczyny. Potrzebował kogoś, kto zająłby jej miejsce, a Chloe jest akurat w odpowiednim wieku. Przykro mi, Jenny, bo gdybyśmy się nie spotkali, znalazłby kogoś innego.

– Ktoregoś dnia, Tony, będziesz musiał mi zdradzić, jak ty to robisz.

McLean znów znajdował się w prosektorium i wydawało mu się, że w ciągu minionych dwóch tygodni prawie stamtąd nie wychodził. Bardzo lubił Cadwalladera, wysoko cenił jego inteligencję oraz poczucie humoru, ale wolałby delektować się tymi jego zaletami, na przykład w pubie, a choćby nawet i w operze.

– Jak co robisz? – spytał. Przeciągnął się, bo patolog najwyraźniej nieprędko zamierzał zakończyć czynności związane z oględzinami zwłok Gavina Spensera.

– Chodzi mi o Petera Andrewsa. Skąd wiedziałeś, że pod jego paznokciami znajdują się ślady krwi i naskórka?

– Nazwijmy to przecuciem.

– A czy przecucie podpowiedziało ci także, czyj to będzie naskórek i czyja krew?

– Buchana Stewarta.

– Sam widzisz. To właśnie miałem na myśli, Tony. – Cadwallader wstał i popatrzył na inspektora, zapominając w roztargnieniu, iż ciągle trzyma w dłoni wąż Spensera. – Dysponujemy różnymi drogami i zaawansowanymi technologicznie urządzeniami, na które z pieniędzy podatników poszły miliony funtów, tymczasem ty znasz odpowiedź, zanim zadasz pytanie.

– Zrób coś dla mnie, Angus. Zachowaj dla siebie tę cenną informację.

Wystarczyło już, że Jonathan Okolo i Sally Dent przeszli do annałów kryminalistyki jako mordercy, podczas gdy najprawdopodobniej byli zaledwie nieświadomymi pionkami w perwersyjnej grze prowadzonej przez Spensera. Po co przydawać cierpień rodzinie Petera Andrews?

– Chętnie. – Cadwallader wreszcie zauważył ociekającą krwią wątrobę, umieścił ją na stalowej szalce do zważenia. – Tym bardziej że w przeciwnym razie musiałbym ze wstydem przyznać, iż przeoczyłem te ślady podczas pierwszego badania.

Zajął się na nowo klatką piersiową nieboszczyka, wydobywał z niej jakieś części, przyglądał się im, ważył je, a potem wkładał w osobne pojemniki, z wyraźnym upodobaniem oddając się temu pasjonującemu zajęciu. McLeanowi żal było biednej Tracy, której zadaniem będzie umieszczenie wszystkiego z powrotem w ciele, a następnie schludne zaszcycie zwłok.

– To co, jak byś oceniał przyczynę zgonu? – odezwał się McLean, kiedy nie mógł już dłużej tego znieść.

– Najprawdopodobniej niewydolność serca, wynikała z utraty dużej ilości krwi. Ostrze noża zagłębiło się w gardło na tyle, że przecięło arterię szyjną, pozostawiając przy tym ślady na kręgach szyjnych. Mamy narzędzie, prawda?

Tracy podała mu plastikową torebkę, w której tkwił myśliwski nóż. Cadwallader zważył broń w dłoni, przyjrzał się ostrzu, przyłożył je do szyi zmarłego.

– Tak, w sam raz. Pasuje też do śladów na mostku i żebrach. Zabójca musiał go rozciąć, żeby wydobyć serce. Swoją drogą, niełatwo tego dokonać, wymaga to sporych umiejętności, w przeciwnym razie robi się z tego straszna jatka.

– A kiedy mógł nastąpić zgon?

– Trzydzieści sześć do czterdziestu ośmiu godzin temu. Facet trochę sobie posiedział. Dziwne, że zabójca nie uciekł za granicę. Mógł być już w innym kraju, zanim znalazłeś ciało.

McLean dokonał w myśli stosownego obliczenia. Spenser zginął wkrótce po śmierci Davida Browna. Browna, którego zwłoki znaleziono w krzakach za ogrodzeniem posesji Spensera, w przyprawie dzięki furii zamordowanego przez Jethra Calluma.

– Zabójca czekał na nas w tym samym pomieszczeniu, gdzie znaleźliśmy zwłoki. – McLean spojrzał w stronę wypatroszonego nieboszczyka leżącego na stole operacyjnym. – A potem próbował się zabić na moich oczach.

– Aha. Dostrzegam w tym pewną prawidłowość.

McLean również ją dostrzegał, ale zanim zdążył się na ten temat wypowiedzieć lub nie, kieszeń jego marynarki zaczęła brzęczeć i wściekle wibrować. Było to tak niezwykle uczucie, że przez dłuższą chwilę nie wiedział, co się dzieje. Tymczasem dzwonił jego telefon komórkowy. Otworzył klapy, zauważył przy okazji, że bateria prawie nie jest wyczerpana.

– Nie przeszkadzaj sobie, pracuj dalej beze mnie – rzucił do Cad-walladera i wyszedł z prosektorium. Za drzwiami odebrał połączenie: – McLean.

– Tu mówi MacBride, szefie. Coś się stało w szpitalu. Chodzi o Calluma. Stracił przytomność.

„Bestia, która zna tylko przemoc i okrucieństwo” – McLean przypomniał sobie słowa zapisane w liście Jonasa Carstairsa. Następnie dokonał w myślach przeglądu: Peter Andrews, który był świadkiem gwałtownej śmierci Jonathana Okolo w śródmiejskim pubie; Sally Dent obecna przy tym, jak Peter Andrews odbierał sobie życie; David Brown, który widział ciało Sally, roztrzaskujące się o przednią szybę kierowanej przezeń lokomotywy, i wreszcie Callum podejmujący dwukrotną próbę samobójstwa – po raz drugi wtedy, gdy walił głową w weneckie lustro. Jak to powiedział...? „Wkrótce zrozumiesz”. I ten głos, dziwny, odmienny.

Pomimo letniego upału przez ciało McLeana przebiegł zimny dreszcz. Kto wie, może już rozumiem, pomyślał, i może nawet wiem, co trzeba zrobić. Jeżeli się mylę, trudno mi będzie się wytłumaczyć. A jeżeli mam rację? Cóż, nad tym lepiej się nie zastanawiać.

Pomyślał ze smutkiem, że ten szpital zna aż nazbyt dobrze. Wiele razy odwiedzał w nim swoją babcię. Wszystkie pielęgniarki rozpoznawały go i witały uśmiechami, pozdrowiały go, gdy szedł przez korytarze. Z większością z nich był po imieniu. Towarzyszył mu posterunkowy MacBride, wyraźnie skrępowany tą sytuacją. Po chwili dołączył do nich młody lekarz, zmęczony i zabiegany.

– Inspektor McLean?

McLean skinął głową.

– Co się stało, doktorze?

– Trudno powiedzieć. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Pan Callum na pozór jest bardzo krępkim młodym człowiekiem, a tymczasem jego narządy wewnętrzne wysiadają jeden po drugim. Jeżeli nie zdołamy powstrzymać tego procesu czy przynajmniej go ustabilizować, pacjent może umrzeć w ciągu kilku godzin.

– Godzin? Przecież wczoraj był zdrowy. Bez wątplenia w pełni sił.

McLean przypomniał sobie potłuczone żebra i walkę z siłaczem, którą odbył niecałe dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Kolejna część układanki wskoczyła na swoje miejsce, pojawił się następny fragment obrazu, którego McLean wolałby nie oglądać.

– Na razie przyjęliśmy założenie, iż jest to rodzaj reakcji na sterydy. Przecież facet nie napakował się aż tak wyłącznie na siłowni, musiał coś brać i to coś sprawiło, że nastąpiła interakcja z którymś z podanych przez nas leków. Dotąd nie zaobserwowałem, żeby to działo się tak prędko. Jeszcze wczoraj opatrywałem jego skaleczone oko i sprawiał wrażenie, że nic mu nie jest, jeżeli nie liczyć lekkiej hiperwentylacji.

– Rozmawiał z panem?

– Słucham? A, nie. Nie powiedział ani słowa.

– Czy się wrywał, próbował uwolnić, usiłował popełnić samobójstwo?

– Nie, ale był przemocowany do łóżka, poza tym przez cały czas pilnowało go trzech policjantów.

– Gdzie jest teraz?

– Umieściliśmy go w jednej z izolatek, w pobliżu sali dla pacjentów w śpiączce.

– Chodzi o to, żeby nie przeszkadzał innym pacjentom, jak zacznie się szarpać?

– To też, ale poza tym dlatego, że potrzebowaliśmy miejsca na rozstawienie kompletu aparatury do monitoringu. Chodźmy, zaprowadzę pana.

– Szkoła zachodu. Wiem, gdzie to jest, a z pewnością ma pan sto innych, ważniejszych spraw.

Lekarz chyba trochę się zdziwił, ale chętnie zostawił ich samych. Ruszyli bezkresnymi, anonimowymi korytarzami. MacBride podążał śladem inspektora niczym wierny pies gończy.

– Co my tu właściwie robimy, szefie?

– Ja zamierzam przesłuchać jedyne podejrzanego w sprawie o morderstwo, zanim zabije go tajemnicza choroba – wyjaśnił McLean. Zbliżali się do celu. Znudzony gliniarz – teraz już tylko jeden – siedział na niewygodnym plastikowym krześku przed wejściem, czytał powieść Iana Rankina. – Ty jesteś tu dlatego, że Bob Gburek posiada szczególny talent do ulatniania się, kiedy zaczyna kojarzyć, że planuję zrobić coś, co nie spotka się z aprobatą pani komendant.

– Panie inspektorze! Przepraszam, nikt nie powiedział mi, że... – Policjant zerwał się na baczność, usiłował przy tym schować książkę za plecami.

– Spokojnie, Steve. Chcę zamienić dwa słowa z podejrzanym. Idź, zrób sobie kubek herbaty. Tymczasem MacBride cię zastąpi.

– Co mam robić? – spytał MacBride, kiedy zwolniony z posterunku policjant udał się pospiesznym krokiem w stronę kantyny.

– Stój na straży – polecił McLean. Otworzył drzwi, wszedł do środka i dorzucił: – Nikogo tu nie wpuszczaj.

Pokój był mały, pozbawiony charakteru. Jedyne wąskie okienko ukazywało widok na zalany słoneczną poświatą beton i szkło. Pod ścianą stały dwa plastikowe krzesła, przy łóżku wąska szafka nocna. Jethro Callum leżał pośród całego mnóstwa różnych pobrzękujących z cicha urządzeń. Do ciała podłączone były plastikowe rurki, jednymi z nich pompy tłoczyły jakieś płyny, innymi je odsysały. W żadnej mierze nie przypominał rosłego osiłka, z którym McLean zmagał się po południu minionego dnia. Oparty był o stos poduszek, twarz miał zapadniętą i bladą, oczy podkrążone. Prawie wyłysiał, kilka kępek włosów tkwiło obok jego głowy. Skórę na czaszce pokrywały czerwone plamy. Ramiona leżały na kółkach, nabrzmiałe od mięśni, ale całkiem pozbawione koloru. Nadal był potężnie zbudowany, ale teraz ciężar ciała tylko przeszkadzał mu oddychać, unieruchamiał go o wiele skuteczniej niż skórzane pasy, którymi przywiązany był do łóżka.

– Przyszędłeś. Wiedziałem, że przyjdiesz – rozległ się głos Calluma, ledwie słyszalny pośród szumu szpitalnej maszynierii. Nie był to głos ochroniarza, tylko ten drugi, który groził i obiecywał. Głos obdarzony dziwną hipnotyczną mocą.

McLean sięgnął po jedno z krzeseł i podstawił je pod klamkę drzwi. Odsunął kabel z przyciskiem alarmowym tak, żeby znalazł się poza zasięgiem chorego. Potem nachylił się, żeby dokładniej obejrzeć urządzenie. Przewody prowadziły od EKG do pulsoksymetru umocowanego na jednym z palców Calluma. McLean zsunął go, założył na jeden ze swoich

palców. Urządzenie piknęło nerwowo kilka razy, po czym uspokoiło się, znowu wskazując stały rytm. Przyjrzał się teraz innym maszynom, ale wyglądało na to, że tylko EKG jest podłączone do monitoringowego systemu alarmowego. Powyłączał je wszystkie, jedno po drugim. Nauka medyczna utrzymywała to ciało przy życiu, ale Jethro Callum zmarł w momencie, kiedy zabił Davida Browna. A teraz coś, co odebrało mu duszę, pożerało jego organizm.

– Powiedz mi, co to za dziewczyna? – McLean usiadł na drugim krześle.

– Jaka dziewczyna?

– Wiesz, o kim mówię. O dziewczynie, którą zabili podczas chorego rytuału.

– A, o tej. – Głos brzmiał jakby z oddali, niczym głos brzuchomówcy cierpiącego na rozedmę, ale jednocześnie słychać w nim było przyprawiające o mdłości zadowolenie z siebie. – Ta mała, Maggie Donaldson. Śliczne maleństwo. Miała co najwyżej szesnaście lat. Dziewica, ma się rozumieć. To właśnie mnie do niej przyciągnęło, ale oni ją skalali, jeden po drugim. A ten stary wiedział, co robi. Wziął mnie w jej ciele, a potem ją rozdzielili. Każdy zabrał kawałek mnie.

– Po co to zrobili?

– A po co wy, ludzie, robicie cokolwiek? Chcieli żyć wiecznie.

– A ty? Co stanie się z tobą?

– Będę żyć nadal. W tobie.

McLean spoglądał na żalną postać umierającego. A więc o to w tym wszystkim chodziło. Z tego powodu doszło do paskudnych historii, począwszy od odnalezienia ciała martwej dziewczyny w piwnicy Farquhar House. Dlatego niewinni ludzie musieli zabijać, podporządkowani przemożnej woli, która czyniła z nich bezwolne marionetki. Dlatego musiała zginąć Alison Kydd. McLean poczuł gwałtowną chęć, żeby udusić tego człowieka. Tak łatwo byłoby opleść palce wokół jego gardła i wycisnąć z niego resztki życia. Albo jeszcze lepiej, wbić mu coś w ten osłepiony oczodół i dalej, aż do mózgu. Miał w kieszeni długopis, to wystarczy za broń. Trzeba tylko wbić go mocno i pod odpowiednim kątem. Jest tyle sposobów, żeby kogoś zabić...

– O nie, nic z tego.

Potrząsnął głową, wyganiając z niej obce myśli.

Barnaby Smythe, Buchan Stewart, Jonas Carstairs, Gavin Spenser. Każdy z nich siedział bez ruchu, chociaż nieskrępowany, podczas gdy oprawca patroszył i zabijał. A także Fergus McReadie. Odebrał sobie życie, bo do niego przemówiono. Teraz McLean już wiedział, dlaczego. Wszyscy oni poddali się temu głosowi, a to dlatego, że istniała łączność między nimi a tym czymś. Tyle że on, McLean, nie brał udziału w zamordowaniu dziewczyny ani nie zamierzał zabić Chloe. Nie istniało powiązanie między nim a tym upiornym bytem.

– Ależ jest powiązanie, inspektorze, jest. Sporządziłeś krąg. Jesteś częścią tego tak samo jak

oni wszyscy. Jego krew płynie w twoich żyłach. Jesteś dobrym naczyniem, abym zawarł się w tobie.

Tym razem perswazja była niczym ściana mroku, napierała na McLeana. Pojawiły się przebliski ponurych scen: twarz Smythe'a wykrzywiona od bólu, gdy nóż przebijał pierś porośniętą siwym włosem; serce Jonasa Carstairsa wciąż jeszcze bijące pod nagimi żebrami; Gavin Spenser siedzi spokojnie i tylko oczy pokazują, co dzieje się w jego myślach, gdy nóż powoli rozcina gardło. A z każdym takim obrazem przyływ mocy, odczucie niepowstrzymanej ekscytacji i radości. Mógłby to mieć, być tym. Mógłby żyć wiecznie.

– Raczej nie.

McLean dzwignął się z krzesła, podszedł do łóżka. Sięgnął do kroplówki, zakręcił kranik, aż ustał napływ płynu.

– Teraz już rozumiem. Nie chciałem w to uwierzyć, ale chyba nie mam innego wyjścia. Potrzebujesz przemocy, żeby przejść z jednego nosiciela do drugiego. Bez tego ugrzęźniesz. A kiedy ten umrze, będzie po tobie. Wróćisz tam, skąd cię przyzwali.

– Co robisz? Rozkazuję ci zabić to ciało!

Callum szarpał się, mocował z pasami i przygniatającą go pościelą, ale był to daremny, żalony trud. Jego ciało wkrótce ogarnął bezwład, wstrząsnął nim chrapliwy kaszel.

– Z tym sam sobie poradzisz.

McLean otrząsnął się przed kolejną falą myśli wciskających się mu do głowy, tym razem słabszych, bardziej zdesperowanych. Ponownie usiadł, przyglądając się szczątkom na łóżku.

– Coś mi się zdaje, że wcale nie zamierzałeś siedzieć w biednym Jethro aż tak długo, ale musiałeś zatrzeć ślady, a to wymagało czasu. Nie był dość silny, żeby tak długo znosić twoją obecność, prawda?

– Zabij mnie – rozległ się głos; przemawiał teraz ledwo dosłyszalnym szeptem. – Uwolnij mnie.

– Nie tym razem. – McLean czekał. Przyglądał się, jak ostatnie tchnienia rządzącego Calluma wydostają się z niego niczym umykające insekty. – Tym razem umrzesz z przyczyn naturalnych.

Epilog

Christopher Roberts z nisko spuszczoną głową siedział przy stole. Cuchnął długimi nocami spędzonymi w celi aresztu. McLean stał oparty o ścianę pokoju przesłuchań i patrzył, próbując wzbudzić w sobie choć cień sympatii do tego człowieka. Na próżno.

– Gavin Spenser nie żyje. Jethro Callum też.

Gdy do Roberta dotarło znaczenie tych słów, prawnik podniósł głowę, w jego oczach zajaśniała nadzieja. McLean jednak nie dopuścił go do słowa.

– Rzecz w tym, panie Roberts, że niemal z całą pewnością został pan zmuszony do podjęcia takich a nie innych działań, i w zasadzie moglibyśmy wziąć to pod uwagę. Chloe jest bezpieczna, chociaż obawiam się, że nigdy nie zapomni, że spędziła kilka dni w piwnicy, przykuta do ściany w towarzystwie zmasakrowanych zwłok. Niewykluczone, że zdołałbym ją jakoś przekonać, żeby nie świadczyła w sądzie przeciwko panu.

– Naprawdę? Zrobiłby to pan dla mnie?

Roberts popatrzył na niego spojrzeniem zbitego psiaka. McLean postąpił krok do przodu, odsunął krzesło i siadł na nim ciężko.

– Nie. Nie zrobię tego. Teraz już nie. Miał pan swoją szansę, panie Roberts, gdy zapewniliśmy ochronę pańskiej małżonce. Wtedy mógł pan nam pomóc, być może zdołalibyśmy schwytać Calluma, zanim zabił Spensera. Obecnie sytuacja przedstawia się zupełnie inaczej. Wszyscy, którzy mogliby odpowiedzieć za porwanie i morderstwo, nie żyją. Wszyscy oprócz pana.

– Ale... Ale... Oni mnie zmusili. Oni...

– Nie, panie Roberts. Do niczego pana nie zmusili. Sam pan to zrobił z własnej woli. Niczego panu nie brakowało, lecz pan chciał więcej. A teraz spędzi pan w więzieniu wiele, wiele lat.

Szary, chłostany wiatrem cmentarz z widokiem na Forth. Lato nagle się skończyło, ciemne strugi deszczu znaczyły stalowe niebo u przeciwległego brzegu Firth. Co prawda, na cmentarzu nie padało, ale panował dotkliwy chłód. McLean zdziwił się, jak wielu ludzi przyszło na pogrzeb. Posterunkowy MacBride, Bob Gburek, a także Emma. Nawet pani komendant McIntyre znalazła czas pomimo natłoku zajęć, choć widać było, że niecierpliwą się i zerka ukradkiem na zegarek. Angus Cadwallader, nie licząc się z opinią publiczną, przyprowadził ze sobą Tracy. Najbardziej zaskakujące było to, że pojawiła się również Chloe Spiers. Stojąc nad grobem, mocno trzymała za rękę swoją matkę, spoglądała na prostą trumnę, gdy sypano na nią ziemię. Wymagało to przeprowadzenia wnikliwego śledztwa, udało się jednak odszukać groby Johna i Elisabeth Donaldsonów, dzięki czemu ich córka, Maggie, mogła zostać pochowana obok

rodziców. McLean liczył na to, że nikt się o tym nie dowie, a koszt pochówku pokrył z własnej kieszeni.

– Wciąż nie rozumiem, jak zdołałeś ją zidentyfikować – odezwała się McIntyre, kiedy odchodzili od grobu.

– Udało nam się namierzyć budowniczego z Sighthill, który zniknął bez śladu w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym roku. Dzięki temu poznaliśmy w przybliżeniu czas śmierci. Akurat nasze archiwa z tego czasu są niekompletne, więc MacBride zabrał się za przekopywanie zbiorów „Scotsmana”. Znalazł małą notkę o zaginięciu dziewczyny. Okazało się, że jej matka była pokojówką w Farquhar House. Znaleźliśmy żyjącą krewną, mieszka w Kanadzie. Potem wystarczyło porównać profile DNA.

Była to prawda, tylko lekko zniekształcona. McLean dał MacBride’owi wszelkie możliwe wskazówki, podpowiedział mu, gdzie oraz czego szukać. Przecież nie mógł opowiedzieć, w jaki sposób poznał imię i nazwisko zabitej dziewczyny.

– Większość detektywów zadowoliliby się znalezieniem zabójców.

– Przecież wiesz, jaki jestem. Nie lubię pozostawiania niedokończonej roboty.

– Sądzisz, że to zadziałało? Że naprawdę schwytali tajemniczego demona i dzięki jego mocy żyli tak długo?

– Co ty opowiadasz, Jayne. Jak by coś takiego mogło zadziałać? Przecież oni wszyscy nie żyją.

– McLean pokręcił głową tak przekonująco, że omal zdołał oszukać samego siebie. – Demony nie istnieją.

– Oni wszyscy byli w znakomitej kondycji.

– Cóż, wyłączając Bertiego Farquhara i Toby’ego Johnsona. Obaj umarli młodo. Pozostali żyli długo, bo w to uwierzyli. Rany boskie, przecież musieli wierzyć, że to działa, skoro dopuścili się takiej potworności. Poza tym byli bogaci z domu, nie brakowało im pieniędzy, otrzymali najlepsze wykształcenie.

– Miejmy nadzieję, że masz rację, Tony. W tym mieście dosyć jest zła bez udziału czynników nadprzyrodzonych, które zechciałyby mieszać szyki nam, gliniarzom.

– Gavin Spenser nie zostawił testamentu. – McLean dowiedział się o tym z dziennika telewizyjnego i z różnych niemiłych względów zwrócił uwagę na tę wiadomość. – Zmarł bezpotomnie, nigdy się nie ożenił, nie miał rodziny. Prawnicy dwoją się i troją, żeby znaleźć kogoś, kto mógłby odziedziczyć jego fortunę. Jeżeli ktoś zdoła przedstawić choćby i z lekka naciągane roszczenia, ma szansę odziedziczyć miliardy. Jednak nie w tym rzecz. To dowód, był pewien, iż będzie żył wiecznie.

– Może jednak demony istnieją, tylko kryją się tu. – McIntyre postukała palcem w skroń i zakreśliła nim kółko.

Doszli do bramy cmentarza i tych kilku samochodów, które czekały, by zabrać ich z powrotem, każde z nich do własnego, odrębnego życia. Przy służbowym samochodzie pani komendant stał na baczność umundurowany sierżant, obok podstarzałe volvo kombi Phila, dalej błotnisto zielony jaguar Cadwalladera. Swoją jaskrawoczerwoną alfę McLean zaparkował nieco na uboczu. McIntyre spoglądała ze zgrozą, jak otwiera Emmie drzwi wozu.

– Dobry Boże, Tony, to twoje? – spytała.

Przez chwilę McLean zastanawiał się, czy chodzi jej o samochód, czy o Emmę. Uznał jednak, że nawet pani komendant nie zachowałaby się tak grubiańsko, więc zaprzeczył ruchem głowy, ze wszystkich sił starając się powstrzymać uśmiech.

– Nie, nie moje – odparł. – To auto mojego taty.

Stał w sypialni babci, spoglądał na toaletkę oraz ustawioną na niej kolekcję oprawionych fotografii, a także na szczotkę do włosów i pędzelki do makijażu. Czarny foliowy worek ciążył mu w dłoni, był już do połowy pełny śmieci, a raczej zbędnych pamiątek po dawno przebrzmiałym życiu. Powinien był to zrobić wiele miesięcy wcześniej, kiedy było wiadomo, że babcia nie odzyska przytomności i nigdy nie wróci do domu, że nie będzie jej potrzebna szminka, chusteczki jednorazowe, napoczęta paczka dropsów i zawartość garderoby. A także większość starych zdjęć, szczególnie zaś jedno z nich.

Ta fotografia wisiała na ścianie, blisko drzwi do łazienki. Było to czarno-białe zdjęcie, na którym widniało dwóch mężczyzn i kobieta. Bill McLean, Esther Morrison i NN. Tamten. Kiedy pierwszy raz zwrócił na nie uwagę, zaintrygowało go, że on sam jest zupełnie niepodobny do swojego dziadka, natomiast jego ojciec nader przypomina tamtego, nieznanego. Zresztą, on sam też był bardzo do niego podobny. Jaki to wstydlivy mały sekret tailla przed nim babcia, czego takiego miał się dowiedzieć dopiero po jej śmierci? Jaką tajemnicę mogła wyjawić prawnikowi, ale nie wnukowi? Ten dziwny, niezręcznie i zawile napisany fragment listu: „Najwyraźniej nie stałeś się kimś, kim obawiała się, że mógłbyś się stać”. A potem jeszcze to, co mówił Jethro Callum: „Jego krew płynie w twoich żyłach”. Słowa szaleńca, a może i demona, ale trudno je zignorować. Cóż, w gruncie rzeczy łatwo się domyślić. Nie trzeba do tego detektywa.

Zdjął fotografię ze ściany, odwrócił, żeby zobaczyć, czy po drugiej stronie jest coś napisane. Widniała tam tylko elegancko wytłoczona pieczęć zakładu fotograficznego, mieszczącego się w budynku, który już dawno został rozebrany, a resztki rozjechały buldożery. Zdjęcie zostało oprawione fachowo i starannie zabezpieczone z tyłu mocną papierową taśmą. Mógłby ją rozciąć i sprawdzić, czy na odwrocie samego zdjęcia widnieje jakaś informacja, ale właściwie po co?

Znów odwrócił ramkę, przyjrzał się z bliska fotografii. Babcia, kiedy miała dwadzieścia lat, naprawdę nieźle wyglądała. Siedziała między tamtymi dwoma, każdego z nich obejmowała ramieniem, ale najwyraźniej wpatrzona była w Williama McLeana. Tamten drugi uśmiechał się,

jednak w jego zimnym spojrzeniu było pragnienie czegoś, czego nie mógł dostać, a co mógłby zechcieć zdobyć przy użyciu siły. Może to tylko moja wyobraźnia, zreflektował się McLean. Wzruszył ramionami i odsunął od siebie tę myśl. Zdjęcie wrzucił do plastikowego worka.

Podziękowania

Pisałem tę książkę przez długi czas, ale nie powstałaby wcale, gdyby nie Stuart MacBride. To za jego sugestią przestałem pisać w konwencji fantasy, a zamiast tego spróbowałem sił w literaturze detektywistycznej, tak więc pod wieloma względami to jego zasługa. Dzięki, Stuart.

Jestem także dłużnikiem Allana Guthrie, który jako pierwszy wskazał mi możliwości, które dają e-booki oraz self-publishing, oraz mojej agentki, Juliet Mushens, która jest małym tornadem energii w leopardowe ćetki. Dziękuję także zespołowi redakcyjnemu wydawnictwa Michael Joseph.

Wiele pomocnych osób czytało tę powieść w roboczej postaci, ale szczególnie chciałbym podziękować Heather Bain, Keir Allen, Johnowi Burrellowi i Lisie McShine. Specjalne podziękowanie składam także Grahamowi Cromptonowi za to, że zwrócił moją uwagę na pewien oczywisty fakt, mianowicie, iż żyły nie pulsują.

Dziękuję wreszcie mojej partnerce, Barbarze, która nie tylko stanowiła dla mnie oparcie przez wszystkie te lata, ale także nie zaprotestowała, gdy ukradłem jej nazwisko i obdarowałem nim mojego inspektora.